

A. PILIPIUK

- WILCZE LEŻE -



fabryka słów

Spis treści

Karta tytułowa

Światy Pilipiuka

Odległe krainy

Promienie X

Lalka

List z wysokich gór

Wilcze leże

Cmentarzysko Marzeń

Ci, którzy powinni pozostać

Samobójstwo na Maślicach

Relikwiarz

Szafa

Robert Storm

Paweł Skórzewski

Andrzej Pilipiuk

Książki Andrzeja Pilipiuka wydane nakładem Fabryki Słów

Jacek Komuda – Hubal

Karta redakcyjna

Okładka

A. PILIPIUK

-WILCZE LEŻE-

Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów®
Lublin – Warszawa

ŚWIATY PILIPIUKA

1. 2586 kroków
2. Czerwona gorączka
3. Rzeźnik drzew
4. Aparatus
5. Szewc z Lichtenrade
6. Carska manierka
7. Reputacja
8. Litr ciekłego ołowiu
9. Wilcze leże

Odległe krainy



Zatrzymałem moje trupowate auto. Od Wisły wiało chłodem. W oddali budowano paskudne wiadro, zwane Stadionem Narodowym. Nawet stąd widać było dźwigi podnoszące jakieś detale. Dwa miliardy złotych w błoto, a zabytki niszczeją.

Kamienica stanowiąca cel mojej wyprawy stała samotnie, strasząc ciemnymi oknami i spalonym dachem. Zapewne przed wojną otaczała ją zabudowa, ale przyszły szkopy i zrobiły tu swój „ordnung”. Budowla została przeznaczona do wyburzenia. A tak dokładnie, nie do końca do wyburzenia. Z tego, co ustaliłem, planowano wyciąć tylko stropy i wewnętrzne ściany, a stara ceglana elewacja po odczyszczeniu i uzupełnieniu ubytków miała być wkomponowana w ściany nowo powstającego apartamentowca. Nie byłem tak zupełnie zwolennikiem podobnych działań, ale z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że stuletnie stropy z drewnianych belek zazwyczaj są nie do uratowania...

Wiosna była chłodna i deszczowa. W dodatku nie szło mi w interesach. Na zlecenie różnych członków Grona Jarzębiny grzebałem po bibliotekach i archiwach. Miałem z tego parę groszy na czynsz i jedzenie, ale nie mogłem uściubić kilku tysięcy na zakup nowego auta. Ojciec co raz sugerował, że przydałby mu się pracownik w stolarni. Kilku wujków, stryjków i dalszych członków rodziny też dawało do zrozumienia, że etat się znajdzie. Lubiłem pracę w drewnie, lubiłem kłaść intarsje,

lubiłem roboty tapicerskie. Mógłbym też sprzedawać w sklepie. Klan rodzinny dałby mi jakieś zajęcie. Ale mimo wszystko nie mogłem się zdecydować. Życie domorosłego poszukiwacza antyków i kuriozów niosło ze sobą wyzwania. Wydawało mi się lepsze i na swój sposób pełniejsze. Do szczęścia potrzebowałem tylko lukratywnego zlecenia, albo chociaż zagadki, która pobudzi wyobraźnię. Ale tu akurat panowała kompletna posucha.

Przekręciłem kluczyk i wyjąłem ze stacyjki. Po prawdzie najchętniej zostawiłbym włączony silnik, wtedy miałbym gwarancję, że ten złom nie nawali właśnie wtedy, gdy zechcę odjechać... Z budynku przed tygodniem wysiedlono ostatnich lokatorów, teraz czekał na ekipy budowlano-wyburzeniowe. Zlustrowałem płot z płyt OSB, otaczający obiekt. Zarzuciłem na ramię plecak, w którym miałem łom i inne podręczne drobiazgi.

Skoro to wszystko i tak idzie na zmarnowanie, trzeba zobaczyć, może znajdzie się coś, co warto ocalić... – usprawiedliwiłem się przed samym sobą.

Ruszyłem w kierunku kamienicy. Od strony ulicy Krowiej w płot wkomponowano bramę. W szparze pomiędzy jej skrzydłami pojawił się czarny nos. Ponure warczenie dobiegające jakby z wnętrza beczki nie pozostawiało wątpliwości. Rottweiler, co najmniej z siedemdziesiąt kilo.

– No cóż – mruknąłem. Skoro po posesji biega taki śliczny i greczny pieseczek, to zapewne jest też ktoś, kto go karmi, głaszcze, wyczesuje pchły z sierści i może nawet zbiera odchody do foliowej torebki.

– Grrrr...

Zapukałem grzecznie, odczekałem i znów zapukałem. Pies warknął raz jeszcze i gdzieś polazł. Minęły może dwie minuty, zahurgotał łańcuch i skrzydło drgnęło. W szparze pojawiła się niedogolona gęba ciecia. Zlustrował mnie i nic nie mówiąc, zaciągnął się petem.

– Pan w jakiej sprawie? – zadał wreszcie pytanie,

wydmuchując jednocześnie kłęby dymu.

– Dzień dobry, Robert Storm, historyk – przedstawiłem się.

Cieć łypnął okiem, ale nic nie powiedział. Zaciągnął się jeszcze raz. Ocenilem jego wiek na tuż przedemerytalny, ale spojrzenie miał przerażająco bystre. Sądząc po dłoniach, w młodości pracował raczej rękami niż głową. Obaj milczeliśmy wyczekująco.

– Potrzebuję tam. – Wskazałem zrujnowaną kamienicę.

– Nie pan jeden – odburknął i zaciągnął się głębiej, najwyraźniej czekając, co jeszcze powiem.

– Chciałbym pozwiedzać ten piękny budynek, zanim jego wewnętrzna struktura ulegnie nieodwracalnemu zniszczeniu. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że jeśli obok zabytku wystawiono kasę biletową, to należy liczyć się z pewnymi kosztami...

– Kasę biletową – powtórzył cieć, oglądając swoją budkę z pewnym zdumieniem. – Hmm...

Po jego minie poznałem, że załapał aluzję.

– Będzie problem, bowiem dyrekcja nie dostarczyła kasy fiskalnej ani bloczku biletowego – powiedział wreszcie i uśmiechnął się chytrze. – No i nie powiedzieli, po ile mam kasować za zwiedzanie.

– Myślę, że wedle standardowego cennika. – Sięgnąłem do portfela. – Faktura VAT też nie będzie mi potrzebna.

Dozorca na widok banknotu z Bolesławem Chrobrym wyraźnie poweselał.

– Znaczy się wchodzisz pan i się rozglądasz – uściślił. – A jak pan coś znajdziesz?

– To pomyślimy, co dalej. Za ciekawe pamiątki dostępne w muzealnym sklepiku gotów jestem coś tam uiścić.

– Proszę za mną – powiedział nieoczekiwanie uroczystym tonem.

Czyli wraz z biletem nabyłem usługę przewodnika... Miałem już powiedzieć, że sam trafię, ale w jego głosie było coś

szczególnego. Coś, co nakazało trzymać język za zębami. Chciał mi najwidoczniej coś pokazać.

Wszedłem. Rottweilery były aż trzy. Popatrzyły na mnie czujnie, ale już nie warczały. Właściciel dobrze je widać ułożył. Ruszyliśmy w stronę budynku. Przeszło połowę budowli przed kilku laty strawił pożar, ocalało jedno skrzydło.

Przed wejściem poniewierały się resztki mebli. Wyglądało, jakby ktoś zniósł je na parter, ale obejrzawszy w świetle dziennym, uznał, że nie warto zabierać takich gratów na nowe mieszkanie. Przyjrzałem się. Płyta paździerzowa z lat osiemdziesiątych, oklejona papierem i polakierowana. Nadruk udający fornir, który z kolei udawać miał lite drewno...

Po niewiarygodnie trzeszczących schodach weszliśmy na drugie piętro.

– Kiepsko to wygląda, no nie? – odezwał się dozorca, pokazując ściany poznaczone pionowymi kreskami pęknięć.

– Konstrukcja siada – potwierdziłem.

Po drugiej stronie podwórza widać było wypalone mury i zwęglone belki pozarywanych stropów.

Przeszliśmy korytarzem. Drzwi do mieszkań były pootwierane, niektóre znikły wraz z framugami. Dozorca wyłowił z kieszeni klucze i otworzył te na samym końcu.

– Proszę – zachęcił mnie, żebym wszedł pierwszy. – To tutaj.

Znaleźliśmy się w dwupokojowym mieszkaniu. Poniewierały się tu jedynie resztki mebli. Podłoga była ciekawsza – stara dębowa klepka, zniszczona, ale gdyby ją zdemontować i wycyklinować... Tylko że podobnej klepki miałem w szopie już kilka metrów sześciennych.

Na tapetach widać było jaśniejsze plamy w miejscach, gdzie stały kiedyś meble lub wisiały obrazy. Nic ciekawego. W mniejszym pokoju zniszczony drewniany parapet krył schowek. Szufladka była wysunięta i pusta...

Rozejrzałem się. Nadal nie dostrzegałem tu nic interesującego,

ale sądząc z natchnionej miny dozorca, mieszkanie to z jakiegoś powodu było ważne.

Może nocował tu na przykład Jan Paweł II, zanim został papieżem? – przeszło mi przez myśl. Nie, to bzdura.

– Podoba się panu? – zagadnął cieć.

– Eee... – wyraziłem swoją opinię.

– Jakbyś pan chciał samodzielnie pomachać tu różdżką i wahadelką albo wejść w trans czy inne takie, to poczekam na dole.

– Hmm... Tak po prawdzie to nie tego szukam – wybąkałem, czując irracjonalne zawstydzenie.

– O! A ja myślałem, że jak poprzednicy chciałeś pan obejrzeć to mieszkanie – zdziwił się. – Makabra i nieszczęście przyciągają ludzi...

– Kogoś tu zamordowano? – domyśliłem się.

– No, tego to tak do końca nie wiemy... Kiedyś to była głośna sprawa, cała Praga o tym gadała. Ale jak pan nie znasz tej historii, może opowiem, bo to ciekawe chyba... – Spojrzał dziwnie wyczekująco.

Wyciągnąłem nowiutką szeleszczącą dychę. Cieć popatrzył na nią jakby z naganą, westchnął z ubolewaniem nad moim skąpstwem.

– Pan wie, co tu było?

– Przed pierwszą wojną światową wytwórnia elementów metalowych i odlewnia. Zagórski i Ogórkiewicz. W latach międzywojennych zakład był mniejszy, a część budynku przeznaczono na mieszkania. Po drugiej wojnie fabryczkę skasowano i wszystko przerobiono na mieszkania.

– To mieszkanie przed wojną było większe – powiedział dozorca, zapalając kolejnego peta. – Mieszkał tu żydowski rabin, a może nawet cadyk. Tylko że jak szwaby przyszli go zabić, czy też aresztować, a może tylko przesiedlić do getta, to się okazało, że uciekł wraz z całą rodziną. Co ja mówię, praktycznie cała

kamienica była pusta. Bardzo się zdenerwowali i szukali go, ale figę tam znaleźli... Tyle że po wojnie już nie wrócił. Mieszkali tu różni ludzie, aż w latach osiemdziesiątych osiedli tu tacy państwo. Inżynierostwo Malinowscy. No i oni mieli syna, sparaliżowany był, na wózku jeździł. Dużo to się nie najeździł, tyle, co po mieszkaniu, bo widzisz pan sam, jak to wygląda. To drugie piętro bez windy. Czasem go znieśli na parter, czasem sąsiedzi pomogli, bo choć to kiepskie towarzystwo było, przecież nad kaleką i w pewnym sensie swojakiem nawet żul by się zlitował. Ale tak na co dzień siedział sam w czterech ścianach... Rodzice w robocie. Do szkoły nie chodził, bo niby jak? Nauczyciele przychodzili do niego do domu parę razy w tygodniu. No i któregoś razu starzy wrócili z pracy, a jego nie było. Wyparował razem z wózkiem inwalidzkim. Bez śladu.

– Wyparował? – podchwyciłem.

– Milicja długo węszyła, ciągali mnie na przesłuchania z dziesięć razy. Czy widziałem, żeby go ktoś znosił na dół, i takie tam. Ale czepili się mnie tylko tak pro forma, raczej nie byłem poważnie podejrzany. Ale też nic nie widziałem. A przecież chyba bym nie przegapił. Ja poważny dozorca byłem, o wszystkim wiedziałem. Inżynierostwo szaleli. Wyznaczyli nagrodę tysiąc dolarów za jakiś ślad. Pan wiesz, ile to było tysiąc dolarów za Jaruzela?

– Pięćdziesiąt wypłat. Cztery lata pracy – przeliczyłem szybko.

– Fortuna! Za dwa i pół tysiąka dużego fiata można było w Peweksie kupić od ręki. Za pięćset można było dobry kolorowy telewizor i wideo. Panie, jak o tym usłyszałem, żyły wyprułem, chcąc cokolwiek wywęszyć. Co ja się nagaiałem, wszystkich znajomych kiziorów przepytalem. Po paserach łąziłem, czy ktoś wózka nie chce sprzedać. Znajomków z Różyca podpuściłem i obiecałem procent, jakby co. Ale figa. Zresztą to Praga, wprawdzie żulia, ale z drugiej strony pewien sznyt wtedy jeszcze mieli. Honorni ludzie, tu nikt by kaleki nie skrzywdził, chyba że

ktoś spoza terenu. Kamienicę też sprawdziłem od piwnic po dach. Każdy zakamarek po pięć razy. Ale nie pomogło, przepadł jak kamień w wodę.

– A milicja?

– Oj, też się przykładali, bo ten Malinowski nie tylko inżynier i dyrektor od robót eksportowych był, ale i w partii wielka szycha. Milicja ganiała, ubecja... Nic nie pomogło. Kamień w wodę. Wreszcie musieli umorzyć tę sprawę. A może nie tyle umorzyć, co zawiesić? – zadumał się. – Nie znaleziono niczego. Po prostu dzieciak przepadł bez wieści. No a to, co znaleźli... Nie pasowało absolutnie do niczego.

– A co znaleźli? – zapytałem.

– Trochę plamek krwi na podłodze. Pod gałką łóżka była skrytka. Wyciągnęli z niej dwie rolki filmu. Wywołali, a może były już wywołane? Zdjęcia przedstawiały jakieś ruiny w dżungli. Prawdopodobnie Ameryka Południowa. Nie wiadomo, kto i gdzie je wykonał. Stąd pojawiła się teoria o porwaniu. Spiknął się z kimś, kto też interesował się Inkami i takimi tam. I ten ktoś go porwał albo nakłonił do ucieczki. Milicja podejrzewała wątek homoseksualny, to znaczy, że porwał go i zamordował jakiś pedofil. Przemaglowali wszystkich, których mieli w kartotece...

– I nic?

– I nic. Drzwi były zamknięte, ale drugi komplet kluczy znaleziono podobno w środku. Znaczy się chłopak nie wyszedł z mieszkania... Chyba że ktoś zamknął od zewnątrz jakimś wytrychem. Do tego ta skrytka. – Dozorca stuknął dłonią w parapet, gubiąc część popiołu z papierosa. – To z czasów wojny pewnie, albo i dawniejsza. Była w niej książka oprawiona w skórę, cała zapisana żydowskimi literami. I to wszystko.

– Ciekawa historia – przyznałem.

– Było jeszcze coś, tu, na tej ścianie. – Klepnął dłonią mur. – Napisane były jakieś żydowskie znaczki. Milicja sprowadziła jednego starozakonnego, żeby to przeczytał, ale on tylko orzekł,

że to jakiś goj przerysował ołówkiem litery, bo sposób kreślenia wskazuje na kogoś, kto nie znał ani ichniejszego alfabetu, ani znaczenia słów...

– A co tam było napisane? – zaciekawilem się.

– A tego właśnie nie wiem. W każdym razie Malinowscy pojechali potem do Iraku czy Libii i już tu nie wrócili. Trzydzieści lat mieszkanie się marnowało, puste stało. Nawet namawiałem jednego znajomka, by się włamał i przejął potem prawem zasiedzenia, ale dzieci miał, to się bał w nawiedzonym lokalu mieszkać, choć tu przecież nic nie straszy. Tylko ludzie stąd znikają. Ten rabin w czasie wojny i ten inżynierski smyk... Ale rabin to pewnie zwyczajnie zebrał swoich i uciekł. Z chłopakiem tylko dziwna sprawa wyszła. Tak się nawet plotkowało, że to Żydzi wrócili i go na macę przerobili, ale to przecież bzdura.

– Krew z mąką, koszerne to by nie było – zauważyłem filozoficznie.

– Ale nie powiem, swoje zarobiłem, bo ze trzydziestu świrów chciało to mieszkanie obejrzeć. I z gazet przychodzili, i z wahadelkami różdżkarze, i jedna taka, co to twierdziła, że jest medium. Ale nic nie odkryli... A parę lat temu jeszcze tu zaszedł raz gliniarz, który kiedyś dawno miał tę sprawę. Widać dalej go gryzło, że sobie wtedy nie poradził.

– Faktycznie zajmująca historia. – Odżałowałem jeszcze dychę.

Buszowałem po budynku przez godzinę. Strych kompletnie mnie rozczarował – był pusty. Zapewne jeszcze w latach siedemdziesiątych wywalono z niego wszystkie graty i wysypano podłogę warstewką żużlu. Przepisy przeciwpożarowe... W mieszkaniach były przedwojenne piece, ale nie wypatrzyłem żadnych ciekawych kafli czy ozdobnych drzwiczek. Tandeta dla przedwojennej praskiej biedoty. Tylko w jednych drzwiach zachowała się oryginalna przedwojenna klamka, odlana w mosiądzu. Nie była szczególnie ciekawa, ale zdemontowałem ją i schowałem do torby – szkoda, żeby jakiś złomiarz oddał to na

przetopienie. Wypatrzyłem porzucony aluminiowy kubek. Niestety, też nic fascynującego, toporny wyrób z lat siedemdziesiątych. Przedwojenny bym zabrał, ale takich miałem już cały worek. Instalacje elektryczne wymieniono w latach siedemdziesiątych albo osiemdziesiątych. Żadnych fikuśnych ebonitowych przełączników, żadnych porcelanowych gniazdek...

Odruchowo sprawdzałem parapety, szukając skrytek, ale chyba tylko u inżynierostwa Malinowskich było coś takiego. Przejechałem wykrywaczem metali po kilku piecach, jednak i tu spotkało mnie rozczarowanie.

– Nie ma skarbów – dogadywał cieć, snujący się moim tropem. Kurzył już trzeciego sierściucha.

– Skarby skarbami, ale przecież w takim domu mogą się trafić także inne ciekawe rzeczy – zauważyłem filozoficznie.

– Coś pan? Tutaj? Nie powiem, kiedyś mieszkało tu trochę porządnych ludzi, ale komuna się skończyła, to się wynieśli. Ostatnie dwadzieścia lat to już była degrengolada. Menel na menelu i menelem poganiał. Nie tylko biali, niebieskich też sporo... Czasem się za łby brali... Pan wie, o czym mówię?

– Biali piją wszystko, co zawiera alkohol, ale nie tkną denaturatu, a niebiescy leją w gardło jak leci. – Wzruszyłem ramionami. – Obie grupy sobą ostentacyjnie gardzą i żrą się jak kibole różnych drużyn.

Kiwnął głową jakby z uznaniem i zakurzył kolejnego peta.

– Czterdzieści lat tu byłem dozorcą – pochwalił się. – Tylko jak wysiedlili wszystkich pod koniec lat dziewięćdziesiątych, to i mnie pokazali drzwi. Głupki. Bo i co? Nie było pilnowane, to od razu jakaś świnią ogień podłożyła. A teraz znowu pilnuję. Nawet gadałem z facetem z tej spółki, co budować będzie. Żartowałem, że po tylu latach to może bym został na portiera. Ale to nie dla mnie. Popilnuję tylko budowy przez dwa lata i czas mi już na emeryturę. Zresztą to już nie będzie ten sam dom. No i ludzie inni. Nie powiem, miałem z tymi łajzami swoje przejścia, ale też

zżył się człowiek trochę.

– Genius loci każdego miejsca to ludzie – zauważyłem sentencjonalnie. – Nie ma ludzi, ginie klimat...

W jednej z kuchni wypatrzyłem poczerniałą tackę charakterystycznego kształtu. Puknąłem palcem. Sądząc po dźwięku, mosiądz. Schowałem ją do torby.

– Po co panu taki szajs? – zdziwił się cieć.

– To podstawka od samowara – wyjaśniłem. – Ma ze sto lat. Wyczyszczę sobie, wypoleruję i znów będzie piękna.

Zajrzeliśmy jeszcze do piwnic. Cuchnęło tam stęchlizną i zgniłymi kartoflami. Przeszedłem się po labiryncie pomieszczeń, ale nie znalazłem nic, po co warto by się schylić. Za to podłoga pełna była dziur, w ścianach też brakowało cegieł.

– Przed wojną tu Żydki mieszkali – odezwał się cieć. – Nie powiem, lokatorzy opukiwali ściany i przekopywali piwnice, bo wiesz pan, jak to się kojarzy, gdzie Żydzi, tam złoto i kosztowności. Ale nikt nic nie znalazł, a przynajmniej nie pochwalił się...

– E, prascy Żydzi to była przeważnie biedota. – Machnąłem ręką. – Złoto i kosztowności mieli bogatsi. Ci, którzy mieszkali w ładnych lokalach na pierwszym piętrze z widokiem na Targową czy Ząbkowską. Blisko bazaru, synagogi i mykwy przy Jagiellońskiej.

– Mykwa była przy Wójcika, czyli teraz Kłopotowskiego. Synagoga na rogu z Jagiellońską – sprostował. – Widzę, że się pan interesujesz tymi sprawami. Mówiłem już panu, że tu żył przed wojną nie byle kto, ale chasydzki rabin.

Przypomniałem sobie zamurowane drzwi... Ale widziałem też ich „drugą stronę” w sąsiednim mieszkaniu. Żadnych zamurowanych pomieszczeń. Żadnych podejrzenie grubych ścian. Może ekipa rozbiórkowa coś ciekawego znajdzie? A może i nie. Westchnąłem. Nic tu po mnie. Ale sprawa zaginionego chłopaka nadal chodziła mi po głowie.

– A ci wariaci, co tu przychodzili... – zagadnąłem.

– Większość twierdziła, że porwało go UFO. Jeden, co tu wszedł w trans, zidentyfikował nawet jakie. Ustalił, wyobraź pan sobie, że to te wredne z głupimi oczami. Wie pan, jak z serialu „Z Archiwum X”.

– Aha...

– Jak byłem młodszy, mówiło się, że z gwiazd przylatują małe zielone ludziki. A teraz gadają, że szare – zauważył filozoficznie.

– Moim zdaniem nie przylatują – mruknąłem. – Koszt podróży międzygwiazdnej dla każdej cywilizacji to horrendalny wydatek. Kluczem do gwiazd jest fizyka.

– Teleportacja znaczy?

– Na przykład teleportacja.

– To by pasowało – mruknął. – Szarzy czy zieloni, jeden czort, pies im mordę lizał, międzygwiazdnym pokurczom. Przylecieli i teleportowali go gdzieś...

Pożegnałem się i wróciłem do auta. Trup był tak miły, że silnik odpalił już za trzecim podejściem. Łupy wiozłem marniuchne, ale zawsze coś... Wyczyszczę sobie tackę i będzie pod mój samowar.

*

Nad Wolą zapadał wiosenny wieczór. Z góry dobiegały dźwięki skrzypiec. Lutnik dawał lekcje, a może grał dla przyjemności lub sprawdzał wykonany przez siebie instrument? Ech, może i ja kiedyś wezmę parę lekcji? Odkurzyłem prasy introligatorskie, rozłożyłem skóry i skórki. Zaparzyłem sobie kawy i zabrałem się do oprawiania książek. Szyłem grzbiety woluminów, czasem pociągałem łyk z kubka. Kofeina leniwie łączyła się z moim krwiobiegem... Myśli wracały do wydarzeń poranka. Ospały umysł znalazł paliwo, rozbudził się z letargu.

Chłopak zamknięty w czterech ścianach mieszkania, rozważałem. Nudzi mu się. W telewizji były wtedy dwa kanały. Nie było Internetu. Nie miał z kim pogadać. Każde wyjście domu to skomplikowana wyprawa. Aż pewnego dnia ten dzieciak znajduje przypadkiem skrytkę, a w niej starą żydowską księgę. Umie ją przeczytać? A gdzie tam... Ale może oprócz księgi jest jeszcze coś? Coś cennego, ważnego, wartościowego? Ale co, u licha?

Rozejrzałem się po mieszkaniu, jakby szukając natchnienia. Co ja mógłbym znaleźć takiego, żeby po czterdziestu latach szukać właściciela? Czyjeś rodzinne zdjęcia albo dokumenty. Na przykład kopertę z fotografiami, dajmy na to, kogoś, kto wiedział, że idzie na śmierć, ale ukrył je z prośbą, by w razie znalezienia przekazać komuś. Chłopak jakimś cudem wydostaje się z domu, by oddać to właścicielom...

Sam by się nie wydostał. Na wózku po tych schodach? Wykluczone. A może do kogoś zadzwonił i poprosił o pomoc? Tylko do kogo? Do jakichś kumpli, o ile miał takowych. Czy milicja w tamtej epoce miała możliwości techniczne, by sprawdzić bilingi? Chyba tak.

Tak czy inaczej, dzieciak na wózku wydostaje się z domu i rusza w drogę, by odnaleźć właściciela zdjęć, to znaczy spadkobiercę... Kogoś, komu ma je oddać. I przytrafia się coś nieoczekiwanego. Na przykład zagapił się na pasach i auto go zabiło... Kierowca pozbywa się ciała i wózka. Tylko że to mało prawdopodobne. Wąskie uliczki, na parterach pełno było tu wówczas sklepów i warsztatów. Nawet wzdłuż ulicy Okrzei. Zderzenie to huk, wyjrzy z okien ze czterdzieści osób. Cokolwiek się stało, na pewno nie tam. Chyba że dotoczył się gdzieś na peryferie. W miejsce, gdzie mało kto zaglądał. Ale gdzie?

– Tak po prawdzie, peryferie chyba były wokoło tej kamienicy – mruknąłem do siebie. Chaszcze, może nawet stały tu wtedy jakieś przedwojenne ruiny. Ale gdyby na przykład wjechał

w gruzy i zarwałyby się pod nim strop przedwojennej piwnicy, to przecież znaleźliby go w pół godziny żywego czy martwego. Pieski tropiące i te sprawy... Czy milicja miała psy tropiące? Z pewnością. Mętnie mi się kojarzyło z dzieciństwa, że wtedy częściej widywałem milicjantów z psami.

Dobry pomysł z tymi zdjęciami, ocenilem. Ja bym tak zrobił. Tylko czy on był podobny do mnie? A inny motyw?

Skarb. Chłopak znajduje informację, że gdzieś na terenie dzielnicy zakopano lub zamurowano depozyt. Taaa... To też prawdopodobne. Wojna to sytuacja nieprzewidywalna. Ludzie żyjący w 1939 doskonale pamiętali poprzednią wojnę. Minęło niespełna dwadzieścia lat od jej zakończenia. Wprawdzie w piętnastym roku Warszawa nie została zniszczona, ale z wielu wsi po przejściu frontu zostawały jedynie „lasy kominów”. Drewniane chaty poszły z dymem, ocalały tylko elementy murowane, takie jak piece. Przyszła nowa wojna i to, co cenne, starano się ukryć. A zatem druga możliwość – żydowski skarb. W pierwszym przypadku szukał raczej konkretnych ludzi, w drugim – konkretnego miejsca. Ludzi mógł odnaleźć w książce telefonicznej. Na przykład po nazwisku. Obdzwonił kilkanaście, może kilkadziesiąt numerów, by ustalić, czy abonenci są potomkami tego kogoś... W drugim przypadku wystarczyło udać się we wskazane miejsce. Nie, nie wystarczyło. Przecież chłopak miał albo całkiem niesprawne, albo prawie niesprawne nogi. Skarb nie leży na wierzchu. Jest zakopany lub zamurowany. Żeby się do niego dostać, trzeba mieć łopatę, kilof, może młotek murarski. Mógł mieć dość silne dłonie, wyrobione od toczenia wózka. Ale to za mało. Potrzebował współnika. Kumpla, z którym dobierze się do skrytki, albo kogoś dorosłego. Udają się na miejsce, znajdują, dajmy na to, blaszaną puszkę, a w niej kilka złotych amerykańskich dwudziestek.

Zadumałem się. Połowa lat osiemdziesiątych... Amerykańska dwudziestodolarówka to był konkret. Narodowy Bank Polski

skupował je po jakieś pięćset dolarów. Cena czarnorynkowa była zapewne jeszcze wyższa. Pięćset dolarów to były dwa lata pracy... A gdyby takich monet było kilka? Zarówno dorosły, jak i nastolatek za taką kwotę mogli zabić. Tak po prostu, żeby się nie dzielić. Tyle że to nie tak łatwo zabić kogoś. Jednak lokatorzy kamienicy byli trochę szemrani. Któryś z nich mógł to zrobić – jechać z chłopakiem, pomóc mu wydobyć skarb, a potem na widok złota dać mu w łeb i tyle.

Inna hipoteza? – zamyśliłem się.

Nic mi nie przychodziło do głowy.

– Tak czy siak, ktoś musiał mu pomóc zjechać wózkami po tych schodach... – mruknąłem. Może było tak, że sąsiad się ulitował, a chłopak przepadł i ten kolo bał się przyznać, że mu pomógł wyjść z domu?

Brzmiało to sensownie. Jeden element nie pasował. Zamknięte mieszkanie i klucze, które zostały w środku. O ile faktycznie zostały. Ciec mógł coś pomylić, nie znać szczegółów, mógł usłyszeć plotkę, którą uznał za pewnik...

– Narzekałem, że umysł potrzebuje paliwa, no i mam nad czym się zastanawiać – sapnąłem z zadowoleniem.

Oprawiłem tego wieczora osiem woluminów. Padłem na łóżko półprzytomny. Sen przyszedł szybko. Chodziłem zaułkami Pragi Północ, szukałem czegoś. Sam nie wiem czego. Może chłopaka na wózku inwalidzkim, może żydowskiego złota, a może tylko koperty z wyblakłymi fotografiami...

*

Piotrka spotkałem dwa dni później. Wpadliśmy na siebie w księgarni. Wymieniliśmy kilka zdawkowych uprzejmości, a potem odprowadziłem go kawałek w stronę domu.

– Mam pytanko – zagadnąłem.

– Jak znam życie, odpowiedź okaże się trudna i zawierała będzie elementy kwalifikowane jako zdrada tajemnicy służbowej – burknął.

– Ależ skądże! – oburzyłem się. – Do tego bym cię nie namawiał!

– Gadaj zdrów – prychnął pobłaźliwie. – A konkretnie?

– Chciałbym zajrzeć na pół godzinki do waszego archiwum.

– Porypało cię? – fuknął. – Lisów nie wpuszcza się do kurnika.

– Jestem lisem?

– Całe to wasze Grono Jarzębiny to zgraja lisów, żeby nie powiedzieć wilków, tygrysów i hien cementarnych. Gdybym miał dowody, a nie plotki i poszlaki, to tylko wióry by z was poleciały – dogadywał. – Nielegalne poszukiwania, obrót przedmiotami antykwarycznymi o nieudokumentowanym pochodzeniu, prowadzony poza jakąkolwiek kontrolą. A przede wszystkim bez wiedzy organów kontroli skarbowej!

– Być może istotnie kilka razy zadbaliśmy o to, by pewne dzieła sztuki ocalić od zapomnienia i zniszczenia w różnych skrytkach. Ale niczego nie kradniemy! A że nie wszystko da się pozyskać legalnie... I zasadniczo brzydzimy się mokrą robotą!

Spojrzał na mnie ciężko i westchnął.

– Ta dziura do pożydowskiej piwnicy, którą w zeszłym roku wyryto w trawniku, róg ulic Esperanto i Glinianej, to, jak zakładam, też wasze dzieło? Cztery metry nielegalnego szybu, wydrążone pod samym nosem policji! Lewa kopalnia założona nieomal na oczach Straży Miejskiej, w samym środku naszego miasta, górnicy pieprzeni.

– Przecież zasypaliśmy – wygadałem się głupio. – Zresztą nic tam nie było...

– Wiem, że depozyt uległ zniszczeniu, bośmy musieli odkopać to jeszcze raz i sprawdzić, co to za dziura. Ale jakby nie uległ, tobyście się poczęstowali dwiema setkami nie byle jakich obrazów.

– Lepiej, żeby leżały w ziemi i zgniły czy żeby ucieszyły czyjeś oko? – Wzruszyłem ramionami.

– Tak na przyszłość, jak już wycinasz taki numer, to może będziesz tak łaskaw buszować w innej dzielnicy? Albo w innym mieście. Jedź odkopać złoty pociąg. Znajdź Bursztynową Komnatę! Bo głupio mi będzie aresztować dawnego kumpla! Już i tak mam przez ciebie wrzody na sumieniu! Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy dla gliniarza wiedzieć, czyja to robota, i w milczeniu patrzeć, jak kumple z sąsiedniego biurka zamykają sprawę z powodu niewykrycia sprawców...

Chyba rzeczywiście się wkurzył. Rozumiałem go nawet, każdy policjant lubi mieć na swoim terenie porządek.

– To może inaczej – zacząłem. – Przyjmijmy, że jest nierozwiązana sprawa zaginięcia, a być może porwania chłopca. Sprawa z roku osiemdziesiątego czwartego. Gdybym ją rozwiązał i podał ci na tacy... Będiesz miał, jak to mówicie w swoim policyjnym języku, „wynik”. Może przyda się do awansu?

Łypnął na mnie, nadal groźnie, ale chyba go zaintrygowałem.

– Osiemdziesiąty czwarty? To było grubo przed Trynkiewiczem i Kwaśniakiem – mruknął. – Czekał, ulica Krowia, niedaleko Targowej na Pradze? Historia z zaginionym chłopakiem poruszającym się na wózku inwalidzkim?

– Słyszałeś o tym? – zdumiałem się.

– Na szkoleniu wspominali. Jedna z takich spraw, na których sobie niejeden stary fachura zęby połamał... Parę lat temu przyglądali się temu ludziszki z Krakowa, to tak zwane Archiwum X. Oni też niczego nowego nie ustalili. Odsuść sobie.

– W moim słowniku nie ma słowa „odpuścić”.

– Ani szeregu innych, jak na przykład „legalne poszukiwania”, „własność Skarbu Państwa”, „płacenie podatków”, „zarejestrowana działalność”... Czemu to cię zainteresowało?

– Nie wiem. Mam jakieś dziwne przeczucie... Instynkt, można powiedzieć: szósty zmysł.

– Zobaczą, co da się zrobić – obiecał. – Ale rzecz raczej nie do ugryzienia... Robert? – zagadnął po chwili milczenia.

– Taaa?

– Że tak zmienię temat... Znasz moją siostrę...

– No, kojarzę, taka blondyneczka z zadartym noskiem. – Zmarszczyłem brwi. – Egzamin gimnazjalny będzie pisać i potrzebuje korepetycji z historii? Nie ma problemu, przyślij ją. A może potrzebuje lekcji gry na skrzypcach u mojego sąsiada? Z tego, co pamiętam, chyba do szkoły muzycznej chodzi... Też da się załatwić.

– Jest na drugim roku studiów.

– Ależ ten czas leci. – Pokręciłem głową.

– Ładna i sympatyczna dziewczyna. Jesteś wprawdzie kompletnym świrem, a do tego pewnie w końcu będzie cię trzeba wsadzić, i to na kilka lat, ale dobry z ciebie człowiek. Do kości dobry, jak mawiali u nas na wsi. Nie życzyłbym sobie nikogo innego na szwagra. Może chciałbyś wpaść na obiad, trochę byście się obwąchali i może coś by z tego wynikło...

– Przecież to dziecko...

– Robert, obudź się! Ona ma już dwadzieścia jeden lat. A ty jesteś sam.

– Yhym...

– To w niedzielę o czternastej u moich rodziców. Krawat niekoniecznie. Adres wyślę przez SMS.

– Ale ja...

– Przestań się głupio wykręcać. Moherowiec jesteś, więc w niedzielę nie pracujesz. Przyjdiesz, to ewentualnie zobaczą, co się da zrobić w sprawie dostępu do archiwum. Nie przyjdiesz, możesz zapomnieć – użył ostatecznego argumentu.

*

Musiałoby mu chyba zależeć na wyswataniu siostry, a może po prostu mnie lubił, bo dwa dni później dostałem zgodę.

Zasiadłem wygodnie w czytelni. Z przyzwyczajenia, choć nie było to konieczne w tym akurat archiwum, założyłem rękawiczki. Rozsznurowałem pierwszą z kilkunastu teczek. Kryptonim sprawy „Podróżnik”. Miałem już wcześniej do czynienia z dokumentami milicji i ubecji, wiedziałem, jak to przeglądać, co można pominąć, a na co zwrócić uwagę. Notatki służbowe, raporty... Zabrałem się do czytania. W zasadzie nie dowiedziałem się niczego nowego – zebrane przez milicję informacje pokrywały się z tym, co opowiedział stary cieć. Był chłopak i znikł. A że miał ustosunkowanego ojca, to i milicja dostała polecenie szczegółowo zająć się sprawą. Przeglądałem dokumentację. Notatki z rozmów z mieszkańcami budynku. Zeznania jakichś praskich obszczymurków. Zapisy rozmów z konfidentami. Generalnie nikt niczego nie wiedział, nikt niczego nie zauważył. Kilku tubylców kojarzyło chłopaka, widywali go, jak jeździł na wózku przy ulicy Okrzei i Wójcika, ale nie feralnego dnia...

Wójcika to dziś Kłopotowskiego, zastanowiłem się. A przed wojną... Zmarszczyłem czoło. Szeroka, bo Okrzei to była Brukowa. Czyli okolice znał, ale daleko pewnie się nie zapuszczał. Bo niby jak? To nie były czasy niskopodłogowych tramwajów i autobusów. Epoka Edwarda Szczodrego i Wojtka Ślepaka, świat wysokich krawężników i krzywych chodników. Co mógł zobaczyć kaleka? Niewiele. Dojechałby do Targowej, na drugą stronę nijak, przejścia podziemnego koło Prażanki by nie pokonał, a nie było świateł ani pasów. Na północ już łatwiej, mógłby nawet do ZOO dojechać, o ile starczyłoby mu pary w rękach.

Westchnąłem.

Przejrzałem zdjęcia dokumentacyjne. Było ich tylko kilka. Oszczędzali kliszę? A może wywołali tylko najciekawsze?

Fotografia kamienicy. Wejścia, schody, wnętrze mieszkania. Pokój chłopaka. Kawalek ściany ze śladem zamurowanych kiedyś drzwi. Kilkadziesiąt hebrajskich literek, wykaligrafowanych ołówkiem na tynku. Otwarta skrytka pod parapetem. Stara żydowska książka leżąca na blacie. Dwie rolki kliszy do aparatu, wyciągnięte ze schowka pod gałką łóżka.

Skrytka, Żydzi, potencjalna informacja o depozycie, nawet morderstwo po znalezieniu złota... Taka ładna hipoteza... – pomyślałem. Kłopot stanowią elementy, które do teorii nie pasują albo wręcz ją burzą.

Na kartę brystolu nakleiono osiem czarno-białych fotek, przedstawiających jakiś kanion, a za nim ruiny porośnięte bujną egzotyczną roślinnością. Wyjąłem lupę i przyjrzałem się uważnie. Nieźle obrobione kamienie, okna o trapezowatym kształcie... Skojarzyło mi się z tym starym filmem Elżbiety Dzikowskiej i Tony'ego Halika z odkrycia Vilcabamby.

– Inkaskie ruiny? – mruknąłem.

Co mówił cię? Zdjęcia ruin z Ameryki Południowej. Byłem ciekaw, co na ten temat sądzili gliniarze badający sprawę. Kilkanaście kartek dalej znalazłem pożółkłą stronę raportu, pisanego na maszynie.

Hipoteza robocza: zdjęcia odfotografowano z albumu o Ameryce Południowej. Książki, z której pochodziły, nie znaleziono w mieszkaniu. Być może została od kogoś pożyczona, ustalić możliwe źródło – przeczytałem podkreślony fragment.

Niegłupio to brzmiało. W sam raz, żeby się zwierzchnicy odczepili. Ale gliniarz fachowiec umiałby chyba odróżnić zdjęcie cyknięte w naturze od sfotografowanej stronicy książki!

Pod raportem podpisał się jakiś porucznik Tomasz Śliwiński.

W kopercie były pocięte negatywy. Obejrzałem je uważnie. Stary film marki ORWO. Klisze nie miały numerów seryjnych, za to zauważyłem coś, co chyba przegapili gliniarze badający sprawę. Pierwsze trzy klatki to był widok z okna kamienicy przy

Krowiej. Zdjęcia wykonano chyba późną jesienią, bo na drzewach nie było liści, ale nie leżał jeszcze śnieg. Kolejne klatki przedstawiały widok kompletnie odmienny.

– Jakby ktoś wziął aparat, poleciał gdzieś daleko i tam wypstrykał kliszę do końca – mruknąłem. Gdyby było odwrotnie, można by domniemywać, że ktoś nacykał fotek gdzieś w świecie, a chłopak dokończył kliszę w Warszawie. Pożyczył komuś swój wypasiony aparat, a ten po powrocie wrócił razem z kliszą?

Wywołany negatyw... Bawił się w to samemu? Niewykluczone, kiedyś kupa ludzi robiła takie rzeczy w domu.

Schowałem negatywy na miejsce. Przeglądałem teczkę. Ostatnie trzydzieści stron ktoś wyrwał. Znalazłem spis zawartości na okładce. Był strasznie zdawkowy, ale dowiedziałem się, że zniknęły dokumenty Orbisu i Almaturu.

Jeździł do Peru? – zdumiałem się. Niemożliwe chyba. Może rodzice byli tam na jakimś wyjeździe służbowym i to oni cyknęli te fotografie? Tak. To prawdopodobne. Ale dlaczego fotki ruin zainteresowały śledczych? Bo negatywy były schowane i wydało im się to dziwne? Chyba tak...

W kolejnych teczkach były podobne informacje. Analizy, notatki ze spotkań. Tu też niektóre strony wyrwano. Niczego nowego już się nie dowiedziałem. Rozłożyłem swój laptop i mały skaner. Zapewne obowiązywał tu zakaz kopiowania materiałów, ale nikt mi o tym nie powiedział. Nie podpisałem też żadnego papierka, że zapoznałem się z regulaminem. No to na bezczelnego! Wystarczyło mi dziesięć minut, by skopiować najważniejsze i najciekawsze informacje.

Zamknąłem i zasznurowałem te czki, po czym oddałem archiwistce. Kazała mi wpisać się na karcie wypożyczeń. Dłuższą chwilę kaligrafowałem swoje nazwisko, przy okazji popatrując w wyższe rubryczki. W ciągu ostatnich trzydziestu lat do sprawy wracano ponad sześćdziesiąt razy. Śliwiński ostatni raz zajrzał do dokumentacji osiem lat temu. A potem jeszcze ci goście od

niewyjaśnionych spraw. Archiwum X z Krakowa.

Stary milicyjny, a potem policyjny wyga nie odpuścił sprawy, pomyślałem. A gdyby tak spróbować się z nim skontaktować?

*

Rodziców Piotrka znałem jeszcze z czasów, gdy chodziliśmy z kumplem do podstawówki, a potem do liceum. Jego siostrę Magdę też kojarzyłem. Faktycznie wyrosła, wyładniała, zaokrągliła się tu i ówdzie... Nie miała już tak zadartego noska jak dawniej. Żony Piotrka, Ireny, nie miałem wcześniej okazji poznać, wiedziałem tylko, że pracuje jako weterynarz. Rozmowa przy stole toczyła się leniwie niczym strumyk po leśnej polanie. On opowiadał o kilku ciekawych sprawach, potem jego żona wspomniała kuriozalne przypadki ze swojej praktyki. Ja też dorzuciłem parę anegdot ze swojej branży. Jak się okazało, Magda studiowała historię. Rozmowa toczyła się gładko i niekonkretnie, szczerze powiedziawszy, nawet trochę się nudziłem, choć jedzonko było bardzo smaczne, a i wino do deseru zaserwowano zacne. Nie chciałem robić kumplowi przykrości, więc zacząłem gawędzić z jego siostrą.

– Masz już jakiś pomysł na magisterkę? – zapytałem.

– Na razie licencjat. Chcę opracować zbiór starych dokumentów z Pułtuska – wyjaśniła. – To znaczy same dokumenty pochodzą z Rygi, a w Pułtusku tylko je znaleziono. Dotyczą zaprowiantowania i wyposażenia okrętu „Das Wappen der Herzogin von Kurland”.

– Z którego roku pochodzą? – zainteresowałem się.

– Styczeń do lutego tysiąc sześćset pięćdziesiątego czwartego – odpowiedziała.

– Czyli chodzi o jego dziewiczy rejs na wyspę Tobago – mruknąłem zawiedziony. – Wtedy gdy gubernatorem wyspy

i miasta Port Jacob został Adrien Lampsius. Miałem nadzieję, że może trafiłaś na późniejsze... Dalsze losy tego statku są nieznane – wyjaśniłem, widząc jej zaskoczone spojrzenie. – A to była duża jednostka. Można powiedzieć, flagowy okręt floty Jakuba Kettlera. Siedemdziesiąt dwa działa i około pięciuset ludzi obsady. Być może uległ zniszczeniu na Tobago podczas walk z Holendrami w tysiąc sześćset pięćdziesiątym ósmym, ale brak na to konkretnych dowodów.

Wszyscy zebrani przy stole oczy mieli jak spodki.

– Skąd znasz takie szczegóły!? – wykrztusiła Magda.

– Interesowałem się kiedyś planami kolonialnymi dynastii Kettlerów – wyjaśniłem. – To dawne dzieje, na studiach chciałem pisać pracę magisterską ze śladów kolejnych fal łotewskiego osadnictwa na Tobago. Niestety, uczelnia jakoś nie paliła się, by mi dorzucić parę groszy do wyprawy na Antyle. Choć na różne głupoty wywalali pieniądze garściami, jak pijany marynarz...

Potem żona Piotrka wyciągnęła album ze zdjęciami z Norwegii. Widząc fotki z Borgund, dorzuciłem trochę informacji o konstrukcji masztowej stosowanej w kościołach typu stav. Potem rozmowa zeszła na style zdobnicze norweskiej architektury. Zorientowawszy się, że moi rozmówcy niewiele wiedzą, doradziłem, by następnym razem odwiedzili koniecznie tak zwaną Królewską Kolekcję Budynków w Oslo i muzeum historyczne w Bergen. Wreszcie około siedemnastej dojadłem szarlotkę i pożegnałem się. Kumpel odprowadził mnie do tramwaju.

– No i co powiesz? – zagadnął.

– Czy mógłbyś mi pomóc nawiązać kontakt z jednym emerytowanym gliniarzem? Porucznik Śliwiński, był od zabójstw. Zakładam, że jak w każdej porządnej korporacji składacie rocznicowe życzenia weteranom i przekazujecie paczki na święta.

Popatrzył na mnie jakoś dziwnie.

– Szczegóły wyślę ci na mejla – dodałem.

Westchnął.

– Robert?

– Tak?

– Byłem ciekaw, jak oceniasz przyjęcie i tak dalej...

– Fajną masz żonę, widzę, że nie tylko psie flaczki ją ciekawią. Gratuluję. Kurczę, zapomniałem wam doradzić. Jest skansen nieopodal Lillehammer. Kościołów typu stav jest obecnie tylko dwadzieścia osiem i wiele niestety z dala od głównych szos i utartych szlaków turystycznych. Ciężko wam będzie obejrzeć wszystkie. A tam znajdziecie jeden...

Westchnął ponownie, jeszcze ciężiej.

– Ale co powiesz o Magdzie? Ładna, no nie? I macie podobne zainteresowania.

– Ładna dziewczyna i sympatyczna. Ma zabawny wykrój warg, przypominający lecącą ćmę. Przed wojną mówiono na to „całusne usta”.

– Yhym... Na wszelki wypadek nie mów jej tego.

– A co, nie lubi komplementów? – zdziwiłem się.

– Eeee... A tak, no właśnie, jest skromna, komplementy ją okropnie peszą...

Odniosłem wrażenie, że chyba nie jest ze mną do końca szczerzy, ale akurat nadjechała trzynastka. Pożegnałem się i wskoczyłem do wagonu.

Mili ludzie, dumałem, patrząc, jak deszcz siecze tramwajowe szyby. I wiosna idzie. Dni staną się dłuższe i cieplejsze, dziewczyny założą krótsze sukienki. W sumie ta Magda też niczego sobie... I ciekawe rzeczy studiuje. Gdzie też może leżeć wrak tego „Das Wappen der Herzogin von Kurland”? Na dnie zatoki przy Plymouth? A może po drugiej stronie wyspy, tam, gdzie była kolonia holenderska? Siedemdziesiąt dwa działa to nie w kij dmuchał! Kurlandczycy, mając taką jednostkę, mogli podjąć próbę wykurzenia niechcianych sąsiadów. Z drugiej

strony, wrogowie mogli statek zdobyć, przebudować i pływać odtąd pod ich banderą. Pomyślmy, który z ich okrętów może pasować do tej teorii? Najlepiej byłoby znaleźć pochodzące z „Das Wappen” armaty, bo to bardzo dobry trop, wskazujący, dokąd ostatecznie zaginiony okręt trafił... Hmm... A może jakiś trop jest w archiwaliach kurlandzkich? Pojechać na Łotwę. Nie byłem nigdy w Rydze!

I nagle poczułem szaleńczą tęsknotę za archeologią. Wyobraziłem sobie palmy rosnące przy plaży, wrak kurlandzkiego okrętu leżący gdzieś na dnie. Założyć płetwy i maskę. Przypiąć butle... Zanurkować w krystalicznie przejrzystej wodzie... Poszukać. Odnaleźć. Dotknąć tej historii. Zobaczyć na własne oczy poczerniałe deski dębowego poszycia, głazy balastu, kraby kryjące się w zaśniedziałych lufach armat... Ciekawe swoją drogą, czy Magda umie pływać.

*

Kolejny tydzień upływał pod znakiem dzikiej harówki. Odezwał się do mnie jeden ze starych klientów. Miał kolejne zlecenie. Spędziłem kilkadziesiąt godzin nad mikrofilmami w Bibliotece Narodowej i w Archiwum Głównym Akt Dawnych. Robota była nietrudna, ale żmudna i absorbująca. Niewiele miałem czasu, by posiedzieć nad zagadkowym zniknięciem chłopaka z ulicy Krowiej. Rozszyfrowałem napis wykonany na tynku i tytuł żydowskiej książki ukrytej w parapecie. Szukałem informacji o niej w sieci i w różnych opracowaniach. Nawet coś tam znalazłem, nieliczne rozproszone wzmianki. Ale nie stałem się od tego mądrzejszy.

Sobota powoli dobiegała końca. Zapadł już zmierzch. Pukanie do drzwi wyrwało mnie z zadumy. Zapewne klient, bo sąsiadów rozpoznawałem po sposobie, w jaki stukali. Otworzyłem. Na

podeście stał starszy mężczyzna z siwą belferską bródką. Coś w jego postawie wskazywało, że to emerytowany wojskowy, a może policjant...

– Tomasz Śliwiński – przedstawił się. – Szukał pan ze mną kontaktu.

– Robert Storm – powiedziałem, choć było to zbyteczne. – Witam, panie poruczniku. Zapraszam. Kawy czy herbaty?

– Poproszę kawy. Niech pan zrobi dwa razy mocniejszą, niż gdyby robił pan dla siebie. I żadnych zbędnych dodatków.

No proszę, stary lis... Dowiedział się, że go szukam, i znalazł mnie pierwszy, pomyślałem z mimowolnym podziwem.

Usadziłem gościa w fotelu. Kawę rzecz jasna zrobiłem taką o połowę słabszą, niż zazwyczaj pijałem. Nie chciałem go przecież zabić.

– Słyszałem o panu to i owo – powiedział, kręcąc kubkiem, jakby chciał rozgrzać dłonie. – O co zatem chce pan zapytać?

No to byka za rogi...

– Była taka sprawa. Zaginiony chłopak kaleka z ulicy Krowiej. Kryptonim „Podróżnik”. Prowadził ją pan przez pół roku.

– No tak. Mogłem się domyślić – westchnął. – Detektyw amator z wielkim zapalem grzebiący w historii naszego miasta... A może raczej w podszewce tej historii. A co? Dzieciak się znalazł? – Spostrzegłem w jego oczach błysk zainteresowania.

– Jeszcze nie, ale próbuję coś ustalić. Pan badał tę sprawę, wtedy w osiemdziesiątym czwartym.

– Ano badałem. – Pociągnął łyk i uśmiechnął się z uznaniem dla mocy naparu. – I szczerze powiedziawszy, nic sensownego nie wybadałem. Jeszcze kilka razy zajrzałem później do tych akt, a ostatni raz tuż przed tym, zanim poszedłem na emeryturę. Gryzło mnie to. Jedna z kilkunastu nigdy nierozwikłanych spraw...

– W raporcie napisał pan, że zdjęcia na tych dwu rolkach negatywów to były sfotografowane stronice książki. Naprawdę

tak pan sądził?

– Tylko w pierwszej chwili. – Wzruszył ramionami. – Znaleźliśmy na miejscu domniemanego przestępstwa rzecz bardzo dziwną. Szukałem racjonalnego wyjaśnienia. Ten dzieciak bawił się trochę fotografią. Miał powiększalnik, pół szafki różnych odczynników. Założyłem, że skopiował sobie interesujące go fotki z jakiejś pozycji. To nie były czasy ksero, że nie wspomnę o skanerach. Ale zrobiłem odbitki, obejrzałem i nie bardzo mi się to widziało. Za wyraźne, za ostre. Pomyślałem, że pewnie na jakiejś wystawie zobaczył i cyknął.. Ale to też bez sensu. Nie ta jakość. Choć aparat miał dobry, nowiutki zenit. Zapamiętałem, bo też taki chciałem wtedy kupić. Niezły spręcior, dobra optyka, porównywalny z zachodnimi modelami.

– Akta są trochę zdekompilowane.

– Taaa... Wiesz pan, jak to było na początku lat dziewięćdziesiątych? Masa kapusiów chciała się wybielić, to i pewne rzeczy poznikały w, jak to mówią, niewyjaśnionych okolicznościach. – Skrzywił się. – Rozumiem jeszcze tych, co kablowali ubecji na swoich kumpli czy współpracowników. Milicja też, jak wiadomo, różne piony miała. Ale jak ktoś nam pomagał w sprawie kryminalnej, to co to niby za wstyd? A jednak papiery wyparowały. Ech, szkoda gadać. – Machnął ręką.

– Co zniknęło?

– Chodzi o ostatnie dwadzieścia, może trzydzieści stron pierwszej teczki? – upewnił się. – Mieliśmy agentów i w Orbisie, i w biurze paszportowym. Teraz to pewnie jakieś szychy i dlatego papierów na nich już nie ma. A co w nich było? Ano nudy na pudy: lista nazwisk około czterdziestu ludzi, którzy w tym okresie wyprawili się do Ameryki Południowej. Praktycznie sami dyplomaci i ich rodziny. Sprawdziliśmy rzecz jasna wszystkich. Nikt nie pasował. A i stamtąd prawie nikt nie jeździł do nas. W ogóle to był okres zaraz po stanie wojennym, ruch przez granicę minimalny. Zakładałem kilka hipotez. Mogło być i tak, że

ktoś przyjechał, dajmy na to, z USA czy Australii, a w Peru był wcześniej. Nasi konfidenti w biurach i w hotelach robili różne rzeczy. Jak już wpadł im w ręce paszport cudzoziemca, notowali nie tylko, skąd ostatnio przyjechał, lecz także gdzie i kiedy był wcześniej.

– Ciekawe – mruknąłem.

– Z drugiej teczki też brakuje, jak pamiętam, około siedemdziesięciu stron – powiedział. – Ale to były bardzo wrażliwe raporty, bo pisali je konfidenti, których mieliśmy w środowisku żydowskim.

– Żydowskim? – zdziwiłem się.

– A coś pan myślał. Żydów też sprawdziliśmy, bo oczywiście ktoś puścił plotkę, że to porwanie do celów mordy rytualnego, a że kamienica pożydowska... Takie króliki się ludziom w głowach lęły, ale nie lekceważyliśmy żadnych donosów. Nawet najbardziej idiotycznych. A mieszkanie po rabinie... Żydzi z kolei to taki ciekawy naród, że tak jak Polacy czy Ormianie trzymają się razem, a gdy zajdzie potrzeba, mają krewnych i pociotków rozsianych po całym świecie.

Umilkł, rozejrzał się. Znałem ten rodzaj spojrzenia, zauważyłem już wcześniej, że miał niespokojne dłonie. Sięgnąłem na parapet po popielniczkę. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Rzuciłem palenie cztery lata temu – wyjaśnił.

– To zdrowo – pochwalilem.

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju – powiedział po chwili milczenia. – Pan słyszał coś o rabinie nazwiskiem Szor?

– Nic a nic – przyznałem.

– To ja panu wyjaśnię, dlaczego mnie to tak strasznie gryzło i dlaczego sprawdzaliśmy Żydów. To był rabin chasydzki... Wie pan, jak to u nich było?

– Dzielili się na kilka odłamów, kontynuując podziały, które wynikły po śmierci założycieli. Zazwyczaj nie posiadali synagog,

tylko skromne sale modlitwy, tak zwane kjojzy, czasem aranżowane w prywatnych mieszkaniach. Myśli pan, że coś takiego mogło być urządzone w kamienicy przy ulicy Krowiej?

– Nie znalazłem takich informacji, ale tego nie wykluczam. Duże mieszkanie, rabin mógł wygospodarować jakieś pomieszczenie. Ale co innego jest ciekawe. Proszę sobie wyobrazić, że przeżył wojnę. Mieszkał potem w Peru, w osadzie Puerto Franco. To zabita dechami dziura w prowincji Bellavista, czyli używając inkaskiej terminologii, Antinsuju. Czytałem książkę archeologa, który opisywał dość dokładnie rozległe wykopaliska, prowadzone w tamtej okolicy. Inkaskich ruin jest tam sporo. Czy to nie zbyt duży zbieg okoliczności? – Pociągnął kawy.

– Jeśli rabinem został około trzydziestki, to w latach osiemdziesiątych mógł jeszcze żyć – policzyłem szybko.

– Miałem teorię. Może przypomniał sobie o książce zostawionej w skrytce, zapragnął ją odzyskać? Napisał na adres, pod którym kiedyś mieszkał, chłopak otworzył parapet i znalazł starodruk – powiedział gliniarz. – Na pewno nie wysłałby tej książki pocztą. Z drugiej strony, nie bardzo miał możliwość. Przesyłki dokładnie sprawdzano, a starodruk z pewnością zostałby zatrzymany. Ale pasowało jak ulał. Rabin mógł być potencjalnym źródłem zdjęć z Peru.

– Rolka negatywów była marki ORWO, zatem rabin nie mógł ich przysłać. Chyba że chłopak wysłałby mu klisze. Rabin albo, co bardziej prawdopodobne, ktoś z jego ludzi nacykał fotek swoim aparatem i mu odesłał. Ale to chyba trochę naciągane.

– A o tym nie pomyślałem – pochwalił mnie. – Jednak ma pan rację, to raczej naciągane. Poza tym rodzice chłopaka nie kojarzyli, żeby dostał jakiegokolwiek listy z zagranicy. Z drugiej strony, nasz błąd, że nie przesłuchaliśmy wówczas listonosza... A przecież dzieciak siedział w domu. Gdyby listonosz przyniósł przesyłkę, mógł ją odebrać i nic rodzicom nie powiedzieć.

– Co było na drugiej rolce negatywów? – zaciekałem się.

– Być może jakieś odpowiedzi na nasze pytania. Niestety, okazała się przeświecona.

Westchnął i popił kawy. Ja też się napiłem. Czułem, że krąży wokół tematu, że próbuje mnie wybadać. I chyba pomyślnie zdawałem ten test. Muszę tylko wymyślić pytanie, które będzie jak klucz i otworzy go do reszty...

– Wie pan, dla gliniarza każda niewyjaśniona sprawa jest jak zadra. Rzecz jasna, drobne przestępstwa jak kradzież samochodu czy włamanie nie są aż tak ważne. Ale te grubsze tkwią w głowie latami. Wraca się do nich, analizuje, zastanawia, co poszło nie tak. Co się przegapiło. Najłatwiej jest iść tropem natychmiast. Z drugiej strony, po latach pojawiają się nowe, lepsze techniki badawcze. Czasem uda się raz jeszcze przeanalizować dowody. Na przykład parę lat temu wyizolowano DNA ze śliny spod znaczka listu napisanego przez Kubę Rozpruwacza.

– Tylko nie wiadomo, czy list faktycznie napisał on, czy ktoś, kto się podszywał – zauważyłem.

– No właśnie. Gdyby mieli tę technikę wtedy, można by przesłuchać podejrzanych, sprawdzić materiał porównawczy, uściślić alibi i tak dalej. A dziś szukaj wiatru w polu. My mogliśmy ustalić tylko tyle, że plamki krwi z parkietu i szpar między klepkami naprzeciw ściany pochodziły od dwu różnych osób. To znaczy w próbkach stwierdzono dwie różne grupy krwi.

– Plamki krwi... – podchwyciłem.

– Wyszły, gdy spryskaliśmy pomieszczenie luminolem. Część była na powierzchni klepek, a część w szparach.

– Ślady krwi przetrwały w szczelinach, bo z powierzchni klepek zostały starte przez wielokrotne szorowanie – zaryzykowałem teorię. – Czyli były wcześniejsze, starsze niż te, które znaleziono na parkiecie.

– Powiem więcej. Podłoga została wycyklinowana. Prawdopodobnie pod koniec lat siedemdziesiątych, nim

Malinowscy tam zamieszkali. W każdym razie krew znalazła się na parkiecie dwukrotnie w odstępie kilkudziesięciu lat. Uznałem to za ślad jakiegoś rytuału. Nie religijnego, ale raczej magicznego, może alchemicznego. Nie znalazłem niczego podobnego w literaturze... Poza oczywiście mniej lub bardziej wydumany historiami o upuszczaniu krwi chrześcijańskich dzieci i dodawaniu jej do macy.

– Ja też nie słyszałem o niczym takim. Sugeruje pan, że chłopak mógł spróbować powtórzyć jakiś stary obrzęd?

– Co pan sądzi o mordach rytualnych? – zaskoczył mnie pytaniem.

– Z punktu widzenia ortodoksyjnego judaizmu to kompletna bzdura. Żydzi unikają kontaktu z krwią. Z drugiej strony, rytuały magiczne często mają w swej podbudowie ideowej zanegowanie rzeczywistości. Często stanowią odwrócenie jakiegoś porządku. W wielu legendach czarownice rzucają zaklęcia, odmawiając modlitwy wspak. Czarne msze odprawiane przez satanistów to parodia zwykłej mszy. Czy podejrzewa pan...

– Nie. Jak na morderstwo, było tam o wiele za mało śladów krwi. Ale jednak była.

– Czy przesłuchaliście rabina Szora?

Sądząc po błysku w jego oku, trafiłem w samą dychę.

– Miałem taki zamiar. – Uśmiechnął się smutno. – Wycieczka do Peru w tamtych czasach to byłoby coś! Niestety, zignorowano moją sugestię... Nawet nie ustalono, czy jeszcze żyje, choć i o to wnioskowałem. Zresztą pewnie i tak wysłano by tam kogoś innego. Albo i jeszcze prościej, zlecono by zbadanie gościa pracownikom ambasady. Za to do napisu na ścianie dostaliśmy konsultanta. Stary ubek, ale znał te języki jeszcze z domu. Paskudny typ, swoją drogą, ale chociaż przeczytał nam ten napis. Czy wie pan, jak to brzmi po polsku?

– „Albowiem wiele jest dróg wiodących do dalekich krain, gdy raz uchylimy drzwi” – zacytowałem swoje tłumaczenie.

Stary milicjant spojrział na mnie jakby z szacunkiem i kiwnął głową, potwierdzając poprawność przekładu. Nie musiał mówić nic więcej. Wiedziałem już, czego się domyślał. I czego w żadnym wypadku nie mógł napisać w oficjalnych milicyjnych raportach... I on też wiedział, że ja wiem. Dotknięcie nieznanego, nienazwanego. Chwila, gdy z przerażeniem odkrywamy, że otaczająca nas twarda rzeczywistość wcale nie stanowi niewzruszonego monolitu. Że przecinają ją rysy, szczeliny, luki, uchylone drzwi... Dłoń drżała mi lekko. Zacisnąłem palce na uchu dzbanka i poczekałem, aż tik minie. Dolałem kawy do obu kubków.

– Chce pan jeszcze o coś zapytać? – to było raczej stwierdzenie, niż pytanie.

– Był tam pan w ciągu ostatnich kilku lat, już po tym, jak wysiedlono mieszkańców...

– Owszem. Kilka razy. W czasie śledztwa, parę lat później, gdy Malinowscy wyjechali budować autostradę w Iraku, po wysiedleniu mieszkańców, po pożarze... Wydawało mi się, że coś jednak przeoczyłem. Chciałem jeszcze zobaczyć to miejsce.

– Czy może zauważył pan gdzieś taki znak? – Narysowałem na kartce liść klonu.

– Kilka razy w swojej karierze to widziałem. Ale tam go nie było. To chyba nie jest ich robota...

*

Izaaka poznałem przed laty za pośrednictwem znajomych antykwariuszy. Był młodszy ode mnie, ale wyglądał co najmniej na czterdziestkę. To chyba obfita czarna broda i mocne okulary dodawały mu powagi. Studiował jakiś czas w Izraelu, ukończył tam jesiwę, a potem wrócił do Warszawy. Nie wiem, czy kiedykolwiek planował zostać rabinem, ale w każdym razie nie

został. Kiedy do niego zadzwoniłem, nie miał ochoty na spotkanie. Próbował mnie zniechęcić na różne sposoby. Utrzymywał, że jest bardzo zajęty, że nie najlepiej się czuje, że nie wie, jak mógłby pomóc. Dopiero po kilku rozmowach dał się przekonać. Odnalazłem kiedyś dla niego trochę informacji o rodzinie, nie bardzo mu teraz wypadało odmawiać pomocy.

Mieszkanie miał ciasne, ale przytulne i zawałone po sufity starymi książkami. Wspominał kiedyś, że jego ojciec dostał w prezencie księgozbiory kilku przyjaciół, którzy w 1968 wyjechali z Polski. Usiadłem wygodnie w fotelu. Hebrajskie literki na grzbietach połyskiwały złoceniami. Aromaty starych książek i kawy mieszały się w powietrzu. Pociągnąłem łyk. Byłem ciekaw, jak spożywanie tego napoju ma się do zasad koszerności, ale głupio było pytać.

– Jakież to problemy cię nurtują? – zapytał, bujając się na krześle.

– Są pewne sprawy, których nie da się znaleźć w necie i o które trzeba pytać fachowców – podliziałem się. – Usłyszałem ostatnio o pewnej książce. Mam swoje domysły, ale szukam kogoś, kto mógłby mi o niej coś opowiedzieć albo potrafiłby znaleźć informacje. Chcę zweryfikować swoje domysły.

– A konkretnie? O jakim tytule mówimy?

– „Księga uchylonych wrót”.

Spojrzał na mnie zaskoczony. Zdjął okulary i przetarł szkła. Chyba chciał zyskać na czasie, choćby kilkanaście sekund niezbędnych, by przemyśleć odpowiedź.

– To tylko stara idiotyczna żydowska legenda... Taka księga nie istnieje.

– Nie powiedziałbym. A w każdym razie w legendzie tej tkwi chyba ziarno prawdy. – Położyłem przed nim wydruk.

Uniósł go do oczu i zaklął cicho w jidysz.

– Wybacz, ale... – urwał i zamyslił się.

– Tajemnice nieprzeznaczone dla gojów? – mruknąłem.

– Nie tylko dla gojów, ale i dla większości Żydów! – westchnął ciężko.

– No cóż, skoro nie chcesz albo nie możesz powiedzieć, nie będę zawracał głowy i poszukam informacji w inny sposób – podpuściłem go.

Skrzywił się, jakby rozgryzł cytrynę.

– To też nie jest dobre rozwiązanie, bo pytając o to, można rozbudzić niepotrzebnie silne emocje – powiedział wreszcie. – Są tacy, którzy za dużo wydedukują z samych pytań. A konkretnie, niedobrze by się stało, gdyby pewni ludzie dowiedzieli się, że ta księga rzeczywiście istnieje...

– A w każdym razie istniała jeszcze trzydzieści kilka lat temu. Kto konkretnie nie powinien się o tym dowiedzieć?

– Oni.

– Dom Czterech Liści?

– Nawet nie wymawiaj tej nazwy głośno!

Umilkł. Wpatrywał się w kartkę jak sroka w gnat.

– „Księga uchylonych wrót”. Jakie wrota otwiera? – zagadnąłem, starannie dobierając nieliczne znane mi słowa w jidysz. – Przejścia. Nie otwiera. Uchyła na moment. Nie wiem, jak daleko można dojść... Słyszałem tylko legendy. Idiotyczne legendy opowiadane przez starych, zdziwaczałych Żydów. Takich *meszugener*, którzy przeżyli *shoah*, i teraz nie można być pewnym, co im się porobiło z *kiepele*... Gdzie ona teraz jest? – zaciekawiał się.

– Nie mam pojęcia. Może w magazynach dowodów rzeczowych policji. Znalaziono ją w latach osiemdziesiątych na warszawskiej Pradze przy okazji badania sprawy tajemniczego zaginięcia pewnego kalekiego chłopca.

Nie znałem słowa, które mu się wyrwało. Zabrzmiało jednak jak przekleństwo. Milczał jeszcze chwilę, a potem odłożył papier.

– Ostatni właściciel tej książki, rabin Jakub Szor, ze swoimi krewnymi znalazł się w Peru – zauważyłem. – Jak już się uchyli

te wrota, jak daleko można przejść? Z okupowanej Warszawy w Andy?

– No co ty w ogóle gadasz – zirytował się Izaak. – Zaraz na początku wojny Niemcy liczyli się trochę z opinią międzynarodową, więc Polacy i Żydzi, którzy mieli obywatelstwa państw niebiorących udziału w konflikcie, mogli wyjechać. Na Węgry, do Rumunii albo przez Bałtyk do Szwecji. Ambasad szybko zamknięto, ale zanim wycofano z Warszawy obsadę dyplomatyczną, pracownicy wystawili sporo paszportów swoich państw. Bajońskie pieniądze to kosztowało, w złocie albo w walucie... – Do tej pory gospodarz mnie zbywał, a teraz dla odmiany wyrzucił z siebie całą tyradę.

– Gadaj zdrów. Skoro kosztowało to bajońskie sumy, nawet rabina nie byłoby stać, żeby wydostać za granicę kilkadziesiąt osób. – Wzruszyłem ramionami. – A gdyby nawet zdobyli paszporty USA, toby wyjechali od razu jeszcze w trzydziestym dziewiątym, no może w czterdziestym, zanim utworzono getto, ale nie w chwili, gdy było już jasne, że zagłada wisi w powietrzu.

Spiorunował mnie wzrokiem. Rozłożyłem ręce i uśmiechnąłem się. A potem popiłem kawy, dając mu czas na zebranie myśli.

– Ja ci o tym opowiem, ale pod warunkiem, że nikogo więcej nie będziesz już o to pytał i nikomu nie pokażesz tego ksero.

– Przywykłem każdą informację sprawdzać w kilku źródłach.

– Odpada. Gadasz ze mną i potem już z nikim więcej.

W milczeniu skinąłem głową.

– „Księga uchylonych wrót” to stara pozycja alchemiczna. Spisał ją w szesnastym albo siedemnastym wieku pewien czcigodny kabalista. Są o niej wzmianki w pracach kilku badaczy. Podobno zawierała odpowiednią formułę. Trzeba znaleźć nieużywane, zamurowane od lat drzwi. Wypisać na nich znaki. Skropić próg własną krwią. Otworzy się przejście, które połączy je na chwilę z innymi zamurowanymi drzwiami, gdzieś daleko.

Być może da się tym sterować, wybrać miejsce, do którego się przejdzie, ale nie wiem, czy tak jest. Ostatni przechodzący musi zetrzeć formułę. Przejście po chwili się zamknie. Nie próbuj tego. Ryzyko jest... znaczne. *Rabin uciekał przed śmiercią. Nie miał wyboru. Księgę zostawił, by więcej go nie kusilo, by nie ryzykować powrotu po innych jeszcze. Bo jest i cena. Zazwyczaj jest jakaś cena* – dodał w jidysz.

– Jakaś cena – powtórzyłem po polsku.

Drgnął, nieprzyjemnie zaskoczony.

– Ostrzegam cię – syknął.

– Rozumiem.

– Gównu tam rozumiesz – burknął. – Masz to, po co przyszedłeś.

– Dziękuję za konsultacje. – Ukłoniłem się grzecznie. – Jeśli mogę się zrewanżować...

– Jeśli znajdziesz księgę, u mnie będzie bezpieczna – powiedział. – Przynieś, a tak ją schowam, że sam diabeł nie znajdzie. To nie jest coś, co powinno leżeć na wierzchu.

Nadal wyglądał na zdenerwowanego, może nawet przestraszonego, że powiedział mi za dużo.

Czy to możliwe? – zastanawiałem się, jadąc do domu. Czy dało się ot tak otworzyć dziurę w ścianie i zabrać przyjaciół z okupowanego miasta na drugi koniec świata?

Stary milicjant mówił coś o plamkach krwi na podłodze przed feralną ścianą. Oni przeszli, ale rabin Szor zostawił księgę... Czterdzieści lat po wojnie odnalazł ją niepełnosprawny chłopak. Nie znał hebrajskiego, nie znał jidysz. Ale musiały być chyba notatki po polsku, bo jakimś cudem otworzył to samo przejście. I przeszedł tam, gdzie oni, do prowincji Bellavista. Przeszedł nie wiadomo ile razy... A może jeden? Miał aparat fotograficzny. Zafascynowany zrobił kilkadziesiąt zdjęć. Ale za którymś razem z jakiegoś powodu nie zdołał już wrócić do domu. Albo stwierdził, że już nie chce wracać? Ugryzła go żararaka i umarł?

Niewykluczone też, że po prostu nie zdążył wrócić. Na przykład przewrócił się z wózkiem albo zablokowało się koło. Zresztą przyczyny mogły być jeszcze inne. Magia to magia. Parzy, kaleczy, brudzi, zabija ciało i duszę... Wcześniej czy później te siły żądają ofiary.

Poczułem nieprzyjemny dreszcz na plecach. Dotknąłem spraw, których nie powinienem ruszać. Czy i mnie zostanie wystawiony rachunek?

Piotrek kończył robotę o siedemnastej. Zaczekałem na niego na ławce przed komisariatem. Zdziwił się na mój widok.

– Słuchaj, mam sprawę – postanowiłem od razu brać byka za rogi.

– W czym jeszcze mogę ci pomóc? – Westchnął z rezygnacją.

– Rzeczy zabezpieczone jako dowody w tej sprawie z ulicy Krowiej... Tam była stara żydowska księga.

Pokręcił głową.

– Zapomnij, to było prawie czterdzieści lat temu. Zazwyczaj dowody rzeczowe przechowuje się dziesięć lat. Dowody w sprawach o morderstwo – dwadzieścia pięć. W głośnych i ważnych sprawach może być dłużej, ale też raczej nie w nieskończoność. Magazyny nie są z gumy. Jeśli była tam jakaś księga, dawno temu poszła do pieca. No chyba, że ktoś ją oddał do biblioteki. Ale raczej do spalarni, no bo wiesz, przepisy... A milicjanci to jednak był inny sort ludzi, nie to, co teraz. – Dumnie wypiął pierś, dając mi do zrozumienia, że uważa policję za coś nieskończenie lepszego.

– Możesz mi to sprawdzić? Po sygnaturach sprawy. Jeden mój znajomy Żyd zaciekawiał się tą pozycją. Jest, khm... powiedzmy: istotna dla ich kultury i tradycji. Choć powiem od razu, że jeśli faktycznie została zniszczona, to też nie byłoby to złe rozwiązanie...

– Sprawdzę. Obiecałeś mi wynik do sprawy z ulicy Krowiej. Masz już jakiś trop?

– Coś tam zdołałem ustalić. Ale obawiam się, że w raporcie wyglądałoby co najmniej... niecodziennie.

Pokręcił głową.

– To jedna z tych dziwacznych spraw?

– Tak.

– Trudno, pies trącał. Zrobiłeś na Magdzie spore wrażenie – zmienił temat. – A zwłaszcza ta twoja fachowa gadka o starych kościołach. Musiałem jej pozgrywać wszystkie zdjęcia nacykane w Borgund. Może zaprosz ją do kina. Albo z racji wspólnych zainteresowań do jakiegoś muzeum.

– Szykują nową aranżację Galerii Faras w Muzeum Narodowym. Może nawet już skończyli.

– No właśnie. To dobry pomysł. Czymkolwiek jest to Faras, myślę, że koniecznie powinniście to razem obejrzeć.

*

W zasadzie wypełniłem już misję. Zagadka została rozwiązana. Potrzebowałem jednak jakiegoś potwierdzenia, dopełnienia. Czegoś, co pozwoli mi ostatecznie zamknąć tę sprawę. Szukałem informacji o peruwiańskiej wiosce, szukałem ludzi, którzy mogliby stamtąd pochodzić. Którzy mogli tam żyć w latach osiemdziesiątych. Niestety. Natrafiłem na informację, że rabin Jakub Szor zmarł w Nowym Jorku w latach sześćdziesiątych. Nie potrafiłem ustalić żadnych nazwisk jego „owieczek”. Indianie żyjący w tej osadzie najwyraźniej byli szczęśliwymi dziećmi gór i nie mieli Internetu. Podróżnicy też im się nie naprzykrzali, a w każdym razie nie pisali o tym na blogach. Znalazłem trochę wzmianek o wsi w spisach artykułów naukowych. Bywali tam archeolodzy i etnografowie, Niestety, nie natrafiłem na żadne artykuły w wolnym dostępie.

No cóż, nie kijem go, to pałką.

Była dwudziesta trzecia. To znaczy w Warszawie była dwudziesta trzecia, bo w Chicago mieli na zegarach szesnastą. No i świetnie. Połączyłem się przez komunikator z dawnym klientem. Z tego, co wiedziałem, zajmował się ochroną globalnych zasobów wody albo czymś takim. W każdym razie liczyłem, że ma dostęp do zdjęć satelitarnych. Takich o ciut lepszej jakości niż przeznaczone dla zwykłych śmiertelników. Zdziwił się na mój widok, ale wyglądał na ucieszonego wirtualnym spotkaniem.

– Czym mogę służyć? – od razu domyślił się, że nie przypadkiem sobie o nim przypomniałem.

– Miałbym prośbę, ale to dość skomplikowane...

– Panie Robercie – przerwał – oddał mi pan wtedy ogromną przysługę. Niech się pan nie kryguje, tylko powie wprost.

– Chciałbym zdjęcie satelitarne pewnej wsi w Ameryce Południowej. O rozdzielczości, jak to mówią, „ile maszyna dała”.

– Aktualne? – zasępił się. – Mamy pewne ograniczenia proceduralne... Wie pan, korzystamy z wojskowych systemów satelitarnych. Albo inaczej zapytam: czy może być z zeszłego miesiąca, bo te już nie są poufne.

– Mogą być nawet z zeszłego roku!

– Poszukam w archiwum. Co to za miejsce?

– Wieś nazywa się Puerto Franco, leży w prowincji Bellavista, w Peru.

Gdy cztery godziny później wstałem z łóżka i zalogowałem się na pocztę, czekał już na mnie mejl z odpowiednim linkiem. Zdjęcia były ogromne, po przeszło dwa gigabajty każde, a jakość faktycznie zdumiewająca. Znalazłem wioskę Puerto Franco. Bez problemu mogłem policzyć sztachety w płotach i dachówki na indiańskich lepiankach. Zamieszkała była tylko część gospodarstw. Populacja musiała się skurczyć. Być może Żydzi, którzy przybyli tu z dalekiej Polski, po latach walki z obcym klimatem poddali się w końcu, spakowali manatki i rozjechali się

po świecie? Znalazłem resztki większego budynku z zarwanym dachem. Synagoga? Czy może tylko indiańska szkoła?

Inkaskie ruiny leżały na południe od na wpół opuszczonej osady. Wyjąłem fotografie z teczki sprawy i przyglądałem im się dłuższą chwilę. Zdjęcie satelitarne wykonano z góry... Skrót perspektywiczny?

– Może tak, a może i nie – mruknąłem.

Ścieżka... Nie, stara droga o nawierzchni ułożonej przed wiekami z kamiennych płyt. Zbudowana przez Inków? Niewykluczone. Znajdowała się po drugiej stronie wąwozu i obiegała ruiny po łuku. Kamiennie słupki wskazywały miejsce, gdzie niegdyś przerzucono wiszący most. Znalazłem kilka lokalizacji, z których prawdopodobnie wykonano fotografie.



© Fabryka Słów

Zagryzłem wargi. Fantastyczna teoria na moich oczach oblekała się w twarde dowody. I nagle poczułem, że brakuje mi powietrza. Jeden punkt przykuł moją uwagę. Powiększyłem fotkę. Zardzewiały wózek inwalidzki leżał opodal ścieżki, przewrócony. Powiększyłem ponownie, na ile się dało. Obraz rozmazał się w kaszkę pikseli. Tak. Z całą pewnością był to wózek leżący na lewym boku. Patrzyłem zadumany. W pobliżu nie było widać żadnego śladu ludzkich kości. Może ciało stoczyło się gdzieś niżej? Może pożarły je i rozwłóczyły miejscowe drapieżniki? Zresztą po trzydziestu latach w tym klimacie szkielet mógł się po prostu rozsypać w proch. A może trupa znaleźli i pogrzebali miejscowi? Nie, oni raczej nie zostawiliby takiego urządzenia. Czy chłopak mógł przeżyć? Nie, nie mógł. Gdyby żył, napisałby list do rodziców albo w inny sposób dał znak życia. No i wózek przecież nadal byłby mu potrzebny. A więc patrzyłem na miejsce, gdzie umarł. Lustrowałem uważnie otoczenie, ale nie znalazłem żadnego grobu, żadnego krzyża... Nawet jeśli ktoś pochował ciało, nie pozostał do naszych czasów żaden ślad.

Co dalej? – zamyśliłem się. Odszukać tych Malinowskich? Chyba trzeba, o ile jeszcze żyją. Tylko co im powiem? Że ich syn przy użyciu żydowskiej magii wyparował z kamienicy na warszawskiej Pradze, by zginąć w dżungli Ameryki Południowej? Dlaczego niby mają w to uwierzyć? Porucznik Śliwiński? Jemu powiem. Tyle czasu przy tym grzebał, tak wiele zdołał ustalić, tylu rzeczy się domyślił. Uwierzy. A „Księga uchylonych wrót”?... Czy milicjanci faktycznie spalili ją wraz z innymi niepotrzebnymi już dowodami zamkniętych spraw? A może jednak leży zapomniana w magazynie lub trafiła do jakiegoś muzeum? Iść tym tropem? Odnaleźć i co? Oddać Izaakowi? Za mało o nim wiem.

Nigdy nie byłem na Wschodnich Antylach. Mógłbym poszukać

zamurowanych drzwi i wybrać się na pół godzinki do Plymouth. Dotrzeć wreszcie na Tobago, tak jak to planowałem dekadę temu, gdy byłem studentem... Przez tyle lat nie zdołałem odłożyć na bilet, by tam polecieć. A przecież chciałbym stanąć choć raz na tej plaży, spojrzeć na przestwór Zatoki Kurlandzkiej, po której żeglował kiedyś wspaniały okręt „Das Wappen der Herzogin von Kurland”. Zalogowałem się na konto. Pieniądze od klienta już spłynęły. Ładna suma, ale zbyt mała, żeby udać się na miejsce i przeprowadzić poszukiwania wraku. Mogę zaprosić Magdę na wspólne łażenie po muzeach, ale nie zabiorę jej na odległą egzotyczną wyspę.

A gdybym użył księgi i zawartego w niej rytuału? Magia... Parzy, kaleczy, czasem zabija... Już się o tym kiedyś przekonałem. Rabin to wprawdzie zrobił, ale on nie miał wyjścia. I nie wiadomo, jaką cenę zapłacił. Spojrzałem raz jeszcze na stary zniszczony wózek inwalidzki, leżący obok ścieżki...

– Nie warto – mruknąłem, zamykając plik.

Promienie X



Doktor Paweł Skórzewski co jakiś czas przecierał rękawem zaparowaną szybę powozu i wtedy jego oczom ukazywały się majaczące za kurtyną deszczu zabudowania. Wojna przetoczyła się przez te tereny niemal półtorej dekady temu, latem piętnastego roku. Pamiętał wschodnią Lubelszczyznę u schyłku czasów cara Mikołaja. Zasobne, ludne wsie, murowane domy w większych ośrodkach. Teraz budownictwo jakby cofnęło się w rozwoju. Najczęściej tylko frontowa ściana wzniesiona była z cegły lub miejscowego białego kamienia. Pozostałe części budynku, jak też wyższe piętra, nadbudowywano drewnem, przy czym zamiast uczciwych belek używano najczęściej dech, pomiędzy którymi ubijano glinę mieszaną ze słomą albo i samą słomę.

Wojna zmieniła ludzi. Zmieniła całą filozofię ich życia, pomyślał Skórzewski. Kto miał porządny murowany dom, który ostrzał artyleryjski momentalnie obrócił w kupę gruzów, ten staje się ostrożny i podejrzliwy. Budował będzie jak najtaniej, prowizorycznie. Z drugiej strony, między powstaniem styczniowym a Wielką Wojną upłynęło pięćdziesiąt lat spokoju, a przez długi czas granica celna z Rosją była zniesiona. Na wschód wędrowały tysiącami nasze krowy i woły, jechały tekstylia z łódzkich fabryk i beczki z piwem, warzonym w warszawskich browarach, stamtąd zaś płynęły złote i srebrne rubelki. Człowiek bystry, trzeźwy, obrotny i pracowity żył jak

pączek w maśle... A teraz? Szkoda gadać. Kryzys.

Z drugiej strony, może nie było tak źle? Jadąc przez wioski i miasteczka, na każdym kroku widział słupy telegraficzne, w oknach zamiast ciepłego poblasku świec i lamp naftowych coraz częściej ostro połyskiwało światło elektryczne. Także drogi były bite, jechało się znacznie lepiej niż za carskich czasów. Wprawdzie nawierzchnia nie zawsze była równa, ale przynajmniej koła nie grzęzły w błocie.

Westchnął i przywarł czołem do okna, usiłując coś dostrzec. Chyba dojeżdżali do celu, bo dychawiczna szkapa biegła jakby żwawiej, jakby poczuła dom. Wreszcie powóz zatrzymał się przed zajazdem. Doktor rozłożył parasol, ale okazało się, że niepotrzebnie, bo deszcz przestał padać. Woźnica wziął jego walizki, lekarz ruszył więc przodem. Pchnął drzwi i aż zmrużył oczy. Do głównej sali podciągnięto już prąd – wewnątrz rozświetlało aż sześć pięciowatowych żarówek. W kącie grało radio kryształkowe. Ale stoliki i krzesła z pewnością pamiętały jeszcze połowę ubiegłego stulecia, a i chłopci, siedzący przy piwie, wyglądali na zdrowo nadgryzionych zębem czasu.

– O, pan dochtor. – Szynkarz, starszy wiekiem Żyd, na widok gościa uśmiechnął się, prezentując braki w uzębieniu. – Jest już dla pana pokój przygotowany. Dochtor Frycz będzie może za pół godziny... Mordechaj! – krzyknął w stronę zaplecza.

Zaraz pojawił się chłopak. Wyglądał jak kopia starego, tylko pejsy miał krótsze. Odebrał od woźnicy walizki i zaniósł po schodkach na piętro. Lekarz zapłacił za podwózkę.

– Pan sobie życzysz może kolację? – zagadnął szynkarz.

– Poproszę.

Dziewczyna w fartuszkach przetrąła jeden ze stolików i nakryła obrusem. Skórzewski odwiesił płaszcz, rozsiadł się wygodnie. Po chwili stanął przed nim kufel zimnego piwa, a z kuchni dobiegło skwierczenie tłuszczu. Doktor pociągnął głęboki łyk.

Tego właśnie było mi trzeba, pomyślał.

Po chwili przyniesiono mu talerz z plasterkami dobrze przyrumienionych ziemniaków i jajecznicą na maśle. Pajdy świeżutkiego wiejskiego chleba pachniały przyjemnie. Otrzymał też szklankę mocno zaparzonej herbaty.

Skórzewski jadł niespiesznie, co jakiś czas pociągając to mały łyk piwa, to znów herbaty. Przy stoliku obok rozprawiali trzej miejscowi. Dwaj młodzi odziani byli w samodziałowe kapoty, ich starszy towarzysz miał na sobie barani serdak.

– Starzy ludzie powiadają, że gdy baba w ciąży zje kawałek mięsa zwierzęcia, które rozszarpały wilki, to może wilkołaka urodzić – dowodził ten ostatni. – Inni gadają, że to nawet niepotrzebne, wystarczy, coby kawałek żarzącego się węgla wpadł do kaszy lub mleka. Ech, to zabobon i ciemnota. Wilkołactwo się ma we krwi.

– A pokąsanie przez wilki? – podsunął jeden z młodszych.

– A widzisz, to dobre pytanie – westchnął stary. – Wiemy, że może przywlec psią chorobę, co to ją miastowi nazywają wścieklizną... To zapamiętajcie, bo ważne! Jak ktoś jest ugryziony, trza ranę jak najszybciej wypalić żelazem i modlić się, bo jak w człowieka przekleństwo wlezie, to ratunku żadnego ni ma... Gdy ktoś na to zemrze, to cóż... Osikowy kołeczek w serce na pewno nie zawadzi, ale zda mi się, że taki trup już i tak nie wstanie, a w każdym razie nie jako wilkołak...

– Mój wujo opowiadał, że mięso zwierzęcia, co je zagryzły wilki, można jeść bez obawy i niczym człowiek się nie zarazi, jako że chory wilk wszakoż nie poluje... – bąknął drugi z młodszych.

– DUBY SMALONE! Przecie wilk nie poluje na najzdrowsze, jeno porywa najstarsze i najślabsze – ofuknął go starszy towarzysz. – Jak wilki gonią stado jeleni, to biorą te, co najwolniej umykają... Co są zazwyczaj kalekie i chore. Tak czy inak, takiego mięsa lepiej się nie czepiać i nie tykać, choćby i najsmakowiciej wyglądało.

Oto i mądrość ludowa, pomyślał lekarz. Niby prości chłopci,

a swoje wiedzą... Zabobon też, jak się okazuje, może być przydatny. Dzięki strachowi przed lykantropią przynajmniej nie nażrą się padliny... To racjonalne i pożyteczne.

– Namnożyło się wilków, oj, namnożyło – westchnął jeden z młodych.

– Gadają ludzie, że to bez tę wojnę. Pełno było trupów i padłych koni, wilczyce wykarmiały na spokojności i dwa mioty rocznie... Ale czy prawda to? – dumął stary. – Tak mówią. Ale mi się widzi, że niekoniecznie to od tego. Wszak front szedł wte i wewte, rzadko kiedy zapadł na miesiąc w jednym miejscu. Może przy obleganiu twierdz co najwyżej. Trupów, a i owszem, było wiewa, lecz jak niby wilki miały się pożywić? Huku dział i karabinów się lękają, tedy jak front przechodził, to umykały chyłkiem i długo nie wracały. A po bitwie szli sanitariusze zbierać rannych, potem żołnierze brali trupy i grzebali. Kolegów znaczy, bo ze ścierwem wrogów bywało różnie. Ale jak był czas, przeważnie i ich zakopywali. W dodatku żołnierze głodni byli. Co pod lufę karabinu wlażło, zaraz ubili i do kotła. Tu w gminie... Wy to młodzi jesteście, nie pamiętacie... Jak w szesnastym nasi weszli, to cztery krowy tylko były. Cztery krowy w całej okolicy. A i to przetrwały, bo ksiądz proboszcz u siebie przechował. Kur tyle, co kot napłakał. Kóz kilkanaście wszystkiego na dwieście gospodarstw. Nawet co tłuściejsze psy znikły. A w lesie pierwszą sarnę to zobaczyłem dopiero w dwudziestym pierwszym roku. Wszystko wystrzelano. Nijak mi się nie widzi, by wojna mogła wilkom pomóc.

Skórzewski słuchał, coraz bardziej zdumiony. Stary człowiek mówił wprawdzie prostymi słowami, ale wyjątkowo mądrze.

– Czyli chcecie, kumie, powiedzieć, że...

– Że wilki wojna przetrzebiła, jak każdą zwierzynę. Po prostu jeść nie miały co ani małych wykarmić. A i niejedną kulę mógł oberwać. Jak nam się zdaje, że wilków jest dużo, to ja myślę, że to nie wilki po nocy wyją, tylko wilkołaki, co to zajęły ich miejsce.

Zważcie sami. Człowiek mięsa jeść musowo nie potrzebuje. A gdy wilk żeru nie znajdzie i z głodu pada, w tym samym czasie wilkołak, kiedy jest w ludzkim ciele, pasie się chlebem i kartoflami. W wilka zmienia się tylko przy pełni i wówczas poluje. Jednakowoż to dobre pytanie, czy koniecznie musi wtedy podeźreć, czy pobiega, zawyje i jak nic nie znajdzie, *apiąć* zmienia się w człowieka i znów kartofle zje. Może być tak, a może inaczej...

– A może to jednak zwykłe wilki? – zasugerował jeden z młodszych.

– Zwykłe wilki byłoby słyszeć co jakiś czas. Ale że wycie rozlega się jeno w czas pełni, to ja już wiem, co jest na rzeczy – odezwał się uroczyście stary.

– Myślicie, że to ktoś ze wsi?

– To na pewno. Ino kto? I co więcej, jak takiego rozpoznać? Rusini gadają, że wilkołak ma pod pachą dziurę, którą wywraca się na nice. Ale to mi się nie wydaje możliwym...

– Jeśli damy wiarę, że zmiana w wilka w ogóle jest możliwa, to chyba nie ma znaczenia, jak to się dzieje – zauważył trzeźwo jeden z młodych. – Czary to czary.

– Pawełku drogi, pomyśl przez chwilę. Jak futro zwinięz ciasno w kłęb, a nie daj Boże jeszcze wilgotne od nocnej rosy, i po miesiącu rozwinięz, to co będzie? A poza tym, wyimaginuj sobie, jak by się pchły, wszy, mole i inne robactwo rozwijały. Wszak od środka nijak tego wyczesać ani wyiskać. Żywcem by takiego wilkołaka od środka wyżarły!

Skórzewski śpiesznie pociągnął długi łyk piwa, by nie parsknąć śmiechem, ale musiał przyznać, że choć dyskusja przy sąsiednim stole wspinała się na coraz to wyższe szczyty absurdu, podobała mu się logika starego.

– Zatem skoro dziury pod pachą nie ma, jak takiego rozpoznać?

– Tylko przy pełni księżyca, gdy zmieni się we zwierzę. Ano,

chłopy, idziem, pora na nas...

Dopili piwo i ciężko dźwignęli się z ławy. Skórzewski odprowadził ich zadumany spojrzeniem. Zaraz jednak do wnętrza wszedł doktor Frycz. Skórzewski powitał go mocnym uściskiem dłoni. Nie widział przyjaciela od ładnych kilku lat. Przez ten czas jego włosy przyprószyła lekka siwizna. Spojrzenie pozostało jednak tak samo twarde, jak dawniej.

– Witam, panie kolego – powiedział Frycz, dosiadając się. – Cóż dobrego słyhać?

– Ciułam na doświadczenia... Lata mijają, a ja nadal jestem na początku drogi – westchnął doktor Paweł. – Przekłęta rewolucja...

– Ano cóż. – Frycz rozłożył ręce. – Dla nas gorzej, ale dla Polski lepiej. Taka cena... Pan, panie kolego, stracił sojusznika w badaniach, laboratorium, wyniki prac, mieszkanie, dobrą rządową posadę. Ja straciłem willę w Kijowie, prawie pewną nominację na kierownika katedry. Wielki książe Aleksander Michajłowicz finansował pańskie eksperymenty...

– Nadal żyje, niestety z finansami trochę u niego krucho. Zresztą to już stary, zmęczony człowiek. Dobiega wszak siedemdziesiątki.

– I kto to mówi? – Młodszy lekarz uśmiechnął się kpiąco. – Nie ma żadnych szans na pieniądze z Ministerstwa Zdrowia Publicznego?

– Niestety. Kołatałem do nich kilka razy. Podobnie jak do warszawskich farmaceutów. Gdybym miał chociaż papiery z dokumentacją tego, co udało się zbadać... Ano cóż, skupmy się może na naszym zadaniu.

– Mam zaparkowany przed szkołą francuski ambulans z przenośnym aparatem rentgenowskim. Rzecz jasna, to sprzęt dość stary i wysłużony, używano go jeszcze na froncie. Pani Skłodowska-Curie załatwiła przekazanie Polsce czterech sztuk. No i jeden trafił do mnie, na miesiąc. Odwiedzimy szkoły w piętnastu gminach, przebadamy dzieciaki.

– Wszystkie?

– Dobrze by było – westchnął Frycz. – Niestety, na to brak środków. Będziemy mieli wytypowane przez miejscowych lekarzy i felczerów po sto do stu dwudziestu dzieciaków. Wybiorą takie z rodzin gruźlików i te, które sprawiają wrażenie zagrożonych chorobami piersiowymi. Ale w tej gminie prześwietlamy wszystkie.

– O!

– Widzi pan, panie kolego, tutejszy wójt to naprawdę mądry człowiek. Choć wykształcenia nie ma, łebski z niego gość. Zebrali pieniądze na dodatkowe klisze i chce przebadać wszystkich. Zresztą wspiera co roku Towarzystwo Przeciwgruźlicze, prenumeruje biuletyn i widać żywo przejmuje się problemem. Jutro rano zaprasza nas na śniadanie. Proponuję udać się na spoczynek, czeka nas ciężki dzień. Niestety, w gminie nie ma lekarza, jedyne siły fachowe, na jakie możemy liczyć, to miejscowy felczer... – Doktor westchnął ciężko na samo wspomnienie.

*

Wójt mieszkał w okazałym drewnianym domostwie przy rynku. W ostatnich latach z tyłu dobudowano dużą werandę. Z okna roztaczał się widok na pola i otaczające dolinę lasy. Wójt był starszym, szczupłym, żylastym mężczyzną. Miał zniszczone, spracowane dłonie. Bardziej wyglądał na drwala niż urzędnika państwowego. Nosił krótką, starannie przyciętą brodę. Do stołu zasiedli też jego bliscy. Syn – piegowaty nastolatek w cienkich drucianych okularach, i żona – drobna blondynka z zadartym noskiem. Służąca wniosła samowar.

– Cieszę się, mogąc panów gościć w naszej gminie – odezwał się gospodarz. – No i raduję się niezmiernie, że tak wspaniale

urządzenia zdołaliśmy tu sprowadzić.

– To dość antyczny już aparat – westchnął doktor Skórzewski. – Ale jak pan sam rozumie...

– Na identycznym pracowałem jeszcze podczas studiów, dobre kilkanaście lat temu – sumitował się doktor Frycz.

– Lepszy taki niż żaden – uśmiechnął się wójt. – Czego to ludzie nie wymyślą! Człowieka na wylot prześwietlić, by znaleźć chorobę... Niemcy to jednak zmyślny naród.

– Och, nie przesadzajmy. – Doktor Paweł machnął ręką. – Pierwsze odkrycia, że fale elektromagnetyczne przenikają przez ciało, a jednocześnie odbarwiają kliszę fotograficzną, poczynił nasz rodak, Franciszek Dobrzyński, profesor nauk technicznych, pracujący na politechnice we Lwowie. I dokonał tego przed Roentgenem, bo już w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym. Używał generatora fal radiowych, który zbudował mu inżynier Rychnowski, a który to wynalazek przypisywany jest dziś Hertzowi. Wyniki swoich doświadczeń opublikował w kilku językach. Niemcy po prostu poszli tropem tej myśli i fakt, że efekt uzyskali lepszy, bo aby można uzyskać prześwietlenie metodą Dobrzyńskiego, obiekt musiał pozostawać w bezruchu przez około trzy godziny. Jednak już wtedy zasiano ziarno nadziei, że odkrycia naukowe pozwolą w przyszłości zajrzeć w głąb ludzkiego organizmu.

– Roentgen na początek dokonał prześwietlenia ręki swojej żony, uzyskał dobrej jakości negatywy, opublikował informacje i dziś całą zasługę przypisuje się jemu... Ale też pamiętajmy, że od czasów jego odkrycia metodę przez ponad trzy dekady udoskonalano. W każdym razie, cena aparatów bardzo spadła i dziś zdjęcia przy użyciu promieni X stosujemy coraz częściej – dodał doktor Frycz.

– Dostaną panowie do pomocy starego Mikołaja – powiedział gospodarz. – To wprawdzie z zawodu dekarz, ale niegłupi człowiek. Bardzo dużo czyta, prenumeruje ze trzy czasopisma

ilustrowane. Aczkolwiek ma on swoje narowy... Był przeszkolony na felczera w carskiej armii. Nie mamy w gminie lekarza, więc lżejsze przypadki trafiają do niego. Zajmuje się u nas także rwaniem zębów i bydełko leczy... Będzie gadał dziwne rzeczy – westchnął. – Puśćcie, proszę, mimo uszu. Nauczyciele też pomogą. W szkole czeka już lista wszystkich uczniów, proszę odznaczać, jakby kogo brakowało. Mój brat jest tu posterunkowym, zajdzie o pierwszej, dacie mu panowie spis nieobecnych, to przywlecze za kudły.

– Większy problem będzie, gdy okaże się, że są chorzy... – westchnęła żona wójta. – Pobyt w prewentorium kosztuje krocie. Ludzi na to nie stać...

– A w naszej kasie pustawo raczej – dodał szef gminy. – Ale jakby było trzeba, kilkaset złotych wygospodarujemy. A może ministerstwo coś dorzuci.

– Kryzys jest. Ledwo co wprowadzono złotówkę, a już się okazało, że nie trzyma kursu, i musiano wymieniać monety na nowe – powiedział syn gospodarzy. – Mówiono, że w złocie będą bili dziesięciozłotówki, takie z królem Bolesławem Chrobrym. W gazecie była nawet fotografia... To znaczy, że projekt był albo i próbne egzemplarze wykonano.

– Kryzys kryzysem, ale na pewne rzeczy pieniądze po prostu być powinny – uciął jego ojciec.

Lekarze spojrzeli na zegarki i dopili herbatę. Ambulans stał już przed szkołą. Nie wyglądał szczególnie pięknie, ale i tak prezentował się nieźle, jak na pojazd mający za sobą służbę na frontach wojny światowej. Za to budynek szkolny chyba niedawno oddano do użytku, bo deski elewacji nie zdążyły pociemnieć, a wzdłuż dachu krytego nowocześnie blachą ciągnęły się rynny. Ba, po kalenicy biegł nawet piorunochron.

– Budują ludzie szkoły w czynie społecznym, chcą kształcić dzieciaki, tę oddano dwa lata temu, cała wieś stawiała – doktor Frycz potwierdził niewypowiedziane przypuszczenia starszego

kolegi.

Obok ganku czekał felczer. Skórzewskiemu człowiek ten wydał się znajomy. Długą chwilę przetrząsał pamięć, przypominając sobie sanitariuszy, z którymi pracował na froncie, i nagle uświadomił sobie, że to przecież nie kto inny, tylko ten dziwny chłop, który wczoraj w gospodzie tak fachowo rozprawiał o wilkołakach. Doktor Frycz dokonał prezentacji.

Zabrali się do rozstawiania sprzętu. Namiot, ciemnia, ekrany, cewki... Uruchomili silnik auta, by mieć prąd do urządzenia. Felczer nie pracował dotychczas na podobnej aparaturze, ale wykonywał polecenia niezwykle sumiennie i dokładnie. Ze skąpych pytań, które zadawał, widać było, że łapie wszystko w lot.

Bystry człowiek, pomyślał doktor Paweł. Kto wie co zdołałby w życiu osiągnąć, gdyby los trochę mu pomógł... Może teraz, w wolnej Polsce będzie lepiej. Więcej dzieciaków skończy szkołę, wyjdzie na ludzi... Może uda nam się zbudować kraj, w którym wykorzystamy potencjał drzemiący w młodych, zdolnych ludziach?

– Pięć minut na fajeczkę i możemy brać się do roboty – powiedział młodszy lekarz.

Ponieważ tylko on palił, wyszedł przed namiot. Skórzewski i wieśniak zostali sami.

– Promienie X bardzo mnie interesują – przyznał felczer. – Pozwalają odkryć, co człowiek ma w środku, zatem, można powiedzieć, odsłaniają ukrytą rzeczywistość, pozwalają zobaczyć rzeczy takimi, jakimi są w rzeczywistości.

– Bardzo celna uwaga. Ale nie sądzę, by prześwietlenie pozwoliło ustalić, czy ktoś jest wilkołakiem...

Jego rozmówca żaden sposób nie okazał zdziwienia.

– Opowiadali panu o mnie...

– I sam coś tam wczoraj słyszałem w gospodzie.

– Wilkołaki – westchnął stary Mikołaj. – Mało kto w nie wierzy.

Ci moi bratankowie słuchają, jak gadam, ale swoje myślą... A ja... Głupio to powiedzieć, jednak przeżyłem w młodości wypadki, które zachwiały moją wiarą w, jak to mówicie w mieście, twardą rzeczywistość.

– Też widziałem pewne rzeczy, których nie da się racjonalnie wytłumaczyć – odparł Skórzewski. – Ale w wilkołaki jakoś trudno mi uwierzyć.

– Nie jest ich wiele... Kryją się. Ale gdy byłem na wojnie mandzurskiej, a potem w japońskiej niewoli, to gadałem z tamtejszymi mądrymi starymi ludźmi... Gdy opowieści z Polski, Rusi, Syberii i Mandżurii składają się ze sobą jak zaciosy w belce, człowiek nagle czuje, że coś jest na rzeczy.

– No panowie, do roboty – powiedział doktor Frycz, wchodząc do wnętrza. – Prawie półtorej setki dzieci czeka.

Nauczyciele przyprowadzali uczniów klasami. Dzieciaki rozbierały się do pasa, potem kolejno stawały między płytami. Skórzewski komenderował, jego kolega wymieniał i podpisywał klisze, a felczer pilnował kolejności. Uwinęli się nad podziw szybko. Pięcioro dzieci było chorych, ale pomoc policjanta nie była potrzebna, rodzice sami przyprowadzili je na badania. Obaj doktorzy, korzystając z okazji, zbadali tych malców i przepisali kuracje na – jak się okazało – dość banalne infekcje.

Wreszcie można było rozpocząć wywoływanie negatywów. Mijały godziny. Wójt przysłał im przez żonę obiad, zjedli pospiesznie i wrócili do pracy. Upłynęło sporo czasu, zanim wreszcie mogli chwilę odpocząć, wewnątrz ambulansu wypełniały suszące się na sznurkach klisze.

Doktor Frycz zabrał się do ich przeglądania. Widząc zaciekawienie felczera, zaczął pokazywać mu co ciekawsze przypadki, wskazując złamane żebra, zrosnięte kości i inne ślady urazów. Stary Mikołaj kiwał w zadumie głową, od czasu do czasu zadawał krótkie i bardzo rzeczowe pytania.

To mądry, bardzo mądry człowiek, dumiał Skórzewski,

przysypiając w fotelu. Tylko ta idée fixe z wilkołakami... Wbił sobie w głowę jakieś bzdury i teraz tkwią jak zadra.

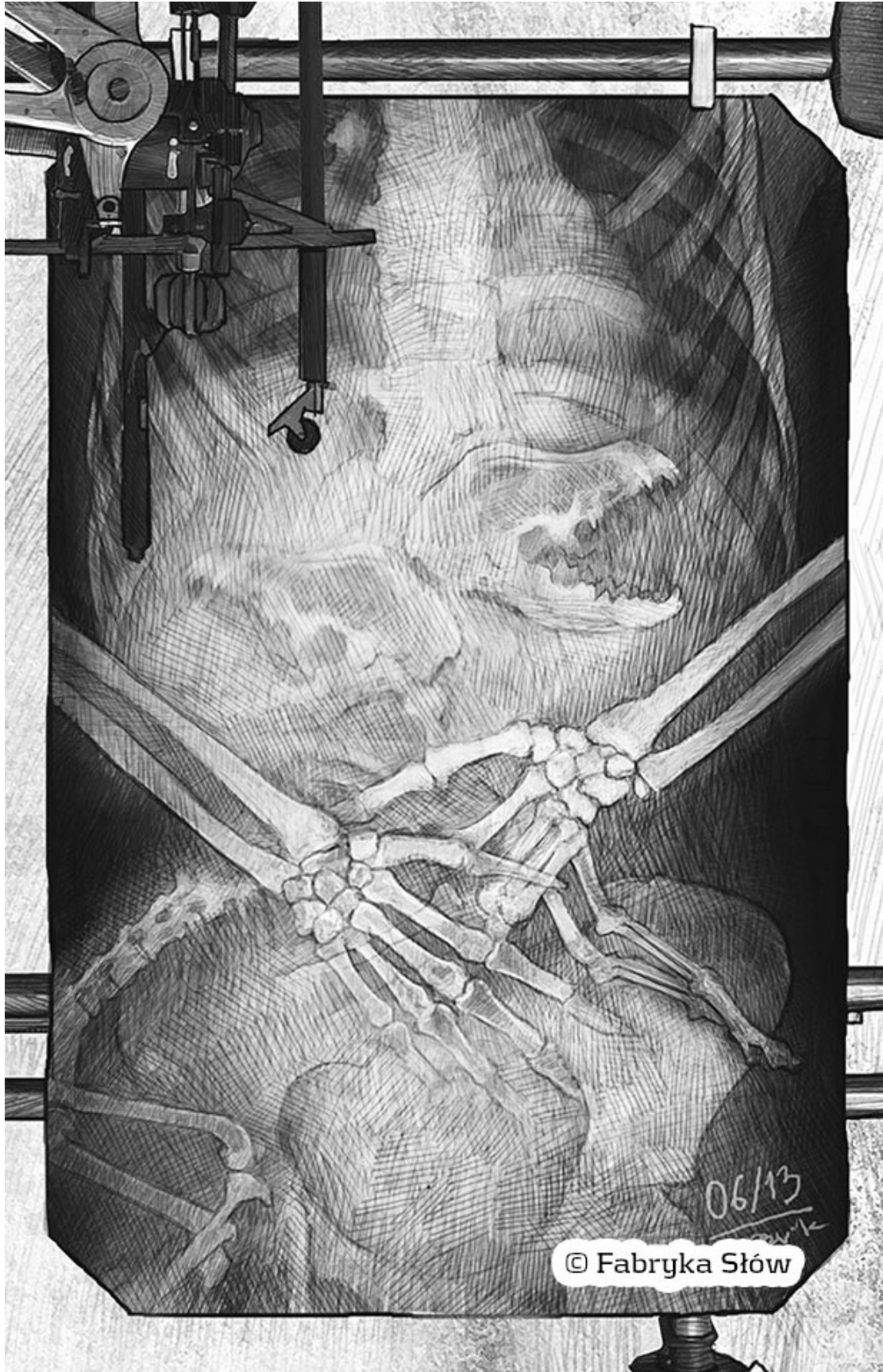
Nieoczekiwanie coś wyrwało go z zadumy.

– Co się stało? – Usiadł i poprawił okulary.

– Jeden z dzieciaków... Wygląda, jakby miał wilka w brzuchu – wykrztusił doktor Frycz.

– Że co?!

Stary felczer długo oglądał zdjęcie.



© Fabryka Słów

– To nie wilk, kości za delikatne, a zza nich prześwituje kręgosłup dzieciaka – orzekł wreszcie. – Któryś z tych małych huncwotów przemycił dużego kundla, podniósł i docisnął własnym ciałem do płyty.

Skórzewski ujął podaną mu kliszę. Przypatrzył się jej i wzruszył ramionami.

– Tak chyba było. No, niestety, zdjęcie zepsute. Ale wygląda całkiem zabawnie... Jak pozostałe?

– Żadnych anomalii – wyjaśnił doktor Frycz. – Wszystkie szkielety normalne... Osiem przypadków do dalszych badań, bo nie podobają mi się te zmiany, które zaobserwowałem.

– Mimikra – powiedział felczer.

– Co proszę? – zdumiał się doktor Paweł.

– Jeśli faktycznie mamy do czynienia z wilkołactwem... Jeśli w tej okolicy od średniowiecza żyją wilkołaki, to aby przetrwać tak długo, musiały się wtopić w otoczenie. Czyli bardzo trudno je rozpoznać.

– Co chce pan zasugerować?

– Nie przewidziały na pewno istnienia promieni X, ale wilcze cechy są dobrze ukryte. Nie dały się przyłapać, prześwietlenie nie zdradziło ich prawdziwej natury. Albo gdy tylko dowiedziały się, co je czeka, ich organizmy zareagowały, ukrywając to, co niezwykle. Moim zdaniem, nie musiały nawet robić tego świadomie. Sądzę, że zadziałał instynkt. Bo one tu są... Czuję to.

– Przyjmijmy, że faktycznie istnieją i że zdołamy je rozszyfrować... Zidentyfikować. Wyizolować. Co dalej? – prychnął doktor Frycz.

– Dalibóg, nie mam pojęcia – westchnął felczer. – Rzecz jasna, moglibyśmy je zabić. Wymagałoby to ściągnięcia oddziału wojska. Wtajemniczenia w sprawę oficerów. Co gorsza, ci oficerowie musieliby nie tylko nam uwierzyć, ale też mieć odwagę samodzielnego podjęcia takiej decyzji. Bo jak zaczną

konsultować to ze swoimi na górze ... Potem, no cóż, może da się je zaciukać i bez srebrnych kul... Tylko kto ma to zrobić? Żołnierze? Jeśli dostaną polecenie rozstrzelania w lesie kilkunastu istot wyglądających jak ludzie, w tym kobiet i dzieci, mogą się zbuntować. Gdyby zaś zarzynać odmieńców po cichu, trzeba by zakopać dyskretnie kilka, a może i kilkanaście trupów. Tak czy owak, jeśli ci ludzie znikną, ktoś będzie ich szukał. Sąsiedzi, znajomi, policja, wójt... Nie ukryjemy tego.

– Zakładając, że one tu faktycznie żyją – westchnął Skórzewski.
– Czy są sygnały, by atakowały ludzi?

– Tego powiedzieć nie mogę. Nie znam podobnego przypadku – przyznał stary.

– Więc może trzeba zostawić ten problem i nie martwić się nim? Nawet jeśli tu mieszkają, pewnie są niegroźne. Żyją? No to niech sobie żyją...

– Może i tak, ale żyć z nimi... To jak bawić się starym granatem. Może wybuchnie, może nie. Chciałbym wiedzieć kto... – mruknął felczer bardziej do siebie niż do nich. – Jeśli nie będę już potrzebny... Zajdę do zajazdu na piwo.

– Odwiedzimy tylko wójta i dołączymy – obiecał doktor Frycz.
– I nam coś się od życia należy po takiej pracy.

Stary wyszedł.

– Nie powiem, aż mnie zmroziło, jak tę kliszę obejrzałem – wyznał młodszy z lekarzy. – Ale zobacz, ten dziadyga, choć głądzi o wilkołakach bez przerwy, jednak nie dał się nabrać...

– Dziwny człowiek, ale swój rozum ma.

*

Piotrek nadrabiał miną, jednak szedł do gabinetu jak na ścięcie. Tego, że spotka tam nie tylko kierownika szkoły, ale też wójta i posterunkowego, absolutnie się nie spodziewał. Stał

w drzwiach, przestraszony.

– Co to jest? – syknął kierownik, oskarżycielskim gestem wskazując zdjęcie rentgenowskie.

Chłopak poczuł zimny dreszcz na plecach. Wczoraj, gdy wymyślił ten psikus, nie przewidział konsekwencji.

– To... eeee... To jest mój Azorek... – bąknął.

– Widzę, że nie mój Burek! Co cię podkusiło wziąć kundla do namiotu i prześwietlać się razem z nim?

– Bo ja... Bo ja chciałem zobaczyć, czy kości pieska też się pokażą na zdjęciu... – bąknął dzieciak. – Panowie doktorzy tacy zajęci byli, nie zauważyli go. Jak kazali stanąć za tą tabliczką, podniosłem psa i przytuliłem...

Kierownik westchnął ciężko. Bardzo ciężko. Spojrzał na portret Piłsudskiego, jakby od niego oczekiwał natchnienia.

– Prześwietleń promieniami nie robi się dla zabawy – powiedział wreszcie zmęczonym głosem. – Nasz rząd, mimo braku pieniędzy, dba jak tylko może o wasze zdrowie. Topi się miliony w programach badań, w zakładaniu poradni przeciwgruźliczych i prewentoriów. W próbach tuberkulinowych krów, żebyście pili mleko bez ryzykowania. Teraz taki fantastyczny sprzęt nam przysłano. A wiesz, głupku, ile było z tym zachodu? A jakie koszta? I z ministerstwa pieniądze dano, i Towarzystwo Przeciwgruźlicze składki ciężko pracujących ludzi poświęciło, i z naszych gminnych pieniędzy poszło, cośmy uciuli!

– Wszystko dla was, smarkacze zatracone – dodał wójt. – Byście rośli zdrowi na pociechę i pożytek dla naszego kraju. A wy, niewdzięczni gówniarze, nie umiecie uszanować tego, co władza dla was robi! – Wskazał gestem godło państwowe.

– Tylko wam głupie psoty w głowie! – dodał jego brat policjant. – Czy ty wiesz, jak cenny jest czas lekarza? Wiesz, ile to kosztuje? Wiesz, że w mieście za takie jedno zdjęcie trzeba dwadzieścia pięć złotych zapłacić?!

– Ja... ja przepraszam...

– A ty wiesz, co by było, jakby stary Mikołaj uwierzył, że jesteś wilkołakiem? Znasz jego wydumania! Całkiem sobie nimi umysł zwichnął. Przecież przy pierwszej sposobności zarębałby cię siekierą! – syknął wójt.

– Za karę przez dwa tygodnie będziesz zostawał codziennie po lekcjach, każdego dnia zamieciesz, wybierzesz popiół z pieców i wyszorujesz szkolny korytarz oraz ubikacje na wysoki połysk. I żeby mi to było ostatni raz! – huknął kierownik. – Wynocha!

– Tak jest...

Dzieciak wyszedł ze spuszczoną głową.

Kierownik szkoły otworzył szafkę w biurku, wyjął butelkę winiaku. Spojrzał pytająco na obu kuzynów. Ci skinęli głowami. Nalali sobie na dno szklanek i wypili.

– Różni uczeni ludzie tu przyjeżdżali – rzekł posterunkowy. – Spece od melioracji, inżynierowie od budowy drogi, lekarze, agronomowie. Ba, nawet archeolodzy jednego lata buszowali. Nikomu nawet do głowy nie przyszły podobne myśli... A tu takie zdjęcie jak niepodważalny dowód.

– Dobrze, że ci lekarze to uczeni ludzie i od razu poznali, z czym mają do czynienia. Bo jakby, nie daj Boże, uwierzyli w bajdurzenia starego...

– Mógł nam głupi dzieciak narobić kłopotów. Dobrze, że nasi goście już wyjeżdżają. Czujecie? – Pociągnął nosem.

Stanęli we trójkę przy otwartym oknie. Wiatr dął od lasu. Aromat przeoranej ziemi trochę głuszył zapachy, ale wyłapali nutkę interesującej woni.

– Sarny... Co najmniej kilka sztuk... – szepnął kierownik. – Przygotujcie się na wspaniałą ucztę. Pełnia już pojutrze...

Lalka



Krzesło stało obok śmietnika, zauważyłem je kątem oka. Zwolniłem kroku, a potem zawróciłem i podszedłem bliżej.

Albo przedwojenne, albo tuż powojenne, wykonane przez starego stolarza, pomyślałem. Drewno bukowe... Pokrycie do wymiany, sprężyny zapewne też... Lakier trzeba ściągnąć i położyć na nowo. Nóżka uszkodzona... Na szczęście tylna.

Zawahałem się. Żeby doprowadzić je do jakiego takiego stanu, trzeba poświęcić ładnych kilka godzin. A mebelek po fachowej renowacji i tak będzie wart nie więcej niż trzy stówy... Warto? Nie warto. Z drugiej strony, nie miałem aktualnie żadnych zleceń. Kompletnie nic do roboty. No i w kuchni się coś takiego przyda, gdyby ktoś przyszedł... Poza tym to coś z przeszłości. Jeśli pójdę dalej, zniknie kolejny element przedwojennej Warszawy.

Rozejrzałem się wokoło, czy nie wypatrzę w pobliżu jeszcze czegoś ciekawego, a potem zarzuciłem je sobie na ramię i pomaszerowałem w stronę ulicy Targowej. Do wieczora została może godzina. W bramach kamienic było już mroczno. Wiedziałem, że niebawem zaczną wypełzać z nor ci mieszkańcy dzielnicy, którzy preferują życie w ciemnościach. To już nie była ta sama Praga, co dekadę temu – zdecydowana większość kiziorów po prostu wymarła, ale nadal można było dostać tu w łeb. Tytus, mój znajomy Cygan, zamykał właśnie sklepik z, khm... nazwijmy to: „antykami”. Na mój widok wyraźnie się

ucieszył.

– Zdobyłem dla ciebie okulary – powiedział. – Chyba dokładnie takie, o jakie prosiłeś. Zajdziesz na chwilę?

– Na chwilę...

Zdjąłem z ramienia krzesło i rozmasowałem zdrętwiałe od ciężaru miejsce.

– Mebelek upolowałeś? – Otaksował mój łup uważnym kupieckim spojrzeniem brązowych, wyłupiastych oczu.

– Stało przy kontenerze, co się będzie marnować...

– Słusznie. Ale jakby ci się nie chciało nieść go dalej, to dam dwie dychy.

– E, nie. – Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową.

Nie naciskał. Weszliśmy do sklepiku. Tytus od dawna buszował po Szmulkach i co tylko wygrzebał ciekawego, ściągał do swojej nory. Autochtoni też znosili mu różne różności. Większość jego towaru to była typowa starzyzna, ale miał niezłe oko i czasem trafiały mu się lepsze rzeczy, jak na przykład „prawie autentyczny” obraz Kossaka. Wnętrze było ciemne i zagracone, tylko w jednym kącie paliła się mała lampka. Przy stoliku siedziała stara jak świat Cyganka, wyglądająca jak wiedźma. Cienkie niczym szpony palce opłotła wokół szklanki. Paliła cygańską fajeczkę na długim cybuchu. W powietrzu unosiła się woń tytoniu, ale wyczuwałem w dymie też jakieś zioła.

– Gdzie ja to wsadziłem... – Tytus wysunął szufladę biurka i przekładał wypełniające ją pudełka. – O, jest!

Podał mi stare, tekturowe etui. Obejrzałem okulary. Kobaltowe szkło, cienka druciana oprawka z szylkretowymi zausznikami. Noski do wyczyszczenia...

– Idealne. Ile chcesz?

– Tanio kupiłem. Myślę, że pięć dych będzie akurat.

– Stoi. – Kiwnąłem głową.

Z uśmiechem wyjął banknot z przegródki i oddał mi... mój portfel. Kiedy ten sukinsyn zdążył go wyciągnąć!? Przecież

uważałem.

– Gdybyś jeszcze czegoś potrzebował, daj tylko znać.

– I wzajemnie. – Ukłoniłem się. – Zawsze do usług.

Miałem się już zbierać, ale zatrzymała mnie starucha.

– Niech podejdzie – odezwała się.

Mówiła cicho, ale wyraźnie. Nie miałem szczególnej ochoty na rozmowę z nią. Wyglądała na taką, która na co dzień zjada dzieci żywcem... Ale, z drugiej strony, nie wypadało odmówić. Podszedłem. Szponiastą dłonią wydobyła z kieszeni starą zatłuszczoną talię.

– Przełóż karty – poleciła.

– Nie dotykam się takich rzeczy – zaprotestowałem.

Zaśmiała się ochryple.

– Jest w tym, co rzekłeś, głębsza mądrość – przyznała. – Diabeł przez nie gada. Ale diabeł jest gadatliwy. Jak komuś może przepowiedzieć nieszczęście, to nie utrzyma jęzora za zębami. Dobre rzeczy może będą, może nie. Ale złe to już jak w banku... Przełóż.

– Ech, nie... – Pokręciłem głową.

– Można i bez tego, ale mniej wtedy widać – powiedziała jakby do siebie.

Zaciągnęła się i puściła eleganckie kółeczko. Fachowym ruchem rozsypała kartoniki na stole. Myślałem, że użyje kart do tarota, ale okazało się, że wystarczyły jej zwykłe. Nie wiedziałem, czy to lepiej, czy też gorzej. Najchętniej odwróciłbym się i wyszedł, ale Tytus stał tak, że blokował jedyne wąskie przejście między meblami.

– To ty. – Uderzyła palcem w króla kier. – Podejmiesz działanie, a wtedy pojawi się wróg... Wokół zaplecie sieć... Ale on nie będzie wiedział, czy uderzyć. Zawaha się. On mocny, choć moc jego z roku na rok słabsza... Zechce cię zabić albo i nie. Może być tak albo siak.

– Każdy ma jakichś wrogów – zauważyłem filozoficznie. – Ale

ja akurat chyba wcale...

Uciszyła mnie gestem. Długo tasowała karty i rozsypała jeszcze raz. Zauważyłem, że układ jest niemal identyczny. Poczułem chłód na karku.

– Zdradzi cię to, co nie jest nawet żywe... – mruknęła. – Wir śmierci ogarnie cię, ale nie zatopi. Ty też uważaj, bo za blisko podejdziesz, a potem za daleko zawędrujesz... – Wlepiała spojrzenie w Tytusa.

Wzdrygnął się. Popatrzyła jeszcze w karty i coś wymamrotała pod nosem, a potem zgarnęła je na kupkę i schowała do kieszeni. Pyknęła sobie z fajki.

– No cóż, dziękuję za radę... – bąknąłem.

Szkoda, że nie mam przy sobie soli egzorcyzmowanej, przemknęło mi przez głowę.

Siorbnęła tego, co miała w szklance. W ciasnym pomieszczeniu mimo dymu poczułem zapach wanilii. Myślałem, że babka pije herbatę, a tymczasem był to najwyraźniej mocny czeski rum.

– Dziwny z ciebie człowiek – burknęła. – Nie lubisz nas jak cholera, ale ciągnie cię między naszych. No i, co najważniejsze, ludzie nie dają sobie wróżyć, bo w to nie wierzą. Uważają nas za oszustów i często nawet mają rację... A ty nie dajesz sobie wróżyć, bo w to wierzysz. – Zaśmiała się ochryple. – Zbyt często dotykałeś nienazwanego... Ty nie musisz wierzyć, bo już wiesz, że jest coś tam, po drugiej stronie... I ty też to zrozumiesz niebawem... – warknęła pod adresem Tytusa. – Tyle jest rzeczy ważnych i nieważnych. Oraz takich, które wydają się ważne, ale są nieważne. I na odwrót oczywiście też. Wam, młodym, brak rozeznania. Gorące głowy... Czasem ostudzenie przychodzi jak powiew mroźnego wiatru przez uchylone drzwi... – Zachichotała.

Odprawiła nas władczy gestem i otoczyła się kolejnym kłębem ziołowo-tytoniowego dymu. Spostrzegłem, że źrenice ma rozszerzone. Może dlatego, że siedziała w półmroku, a może te

ziółka zawierały atropinę i inne paskudztwa? Pożegnałem się i z prawdziwą ulgą wyszedłem na pogrążającą się w mroku ulicę. Zarzuciłem sobie krzesło na ramię. Idąc, odpiąłem zegarek z oparcia mebelka i założyłem na nadgarstek.

– Ech, Tytus, Tytus – burknąłem pod nosem.

W domu byłem kilka minut po ósmej. Nie miałem tego wieczora kompletnie nic do roboty, więc mogłem zabrać się od razu do renowacji mebla. Postawiłem krzesło na stole warsztatowym, zapaliłem dodatkowy halogenek i przystąpiłem do oględzin. Drewno było zdrowe, jak na swój wiek w dobrym stanie, tylko trochę pociemniało. Obicia nie dało się uratować. Wykonano je ze starego worka albo podobnego kawałka marnej przemysłowej tkaniny... Gdy wyrwałem pokrzywione zardzewiałe gwoźdźniki, zobaczyłem resztki wcześniejszej tapicerki. Przedwojenny zakard był kompletnie zetlały, rozłaził się w palcach.

Głębiej była porządna wyściółka z przestebnowanego gęsto końskiego włosia. Ona nieźle zniosła próbę czasu, ale też wymagała już wymiany. Uniosłem ją i zobaczyłem sprężyny. Uczciwa stal, wyglądały na carskie. Poczerniały z wiekiem, ale nie zardzewiały, tylko dwie były złamane.

To się wymieni, pomyślałem. Chyba mam nawet coś odpowiedniego na pawlaczu albo w szopie.

Sprężyny fachowo powiązано sznurkami, one trzymały się zaskakująco dobrze. Pewnie te sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt lat wcześniej porządnie natarto włókna woskiem... Musnąłem węzły opuszkami palców. Trzeba będzie rozpleść. Rozwiązać coś, co związał ktoś być może nieżyjący już od kilku dekad... Dziwna to była myśl... Od spodu sprężyny podtrzymywane były plecionką, złożoną z parcianych pasków. Zbadałem je i uznałem, że nie wymagają jeszcze wymiany. Widać było, że krzesło robił fachowiec co się zowie. Wszystkie elementy idealnie spasowano. Tylko jeden drobiazg burzył

wrażenie idealnego porządku. Sięgnąłem w głąb i wyciągnąłem kawałek zaśniedziałej mosiężnej rurki. Była na obu końcach zaślepiona kuleczkami z poczerniałego wosku. Obróciłem ją w palcach. Poczułem ledwo tłumione podniecenie.

Przypomniałem sobie czytaną w dzieciństwie książkę z biblioteczki dziadka – „Dwanaście krzeseł” Ilfa i Pietrowa.

– „Skarb ukryty przez burżuazję” – mruknąłem. Tylko tym razem zamiast dużego zbioru biżuterii samotna rurka pełna brylantów, schowana w krześle...

Wyskubałem zatyczkę.

– No cóż, brylanty widocznie schowano w innym mebelku... – westchnąłem, wytrząsając na blat zwitek papieru owinięty czarną nitką.

Papier także nawoskowano, zwitek skleił się. Wziąłem pęsetę, z łazienki przyniosłem suszarkę do włosów. Gdy podgrzałem zwitek, warstwy zaczęły się rozdzielać. Delikatnie pracowałem nad znaleziskiem.

– Jak mnich Antonio Piaggio latami rozwijający zwęglone zwoje papirusowe z Herkulanum... – mruknąłem.

Wreszcie rozwinąłem papierek do końca. Miałem przed sobą kawałek przedwojennej mapy sztabowej. Przedstawiała fragment drogi, groblę przecinającą bagienko i skrawek lasu. Na samym skraju papierka widoczne były pierwsze domy i nazwa wsi. Obok grobli ktoś zaznaczył czarnym tuszem dwa krzyżyki. Przy nich wykalgigrafowano trzy literki: TKS.

Zmarszczyłem czoło. Skądś znałem ten skrót.

Mały czołg rozpoznawczy lub wedle polskiego nazewnictwa tankietka, przypomniałem sobie. Taka mała bździna na gąsienicach, bez działa, tylko z bronią maszynową. Do wyposażenia armii weszły w drugiej połowie lat trzydziestych. Niby takie nic, w dodatku nie mieliśmy ich dużo, ale zamontowano w nich ciężkie karabiny przeciwpancerne, które nawet z odległości pół kilometra dziurawiły niemal każdy

ówczesny niemiecki czołg. Solidnie zadały szkopom bobu... Ciekawe, czy w polskich zbiorach muzealnych jest choć jeden kompletny egzemplarz? Bo tak mi się zdaje, że dwie sztuki mogą leżeć w tym błocie. Można by je wyciągnąć, wyczyścić, zakonserwować, oczywiście o ile nadal tam są. Mnie ta informacja na grzyba, ale znam kogoś, kto się bardzo ucieszy.

Zacząłem grzebać w szufladzie, poszukując notesu z numerami telefonów. Zapunktuję sobie u jednego kolekcjonera... A krzesło przecież też się przyda.

Cztery tygodnie później

Pukanie do drzwi wyrwało mnie z zadumy. Odłożyłem bukową kostkę introligatorską, wyjrzałem przez judasza. Arek. Wpuściłem chłopaka do środka. Wyglądał marnie. Zawsze był szczupły, ale teraz wychudł wręcz niezdrowo. Nie opalił się tego lata prawie wcale. Widać całe wakacje spędził w czterech ścianach, czytając książki. Rozumiałem jego pasję, ale mimo wszystko powinien trochę się poruszać. Na przykład zobaczyć niektóre miejsca, o których czytał.

– Byłem niedaleko – powiedział. – Pomyślałem, że wpadnę dowiedzieć się, jak poszło z tą tankietką. Nie chwaliłeś się, czyli kłapa?

– Nawet gorzej niż kłapa – westchnąłem. – Chodź, pogadamy, herbaty zrobię... – Pchnąłem drzwi do salonu.

Wszedł i zatrzymał się w progu, zaskoczony.

– Dzień dobry pani – ukłonił się odruchowo.

– Ach, tak... Zapomniałem ci powiedzieć. To jest Izaura. Mieszka tu już od tygodnia.

Chłopak mrugnął i poprawił swoje grube okulary. Łypnął okiem, poprawił raz jeszcze, wreszcie podszedł dwa kroki.

– No cholera! – sapnął. – Myślałem, że masz gościa. A cóż to znowu takiego? Przecież nie manekin?

– To lala z sex shopu – wyjaśniłem, wzruszając ramionami. – Tylko nie taka zwyczajna nadmuchiwana, ale realistyczna, silikonowa. No i nie z takiego zwykłego sklepu. Trzeba w USA zamawiać. Kosztują takie po jakieś dwa, może trzy tysiące dolarów. Albo jeszcze więcej, bo tak mi się widzi, że to towar chyba z najwyższej półki.

– Wygląda prawie jak żywa – bąknął.

– Odrobiona bardzo ładnie. Przypatrz się oczom albo dłoniom. Majstersztyk. Linie papilarne, paznokcie... Brwi i rzęsy chyba z sierści norki. Włosy też wyglądają na naturalny jedwab. Gdyby nie jej jednoznaczne łózkowe przeznaczenie, powiedziałbym, że to prawdziwe dzieło sztuki.

Milczał przez chwilę, widocznie trawił informację.

– Nie wiedziałem, że masz takie zainteresowania – powiedział wreszcie. – Ale w sumie, samotny mężczyzna, libido skacze... Rozumiem cię.

– Nie spółkuję z nią – uciałem. – Daj spokój, to byłby jednak straszny obciach...

Zamyślił się głęboko.

– No to już nic nie rozumiem – przyznał. – Masz kosztowną zabawkę, której zwykle używa się w wiadomych celach, a u ciebie tak sobie siedzi przy stole i gapi się, jak książki oprawiasz albo meble konserwujesz?

– Mniej więcej. Czasem warto z kimś pogadać, jak chandra złapie. Albo poopowiadać, co się robi. Myśli wypowiedziane na głos same się układają... To znaczy ona wprawdzie nie odpowiada, ale słucha... No, ma minę, jakby rozumiała – wyjaśniłem.

– Nie masz do kogo gęby otworzyć, więc kupiłeś sobie manekina w cenie samochodu? – Wytrzeszczył oczy. – Kurde, nie obraż się, jeździsz takim trupem, że może trzeba było

zainwestować w lepsze auto?

– Nie kupiłem jej. Przyszła pocztą. Od Marty w prezencie, o, tu mam list...

Wyjąłem z regału kartkę.

– „Masz tu coś na pocieszenie” – odczytał. – Yyyyy... To już kompletnie nie rozumiem. Chciała być miła czy może cię poniżyć?

– Patrząc chłodno i obiektywnie, zapewne poniżyć – westchnąłem. – Taki pożegnalny kop w nerki. Choć z drugiej strony, tyle kasy wydała... No niby bogata jest, już z dziesięć sklepów mają z ojcem, więc wydanie, powiedzmy, dwunastu tysięcy, chyba nie stanowi dla niej problemu.

– Dwanaście patyków!?! – jęknął. – Ileż fajnych książek by za to było!

– No właśnie. Kwota mimo wszystko trochę wariacka... Sam nie wiem. To nielogiczne. Może jednak Marta mnie lubi i chciała, żebym nie był smutny, gdy zerwała zaręczyny.

– I uznała, że pocieszysz się w ramionach gumowej lali? Aż tak nisko cię oceniała?

– Wydaje mi się, że zagoniona przy robieniu pieniędzy nie umiała dostrzec mojej romantycznej natury. A może wróci kiedyś do mnie, a wtedy zobaczy, jak ładnie ubrałem i umalowałem Izaurę? Ucieszy się, że mi prezent przypadł do gustu.

– Zatem dostałeś silikonową lalę, skombinowałeś jej ubranie z ulubionej epoki i okulary. O, i nawet buciki ładne...

– Szczerze powiedziawszy, w odpowiedniej sukni i okularach wygląda znacznie inteligentniej. Na spacer jej nie wyprowadzam, więc kapelusz i torebkę mogłem sobie darować...

– Czemu szkła takie niebieskie?

– Kobaltowe. Pierwsza ćwierć dziewiętnastego wieku – wyjaśniłem. – Pamiętasz ekranizację „Pana Tadeusza”? Tam jest scena przy stole i jedna z kobiet, chyba żona ruskiego oficera, ma

na nosie bardzo podobne. Widać je może przez pięć sekund...

– Znaczą się, konsultant filmu znalazł się na rzeczy...

– Owszem. Wprawdzie kupiłem je wcześniej i planowałem wykorzystać do innych celów, ale zobacz, jak jej do twarzy.

– Cool... I teraz to plastikowe cudo siedzi sobie przy stole. – Arek pochylił się i przez dłuższą chwilę przyglądał się jej z bliska. Dotknął ostrożnie policzka. Nacisnął delikatnie.

– Ma nawet zęby w buzi – zauważył. – Mogę mówić szczerze? Ja bym odesłał do nadawcy albo wyrzucił. Albo sprezentował jakimś onanistom. Nie mam tu akurat na myśli siebie. – Puścił do mnie oko. – Ale pewnie kogoś by to bardzo ucieszyło.

– Tak właściwie to dla mnie teraz pamiątka... Bo wiesz, poza zdjęciami nic mi nie zostało. Nigdy nie dostałem od Marty żadnego prezentu... Tylko ten jeden. Jeśli do mnie nie wróci... – Poczujęm gułę w gardle.

– Jeśli mam być szczerzy, to pewnie nie wróci – westchnął. – Może idź do schroniska i weź sobie psa czy kota? – zaproponował życzliwie. – Będziesz miał coś bardziej, że się tak wyrażę, interaktywnego...

– Zbyt często jestem poza domem – odparłem. – Jak jadę w teren, to psa mogę zabrać. Ale jeśli mam posiedzieć cały dzień w bibliotece... Wiesz, takie zwierzę trzeba wyprowadzać, a jak złapię trop, to nie lubię przerywać. Z kolei kiedy jestem w domu, ciągle mam coś do roboty. Często nie ma czasu zjeść, a co dopiero bawić się ze zwierzakami.

– To może zatrudnij dziewczynę do sprzątnia?

– Brak kasy. To znaczy kasa może by się i znalazła, ale zawsze są pilniejsze wydatki. No i coś trzeba odłożyć na wakacje. Chcę wreszcie pogonić za pewnym marzeniem z młodości...

Zrobiłem herbatę. Arek usiadł przy stole. Obracał łyżeczkę w palcach i popatrywał na lalę z mieszaniną ciekawości i rezerwy.

– Można przywyknąć do jej obecności – powiedział. – Nawet

miła ta buzia... I sylwetka naturalna, znaczy bez cycków jak arbuzy. Nie interesowałem się tym tematem, ale sądziłem, że robią je takie bardziej w stylu jak spod latarni. A można ją inaczej posadzić?

– Wewnątrz jest metalowy szkielet, stawy są na zatrzaski. Można postawić, posadzić i położyć w dowolnej pozycji. Jakbyśmy chcieli, żeby wyglądała na aktywną uczestniczkę naszej rozmowy, to nawet kubek w dłoni utrzyma – wyjaśniłem.

– Ciekawa rzecz, ale za duzi chyba jesteśmy na zabawę lalkami. Lepiej opowiedz o tych poszukiwaniach – poprosił.

– No więc mieliśmy dość konkretny trop. Mój znajomy zawarł układ z Muzeum Wojska Polskiego. Dostał zgodę na poszukiwania i wydobywanie obu pojazdów. W zamian miał wykonać ich fachową konserwację i przekazać im do zbiorów ten, który będzie w lepszym stanie. Wszystkie koszty wziął na siebie, a oni tylko zapalili zielone światło i przepchnęli sprawę u konserwatora. Zresztą współpracował już z nimi wcześniej.

– Brzmi uczciwie. Tylko po co komu czołg? W ogródku chciał postawić czy jak?

– Raczej pod wiatą za domem, tam, gdzie reszta kolekcji. Nawiasem mówiąc, czołg już ma.

– Kto bogatemu zabroni?

– Ano właśnie. W każdym razie sprawę udało się dogadać i wszyscy byli zadowoleni. Spacer po podmokłych łąkach z magnetometrem protonowym odbyliśmy w poniedziałek. Pomiar dał niemal natychmiastowy efekt. Przeciągnęliśmy antenę nad bajorem i znaleźliśmy bardzo silne echo. Wielkość przedmiotu i szacowana masa, na ile byliśmy w stanie zmierzyć, też się zgadzały. Pozostało ugadać miejscowych strażaków, żeby odpompowali wodę. Z pobliskiej firmy budowlanej wynajęliśmy człowieka z dźwigiem, a znajomi laweciarze czekali tylko na sygnał, kiedy podjechać i zabrać to, co wyciągniemy. Władze gminy też nie miały obiekcji. Mnie kolekcjoner obiecał trzy

tysiączki „pod stołem” za cynk.

– A druga tankietka?

– Mieliśmy kolejne echo kawałek dalej, ale okazało się, że to tylko blacha od siewnika... Wiesz, jak to bywa z planami i mapami. Nie zawsze są precyzyjne. No i sporo czasu minęło. W latach siedemdziesiątych sporo takiego sprzętu rdzewiało jeszcze po lasach, ale pościągano wraki i przetopiono w hutach w ramach budowy drugiej Japonii, czy co tam Gierek obiecywał. Zabraliśmy się do roboty w środę rano. Mimo to na miejsce akcji zeszło się chyba z pół wsi. Ludzie stali za rozciągniętymi linami, popatrywali i komentowali. Strażackie pompy pracowały pełną parą. Mieli takie naprawdę porządne, co to uciągną i czystą wodę, i błoto, i wszelaki syf... Początkowo wszystko szło jak trzeba. Poziom wody opadał gdzieś centymetr na minutę. I nawet słoneczko uśmiechało się do nas przez dziurę w chmurach.

– A potem, jak znam życie, wszystko się zesrało?

– Ano niestety. Zrobiłem z siebie kosmicznego idiotę, w dodatku naraziłem Grono Jarzębiny na stratę ładnych kilku tysiączków, zainwestowanych w akcję. W każdym razie woda opadła jeszcze trochę i zobaczyliśmy dach małego fiata...

– Że niby co!? – Arkowi szczęka opadła.

– W bajorze zamiast czołgu był zatopiony beżowy maluch. Nikt z tubylców nie pamiętał, by komuś w okolicy zginęło takie autko. Odpompowaliśmy jeszcze trochę i wtedy się okazało, że jest podziurawione jak sito, to znaczy ma przestrelone tylne szyby, a za kierownicą siedzi trup.

– Szkielet znaczy?

– To było niemal torfowisko. Woda w czymś takim zawiera od groma garbników, kierowcę zmumifikowało, zupełnie jak tych nieszczęśników, których się znajduje na bagnach Jutlandii. No i się zaczął pożar w burdelu. Miejscowy posterunkowy musiał zadzwonić do naczalstwa. Przyjechała ekipa z Warszawy zabezpieczyć zwłoki, natarli nam trochę uszu, pracownik

muzeum na szczęście był z nami na akcji, bronił... Potem przesłuchania, protokoły... Osiem godzin ostrego magla... A miejscowi będą mieli o czym w knajpie opowiadać przez kolejne pół roku. Albo i dłużej.

– Jak długo ten fiat tam leżał?

– Ze czterdzieści lat. Miał blachy z końca lat siedemdziesiątych – wyjaśniłem.

– I trup tyle czasu się zachował?!

– Głównie została z niego skóra i kości. Wyglądał koszmarnie... Swoją drogą, nauka zna takie przypadki. W krakowskim muzeum mają nosorożca włochatego, którego przed wojną wyciągnięto na dzisiejszej Ukrainie z solanki. Kilkanaście tysięcy lat się macerował, a gdzieś siedemdziesiąt procent skóry było zachowane...

– A te tankietki? Będziesz ich jeszcze tam szukał?

– Będę. Takich tropów się nie odpuszcza. Tylko muszę poczekać, aż magnetometr będzie wolny. Bo to jednak trzeba kilka dni poświęcić. Jeśli tam są, dostanę je!

Pogadaliśmy jeszcze chwilę. Wreszcie pożegnaliśmy się i wyszedł.

– Bystry chłopak – powiedziałem do Izaury. – Tylko zdrowie sobie w końcu zmarnuje. Nie to, żebym był przeciwny czytaniu książek, ale w życiu trzeba szukać harmonii, właściwie wyważyć proporcje wysiłku intelektualnego i fizycznego.

Nie odpowiedziała, ale minę miała taką, jakby rozumiała.

– Musisz też przyznać, że redukcja zainteresowań i pasji wyłącznie do historii drugiej wojny światowej jednak trochę ogranicza... Wierzę wprawdzie w specjalizację, ale interdyscyplinarność zainteresowań też jest ważna.



© Fabryka Słów

Urwałem monolog. Kurczę, do tego, że nie odpowiada, zdążyłem przywyknąć, ale gdyby chociaż kiwała głową... Wróciłem do przerwanej pracy. Sześćdziesiąt starych książek czekało na konserwację i oprawienie. Postanowiłem, że dziś popracuję do drugiej, no maksymalnie do trzeciej w nocy... A potem spać.

Zeszło mi do piątej.

*

Dochodziła dziewiąta, gdy zadzwoniła komórka. Rozkleiłem z wysiłkiem powieki i spojrzałem na wyświetlacz. Piotrek.

– Halo.

– Jest problem – powiedział bez wstępów. – Grubsza afera się kroi. Pamiętasz fiata, którego znalazłeś?

– Pamiętam... A co? No tak, pracujesz w wydziale zabójstw – przypomniałem sobie. – Znaczący oddelegowali cię do tej sprawy?

– Nazywamy to inaczej – westchnął. – W każdym razie sytuacja jest cholernie poważna i trzeba pogadać. Wpadnij do mojego biura o trzynastej. Będę miał pewnego gościa. I to głównie z nim będziesz musiał rozmawiać.

Zrobiłem pospieszny rachunek sumienia. Wyszło mi, że nie powinni się mnie czepiać, bo i za co? Operacja wydobywcza była całkowicie legalna. Szukałem czołgu, znalazłem wrak auta i ciało. Każdemu wolno przypadkowo znaleźć trupa. I nie mogli mnie wiązać z jego śmiercią, bo gdy się utopił, chyba nie było mnie jeszcze na świecie.

*

Siedzieliśmy w biurze we trzech. Ja, mój kumpel i starszy

mężczyzna o kompletnie nijakiej twarzy. Miał oczy, nos, usta, ale wszystko to złożone razem dawało oblicze doskonale przeciętne. Odział się w tani garnitur z marketu, buty też miał byle jakie. To on prowadził rozmowę. Nie przedstawił się, nie powiedział też, gdzie pracuje, ale było w jego sylwetce coś wojskowego. Mój przyjaciel tytułował go majorem.

– Na początek zapytam, czy ktokolwiek kontaktował się z panem w sprawie znalezionego auta – zaczął przesłuchanie.

– Nikt.

– Hm, to dziwne i nawet, rzekłbym, niepokojące. Bo widzi pan, do wielu świadków tych prac już zapukano.

– Kto pukał? – zainteresowałem się.

– Dwaj faceci udający policjantów. Prosilili o pięć minut rozmowy. Pytali o samochód, co znaleziono w środku. Czy ludzie widzieli jakieś teczki, pakunki i tego typu rzeczy.

– Przebierańcy – podchwyciłem.

– Udający doskonale funkcjonariuszy, zmylili nawet posterunkowego z miasteczka! Dopiero pański przyjaciel kolekcjoner zorientował się, że coś jest nie tak, stary lis. Zapamiętał nazwiska z legitymacji oraz numery na blachach i sprawdziliśmy ich w bazie. Nie ma takich policjantów.

Przez chwilę trawiłem informacje.

– Kto ich wysłał?

– Tak teoretycznie, to my jesteśmy od tej roboty i to my powinniśmy ich wysłać, problem w tym, że z tego, co wiem, nie robiliśmy tego – powiedział.

– Jest pan z kontrwywiadu?

Spojrzał na mnie zarazem ciężko i z uznaniem.

– Jakby przyszli do mnie, co mam robić? – zapytałem.

– Raczej nie przyjdą, ale gdyby się jednak pojawili, proszę z nimi pogadać i będziemy wdzięczni za film z tej rozmowy. O ile się nagra, bo mogą mieć przy sobie różne sprytne zabawki, od których elektronika głupieje.

Byłem ciekaw, skąd wie, że mam w salonie monitoring, ale jakoś głupio było pytać.

– Czego szukają? – zapytałem prosto z mostu. – Skoro w aucie miała być jakaś teczka, zakładam, że to kumple nieboszczyka albo, co bardziej prawdopodobne, jego wrogowie.

– Owszem. Powiem wprost. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku zaginął w Polsce szpieg z CIA. I to jego pan znalazł. Badania DNA potwierdziły tożsamość.

– Na tylnej szybie auta widniały uszkodzenia, które mogły być przestrzelinami.

– Owszem. Strzelano do niego. Dostał w ramię. Mimo to, wykrwawiając się, przejechał jeszcze spory kawałek. Sądząc po śladach na pojeździe, dogonili go w końcu i zepchnęli z drogi. Auto wpadło w bagno i zatoneło. Zapewne po zakończeniu śledztwa odeślemy ciało do USA. Może się pan spodziewać podziękowań ze strony ich ambasady.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Czyli miał teczkę z jakimiś materiałami, które nawet po latach rozpuszczania się w błocie są cenne... Nie widziałem w środku niczego podobnego. Zresztą nie płukaliśmy szlamu, który zaległ wewnątrz. A było go tam z pół tony.

– My to sprawdziliśmy. Wypłukaliśmy całe auto. Sprawdziliśmy oczywiście bagażnik i inne skrytki. Teczki nie ma. A bardzo by się przydała, bo nasi sojusznicy ze Stanów obiecali nam to i owo, jeśli ją znajdziemy. Swoją drogą, zanim im ją oddamy, też chętnie zajrzemy do środka... No i są jeszcze tamci. Lepiej, żeby nie chapnęli materiałów, bo mogą z tego wyniknąć rozmaite problemy.

– Znaczący fałszywi policjanci nie są ani od panów, ani z CIA? Poruszyłem gniazdo os...

– Owszem.

Westchnąłem ciężko.

– Jakie materiały szpiegowskie mogą być ważne po

czterdziestu latach? – zirytował się Piotrek. – Rozumiem, że wtedy była zimna wojna, ruskie głowice atomowe przechowywane na naszym terenie i tak dalej. Ale dziś?

– Ci nasi amerykańscy koledzy po fachu zasugerowali, że może chodzić o tak zwane matrioski. Zabity przy tym grzebał. Wtórnik... Słyszał pan o tym?

Kiwnąłem głową.

– Wiem, co to jest matrioszka. – Piotrek rozłożył ręce. – Skoro mówimy o szpiegostwie, zapewne coś ukrytego w czymś innym, ale nie mam pojęcia...

– Chodzi o ludzi z fałszywą tożsamością – wyjaśniłem mu. – A dokładniej, ich tożsamość jest prawdziwa, tylko że nie należy do nich. Po wybuchu wojny na terenie zajęтым przez ZSRR znalazły się trzy miliony Polaków. Było tam też już wcześniej około miliona ludzi polskiego pochodzenia. Ruscy wykorzystali okazję i porobili podmiany. Oryginał szedł do piachu, a jego miejsce zajmował agent NKWD.

– Już w chwili, gdy generał Anders wyprowadzał polską armię i cywilów ze Związku Sowieckiego, miał w tej rzeszy ludzkiej co najmniej kilkadziesiąt „wtórników” – podjął facet z kontrwywiadu. – Potem do Polski wkroczyła Armia Czerwona i LWP. Całkowicie oficjalnie w szeregach polskiego wojska służyło ponad dwadzieścia tysięcy sowieckich oficerów. Ale obok nich tkwiły takie drobne pluskiewki, z pozoru Polacy, a w rzeczywistości agentura. Czasem było i tak, że dowódcy oddziałów podlegali służbowo swoim zastępcom. Ponadto nastąpiła repatriacja i znowu w nieprzebranej rzeszy łatwo było ukryć ludzi udających kogoś innego. Zwłaszcza łatwo to szło, jeśli wszyscy bliscy krewni zginęli albo rozproszyli się po świecie.

– Powiadają, że Jaruzelski został podmieniony na Ałtaju. I że Kiszczak, choć teoretycznie i Polak, i ateista, właśnie z tego powodu został pochowany na cmentarzu prawosławnym na Woli – dodałem.

– Wierzchołek prawdziwej góry lodowej – mruknął niepozorny.

– Jest ich więcej? A może jeszcze ich dzieci i wnuki? – zasepił się Piotrek.

– Tak. Jest ich więcej – powiedział oficer i zrobił minę sugerującą, żebyśmy nie drażyli tematu.

– Zatem ruscy szpiedzy szukają materiałów, które wykradł im amerykański szpieg... Dlaczego nie przyszli do mnie w przebraniach zapytać o teczkę? – zaciekawilem się.

– Prawdopodobnie uznali, że to zbyt ryzykowne. W ich ocenie jest pan zapewne zbyt bystry, panie Robercie.

– To chyba miło, że mnie doceniają – zakpiłem. – A co dalej? – zapytałem. – Może powinienem skombinować jakąś utytłaną błotem teczkę i wam tu przynieść, żeby myśleli, że miałem poszukiwany fant i oddałem?

– To całkiem niegłupi plan – mruknął. – Ale raczej się na to nie nabiorą.

– Czego zatem kontrwywiad oczekuje ode mnie?

– Sytuacja jest delikatna i prawdopodobnie także niebezpieczna, ale gdybyśmy mogli prosić... Odwołuję się tu do pańskiego patriotyzmu i troski o nasz kraj... – kluczył wyraźnie.

– Innymi słowy, mam wam znaleźć teczkę tego zabitego czterdzieści lat temu szpiega – postanowiłem przejść do konkretów.

Uniósł brwi, jakby z uznaniem, i skinął głową.

– Dlaczego ja?

– Bo nasi ludzie sobie z tym nie poradzili. A pan ma opinię prawdziwego cudotwórcy. Pewne dane, zebrane kanałami oficjalnymi, i pogłoski, które zgromadziliśmy ze źródeł nieoficjalnych, zdają się to potwierdzać.

– Założmy, że przyjmę to zlecenie...

– Znamy pańskie stawki i posiadamy fundusz operacyjny...

– Chciałem raczej zapytać, czy mają panowie jakieś informacje,

które mogą być dla mnie przydatne.

Westchnął i zasepił się wyraźnie.

– Zabity prawdopodobnie wracał do Warszawy po spotkaniu z kontaktem. Cztery miesiące po jego zaginięciu z wyroku sądu wojskowego rozstrzelano oficera LWP. Sądzonego pod zarzutem szpiegostwa. Nie wiemy, czy sprawy się łączą, bo w aktach są poważne luki. Ale tak nam się wydaje. Skazany służył wcześniej jako oficer łącznikowy między LWP a stacjonującymi u nas jednostkami sowieckimi. Zajmował się transportem i logistyką. Potem został przeniesiony do sztabu w Modlinie. Teczka personalna i teuczka służby zostały usunięte z akt jeszcze w czasie procesu. Amerykanie też nie wiedzą, z kim się spotkał ich człowiek ani gdzie. Albo raczej doskonale wiedzą, ale nie powiedzą. Pasuje jednak ten Modlin i daty też są dość zbieżne. To wszystko.

– To tyle, co nic... – zauważył Piotrek.

– Mogę nad tym pomyśleć, ale sprawa zdaje się nie do ugryzienia – dodałem.

– Jeśli tylko pozyskamy jakiegokolwiek dodatkowe dane, natychmiast je panu przekazemy – zapewnił major.

*

Poranek był pochmurny. Wiatr za oknem szarpał prawie nagimi gałęziami. Fajna pogoda, jeśli można ją podziwiać przez trójszybowe okno. Zegar wskazywał piątą trzydzieści rano. W sam raz, by wstać, rozdmuchać żar w kominku, wepchnąć w ogień grubą bukową szczapę, napić się kawy i podumać z długopisem nad kartką... Rozsiadłem się wygodnie na naprawionym krześle. Sprężyny zachrząściły cicho, przyjemnie.

– Amerykanin jechał prawdopodobnie z okolic Modlina do Warszawy – rozważałem, gapiąc się w mapę z końca lat

siedemdziesiątych. – Udawał zwykłego człowieka, może był nawet tak zwanym nielegal. Tak czy inaczej, po odbiór tajnych dokumentów pojechał nierzucającym się w oko maluchem. Może auto było jakoś podrasowane? Kto wie... W każdym razie chyba popełnił jakiś błąd. Nastąpiła wsypa albo jego agent go wystawił. Musiał wiać, a może to gdzieś w drodze powrotnej został namierzony i zaczęły się kłopoty. Strzelano do niego. Może celowali w silnik, który w maluchu jest z tyłu. A może tak, żeby zabić? Kula przeszła szybę, oparcie fotela i ramię kierowcy.

Izaura nie odpowiedziała. Siedziała na swoim krześle. Poblask płomieni tańczących na kominku ożywił jej twarz cieniami, wyglądała prawie jak żywa dziewczyna. Faktycznie, jej milcząca obecność pomagała mi się skupić. Dobrze jest mieć kogoś, komu można opowiedzieć swoje pomysły. Żeby jeszcze gotować umiała.

– Został ranny, ale chyba wymknął się pościgowi. No i był na tyle przytomny, by gdzieś po drodze ukryć teczkę... A potem go dopadli i wykończyli. Nie miał radiostacji, nie mógł poinformować ambasady, gdzie to schował. I nie znał w tamtej okolicy nikogo. Oczywiście, mogło być i tak, że wszedł do pierwszej z brzegu chałupy i przypadkowego mieszkańca poprosił o oddanie teczki w ambasadzie. Mógł dać na przykład pięćset dolarów z góry, ale chłop nie taki głupi, żeby bawić się w szpiega, schował dolary do portfela i wsadził teczkę do pieca. Mogło tak być? – Spojrzałem na lalę.

Nie odpowiedziała. Delikatny uśmiech błąkał się po jej wargach. Położyłem przed nią notes, a między palce wsunąłem długopis. Minimalnie pochyliłem jej głowę. Wyglądało teraz, że z uwagą notuje moje słowa.

– Co ja bym zrobił na jego miejscu? Nie wiem. Nigdy nie byłem szpiegiem, nie orientuję się, jakie mają procedury ani jak ich szkolą na wypadek podobnych sytuacji. Nie czytałem nawet

książek szpiegowskich, z wyjątkiem wspomnień Wiktora Suworowa. Ale możliwości jest pięć. Mógł materiały zniszczyć, mógł przekazać komuś, mógł ukryć tak, by po nie kiedyś wrócić, mógł ukryć je we wcześniej przygotowanej skrzynce kontaktowej, mógł wreszcie ukryć tak, żeby mogli je odnaleźć jego koledzy, i to niedysponujący żadnymi konkretnymi wskazówkami. Co ja bym zrobił na jego miejscu? – powtórzyłem pytanie.

Długą chwilę wpatrywałem się w sztabówkę. Szpieg wybrał boczną drogę... W tamtych czasach była już wyasfaltowana, ale wyglądała niepozornie... Liczył, że się ukryje i przeczeka? Jeśli był ranny, to raczej nie miał na co czekać. Takiej rany nie opatrzy się samemu. Mógł co najwyżej na trochę zmniejszyć krwawienie, ale niewiele ponadto.

– Albo znał okolicę i wiedział, że tędy też dojedzie, albo nie wiedział i wjechał na nią, uciekając... – dumalem głośno, mieszając kawę w kubku. – Jeśli znał okolicę, mógł mieć jakiś pomysł na skrytkę. Raczej nie było tu żadnej skrzynki kontaktowej, w jakich szpiedzy zostawiają materiały dla swoich agentów i odbierają od nich różne rzeczy. Takie skrzynki z pewnością są rejestrowane i po tragedii ambasada przysłałaby kogoś, żeby wszystkie sprawdził. Ta teoria odpada. Załóżmy zatem, że uciekał ranny, słabnąc za kółkiem, i musiał rozwikłać ten problem z marszu. Znaleźć kryjówkę dla tego, co przewoził... I być może w jakiś sposób ją oznakować?

Od lat zawodowo szukałem różnych rzeczy. Znajdowałem rozmaite artefakty. Część zlokalizowałem, łamiąc pierońsko skomplikowane szyfry. Część namierzyłem, bo umiałem odgadnąć, co myśleli ukrywający. Tylko że zawsze miałem jakieś, choćby nikłe wskazówki. A tu kompletnie nic.

– Z próżnego i Salomon nie należy – westchnąłem.

Pojechać i poszukać w terenie? Spojrzałem w okno. Pogoda pod zdechłym Azorkiem. I pewnie będzie dziś lało, chyba że

wiatr rozgani chmury. Ale zdaje się, że powinienem...

– Na co muszę zwrócić uwagę? – zastanowiłem się na głos i pociągnąłem łyk kawy.

Silikonowa lala nie odpowiedziała.

– Nawet gdybyś umiała gotować, to żywej dziewczyny jednak nie zastąpisz. – Lekko uniosłem jej brodę i docisnąłem usta, by ułożyć je w uśmiech.

Westchnąłem. Okulary założyłem jej, żeby ukryć oczy. Nasze życie skupia się w oczach. Ten detal twarzy też miała perfekcyjnie odrobiony, ale rozpraszała mnie ich całkowita nieruchomość. Podczas gdy ona wyglądała prawie jak żywa, źrenice pozostawały martwe.

– Też jestem za duży na zabawę lalkami – mruknąłem. – Co Marta miała na myśli, przysyłając mi ciebie?

Kurczę, a może oddać ją do muzeum jako manekina do prezentacji strojów historycznych? Niech sobie siedzi w jakimś pałacu i straszy turystów. Bo jak będę z nią rozmawiał, to w końcu mi odbije...

Postanowiłem wrócić do tematu rozważań. Przyjmijmy, że jestem szpiegiem. Uciekam. Na razie się wywinąłem, ale lada chwila pościg może mnie odnaleźć... Zabiją albo wezmą do niewoli. Maluchem nie ucieknę. A to, co muszę ukryć, jest cenne. Jeśli po to nie wrócę, powinni to odzyskać moi „koledzy z pracy”. W okolicy nie ma skrzynek kontaktowych. Skrytka musi zatem zostać oznakowana. I to w taki sposób, by ktoś wtajemniczony bez trudu ją odnalazł. A niewtajemniczony – nie.

Zamyśliłem się. I coś zaczęło mi świtać. Potencjalne rozwiązanie problemu. Złodzieje, Cyganie, kloszardzi, wędrowni żebracy i inni „ludzie gościńca” mieli w dawnych czasach swoje tajemne znaki, tak zwane „alfabety złodziejskie” czy żebracze „drogi mówione”, złożone z rozmaitych symboli. Oznaczali nimi domy, by ci, którzy przyjdą po nich, wiedzieli, gdzie warto żebrnąć, gdzie warto się włamać, gdzie policja lubi się czepiać albo

kto jest życzliwy dla wędrowców i nie wolno go okradać. Czy amerykańscy szpiegowie mieli coś podobnego? Czy uciekający zakopał teczkę i machnął na pobliskim murze sprejem tajemny znak?... Nie, to chyba bzdura. Gdyby to było takie proste, inni szpiegowie odnaleźliby teczkę już wtedy. A jeśli szukali, ale nie tam, gdzie trzeba? Jeśli pościg zagonił go daleko od umówionych szlaków? Jak po czterdziestu latach szukać śladu, na przykład napisu na ścianie budynku?

– Obiecałem spróbować... Pojadę tam – westchnąłem. – Pewnie nic to nie da, ale...

*

W siąpiącej mżawce przejechałem hipotetyczną trasę, którą mógł poruszać się uciekający szpieg. Z pewnością przez te czterdzieści lat wiele się tu zmieniło. Wszędzie widziałem nowe zabudowania, przebudowano drogi, przystanki PKS, przejazdy kolejowe. Wykopano nowe rowy melioracyjne. Nie wiedziałem nawet, czy uciekający przebył tę trasę za dnia, czy w nocy. A przecież zupełnie inne rzeczy mógł dostrzec w ciemnościach...

Wtedy mogła to być odludna okolica, szpieg zobaczył samotną wierzbę rosnącą przy drodze i ukrył materiały w dziupli. Drzewo ścięto, w jego miejscu postawiono hurtownię chińskich trampek... – rozważałem. Albo ujrział ruderę. Opuszczoną chatę, stary młyn, cokolwiek innego. Schował to, co wiozł, w gruzie, dwadzieścia lat później przyjechał buldożer i teraz jest tu komis samochodowy... Albo spostrzegł ten stary krzyż na rozstajnych drogach...

Zatrzymałem auto na poboczu i podszedłem do krucyfiksów. Na poczerńiałym drewnie głęboko wyrzeźbiono datę 1928. Belkę pionową w ostatnich latach ktoś wzmocnił stalowymi kątownikami, a teren wokół podstawy wyłożono kostką

brukową.

Czterdzieści lat temu tu mógł być bruk kamienny, resztki metalowego ogrodzenia i tak dalej. Odpaliłem wygasły znicz zapalniczką i przeżegnawszy się, wróciłem do auta. Zmieniło się wszystko. Nawet krzyże przydrożne.

Murowana kapliczka? To miałoby sens. Ale w okolicy żadnej nie widziałem. Zniechęcony dojechałem do feralnego bagienka, z którego wyciągnęliśmy samochód. Brązowobura woda dawno już wypełniła dziurę. Wiejskie babiny wbiły w pobocze drewniany krzyż, położyły wianek sztucznych kwiatów i ustawiły kilkanaście zniczy. Upamiętnienie miejsca śmierci człowieka, który zginął jako wróg Polski Ludowej...

– A może prościej? – westchnąłem. Może miał te rzeczy aż do końca przy sobie i gdy tonął z autem, wypchnął je za okno? Nie, to chyba bzdura.

Wróciłem do stolicy z głębokim poczuciem zawodu. Ale skoro poszukiwania i tak były bez sensu... Zajechałem pod Bibliotekę Narodową. Trzeba wykorzystać choć część dnia, zrobić coś pożytecznego. Wróciłem do domu zmęczony i przygnębiony. Czułem, że sprawa jest absolutnie nie do ruszenia. Za mało danych. Może gdybym zdobył zdjęcia okolicy z lat siedemdziesiątych? Nie, to bez sensu. Kompletnie bez sensu...

– Nie jestem jasnowidzem – mruknąłem pod nosem. – A szkoda.

*

Listopadowy deszcz bił o szyby. W celi było jednak sucho i ciepło. Roztarłem siniak na nadgarstku. Podczas aresztowania kajdanki zacisnęli trochę za mocno. Ćmiło mnie rozbite kolano i łokieć. I otarcie na brodzie. Zdrowo zderzyłem się z asfaltem. W dodatku plecy bolały w miejscu, gdzie gliniarze docisnęli mnie butem do

gleby. Tylko czy mogłem mieć do nich pretensje? Aresztowanie podejrzanego o zabójstwo to nie w kij dmuchał. Mieli prawo działać szybko i konkretnie... Sytuacja była zarazem żenująca, zabawna i poważna jak diabli. Z trudem tłumili narastający gdzieś w piersiach nerwowy chichot.

„Zdradzi cię to, co nie jest nawet żywe...” – z głębin mojej pamięci wypłynęły słowa starej Cyganki.

Zachrobotła zasuwą. Wstałem z krzesła. Drzwi otworzyły się. Stał w nich Piotrek, a za jego plecami zobaczyłem jeszcze dwóch gliniarzy obstawy. Popatrzył na mnie ciężkim wzrokiem... Naprawdę ciężkim. Uśmiechnąłem się przepaszająco.

– Robert... czy nie powinieneś wreszcie przejść się do lekarza? – zapytał. – Moim zdaniem masz coś nie tak z głową. Może są jakieś proszki albo zastrzyki i tę piątą klepkę da radę wsadzić na miejsce.

– Wiem, że tak to wygląda, ale...

– Do biura – polecił. – Złożysz zeznania. Tak mnie dziś wkurzyłeś, że normalnie bym ci...

– Jeśli pan sobie życzy, możemy się odwrócić na moment, panie nadkomisarzu – zaproponował jeden z towarzyszących mu policjantów. – Czasem człowiek po prostu musi komuś dowalić, bo się udusi...

– Oj, nie kuście mnie, Kowalski, nigdy więcej mnie tak nie kuście – westchnął mój kumpel.

W biurze było znacznie sympatyczniej niż w celi. I miejsce znajome, i krzesło wygodniejsze...

– Planowałem z tobą pogadać jutro – oznajmił Piotrek. – Na spokojnie, jak człowiek z człowiekiem. Miło, kulturalnie, przy kawie i tak dalej... Pewnie u ciebie, bo po co tutaj? Pojawiły się nowe okoliczności tamtej sprawy z fiacikiem. Ledwo zaplanowałem, że zadzwonię rano, a tu mi raportują, że mamy cię pod kluczem, bo oczywiście znowu musiałeś jakiś cyrk odstawić. Twoje szczęście, że policja rzeczna to znalazła

i wyłowila – burknął, pociągając łyk wystygniętej herbaty z kubka stojącego na biurku. – Zdajesz sobie sprawę, że gdyby poszło na dno, tobyś posiedział w areszcie nawet miesiąc?

– Paskudna perspektywa – przyznałem.

– No a teraz zeznawaj po kolei i ze szczegółami. Co ci odwalilo? To znaczy co nowego ci odwalilo? – uściślił.

– Rutynowo raz w miesiącu robię kontrolę, czy mi się w chałupie nie zalęgły elektroniczne pluskwy – wyjaśniłem. – Bywają u mnie klienci, ktoś może coś podłożyć. Mam znajomka, który pożycza mi specjalistyczny sprzęt...

– Zmierzyłeś i wyszło, że jest transmisja. Zmierzyłeś dokładniej i okazało się, że masz w chacie lalę z sex shopu, którą przygarnąłeś z dobrego serca, ubrałeś, ogrzałeś, traktowałeś jak człowieka, a ona wykazała się czarną niewdzięcznością i kablowała na ciebie za pomocą wbudowanego przekaźnika radiowego. – Westchnął ciężko.

– Tak.

– Więc za karę wpakowałeś ją do bagażnika, zawiozłeś na most, zapewne wygłosiłeś jej kazanie o naganności delatorstwa i wywaliłeś do Wisły. Do tego zatrzymałeś auto w miejscu, gdzie jest monitoring. I wahałeś się na tyle długo, że ci z komisariatu rzecznoego zdążyli wysłać motorówkę i autko z łapaczami po cywilnemu na most.

– Nagrałem się na monitoring?! Coś podobnego! – zdziwiłem się.

– Robert, czy ciebie już do końca popierdoliło? Gumowej lali mafijną egzekucję urządzaleś? Nie mogłeś jej po prostu do śmietnika wywalić?

– Mimo wszystko trochę ją polubiłem. Nie chciałem, żeby sobie na niej używali jacyś menele. A utopienie w rzece to swego rodzaju rytuał. Profesor Niwiński twierdzi, że starożytni Egipcjanie, wbrew temu, co sądzimy, mumifikowali tylko niewielki odsetek populacji, biedotę „odsyłano do Hapi”, czyli

topiono w Nilu, a święte krokodyle już się nieboszczykami zajmowały po swojemu.

Zamurowało go na dobre pół minuty.

– Zgłupiałeś od tego czytania książek – orzekł wreszcie. – Rozejrzyj się wokoło! Czy to ci przypomina starożytny Egipt?!

– No... nie – przyznałem.

– A krokodyle mieszkają w zoo. No tak, ale do zoo byś jej nie przemycił. A nie mogłeś jej wywieźć na Bródno i zakopać?

– Przecież nie profanowałbym cmentarza!

– No to mogłeś pogrzebać ją na podwórzu. A jeśli masz tak osobisty stosunek do tej bryły silikonu, to zamiast likwidować, powinieneś zakuć ją w kajdany z czasów powstania styczniowego i wsadzić do piwnicy, żeby odpokutowała zdradę. Mógłbyś odwiedzać ją raz w tygodniu i godzinami prawić kazania, jaka to z niej zdradziecka sucz!

– Na to nie wpadłem. A pomysł dobry – przyznałem.

Sapnął jak lokomotywa.

– Ty wiesz, idioto nieszczęsny, jak to będzie wyglądało w raporcie?! – wsiadł na mnie znowu.

– Pomogę ci napisać – zaproponowałem.

– Słuchaj, czy w ogóle wiesz, co to jest policja?

– No, chyba wiem...

– Może i wiesz, ale niczego nie rozumiesz! My mamy kupę roboty z prawdziwymi bandziorami. Każdy gliniarz, który musi za tobą ganiać i tracić czas na takie pierdoły jak egipski pochówek lali z sex shopu, to gliniarz, który w tym czasie nie dba o bezpieczeństwo na mieście!

– Przepraszam – bąknąłem.

– W dodatku obciążą cię kosztami poszukiwań tej dziuni. Do tego pewnie będzie mandat za zaśmiecanie i drugi mandat od drogówki, bo tam, gdzie zatrzymałeś auto, nie wolno stawać. Już z dwojga złego wolałem, jak się uganiałeś za Martą.

– Zapłacę za wyłowienie...

Przeszedł się znowu po gabinecie.

– I co ja mam teraz z tobą zrobić? – zapytał gniewnie.

– To może mnie wypuść? – zaproponowałem nieśmiało. – Skoro udało się już ustalić, że nie jestem mordercą, i grozi mi tylko grzywna za zaśmiecanie rzeki, to nie ma ryzyka mataczenia, do wszystkiego się przyznałem i nigdzie się nie wybieram, więc nie ucieknę...

– Na razie nigdzie nie idziesz, jeszcze z tobą nie skończyłem!

Rozsiadłem się wygodniej i cierpliwie czekałem, co powie. Widziałem, że coś go gryzie. Chyba chciał o czymś jeszcze pogadać, ale nie wiedział, jak zacząć.

– Więc powiadasz, że w lali był podsłuch... – Uspokoił się trochę.

– Obejrzałem jej źrenice, wydaje mi się, że nie tylko podsłuch, ale też podgląd. Ale dokładniej nie sprawdzałem.

– Ktoś zagiął na ciebie parol – powiedział wreszcie. – Może tylko chcieli wiedzieć, co robisz, czym się aktualnie zajmujesz. Może planowali nakręcić jakieś kompromitujące filmy, jak się zabawiasz z tym silikonowym cudem...

– Nie planowałem się zabawiać. A gdyby nawet, toby te filmy mogły pokazać co najwyżej mojej mamie, żeby się jej przykro zrobiło – zauważyłem trzeźwo. – Masturbacja nie jest chyba nielegalna...

– Mogliby to pokazać tym świtom z Grona Jarzębiny.

Zamyśliłem się.

– Być może członkowie naszej konfraterni uznałyby to faktycznie za przesłankę, aby natrzeć mi uszu – przyznałem. – Przestrzegamy bardzo surowych norm moralnych.

– Taaaa... Przestrzegacie? – Aż się zapienił. – Gównno tam przestrzegacie. Gadaj zdrów – parsknął, znowu wkurzony. – Mamy na was sześć skoroszytów poszlak! Tak czy inaczej: wszystko wskazuje na to, że masz wroga... – powiedział.

– Nie mam wrogów. – Wzruszyłem ramionami. – Nigdy nie

zrobiłem nikomu nic złego... Z drugiej strony... Hmm... Otarłem się w życiu o niejedną tajemnicę... Bywało, że wszedłem innym łowcom w drogę. Wyprzedziłem innych poszukiwaczy...

„Podejmiesz działanie, a wtedy pojawi się wróg... Wokół zaplecie sieć... Ale on nie będzie wiedział, czy uderzyć. Zawaha się” – z głębin pamięci znów wychynęły słowa starej Cyganki.

– Masz wroga – powtórzył. – Wroga, który w dodatku doskonale cię zna. Kogoś, kto wiedział, że nie masz z kim pogadać, kto wiedział, że lubisz mówić do siebie. Kogoś, kto podłożył ci tę lalę przekonany, że nie wywalisz jej ot tak. Kogoś, kto znał twój stosunek do Marty... Kto sfabrykował list od niej i tak dalej.

– Tak... Chyba masz rację – potwierdziłem. – Być może rzeczywiście mam takiego wroga.

– Wiesz, kto to może być?

– Nie.

Patrzył na mnie badawczo długą chwilę. I chyba uwierzył. Zresztą mówiłem zupełnie szczerze. Nie miałem pojęcia, kto próbował mi podłożyć tę świnię.

– A moim zdaniem to może się wiązać ze znalezionym fiacikiem, teczką i trupem Amerykańca – powiedział wreszcie. – Dla obcego wywiadu wywalenie w błoto kilku tysiączków na takiego robota to tyle, co splunąć.

– No niby jak? – zirytowałem się. – Chociaż, z drugiej strony... Hmm... Ewentualnie mogę to przyjąć jako jedną z teorii. Powiedz mi lepiej, co zrobicie z Izaurą? – zapytałem.

– Z Iz... aaaa... Nadałeś jej imię?!

– A nie wolno?

Spojrzał na mnie jakoś bardzo dziwnie.

– Przez określony przepisami czas zostanie w magazynie dowodów rzeczowych – wyjaśnił. – A co? Chcesz ją odzyskać, zakuć w kajdany i zamknąć w piwnicy?

Zamyśliłem się na chwilę.

– Chyba nie. Skoro nie jest od Marty... Chociaż z drugiej strony...

Muszę przyznać, że w słowach mojego przyjaciela było coś inspirującego. W piwnicy miałem niedużą wnękę. Można by wstawić kratę. Posadzić lalę na drewnianym zydelku... Albo upozować ją w bardziej dramatycznej pozie. Do tego blaszana parasza. I ze trzy wypchane szczury dla towarzystwa... Kolesie, którzy mi podłożyli Izaurę, pewnie niewąsko by się zdziwili, gdyby odpalili kamerę i zobaczyli taki obrazek. Tylko musiałbym naprzeciwko lalki ustawić lustro.

– Robert, obudź się! Przestań tak odlatywać, cholerny autystyku! Ja pierniczę! Nie ćpasz, a co chwila łapiesz fazy... Ja cię przesłuchuję, a ty nagle się zawieszasz i tylko gapisz w ścianę z miną, jakbyś film oglądał!

– Wyobraziłem sobie taki jeden scenariusz – wyjaśniłem.

– Dobra. Skup się teraz i żadnych dygresji. Jeszcze jedna sprawa. I o tym właśnie chciałem z tobą gadać po przyjacielsku i przy kawie. Nie znalazłeś przypadkiem tej teczki?

– Odbyłem coś w rodzaju wizji lokalnej. Efekty zerowe. Wedle mojej wiedzy odnalezienie tego jest niemożliwe – powiedziałem.

– Przejechałem kilka razy trasę od Modlina do wioski. Żadnych pomysłów. Żadnego śladu. Potrzebuję więcej danych.

Zmarszczył brwi.

– Dziś koło południa zaginiona teczka nieoczekiwanie wypłynęła – odezwał się poważnym tonem. – Nie miałeś z tym nic wspólnego?

– Nic a nic. – Pokręciłem głową. – Jakbym ją znalazł, tobym się nie wygłupiał, tylko przekazał panu majorowi albo tobie, z przyczyn patriotycznych, no i licząc, że czynsz za najbliższe dwa, może trzy miesiące pokryję sobie z nagrody za jej odszukanie...

– Ktoś przyniósł ją do redakcji jednego z czasopism historycznych – wyjaśnił Piotrek. – A ci od razu wysmarowali

o tym artykuł i siepnęli w net. Kontrwywiad pracuje nad nimi, ale zasłaniają się tajemnicą dziennikarską. Myślałem, że może liczyłeś, iż pieniądze z redakcji pokryją czynsz przez pół roku.

– Niemal cały dzień spędziłem w Bibliotece Narodowej. Można sprawdzić na nagraniach z monitoringu.

– Ja tam ci wierzę na słowo. – Wzruszył ramionami. – Może i jesteś kompletnym świrem, ale nie kłamiesz.

– A co było w tej teczce? – zaciekałem się. – Faktycznie kwity na Kiszczaka i Jaruzela?

– Nie. Dane wywiadowcze. Grubachny plik kserokopii. Wykazy, gdzie w Polsce Ruscy trzymali zapasy broni chemicznej. Bardzo ciekawa rzecz, ale raczej dla historyków badających okres zimnej wojny. Oczywiście Ruscy, jak przeczytają, że to ujawniono, kota dostaną, bo oficjalnie niczego takiego nie mieli i u sojuszników też rzekomo nic nie składowali... A tu jest czarno na białym iperyt i temu podobne w ilościach takich, że pół Europy by wytruł. Zresztą doczytasz sobie, bo na witrynie internetowej gazety już to wisi. Martwi mnie tylko, czy ten podsłuch w lali i pluskwy w aucie nie są prezentem od naszych starszych braci z Moskwy.

– Ktoś mi coś podczepił w samochodzie?

– Jak już cię skuli i zapuszkowali, chłopaki rutynowo sprawdzili twoje auto. Swoją drogą, z tym pojazdem możesz się już pożegnać.

– Co się z nim stało!?

– Kazałem im wpisać do protokołu, że uległ nieodwracalnym uszkodzeniom podczas transportu do laboratorium. I jedzie na złomowisko.

– To dobry wóz – zaprotestowałem nieśmiało. – Opel ascona, teraz się takich nie produkuje...

– Od trzydziestu lat się takich nie produkuje. To dla twojego dobra. I rypnij się w dekiel na przyszłość! Żeby takim szmelcem jeździć! A kolesia, który podbił przegląd techniczny, to już sobie

oddzielnie chłopaki z drogówki powieszą za jaja. Dobra. Podpiszesz i protokół, i oświadczenie, że zostałeś pouczony o naganności swoich czynów i zobowiązujesz się dobrowolnie poddać karze, to znaczy pokryć mandaty, grzywny oraz koszty poszukiwań. – Wygrzebał z szuflady odpowiedni papier.

– Tu, gdzie wykropkowane?

Nim nocnymi autobusami dotelepałem się do domu, była prawie druga. Mieszkanie bez Izaury wydało mi się jakieś puste. Pomyślałem o siostrze Piotrka. Fajna dziewczyna. A Marta? Marta już raczej nie wróci... Skoro to nie ona przysłała tę lalę, to pewnie już nawet o mnie nie myśli...

*

Zjadłem śniadanie i zbierałem się właśnie, żeby jechać do Centralnej Biblioteki Wojskowej, gdy zadzwoniła komórka. Po głosie poznałem majora.

– Panie Robercie, sprawa jest dużo poważniejsza, niż początkowo sądził pański przyjaciel – zaczął bez wstępów.

– A konkretnie? – zaniepokoiłem się.

– To silikonowe cudo, które był pan łaskaw zrzucić z mostu... No cóż, trochę to w nocy rozbebeszyliśmy... To nie był zwykły podsłuch. Jest naszpikowana elektroniką, i to wysokiej klasy. Sześć kamer, bardzo czułe mikrofony, urządzenia rejestrujące obraz, jaki miał pan na monitorze komputera... To wszystko zasilane tak zwanymi wiecznymi bateriami, niczym na stacji kosmicznej.

– Tymi ogniwami opartymi na rozpadzie pierwiastków promieniotwórczych?

– Dokładnie tak. Wszystkie urządzenia mogły działać autonomicznie przez co najmniej kilka miesięcy.

– Czyli wiedzieli o wszystkim, co robię. Nie tylko, że chodzę po

mieszkań w slipkach, dolewam wino do herbaty i gadam sam do siebie, ale też z kim rozmawiam przez telefon, do kogo piszę mejle i tak dalej?

– Tak. Teraz pan musi określić, czy wiedza, którą zdobyli, jest dla pana groźna...

– Podłożyli mi to coś wkrótce po tym, jak znalazłem zatopione auto. To może oznaczać, że był jakiś przeciek. Nie chciałbym tu obrazić pana ani pańskich kolegów...

– Mamy u siebie kretów – przyznał niechętnie.

– Ruscy sądzili, że szukam dla was teczki albo że ją znalazłem, wyciągając auto z bagna. Co więcej, czy mogli podejrzewać, że to ja dostarczyłem ją tamtej redakcji?

– Tak.

– Zatem lala powinna dostarczyć mi alibi. Gadałem dużo sam do siebie, co sędzę o tej sprawie. Jeśli podsłuchiwała, a do tego była w stanie szczytywać, co robię na komputerze i tak dalej, to wiedzą, że poza znalezieniem auta nie mam z tą sprawą kompletnie nic wspólnego. Moja chata z kraja. – Odetchnąłem z ulgą.

– Jest jeden problem. Z tego, co zdołaliśmy ustalić, lalka zbierała i zapisywała całe gigabajty informacji, ale nie przekazywała ich dalej, bo zrobiło się zwarcie na wewnętrznym mikroporcie i antena nadawcza uległa uszkodzeniu. Mają zatem swoje domysły i wiedzą zapewne, że wywalił pan urządzenie z domu. Ale to wszystko.

– Jak pan myśli, czy grozi mi jakieś niebezpieczeństwo?

– Wydaje mi się, że trzeba się z tym liczyć.

Pożegnał się i rozłączył. Długo siedziałem w milczeniu, patrząc w ścianę.

– Sprawa sprzed lat – mruknąłem. – Wystygnięta, nieważna. Mogę to olać... A na razie pora do biblioteki.

Gdy przechodziłem obok kiosku, moją uwagę przykuł wybity czerwonym boldem tytuł na pierwszej stronie jakiejś gazety.

Podszedłem.

„Ujawniamy ponurą prawdę z czasów zimnej wojny: w Polsce składowano sowiecką broń chemiczną”, „Odkryto radziecki plan zagazowania Europy”, „Układ Warszawski łamał konwencje międzynarodowe”, „Rząd Federacji Rosyjskiej stanowczo zaprzecza...” – krzyczały nagłówki dzienników.

Wyglądało na to, że sprawa składowania w Polsce broni chemicznej była aferą grubszą, niż mogłem przypuszczać. Przypomniałem sobie słowa starej Cyganki: „On mocny, choć moc jego z roku na rok słabsza... Zechce cię zabić albo i nie. Może być tak albo siak”. Poskrobałem się po głowie, a potem wróciłem do domu i zamieniłem marynarkę na sweter.

*

Po sześciu godzinach spędzonych nad mikrofilmami Centralnej Biblioteki Wojskowej upiornie bolała mnie głowa. Marzyłem już tylko o tym, by dojechać do Dworca Wileńskiego i złapać sobie autobus 190 – na Wolę. Za godzinę napiję się herbaty i zalegnę w wannie... Walcząc z sennością, rozejrzałem się po wagonie i naraz poczułem ukłucie niepokoju.

Opodal mnie stał zwalisty facet w niemodnej dżinsowej kurtce. Gdzieś go już widziałem. Wczoraj w centrum, gdy sprawdzałem godziny otwarcia fotoplastykonu? Wszedł na podwórze i udawał, że zabłądził. Tylko że wtedy miał na sobie inną kurtkę. Przypadek? Zmienił wygląd, zatem śledzi mnie. Kontrwywiad albo policja przyczepiły mi dyskretną obstawę? Mało prawdopodobne. Zatem trzeba się liczyć, że to ktoś od tamtych. Co robić? Spojrzałem przez okno. W zapadającym zmierzchu bazar Różyckiego jarzył się kiepskim blaskiem nielicznych latarni i żarówek oświetlających budy. Piętnasta. O tej porze życie bazarowe powoli się zwijało. Znałem „Różyca” oraz

okoliczne uliczki jak własną kieszeń. Wykołuję kolesia i tyle. Byliśmy już blisko przystanku. Wstałem i podszedłem do drzwi. Wsiadłem z tramwaju, przeszedłem przejściem podziemnym na drugą stronę Targowej. Nie musiałem się oglądać. Szósty zmysł podpowiadał mi, że gość za mną drepcze.

A może zająć go od tyłu, wbić mu lufę rewolweru w plecy i sprawdzić, co za jeden? – przemknęło mi przez głowę. E, lepiej nie...

Przeszedłem bramę targowiska spokojnym, znudzonym krokiem i zaraz za nią puściłem się kłusem przez płataninę pasaży pomiędzy budami. Większość stoisk była jeszcze otwarta, kupujących też kręciło się tu całkiem sporo.

– Spróbuj teraz szczęścia, frajerze – mruknąłem pod nosem.

Postanowiłem wyjść na Ząbkowską albo na Brzeską i koło dawnej fabryki wódek złapać pierwszy lepszy autobus. Tylko jeszcze chwila kręcenia się w kółko. Zobaczę, że frajer idzie w złą stronę, i dopiero wtedy pójdę swoją drogą...

Bazar Różyckiego nie był już nawet cieniem dawnej potęgi, zupełnie jak garść wyschniętych kości olbrzyma. W niczym nie przypominał tego z czasów mojego dzieciństwa. Zniknęli gdzieś zakapiorzy pytający przy bramie „co potrzeba?”. Dawno wyparowali bukiniści, oferujący spod lady wszelkie zakazane publikacje. Od lat nie handlowano tu kasetami wideo z filmami, które nie podobały się władzy. Nikt nie sprzedawał złota „z ręki”. Ale budki z asortymentem szewskim nadal działały i były nie najgorzej zaopatrzone. Nie dalej jak tydzień temu kupiłem tu cieniutką skórę introligatorską i kawałek gumy do podzelowania mokasynów. Zaszedłem tam, pogadałem chwilę. Obejrzałem na zapleczu rulon skóry, niestety była z gatunku „lejących się”. Mięciutka, idealna na ubranie, ale nie do oprawiania książek. Wyszedłem i rozejrzałem się. Pusto. Wroga ani śladu. Zrobiłem małą pętlę. Typka nigdzie nie było widać. Ruszyłem niespiesznie w stronę Ząbkowskiej. Zatrzymałem się jeszcze na moment, by

kupić paczkę skarpetek. Tytus pojawił się jakby znikąd.

– Cześć, Robert – powiedział.

– Witaj.

– Chodź za mną – polecił, skręcając w przejście pomiędzy budami.

Sądząc po tonie, miał jakąś ważną sprawę. „Uliczka” była tak wąska, że sam pewnie bym jej nie zauważył. Ruszyłem za nim. Przecieliśmy placyk między rzędami straganów. Minęliśmy dwóch kolesi o strasznych mordach i łapach pokrytych sznytami. Koło oczu mieli wytatuowane łzy. I jeszcze jakieś wzorki na szyjach. Recydywa, i to najgroźniejsza... Ale Tytusa widać świetnie znali, a ponieważ byłem z nim, wzięli mnie za swojaka. Minął nas starzec, którego obfita biała broda upodobniała do Świętego Mikołaja. Khm... Tyle tylko, że Święty Mikołaj raczej nie miałby wzorków wytatuowanych na policzkach.

– Wyprowadź kumpla, to wilki – polecił Tytusowi, jednocześnie taksując mnie zaskakująco ostrym i byстрыm spojrzeniem błękitnych oczu. – I może łyknij ziół, kazałem zaparzyć.

– Tak jest! – Cygan wyprężył się na baczność.

Weszliśmy do jakiegoś magazynu.

– Przed chwilą odczepiliśmy ci ogon – wyjaśnił mój kumpel.

– Koleś, który za mną laźł... Nie zdołałem go zgubić? – zaniepokoiłem się.

– Na połamanych girach już nie będzie za tobą laźił – zapewnił mnie. – Przynajmniej przez najbliższe kilka miesięcy.

– Dziękuję... – bąknąłem.

– Jest problem... To znaczy chyba ty masz problem – uściślił. – On, zdaje się, nie był sam. Przed jakimiś dziesięcioma minutami wlaźło nam na teren kilku, może nawet kilkunastu obcych kolesi. Rozglądają się, jakby kogoś szukali. To typki z gatunku, którego bardzo nie lubimy. Takim sami nie zastąpimy drogi, tylko spieszenie dzwoniemy po naszych kolesi, prosząc, by przyjechali jak najszybciej. Drapieźniki. Rozumiesz? Ten, co laźł za tobą, to

inna liga... Drobnny szakał. Mamy na dzielnicy stado tygrysów.

– Bazarowe lisy umieją wyczuć obcego wilka. Goście od mokrej roboty? Przyleźli tu za mną?

– Tak wygląda... Właź. – Pchnął kolejne drzwi.

Siedząca w pomieszczeniu kobieta nawet nie podniosła głowy znad gazety. Na archaicznym prymusie stał czajnik. W kubku parowała jakaś ciecz. Pachniało apteką.

Mój problematyczny przyjaciel spojrział na naczynie i westchnął ciężko.

– Jeśli masz się wymknąć, poprowadzę cię. Przebieraj się szybko. – Wskazał gestem stopy towaru. Masz broń czy coś ci dać?

– Mam.

W dresiku Adidasa i bejsbolówce wyglądałem zupełnie inaczej. Chwilę zajęło mi schowanie okularów i założenie szkieł kontaktowych. Do pomieszczenia wbiegł mały Cyganiak i coś szybko referował. W potoku słów *romani* nie wyłapałem jednak żadnego znajomego.

– Trzeba jeszcze odpiąć ewentualne smycze – powiedział Tytus.

– Sądziś?

– To nie waga musza. Ogon wyczuł, że się zrywasz, a oni musieli być w pobliżu. Trzy auta pełne łobuzów. I to nie takich do zwykłego łamania kości.

Wyjąłem z kieszeni telefon komórkowy i rozejrzałem się. Cygan podał mi młotek. Wyjąłem baterię i roztrzaskałem urządzenie w drobnny mak. On wyciągnął z kieszeni swoją komórkę i położył na blacie. Kobieta, nie odrywając wzroku od gazety, kiwnęła głową. Ujął kubek i westchnął ciężko.

– Niesmaczne? – zagadnąłem.

– To na szczęście... i na odwagę – szepnął, po czym wypił zawartość kilkoma długimi łykami.

Skrzywił się.

– Coś jak wiedźmińskie eliksiry?

Wzruszył ramionami. No tak – książek, zwłaszcza fantastyki, to on raczej nie czytywał.. Ale może film widział? Niestety, moja ciekawość nie została zaspokojona.

– Tędy. – Pchnął kolejne niepozorne drzwi na końcu magazynu. – Wyprowadzę cię, bo znalazłeś nam kociołek. Od tej pory dług będzie spłacony.

– Spoko...

– No i od teraz ręka na kolbie. Może być gorąco...

Weszliśmy do pomieszczenia znajdującego się na parterze jednej z kamienic. Kolejne drzwi wyprowadziły nas na cuchnące podwórko. Ciemno było choć oko wykol, tylko przy kapliczce paliły się lampy solarne.

Wyszliśmy na Ząbkowską. Byłem absolutnie pewien, że idealnie wtopimy się w tłum. Problem w tym, że ulica była prawie pusta. Ruszyliśmy spokojnie, niedbałym krokiem w głąb dzielnicy. Nie oglądaliśmy się. Ot, dwóch miejscowych dresiarzy w drodze do knajpy...

Rewolwer wypychał mi kieszeń. Zazwyczaj gdy czułem pod palcami fakturę żłobień kolby, od razu spływał na mnie spokój. Ale nie tym razem. To była dobra broń. Celna. Z kilku paskudnych przygód wyszedłem dzięki niej cało. Ale jednak antyk. W czasach, gdy służył Kajetanowi Ćwiek-Cieszkowskiemu, był szczytowym osiągnięciem techniki. Ale dziś? Nie ten zasięg, no i po każdym strzale wymagał ręcznego przekręcenia bębena... Dawno już trzeba było zdobyć pozwolenie na broń i kupić coś nowoczesnego.

Potknąłem się, ale na szczęście Tytus złapał mnie za rękę i utrzymałem równowagę. Latarnie świeciły na ćwierć gwizdka. Coś załomotało. Ulicą przejechał stary tramwaj, popularna po wojnie „berlinka”. Pojazdy te miały bardzo solidną konstrukcję, nadal czasami widywało się je w Warszawie, wykorzystywane przez ekipy remontowe jako wozy techniczne. Torowisko to nie było w zasadzie używane, niekiedy tylko służyło jako tor

awaryjny do zajezdni przy Kawęczyńskiej.

Tytus odprowadził tramwaj wzrokiem. Spojrzał na mnie, zaskoczony. Miał minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmilczał. Wzruszyłem ramionami. Ruszyliśmy dalej. W którymś momencie oparłem nogę na żeliwnym odbojniku, żeby zawiązać sznurowadło, i obejrzałem się, ale w słabym blasku latarni nie zauważyłem nikogo podejrzanego. Spostrzegłem, że przy ulicy wisi kilka starych blaszanych szyldów. Dawniej ich tu nie było. Widocznie otwarcie muzeum Pragi zainspirowało kogoś, by i tu odtworzyć w pewnym stopniu dawny wygląd ulicy. Minął nas czerwony maluch, a chwilę później ledwo dyszący trabant. Ciekawe, o tej porze powinien być większy ruch. W ogóle ulica była dziwnie opustoszała. Z daleka dobiegło mnie kląskanie kopyt na bruku. Dwaj węglarze wyjechali rozklekotaną furmanką zza rogu Brzeskiej.

– Zejdźmy z widoku – zaproponował Tytus.

Chyba trochę zachryplę, bo słyszałem go jakby przez watę. Skręciłem w bramę kamienicy. W podwórzu spostrzegłem warsztat szewski. Stary majster, widoczny w blasku słabej żarówki, siedział i wbijał szpilki w podeszwę oficerek. Znałem te cuchnące bramy i podwórza jak własną kieszeń, ale nie wiedziałem, że jest tu coś takiego. Musiał otworzyć firmę dopiero niedawno. Weszliśmy w drzwi klatki schodowej i korytarzykiem przedostaliśmy się na sąsiednie podwórze. Było ciemne, a woń śmietnika urywała nos. Kolejny pasaż i korytarz wyprowadziły nas na podwórko przy ulicy Markowskiej. Przeszliśmy przez bramę.

Rozejrzałem się, zdezorientowany. Powinniśmy wyjść na skraj blokowiska, tymczasem miałem przed sobą jakieś drewniane rudery. Nie kojarzyłem tego miejsca. Spojrzałem pytająco na Tytusa.

– Zawędrowaliśmy zbyt daleko – powiedział, strzelając wzrokiem na boki. – Babcia ostrzegała, że tak może być... Bo ziola

tak nie działają.

– Cygańskie ziółka na odwagę... – powiedziałem w zadumie.

Ciekaw byłem, jaki dają efekt. Mnie w każdym razie nie poczęstował.

– Odwał się – burknął.

Był blady jak ściana. W jego głosie wyczułem strach. Przeszliśmy po kocich łbach, zajrzałem przez uchyloną bramę. W podwórzu naprzeciwko była kuźnia. Dwaj wozacy czekali z końmi. Trzeci trzymał zwierzaka za uzdę, a kowal przybijał podkowę do kopyta. Miejsce pracy oświetlały cztery lampy naftowe.

Scena była fascynująca i zarazem kompletnie nierealna. Może siedemdziesiąt lat temu mógłbym tu zobaczyć coś podobnego, ale przecież nie na początku XXI wieku. Rozejrzałem się i spostrzegłem na domach przy ulicy mnóstwo starych szyldów. Niektóre były jeszcze carskie – dwujęzyczne. Zafascynowały mnie zawijasy ozdobnej cyrylicy. Obok na ścianie nalepiono hitlerowskie obwieszczenie o rozstrzelaniu zakładników. Film będą kręcić czy jak? No to się nieźle spec od scenografii kropnął. Tytus meł pod nosem jakieś cygańskie przekleństwa.

– Zawracamy! – szepnął, rozglądając się wokoło.

– Przecież mieliśmy iść na dworzec – powiedziałem i sam zdziwiłem się własnymi słowami.

Dlaczego, u licha, na dworzec?! Niejasno mi świtało, że chyba powinienem wsiąść do pociągu...

– W żadnym razie! – powiedział jakby przestraszony. – Zgubiliśmy coś. Coś ważnego – wybełkotał. – Musimy po to wrócić.

Ulicą przejechał wóz na żelaznych kołach. Minął nas chłopak z wielkim wiklinowym koszem zawieszonym jak plecak na parcianych pasach. Ruszyliśmy w stronę Ząbkowskiej. Nieoczekiwanie zakłaskały w błocie podkowy kilkunastu koni. Obejrzałem się. Ulicą od dworca nadciągał cygański tabor. Nie,

nie tabor. To były wozy cyrkowe. Jeden z woźniców oddał lejce towarzyszowi i zeskoczył na chodnik. Ruszył w naszą stronę.

– Robert?! – zapytał zaskoczony.

Spojrzałem na nieznanego. Klaun... Twarz upudrował na białą. Stał i patrzył na nas zaskoczony. Kurczę, czy ja go gdzieś już kiedyś nie spotkałem? Ten układ brwi...

– Pan Marco?! – Ze zdumieniem rozpoznałem w młodzieńcu staruszka, którego spotkałem tylko raz w życiu.

– To ja – potwierdził. – Ale co wy tutaj robicie?

– Zabłądziliśmy – bąknął Tytus. – On to chyba definitywnie, ale ja tu jestem tylko przypadkiem. Na pewno tylko przypadkiem! – zapewniał gorączkowo.

– Wróćcie w miejsce, gdzie spostrzeżliście, że coś jest nie tak! – polecił cyrkowiec. – I pospieszcie się. Do zobaczenia... Kiedyś – dodał, wdrapując się na kozioł wozu.

Zawróciliśmy. W plecy wiał nam zimny, jakby już zimowy wicher. Wydawało mi się, że mijamy piętrowe „drewniaki”, ale gdy przekręciłem głowę, by przyjrzeć im się z bliska, okazało się, że otaczają nas normalne kamienice. Nie rozumiałem tylko, czemu w oknach nie palą się światła...

– Myślałem, że to tylko cygańska legenda, że to niemożliwe pójść tak za kimś – Tytus szeptał gorączkowo, ciągnąc mnie za rękę. – Muszę wrócić, może nawet obaj wrócimy... To nie nasze miejsce. Jeszcze nie. Tylko trzeba się pospieszyć. Nie zostawię cię! Ale przebieraj szybciej girami!

Nie wiedziałem, o co mu chodzi, ale szarpany i ponaglany przyspieszyłem kroku.

*

Potęźnie zbudowany policjant z naszywkami nadkomisarza stanął w drzwiach dyżurki i zapukał grzecznie we framugę.

Doktor oderwał wzrok od papierów i zaprosił go gestem.

– Pan prowadzi sprawę tej strzelaniny? – zapytał.

– Tak. Poszkodowany Robert Storm. Dostałem informację, że żyje.

– Tak. Choć to... nieprawdopodobne. Jedyne uraz, jakiego doznał, to przywalenie czołem w latarnię. Nie odzyskał jeszcze przytomności, ale nie doznał poważniejszego uszczerbku na zdrowiu. Jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

– Chce pan powiedzieć, że zabójca spudłował? Nasza ekipa zabezpieczyła porzucony rewolwer Magnum.

– Strzelający trafił pięciokrotnie. Tylko że pan Storm nie został ranny. – Na twarzy lekarza odbiło się wahanie. – Trudno mi to wyjaśnić, bo sam niezbyt to rozumiem. Pańscy koledzy z balistyki powinni to pilnie obejrzeć. Pan pozwoli...

Pchnął drzwi sąsiedniego pomieszczenia. W ambulatorium było pusto. Tylko na blacie pod oknem leżał stary, pocerowany tu i ówdzie sweter. Wyglądał niemal normalnie, splot w jodełkę, szary kolor...

– A niech mnie... – mruknął Piotr.

Podeszli. Jedna kula leżała obok na blasze. Pozostałe tkwiły w tkaninie jak pszczoły, które wplątały się komuś we włosy. Nadinspektor patrzył na to, zbaraniały. Dotknął splotów opuszkami palców i zaraz cofnął dłoń.

– Na ciele były tylko nieznaczne siniaki w miejscu trafień. To coś... Ta tkanina wyssała z nich praktycznie całą energię kinetyczną... – Lekarz uśmiechnął się przepaszająco i rozłożył rękę. – Obejrzałem sobie mikroskopem cyfrowym. Te nitki to jakby sznurki splecione z setek cieniutkich siateczek o małych oczkach. Wykonano je chyba z jedwabiu. Pocisk rozrywał kolejne, na każdej warstwie tracąc część energii. Tak mi się wydaje. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego... Przy takim kalibrze najlepsze nowoczesne kamizelki kuloodporne wymiękają. Zatrzymują kulę, ale uderzenie powoduje rozległe

siniaki, czasem złamania kości i urazy narządów wewnętrznych... Zresztą pan wie.

– Wiem.

– Tu nie ma nic podobnego. To coś...

– A niech mnie, ten świr Robert odnalazł jeden ze swetrów Szczepanika...

– Co proszę? – zdziwił się doktor.

– Sweter produkcji polskiego wynalazcy Jana Szczepanika – mruknął nadinspektor. – On już pod koniec dziewiętnastego wieku pracował nad tkaninami kuloodpornymi. Robił je z jedwabiu, właśnie w ten sposób, z setek cieniutkich seksagonalnych siateczek. My dziś stawiamy na tkaniny nierozrywalne, z pierońsko mocnych włókien sztucznych. On wymyślił, jak to zrobić, żeby właśnie rozrywanie kolejnych warstw osłabiało kulę. To był jego ostatni wynalazek, efekt końcowy wielu lat pracy... Podobno powstało tylko pięć sztuk tych swetrów na początku lat dwudziestych. Poszkodowany opowiadał mi o tym kiedyś. Szczerze powiedziawszy, myślałem, że to tylko legenda...

W drzwiach stanęła pielęgniarka.

– Panie doktorze, pacjent przywieziony ze Szmulek odzyskał przytomność.

Robert Storm był trochę blady, ale wyglądał nieźle. Na czole miał fioletowy siniak. Piotr przysiadł na stołku. Uprzejmym, lecz stanowczym gestem odprawił doktora.

– Pamiętasz, co się stało? – zapytał.

– Laźł za mną facet... Postanowiłem zgubić go na bazarze. Przebrałem się. Matrioszki, Ruscy... – szepnął poszkodowany.

– Tak. Pieprzone ruskie bydlaki. Długie mają ręce. Dłuższe, niż sądziłem.

– Ale uciekłem? Nie pamiętam.

– Gównno tam uciekłeś – westchnął gliniarz. – Nie miałeś szans. Wysłali za tobą prawdziwego specy. Wsadził ci pięć kul w plecy.

Uratował cię ten genialny sweter. Sweter Szczepanika...

– Potknąłem się, dalszy bieg był we śnie...?

– Może się potknąłeś, a może pięć kul wsadzonych od tyłu zaburzyło ci równowagę. A jeśli coś było potem, to wizje głowy potraktowanej żeliwną latarnią. Tytus próbował cię docucić, zadzwonił po policję i pogotowie.

– Chcieli mnie wykończyć... Myślą, że nie żyję?

– To prawdopodobne. Strzelał zawodowiec. Bez żalu porzucił spluwę. I to nie byle jaką. Nie trudził się nawet, by sprzątnąć świadka. Strzał i odskok.

– Co dalej?

– Ekipa nadal pracuje. Gość, który strzelał, wyparował. Mamy nagranie z kilku kamer monitoringu, generalnie guccio widać. Obstawiło cię sześciu, może więcej speców od mokrej roboty. Tyle mamy zidentyfikowanych podejrzanych połączeń z bilingów sieci komórkowych. Dwóch przestało się łączyć w trakcie akcji i już potem nie uruchomiło telefonów. Wiesz coś o tym?

– To zapewne bazarowa ferajna wkurzona, że ktoś poluje na ich terenie. Nie pytaj...

Piotr westchnął ciężko. Bardzo ciężko.

– A ta twoja ferajna nie mogłaby wystawić nam głównego drapieznika? Albo przynajmniej zostawić trupa na widoku?

– Nie wiem. Nie lubią was przecież, i to z wzajemnością. Jak Ruscy mnie namierzyli? Rozwaliłem telefon...

– Miałeś pluskwę wbity w podeszwę buta. Szli jak po sznurku. Nie mogłeś uciec. Mieli twoje położenie na mapce w telefonach.

– Aha...

– Znasz tego gościa? – Nadinspektor wyjął z raportówki zdjęcie.

– To ten, co za mną laził.

– No to zapamiętaj. Nie widziałeś go nigdy w życiu.

Robert spojrział pytająco.

– Chyba się potknął na bazarze, bo do Targowej dokuśtykał ze

złamaną nogą. Tylko że zdaje się, był już Ruskim niepotrzebny, bo zamiast zabrać go do bazy i opatrzyć, dziabnęli typa nożykiem pod żebro i zostawili siedzącego na przystanku. Chyba że to któryś z autochtonów go zaszlachtował.

Robert milczał. Jego przyjaciel też długą chwilę zbierał się w sobie.

– Ja piernicę, ty nie masz gdzie łązić po zmroku, tylko po tak zasyfionych miejscach... W dodatku wywijasz numer za numerem. Dlaczego ci właściwie pomagam? – zapytał wreszcie zmęczonym głosem. – Powinienem już dawno temu cię wsadzić. Przywalić pałą... A zamiast tego kryję twoje grzeszki i swatam cię z własną siostrą.

– Może dlatego, że znamy się jak łyse konie, a ty jesteś za miękki na gliniarza – zasugerował Robert. – A może to, co robię, jest zbieżne z twoim poczuciem sprawiedliwości.

– Jeszcze jedno. Ktoś po południu przerył twoje mieszkanie. Chyba szukali papierów z tej teczki. Albo chcieli zgrać dane z lalki. Nasza ekipa zabezpiecza ślady. Prawdopodobnie czekał i tam na ciebie jakiś kiler, ale dali mu znać, że jest już niepotrzebny. Miałeś być zlikwidowany, jak wrócisz do domu. Może wcześniej planowali długą i szczerą rozmowę z biciem, przypalaniem i tak dalej... Ale wysiadłeś po drodze. Zmienili plany.

– W moim mieszkaniu jest system alarmowy.

– Nawet nie pisnął. Twoi sąsiedzi na szczęście niczego nie zauważyli i pewnie dzięki temu żyją. A teraz powiedz mi szczerze. Czy masz jakieś miejsce, gdzie mógłbyś pojechać i przyczaić się, powiedzmy, na pół roku? – zmienił temat Piotr.

Robert zamyślił się na chwilę i wreszcie kiwnął głową.

– Mam pewien pomysł.

– Czy masz pieniądze na daleki wyjazd? Jakiś fundusz operacyjny – policjant skrzywił wargi – tego waszego Grona Jarzębiny?

– Mam własne. Wprawdzie planowałem kupić samochód, ale to chyba pilniejsze.

– Zrobimy tak. Ty znikasz, a ja i nasi przyjaciele z kontrwywiadu spróbujemy posprzątać ten chlewik.

– *Sure...* A moje rzeczy?

– Jakoś pokombinuję, żeby sweter i twoja zabytkowa pukawka wróciły do ciebie.

*

Spakowałem najpotrzebniejsze rzeczy w mały plecak. Przeszedłem się po mieszkaniu, zgarnąłem najbardziej wartościowe drobiazgi i schowałem do sejfu w sypialni. Byłem gotów. Zszedłem na parter. Siódma rano. Pan Maciek i pan Lucjan siedzieli w warsztacie zegarmistrza i oglądali brzeszczoty do laubzegi.

– Cóż pana sprowadza, panie Robercie? – zdziwił się lutnik.

– Muszę... muszę na jakiś czas wyjechać z Warszawy.

– Ktoś depta panu po piętach? – zaniepokoił się.

– Niechący nadepnałem na odcisk bardzo złym ludziom. Bezpieczniej będzie zejść im z oczu. Na kilka tygodni, może na dłużej.

Nie okazali zdziwienia.

– Gdyby mogli panowie zajrzeć czasem do mojego mieszkania... Kwiatków nie mam, więc nie trzeba podlewać. Ale ot tak, sprawdzić, czy wszystko gra. – Położyłem na ladzie klucze.

– Oczywiście. – Zegarmistrz zgarnął je do kieszeni. – A gdyby nie grało?

– Telefonu raczej nie będę używał. Ale co kilka dni spróbuję zalogować się do netu i ściągnąć pocztę.

– Będzie nam brakowało pańskiego towarzystwa – westchnął lutnik.

– Liczę, że po powrocie opowiem, co ciekawego widziałem w różnych odległych krainach – odparłem.

Kiwnęli głowami, pożegnałem się i wyszedłem.

W sumie to nigdy w życiu nie byłem w Etiopii, pomyślałem, wsiadając do autobusu na lotnisko. Ale potrzebowałbym wizy. A może Tobago? Od dziesięciu lat chcę zobaczyć miejsce, gdzie osiedlili się wysłannicy księcia Jakuba Kettlera. Tak, to chyba dobry pomysł. Pożyczę na miejscu zestaw do nurkowania i sprawdzę, czy na dnie Zatoki Kurlandzkiej nie leżą na przykład zaśniedziałe armaty odlane w Rydze...

Dopiero gdy daleko w dole pod skrzydłami samolotu zniknęły blokowiska na obrzeżach Warszawy, uświadomiłem sobie, że nie zabrałem żadnego zdjęcia Marty. Zapomniałem, po prostu zapomniałem. Ale po chwili ze zdziwieniem uświadomiłem sobie, że jest mi to jakoś obojętne.

*

Lutnik i zegarmistrz usiedli przy stoliku pod drzewem. Rozstawili szachy, ale jakoś nie zaczęli grać. Herbata parowała w przedwieczornym chłodziu. Obaj myśleli o swoim młodym sąsiedzie. Ciemne okna jego mieszkania spoglądały na nich smutno.

– Widziałeś jego oczy? – zapytał wreszcie pan Lucjan.

– Widziałem. Zupełnie szalone. Nieczęsto miewał takie spojrzenie...

– Ogień determinacji...

– E, bez przesady, raczej potrzeba włóczęgi, zerwania z osiadłym trybem życia. Chęć ucieczki od obowiązków, od ludzi, od miejsc. Psychiatra powiedziałaby: poriomania. – Zegarmistrz upił łyk chłodnej już herbaty. – Ja wolę użyć określenia „gorączka szlaku”. Widywałem już takie przypadki. Za długo siedział na

jednym miejscu. Wypady na prowincję najwyraźniej nie zaspokoily tęsknot. Potrzebował dłuższego oderwania się od rzeczywistości.

– Jak myślisz, wróci tu jeszcze?

– Wróci. Za rok, może za dwa... Tacy jak on zawsze w końcu wracają.

List z wysokich gór



Trasa, którą miałem przebyć, liczyła dwanaście kilometrów. Latem prowadził tędy szlak turystyczny, w dodatku oznakowany jako łatwy. Zimą nikomu nie chciało się zapuszczać w bok od ubitych ratrakami tras zjazdowych. Podchodząc ku przełęczy, widziałem z daleka kolorowy tłum lansujący się wokół wyciągów. Jedni jeździli na krzeselkach w górę i w dół, inni oblegli knajpki, a tłok na stoku panował taki, że gdyby zabrakło śniegu, mało kto w ogóle by to zauważył. Międzynarodówka lansu i galansu.

Co to ma wspólnego z zimową przygodą? Z wypoczynkiem w otoczeniu przyrody, w dzikich... no, prawie dzikich górach? Prychnąłem z pogardą.

W ciągu dwóch godzin wdrapałem się na przełęcz i byłem trochę zasapany. Siadła kondycja, cóż robić... Nie musiałem patrzeć na mapę. Całą trasę miałem w głowie. Teraz dwa kilometry prosto, potem w lewo, trawersem omijam wyloty pierwszych dwu dolinek, a trzecia powadzi do miasteczka, gdzie zaklepałem nocleg.

Wokół nie widziałem żywego ducha. Nietknięty ludzką stopą śnieg przecinały tylko tropy zwierząt. Lodowce na zboczach gór połyskiwały w promieniach marcowego słońca. Piłem ostre, lodowate powietrze, czując, jak moje płuca oczyszczają się z pyłów i toksyn... Na przełęczy hulał wiatr. Było tu znacznie zimniej niż na dole. Popatrzyłem na niebo i poczułem lekki

niepokój. Przed wyruszeniem sprawdziłem prognozę pogody dla okolicy i nie zapowiadano opadów, tymczasem z południa nadpływały coraz brzydsze chmury.

Dwa kilometry prosto, trawers, wylot trzeciej doliny, powtórzyłem w myślach. Tylko trzeba się trochę pospieszyć.

Narty niosły jak złoto, wiatr miałem w plecy, pomagał w marszu. Chmury zdawały się rzednąć, ale nieoczekiwanie zaczął przyszyć śnieżek.

– Jak nie urok, to sraczka – mruknąłem pod nosem.

Na razie przyszyło delikatnie. Jak obliczałem, mniej więcej połowa drogi była już za mną. Cofnąć się? Żal mi było przebytej drogi. Wiatr ucichł. Odpaliłem telefon, załogowałem się do netu. Prognoza wskazywała na przelotne opady śniegu, ale tam, dokąd jechałem, pogoda miała być jak drut... Postanowiłem zatem ruszać dalej. Śnieg po chwili przestał padać. Minąłem wylot pierwszej dolinki, skręciłem. Popatrzyłem na zegarek i uznałem, że pora na mały odpoczynek... Gdy sączyłem kawę z termosu, zza gór wypełzły leniwie jeszcze paskudniejsze chmury. A zaraz potem rozpełtała się nieziemską wręcz śnieżyca.

– To tyle, jeśli chodzi o prognozy pogody – westchnąłem. Następnym razem powrózę sobie z fusów...

Poszusowałem naprzód i niebawem znalazłem wylot dolinki. Stok opadał łagodnie, śnieżyca stopniowo zelżała. Musiałem zwolnić, bo tu i ówdzie spod śniegu sterczały paskudnie wyglądające kamienie. Pół godziny później wyhamowałem i rozejrzałem się. Padający śnieg utrudniał orientację, okoliczne szczyty znikły, ale i bez tego zorientowałem się, że musiałem pomylić doliny... Rozwinąłem mapę. Tak... Nie było wątpliwości. W dodatku wpierniczyłem się w teren oznakowany jako rezerwat.

Spokojnie, nakazałem sobie. Wrócić do przełęczy trochę kuso, trzeba by długo maszerować ostro pod górę, a ta dolina też dochodzi do szosy. Przetnę ten rezerwat. Jeśli jest tu jakaś

chroniona roślinność, to śpi sobie pod śniegiem, wraz z rzadkimi owadami. Chronione gatunki ptaków gniazdują tu wiosną i latem. Niedźwiedzie zapadły w sen zimowy. Kozice na mój widok uciekną. Ognisk nie planuję palić, drzew nie będę ścinał. Nijak nie naruszę ekosystemu, co najwyżej mogą mnie złapać jacyś wachmani pilnujący parku narodowego. I co? I nic. Wlepią mi mandat, to zapłacę ku chwale alpejskiej przyrody... Nie obrażę się na nich nawet, bo ewidentnie jestem winny. Za głupotę trzeba płacić.

Ruszyłem spokojnie w dół. Narty sunęły po śniegu, ekosystem drzemał pod puchową pierzynką, a śnieg padał i padał. Układałem sobie w głowie kilka pomysłów, gdy nieoczekiwanie przeciągły głuchy huk wyrwał mnie z zadumy. Słyszałem już ten paskudny odgłos parę lat temu w Tatrach. Lawina gdzieś schodzi? Rzuciłem okiem w lewo i zmartwiałem. Ze zbocza prosto na mnie zsuwała się gigantyczna masa śniegu. Odepchnąłem się mocniej kijkami. Pomknąłem jak wariat, ale lawina była szybsza. Dogoniła mnie w ciągu kilkunastu sekund i ogarnęła jak fala przyboju. Poczułem, jakbym ni to skoczył na główkę do basenu, ni to wpadł pod pociąg. Skuliłem się, osłaniając głowę rękoma. Koziołkowałem zupełnie bezwładnie nie wiedząc jak długo, aż wreszcie wszystko znieruchomiało. Szarpnąłem się rozpaczliwie. Byłem zasypany zwałami śnieżnej kaszy. Grawitacja podpowiadała mi, gdzie jest góra, a gdzie dół, ale czułem, że tonę w śniegu jak w trzęsawisku. Zdołałem oprzeć nogę na jakiejś bardziej spoistej bryle, rękami rozgarniałem półsypki śnieżny pył nad głową. To, co mnie otaczało, było rzadsze od wody, lżejsze od piasku, ale pływać się w tym nie dało. Taplałem się jak w bagnie, czułem, że nacisk rośnie, zaczyna mnie dusić i nagle poczułem powiew świeżego powietrza. Ręka przebiła się na powierzchnię. Czekala mnie jeszcze długa walka. Kompletnie nie mogłem się wygrzebać ze zwałów śniegu. Nogi raz po raz zapadały się w pył. Opierałem kolana na bardziej

zwartych bryłach, ale pękały pod naciskiem. Rękoma też nie miałem się czego złapać... Przed oczami pojawiły mi się nader sugestywne obrazki z własnego pogrzebu. Cały klan Stormów w komplecie, przyjaciele, klienci, ludzie z Grona Jarzębiny... Wśród żałobników stała nawet Marta w kapeluszu przybranym czarną woalką... Wreszcie nieludzko umęczony wygrzebałem się jakoś na powierzchnię.

Musiałem mieć niewyobrażalne szczęście. Lawina, gdy mnie porwała, była na tyle miła, że nie wgniotła mnie w dno dolinki, nakrywając wielometrowym zasypiskiem grobowym, lecz jakimś cudem zaległem bardzo blisko powierzchni. Odpoczywałem, ciężko dysząc. Nie zapadałem się na szczęście.

Metr głębiej i znaleźliby mnie wiosną, uświadomiłem sobie. Albo i za kilka lat...

Wzdrygnąłem się, potrząsnąłem głową. Jeszcze nie czas. No to po kolei. Byłem trochę potłuczony, ale ręce i nogi miałem całe, nie czułem złamań ani zwichnięć. Żebra mi obięło, ale też chyba wytrzymały. Głowa w porządku. Wyposażenie? Zegarek z GPS-em miałem na ręce. Narty lawina mi zerwała, buty zostały. Kijki – pogubiłem. Plecak ocalał, kask nadal miałem na głowie. Wygarnąłem śnieg, który wbił mi się za kołnierz. W kieszeni wyczuwałem telefon.

Rozejrzałem się. Wokół ciągnęło się pole śnieżnego rumoszu. Całość wyglądała bardzo niestabilnie – lawina składała się z luźnego usypiska pyłu i zlepków śniegu o różnej konsystencji. Zrobiłem pierwszy krok na czworaka. Bryła, o którą oparłem kolano, nie utrzymała ciężaru i wpadłem nieco głębiej niż po pas. Wygrzebałem się przerażony z pułapki. Nie dało się po tym normalnie iść. Nie dało się raczkować... Poczłogałem się zatem. Wreszcie z ulgą opadłem na zwyczajny sypki śnieg poza obszarem zwałowiska. Otrzeptałem się, pomodliłem i popatrzyłem na niebo. Ciemniało. Rzuciłem okiem na zegarek i zgłupiałem. Szarpania z lawiną zajęła mi cztery godziny... Może

pod śniegiem straciłem na jakiś czas przytomność? Tak czy inaczej, nie miałem szans przed nocą dotrzeć do cywilizacji.

Sytuacja wyglądała dość groźnie, ale nie była beznadziejna. W plecaku miałem gruby śpiwór, trzy koce termiczne, ogrzewacze chemiczne, używane przez himalaistów. Trzeba znaleźć w miarę spoisty nawis śnieżny, wykopać sobie odpowiednią jamę i spokojnie przeczekać do rana. Potem czeka mnie naprawdę ciężki marsz w kopnym śniegu. Ale daleko od wioski nie jestem. Osiem, może dziesięć godzin brnięcia przez zasy i dotrę do ludzi. Dam radę.

Teraz kwestia najważniejsza. Czy ktoś będzie mnie szukał? Wymeldowałem się z kwatery i nie dotarłem na drugą, gdzie miałem rezerwację. Nie wiedzą, że planowałem przyjechać na nartach przez góry. Zatem gdy się nie pojawię, nie będą chyba szczególnie zaniepokojeni. Trochę się wrypałem, ale wykaraskam się sam. Gdyby gospodarze wszczęli alarm, pewnie miejscowe służby ratownicze zaczęłyby mnie szukać. Być może nawet by mnie znalazły. A potem dostałbym pocztą rachuneczek na dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy eurośów... To już lepiej niech w ogóle mnie nie szukają! No chyba że nie będzie innego wyjścia – wtedy wezmę telefon, sprawdzę namiar GPS i zadzwonię, niech ktoś mnie ściągnie...

Technika, pomyślałem. Chroni nas przed dziką naturą. Umożliwia przetrwanie w miejscach, gdzie inne organizmy giną... Tak wiele rzeczy nam ułatwia, a jednocześnie, gdy zwała się lawina, uratował mnie tylko życiowy fart do spółki z Aniołem Stróżem.

Rozejrzałem się wokoło. Jakiś kilometr niżej czerniał las. Drewno to opał, gałęzie na szałas... Hmm... Eeee... To rezerwat jest. Dobra, zatem nie będę palił ogniska, chyba że nie będzie innej możliwości. Dam radę tam dojść, nim zrobi się ciemno? Nie. Buty narciarskie są sztywne i utrudniają marsz. Ale co z tego? Mam przecież latarkę... Powędrowałem w dół doliny.

Szedłem może kwadrans, gdy nieoczekiwanie spostrzegłem u stóp ściany skalnej ciemną plamę. Jaskinia? Ruszyłem w tamtą stronę. Nie, to nie była jaskinia, tylko niewielka płaska wnęka, tak zwane schronisko skalne. Oświetliłem ją latarką. Namulisko było w miarę suche, pusta przestrzeń wystarczyła, by ułożyć się w niej w śpiworze. Sufit był monolityczny, nie zachodziło ryzyko, że runie mi na głowę. Zebrałem kilka dużych odłamów skalnych i wzniosłem prowizoryczny murek, żeby zasłonić wnękę przed wiatrem. Rozłożyłem materac, na śpiwór narzuciłem kurtkę i koce termiczne. Gdy wpełzłem do wnętrza i chwilę pochuchałem, zrobiło się całkiem przyjemnie... Sprawdziłem wcześniejszy odczyt GPS-u z mapą, zaznaczyłem pozycję. Rano trzeba zmienić buty narciarskie na zwykłe, które mam w plecaku. W lesie przygotuję sobie rakiety śnieżne. Trzeba przejść spory kawał, ale dam radę...

Użyłem trzech ogrzewaczy chemicznych, dwanaście zostawiłem na później. Popatrzyłem na zegarek. Było po dwudziestej. Trzeba coś zjeść i iść spać. Naprawdę ciężko robi się nad ranem. Gdy tylko wstanie słońce, ruszam w dół... Ku ludziom.

Faktycznie, gdy obudziłem się około trzeciej, było bardzo zimno. W grubym śpiworze nakrytym folią zmarzłem na kość. Użyłem kolejnych trzech ogrzewaczy. Stopy, kolana, kark... Wsunąłem jeden pomiędzy uda. Przysnąłem i znów zbudziło mnie zimno, ale już dniało. Wykorzystałem kolejną porcję chemicznych zabawek. Zostało tylko sześć... Zasnąłem. Obudziłem się o siódmej. Czuję się byczo, nie byłem nawet, wbrew obawom, przemarznięty na wylot.

– Raz jeszcze udało się przeżyć – mruknąłem i zawstydzilem się.

Przespałem noc w jaskini. I co? Przecież z takim sprzętem nie był to żaden wielki wyczyn. Ubrałem się, zwinąłem koce i śpiwór. Spuściłem powietrze z materaca, zrolowałem wszystko,

upchnąłem w plecaku. No i dobra... Ruszyłem wzdłuż ściany skalnej. Minąłem występ i ujrzałem wylot drugiej jaskini. Jej wejście też ktoś zaślepił murkiem, teraz jednak część kamieni przewróciła się, odsłaniając otwór.

– Zrobiłbym wczoraj wieczorem kilka kroków i miałbym na nocleg pałac zamiast lepianki – mruknąłem.

Pochyliłem się i zajrzałem, by ocenić, o ile ta grota była lepsza od mojej, po czym odruchowo cofnąłem się dwa kroki. Jaskinia miała lokatora... Odetchnąłem głęboko i zajrzałem ponownie. Nieboszczyk musiał tu siedzieć od wielu lat. Ostre górskie powietrze, wiatry i mrozy zmieniły go w mumię... Plecami opierał się o skałę. Twarz poczerniała, oczodoły zapadły się. Szczeka opadła zapewne zaraz po śmierci i teraz zmarły sprawiał wrażenie upiornie uśmiechniętego. Ubrany był w mundur i narzucony na ramiona półkożuszek. Na piersi nadal wisiała mu lornetka, obok uda leżał jeszcze tubus z lunetą. Popatrzyłem na karabin stojący pod ścianą. Mauzer? Nie, mannlicher z okresu pierwszej wojny światowej, krótki, przeznaczony dla kawalerzysty lub zwiadowcy. Żołnierz... Kolor munduru był już nierozpoznawalny, klamry pasa nie mogłem dostrzec. Kożuch zakrywał epolety. Ale sądząc po oznaczeniach wytłoczonych na guzikach, był to żołnierz cesarstwa austro-węgierskiego. Wydało mi się nieprawdopodobne, że to ciało spoczywa w grocie od stu lat, ale tak po prostu musiało być... W dłoniach splecionych na podołku nieboszczyk trzymał garść drobnych kości i niegdyś białych piór.

Gołąb pocztowy, domyśliłem się.

Żołnierz siedział w dziwnej pozycji. Jedną nogę ugiął i przyciągnął do siebie, druga spoczywała wyciągnięta. Leżał pod nią zwitek tkaniny, być może zrolowany ciasno szal. Resztki watowanych spodni utrudniały obserwację, ale odniosłem wrażenie, że kość piszczelowa jest złamana i przemieszczona...

Nietrudno sobie wyobrazić, co tu zaszło. Żołnierz wyruszył

w góry na zwiad. Tak jak mnie, zaskoczyła go zadymka. W dodatku w nieznanym terenie złamał nogę albo uszkodził kolano. Zdołał się jakoś dowlec w trochę bezpieczniejsze miejsce. Schronił się w tej jaskini. Odstawił karabin, ale z jakiegoś powodu nie był w stanie rozpaścić ognia. Rozejrzałem się. Wypatrzyłem tylko dziwny skórzany kuferek z paskiem do przewieszenia przez ramię. Kuferek miał dwie klapki, ozdobione dziurkowanymi rozetkami. Służył do przewożenia gołębi pocztowych? No cóż, nie była to jeszcze epoka przenośnych radiostacji, a na wojnie pilny meldunek ze zwiadu może przesądzić o zwycięstwie lub ostrzec przed zagrożeniem.

Kapsuła, mała enklawa, w której czas zatrzymał się w roku na przykład 1915, pomyślałem. Jestem pierwszym od wieku człowiekiem, który zagląda do wnętrza... Czy to możliwe? Możliwe. Latem to miejsce zasłaniają krzaczory, zimą nikt tu nie chodzi. Murek dodatkowo maskował grotę.

Zajrzałem raz jeszcze i zacząłem porządkować wyniki obserwacji. Zapewne człowiek ten zgubił albo stracił plecak z pozostałym wyposażeniem. Nie miał śpiwora, pałatki, kochera ani zapasu paliwa. Wbił się w ten kąt i zamarł. Może liczył, że dotrwa do rana albo do końca zadymki i wtedy wypuści gołębia pocztowego z meldunkiem o swojej pozycji i prośbą o ratunek? Ogrzewał ptaka dłońmi, niestety, nadaremno... Wykończyli się obaj.

Spojrzałem na jego stopy w wysokich sznurowanych buciorach. Do podeszwy przymocowano charakterystyczne blachy.

Miał narty, przemknęło mi przez myśl.

Rozejrzałem się i wypatrzyłem je wewnątrz, tuż przy wejściu do groty, oparte o skalną ścianę. Czemu je zabrał? Bo to ratunek... Może liczył, że zdoła jakoś unieruchomić złamaną nogę, zaimprovizuje sobie coś w rodzaju sanek i zjedzie w dół, w dolinę. Tam, gdzie ludzie, choć zapewne byli to wrogowie. Tak

czy siak, nie porzucił karabinu, gołębia ani sprzętu...

Przykucnąłem i oświetliłem narty latarką. Bukowe drewno, zaimpregnowane pewnie przez zanurzenie we wrzącym wosku lub oleju. Okucia z niklowej albo grubo poniklowanej blachy poczerniały z czasem, ale oparły się korozji. Paski oczywiście diabli wzięli, wisiały zeschnięte i sparciałe... Spojrzałem na moje buty.

– Wybaczy pan – zwróciłem się do nieboszczyka. – Chciałbym pożyczyć pańskie narty. W normalnej sytuacji nie kłopotałbym pana tak nieelegancką, a wręcz bezczelną prośbą, ale moja sytuacja, jak pan zapewne widzi, normalna nie jest... W zamian mogę zagwarantować chrześcijański pochówek w dolinach.

Nie oponował. Obejrzałem dokładniej sprzęt. Końcówki tam, gdzie opierały się o glebę, były spróchniałe na odcinku około czterech centymetrów. Oczyszczyłem okucia z resztek oryginalnych pasków. Wstawiłem w narty moje buty. Potem wydobyty z plecaka drucikiem starannie je przymocowałem. Zacisnąłem końcówki multitoolem. Od szosy dzieliło mnie sześć, może osiem kilometrów. Przez kopny śnieg. Przez las. Przez usypiska głazów. Wytrzymają. W plecaku miałem smar do nart. Współczesny, ale cóż, innego nie było... Natarłem deski.

Rozejrzałem się raz jeszcze po jaskini. Nieboszczyk, jego rzeczy... Można ruszać w drogę. Z ulgą opuściłem grootę. Narty były długie. W tamtych czasach dobierano je do wzrostu w ten sposób, że użytkownik musiał wyciągnąć rękę do góry. Gdy czubki palców dotykały czubków nart, uznawano, że jest akurat.

Lawina wypełniła dolinę rumoszem brył zbitego śniegu. Jechać po tym się nie dało, iść tylko z największą ostrożnością... W ciągu godziny, kilkakrotnie upadając, przebyłem trawersem najgorszy odcinek. Dotarłem do nienaruszonego śniegu na zboczu i pojechałem w dół. Popatrywałem, czy nie spostrzegę moich nart, ale nie było na to większych szans. Czoło lawiny zatrzymało się pół kilometra poniżej groty. Wyglądało na to, że

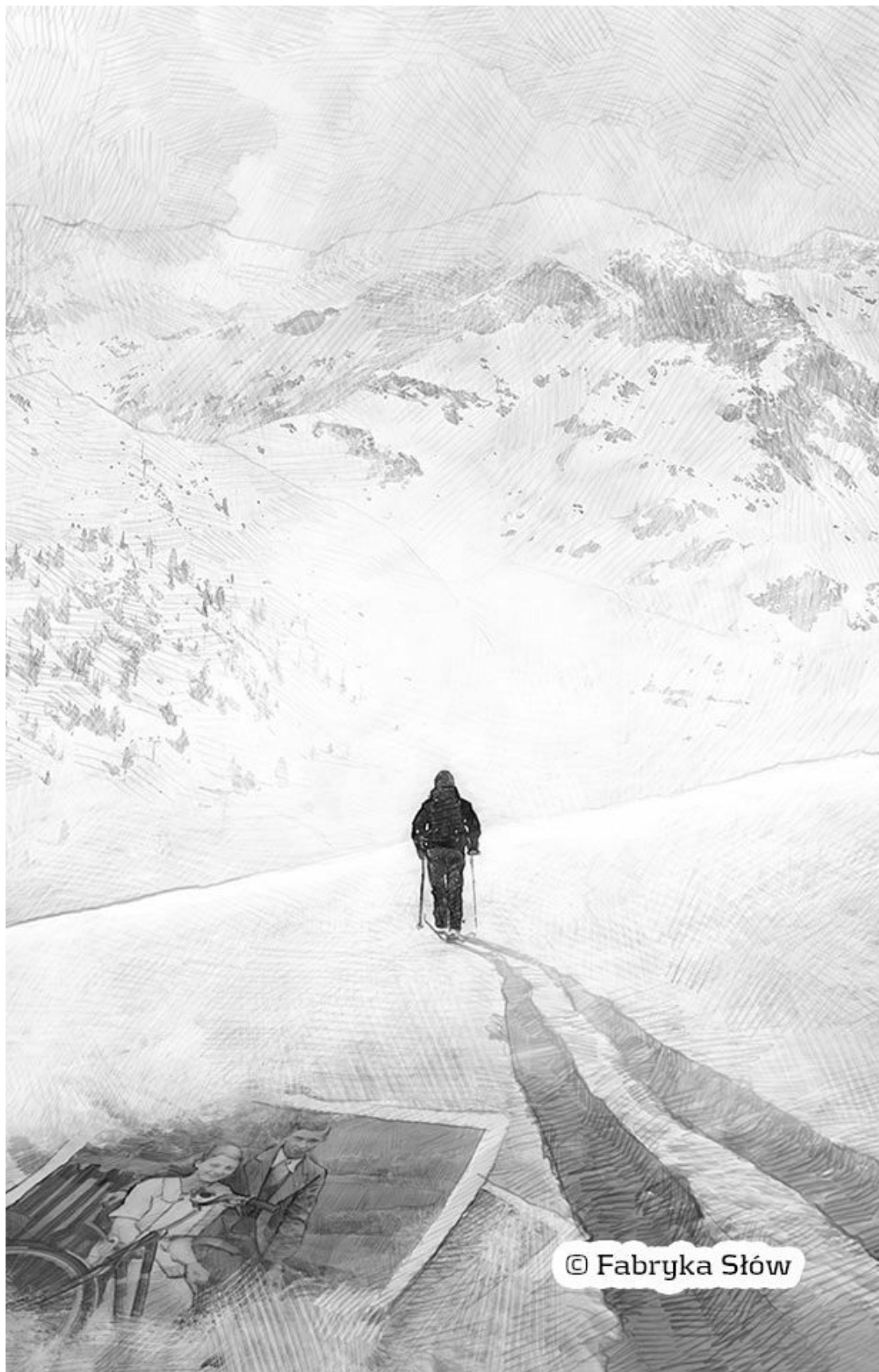
zwały śniegu leżą stabilnie i nie grozi mi, że ponownie zaczną mnie ścigać.

Narty nieboszczyka niosły jak złoto. Zjechałem do lasu, z trudem pokonałem gąszcz, starając się nie łamać gałęzi. Jakies cztery kilometry niżej trafiłem na drogę przetartą ratrakiem, który przejechał może dwie godziny wcześniej.

To zapewne szosa, pomyślałem. Zatem w prawo...

*

Ekipa dochodzeniowa była czteroosobowa. Miasteczkowy policjant, a dokładniej chyba nawet nie policjant, tylko technik policyjny od zabezpieczania śladów. Lekarz, trudno powiedzieć, czy policyjny, czy może ściągnięty z dyżuru w stacji ratownictwa górskiego. Pracownik muzeum gromadzącego pamiątki wojenne wyplute przez okoliczne lodowce. No i ja... Pilot posadził helikopter na zasypanej śniegiem łączce jakieś dwieście metrów powyżej jaskini. Zeszliśmy na dół, wzajemnie się asekurowając i ciągnąc na linkach dwa tobogany – na nieboszczyka i ewentualne znaleziska. Gliniarz i lekarz mieli znudzone miny owczarków oderwanych od pełnej michy. Cóż, moje zgłoszenie przysporzyło im dodatkowej roboty. Facet z muzeum dla odmiany był bardzo przyjacielsko nastawiony. Przedstawił się jako Vincenzo. Po angielsku mówił całkiem znośnie... Już podczas lotu uraczył mnie długą tyradą historyczną na temat walk w okolicznych górach. Było to bardzo ciekawe, ale po ciężkiej nocy i niełatwej jeździe porannej czułem się trochę zmęczony.



© Fabryka Słów

Wedle jego słów same lawiny, śnieżyce i załamania pogody kosztowały życie kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy. W skrajnie trudnych warunkach, by zapewnić choć minimalne zaopatrzenie walczącym, kładziono linie kolejki wąskotorowej, budowano koleje linowe, ciągnięto na szczyty kable elektryczne i telegraficzne. Na niedosiężne półki skalne wciągano karabiny maszynowe, a nawet działa. Po zawarciu pokoju wojsko porzuciło w górach wykopane i wykute w skałach umocnienia oraz dziesiątki ton wszelkiego sprzętu, którego nie opłacało się już zabierać. Niejedna okoliczna rodzina podłatała budżet, ściągając z niedosiężnych szczytów szyny, lufy, stalowe płyty. Przyzwoite pieniądze zarobiono na handlu mosiężnymi łuskami i miedzianym drutem telegraficznym.

Gdy podchodziliśmy do groty, miałem irracjonalne przecucie, że będzie pusta, ale nieboszczyk grzecznie czekał na nas. Siedział tak, jak zostawiłem go rankiem, uśmiechnięty i wpatrzony zapadniętymi oczodołami w wieczność. W mocnym świetle halogenowych latarek ukazało się całe wnętrze. Ujrzałem masę szczegółów, na które wcześniej nie zwróciłem uwagi. Strzęp pałatki, umocowany zastruganymi patykami, wskazywał, że żołnierz zabezpieczył prowizorycznie wejście do jaskini. Ułożył sobie platformę z kilku wiązek patyków, by nie siadać na gołej skale. Kupka popiołu i węgielków powiedziała nam, że jednak przez jakiś czas paliło się tu małe ognisko.

– Ze złamaną nogą trudno byłoby tak to wszystko przygotować – mruknął Vincenzo. – Może było ich dwóch? Ten drugi poszedł sprowadzić pomoc i zginął..

– Chyba nie. – Pokręciłem głową. – Ten drugi nastawiłby towarzyszowi złamanie i założył choćby prowizoryczne łubki.

Muzealnik zadumał się na chwilę i kiwnął głową, przyznając mi rację. Technik zabrał się do fotografowania wszystkiego po kolei. My czekaliśmy na zewnątrz. Oparłem się plecami o ścianę

skalną i rozglądałem.

– Góry wydają się piękne, zapominamy czasem, że to miejsce niegościnne i groźne dla życia – zauważył filozoficznie pracownik muzeum.

– Zwłaszcza gdy nie da się samodzielnie wydostać z pułapki i nie można liczyć na żadną pomoc. – Pokiwałem głową. – Jakże będą dalsze... – nie dokończyłem.

– Lodowce od czasu do czasu oddają nam ofiary tamtej wojny. Jest opodal specjalna kwatera na cmentarzu, chowamy tam żołnierzy obu armii, z ceremoniałem wojskowym. Jeśli grzebiemy naszych, to w asyście burmistrza. Jeśli Niemców lub ludzi innej narodowości, zazwyczaj ambasada przysyła swojego przedstawiciela. Przedmioty osobiste fotografujemy i trafiają do trumny, reszta po niezbędnej konserwacji do mojego muzeum.

Kiwnąłem głową. Całkowicie mnie to satysfakcjonowało. Spojrzałem na niebo. Było lekko zaciągnięte chmurami.

– On był zwiadowcą? – zapytałem.

– Tak zakładam – potwierdził pracownik muzeum. – Zapuścił się naprawdę daleko w głąb naszego terytorium... Tacy jak on potrafili samotnie przemieszczać się i obozować w górach nawet kilka dni. Nie miał lunetki na karabinie, ale mógł też być snajperem, czy też, jak się wówczas mówiło, strzelcem wyborowym.

– W takim wypadku lunetki nie miał, bo ją celowo zdemontował i „zgubił” – mruknąłem. – W razie dostania się do niewoli nie miałby szans...

– Snajperów nikt nie lubił i faktycznie z reguły zabijano ich na miejscu. Widzę, że interesuje się pan tymi sprawami?

– Tylko trochę.

Stałem w przejściu i patrzyłem, jak policjant z lekarzem, odziani w gumowe rękawiczki, badają kolejne warstwy resztek odzienia. Znaleźli zardzewiały pistolet Mauzer, portfel, zegarek... Patrzyłem, jak do plastikowej skrzynki transportowej wkładają

kolejne przedmioty. Obok ciała odkryli przegniłe pudełko zapalek i ogarek świeczki. Nieboszczyk faktycznie trzymał w dłoniach szczątki gołębia pocztowego. Ptak miał na nóżce ebonitową tulejkę.

– To już sobie na spokojnie rozkręcimy w muzeum – wyjaśnił mi Vincenzo. – Wybiorę się tu jeszcze kilka razy latem. Może lodowiec tam wyżej coś jeszcze odda...

– Ten człowiek powinien mieć plecak z wyposażeniem, prawda?

– Tak. Nie ma też czekana, nie ma lin. Może wbił go gdzieś w śnieg i opuścił się w dół, ale nie mógł już sprzętu odzyskać. Swoją drogą, zabrał karabin, choć miał też pistolet... Ludzie w szoku czasem działają irracjonalnie.

Wreszcie wydobyto ciało, zapakowano w tradycyjny czarny worek i umieszczono na toboganie. Zajrzeliśmy jeszcze z muzealnikiem do wnętrza jaskini.

– Punkt dla pana. – Mężczyzna wyciągnął z jednej ze szczelin lunetkę celownika.

Wojna, pomyślałem, oglądając znalezisko. My strzelamy, oni strzelają, takie prawo. A on? Strzelał z ukrycia, z ogromnej odległości, jak na polowaniu. Znałem zasadę niemieckich snajperów: „trzy kule – dwa trupy”. Pierwszym pociskiem ranili żołnierza w udo, by nie mógł uciec. Drugim zabijali spieszącego mu na ratunek. Trzecią kulą dobijali rannego. Proste, skuteczne, teutońskie podejście do wojny... A ten? Wybierał cele, może likwidował oficerów, by nie było komu prowadzić żołnierzy do boju... Może miał do wykonania jakąś ważną misję, skoro znalazł się tak daleko od pozycji swoich wojsk? I naraz poczułem, że gdyby znów doszło do wojny, to i ja snajperów nie brałbym do niewoli...

Coś wyrwało mnie z ponurej zadumy. Zazgrzytał suwak, to policjant zamykał worek z ciałem. Powlekliśmy we czterech ładunek do czekającego helikoptera. Nie był ciężki, mumie nie

ważą dużo.

– Zazwyczaj gdy lodowce oddają ciała, to są one pozbawione włosów, a często też odzienia – odezwał się Vincenzo. – No i w regionach, gdzie toczyły się walki, trzeba bardzo uważać ze zbieraniem wszelkich artefaktów, bo na przykład niekiedy lodowiec, topniejąc, odsłania porzucone naboje artyleryjskie. Całe naboje to już zagrożenie, ale jeszcze gorsze są same pociski z zapalnikiem i ładunkiem. Często upadały w śnieg i nie wybuchały. Proszę sobie wyobrazić, że takie cholerstwo leżące w lodzie od wieku do dziś może mieć sprawny zapalnik! Tyle dobrze, że na tym froncie w zasadzie nie używali broni chemicznej. We Francji do dziś istnieje tak zwana czerwona strefa, to znaczy pas rezerwatów w miejscach skażonych podczas pierwszej wojny światowej iperytem i innymi świństwami.

– Gdy byłem mały, nie było lata, żeby prasa i telewizja nie informowały o śmierci od niewypałów – zauważyłem. – Tylko że nam nadal zagrażają raczej te z drugiej wojny.

Przypomniałem sobie kumpla z liceum, który strasznie napalony był na zbieranie „militariów”. Niemal co weekend jeździł w lasy nad Bzurę przeszukiwać z wykrywaczem metali okopy. Pocisk od haubicy miał być zapewne ozdobą jego kolekcji. Niestety, zapalnik wykonano z dobrego przedwojennego brązu. Okazał się sprawny... Był człowiek i nie ma człowieka. Puste krzesło, ozdobione czarną kokardą. Do tego klasowy pogrzeb. Okropne przeżycie. Rozmowa przygasła sama z siebie.

*

Przez kilka kolejnych dni miałem wrażenie, że zapomniałem o czymś ważnym... Gryzło mnie to, gdy siedziałem na lotnisku. Gryzło mnie, gdy leciałem samolotem. O czym mogłem zapomnieć? Zrobiłem wszystko jak trzeba. Pojeździłem sobie na

nartach. Znalazłem zwłoki. Powiadomiłem władze. Przed pogrzebem wykonana została obdukcja, sprawdzili, co miał w kieszeniach, odczytali zapewne znalezione dokumenty. Jeśli po tylu latach okazały się nieczytelne, nieboszczyk prawdopodobnie miał na szyi albo w kieszeni nieśmiertelnik. Zostanie zidentyfikowany. Pochowają go w grobie oznaczonym imieniem i nazwiskiem, pewnie w obecności przedstawiciela ambasady. Być może nawet powiadomiona zostanie jego rodzina... Najpewniej poległ w 1915. Ile mógł mieć lat? Trudno ocenić wiek mumii, ale wyglądał mi na młodego człowieka. Dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat. Mógł już być nawet żonaty, bo w tamtych czasach ludzie pobierali się znacznie wcześniej niż dziś. Jeśli miał dzieci, musiałyby się urodzić w tym okresie, nie więcej niż kilka lat przed wojną. Czyli prawdopodobnie też już nie żyją. A gdyby żyły, włoskie władze rodzinę zawiadomią. Bez sensu to wszystko. Zrobiłem swoje. Narty i reszta wyposażenia trafią do muzeum.

Minęły tygodnie i powoli zapominałem o sprawie. Wiosna minęła i nadeszło lato, gdy nieoczekiwanie otrzymałem mejl od Vincenza. Podesłał mi niemal sto megabajtów załączników – zdjęcie z pogrzebu zwiadowcy oraz pełną dokumentację fotograficzną przedmiotów znalezionych w jaskini. Karabin, pistolet, amunicja nadal tkwiąca w ładownicach, manierka... Zdumiała mnie liczba drobiazgów, które jeden człowiek może mieć przy sobie. Za pazuchą żołnierz schował portfel. W nim trochę waluty kilku różnych krajów. Osobno zeskanowano dwie fotografie i kartkę z niedokończonym listem.

Zdjęcia zniszczył czas i wilgoć. Utleniły się częściowo, ale nadal były czytelne. Na jednym chłopak i dziewczyna. Stoją, trzymając rowery, a za nimi wznosi się samotny głąz. Drugie przedstawiało ich na tle jakiegoś starego kościoła. Chyba wykonano te zdjęcia przy użyciu statywu i samowyzwalacza. Po drugiej stronie znajdowały się dwa niemal identyczne wpisy nakreślone po

niemiecku wyraźnym, trochę dzieciennym charakterem pisma.

„Drogiemu Karlowi na pamiątkę Ingeborga N-q.”

W rogu wypisano jeszcze datę: 1913.

– A zatem nasz snajper zwiadowca miał przyjaciółkę... – mruknąłem. Poznał ją, sądząc po letnich strojach, w wakacje. Ostatniego spokojnego lata przed pierwszą wojną światową... Napisał do niej list, a raczej zaczął pisać. Zabrał go ze sobą na misję, może liczył, że gdzieś w górach będzie chwila spokoju i wtedy dokończy. A zamiast tego... Ileż było takich historii o chłopakach, którzy poszli na wojnę i zaginęli bez wieści...

Pisany niemiecki sprawił mi strasznie dużo problemów. Ryłem w liście i ryłem, aż wreszcie przepisałem sobie cały na czysto.

Droga Ingeborgo!

Idzie wiosna, a ja nadal w tych przeklętych, skutych mrozem górach. Coraz więcej czasu spędzam na patrolach, często jestem poza obozem i po kilka dni, samotnie pokonując granie i wypatrując zwiadowców wroga. Zimowe miesiące wydają mi się teraz tak spokojne. Śmierć na wojnie to rzecz zwyczajna, ale patrzę, jak wokół giną ludzie. I często zabija ich nie kula wroga, ale same góry. Nawet doświadczeni Tyrolczycy, od dziecka zaprawieni do wędrówek po skałach, boją się wojny w takich warunkach. Lód przecinają szczeliny, wiosna przyniosła nam także śmiertcionośne lawiny, a skały, do tej pory spojone mrozem, kruszą się. Mnożą się wypadki. Mam coraz gorsze przeczucia co do swojego dalszego losu. Jestem już nieludzko zmęczony tym wszystkim. Latem, jeśli nie będzie ofensywy, dostanę dziesięć dni urlopu. Nie zdążyłbym przyjechać do Ciebie, zresztą nie mogę przekroczyć granicy, tego nam nie wolno. Pomyślałem jednak, że może odwiedzisz mnie w Salzburgu. I zaraz odrzucam tę myśl, jako że podróż daleka, kosztowna i w tych trudnych czasach także niebezpieczna. W zeszłym roku miałem nadzieję, że wojna ma się ku końcowi, ale gdy latem Rosjanie rozbili nasze armie w Galicji,

pojąłem, że nie można już na to liczyć. Diabli nadali...

Na tym list się urywał.

Letnia ofensywa Rosjan w Galicji to zapewne przełom Brusilowa. Zatem zmarły napisał to wiosną 1917. Faktycznie, wojna miała jeszcze potrwać...

Wpadł mi w ręce nedoręczony list. Co mam zrobić z tym fantem? Nieboszczyk pożyczył mi narty, zatem przysługa za przysługę. Doręcę go adresatce, a raczej jej potomkom. A przynajmniej spróbuję to zrobić. Wiem, jak miała na imię. Nie mam nazwiska, tylko dziwny skrót. Nie mam adresu. Czy to mnie powstrzyma? Nie. Ustalę adres. Ustalę tożsamość dziewczyny. Trzeba tylko pomyśleć, jak to zrobić.

Powiększyłem zdjęcie kościoła. Kamienne mury... Styl? Hmm... Skandynawska odmiana gotyku? Nie, to jest ewidentnie coś starszego. Mieli dużo kamienia, nie musieli męczyć się z lepieniem, suszeniem i wypalaniem cegieł. Imię Ingeborga też wskazywało na Szwecję.

Powiększyłem fotografię, na ile się dało, i badałem ją centymetr po centymetrze. Żadnej tabliczki z nazwą parafii, żadnego napisu mogącego naprowadzić mnie na trop. Nie znalazłem nawet żadnej daty wykutej w murze nad wejściem do kościoła. Wokoło świątyni stało kilka kamiennych i żeliwnych krzyży oraz steli, ale ostrość fotografii nie pozwoliła odczytać nazwisk wykutych w kamieniu. Kościół rzucał cień na przyległy cmentarzyk.

Kościół zazwyczaj orientowano na linii wschód – zachód. Gdybym znał dokładną datę i godzinę wykonania fotki... – zadumałem się.

Nie, wyliczenie długości i szerokości geograficznej w tych warunkach jest niewykonalne. Charakterystyczna roślinność? Kicha... Może być Skania, może być Västergötland, mogą być okolice Sztokholmu albo zgoła Norrland. Część Finlandii, która

kiedyś należała do Szwecji? Nie da się wykluczyć.

Trzeba będzie skompletować listę wszystkich kościołów Szwecji starszych niż siedemset lat i poszukać w necie ich fotografii, zaplanowałem zadanie. Nie będzie ich szczególnie dużo, kilkaset zapewne. Zaludnienie kraju było niewielkie, w dodatku nieliczne świątynie przetrwały w takiej formie jak ten kościół, bez zeszpecenia późniejszymi przebudowami... Tydzień, może dwa tygodnie roboty.

Teraz zabrałem się do analizy drugiej fotografii. Głaz... Narzutowy? Zapewne tak. Masa własna kilkanaście ton jak obszył. To były czasy, gdy klisza celuloidowa dopiero się upowszechniała. Zdjęcia były trudne do wykonania i raczej nie marnowano klitek, by radośnie cykać wszystko, co się da. Dlaczego właśnie tam się sfotografowali? Bo dojechali na rowerach i chcieli mieć pamiątkę, że tam byli. Dlaczego tam pojechali? Bo zapewne z jakiegoś powodu ten kamień był ciekawy. Może wiązała się z nim jakaś lokalna legenda? W każdym razie Szwedka zabrała znajomego Austriaka na wycieczkę, by mu to pokazać. A może pojechali ot tak i cyknęli się na jego tle, bo ich zaciekawił?

Powiększyłem fotografię. Na powierzchni głazu biegły jakby rowki. Powiększyłem ponownie, skontrastowałem. Linie, kreski...

– Napis runiczny – mruknąłem. – Kamulec z epoki wikingów, w sam raz lokalne *Sehenswürdigkeiten*, które można pokazać przybyszowi z daleka.

Trzeba poszukać spisów szwedzkich kamieni runicznych. Tak dużych będzie nie więcej niż kilkaset, najwyżej kilka tysięcy. Zidentyfikuję kościół, zidentyfikuję głaz. Ile można przejechać na rowerze? Powiedzmy, że czterdzieści kilometrów to górna granica. Wezmę mapę, wbiję nóżkę cyrkla w miejsce, gdzie leży kamień runiczny, i w miejsce, gdzie stoi kościół. Dwa okręgi o średnicy dwudziestu kilometrów, zapewne zachodzące na siebie, wyznaczą teren, który trzeba przeszukać...

Będę znał okolicę, w której Karl spędzał wakacje w roku 1913. Potem do sprawdzenia pozostanie kilkadziesiąt, może kilkaset adresów, aż znajdę dom pani Ingeborgi N-q.

Poczułem, że coś przegapiłem. Raz jeszcze przypatrzyłem się fotografiom. Na zdjęciu z kamieniem oboje nosili solidne buty za kostkę, przy paskach wisiały im manierki. Karl miał na ramionach plecak. W dodatku Ingeborga założyła bryczesy. Na fotce z kościołem dziewczyna była w sukience i delikatnych sandałkach. Rowerów też ze sobą nie mieli.

– Do kamienia było daleko. Kilka godzin kręcenia pedałami. Włożyli dobre buciory, zabrali wałówkę i wodę do picia. Do kościoła było bliźiutko, nie potrzebowali rowerów ani manierek.

*

Szwedzkie lato było dokładnie takie, jak można sobie wymarzyć. Ciepłe, ale bez przesładującego na każdym kroku upału. Wypożyczyłem rower w Vadstene i pojechałem najpierw brzegiem jeziora, potem drogą przez pola... Kościół w Orbegra wyłonił się zza pagórków. Najpierw spostrzegłem kamienną wieżę, potem gałęzie drzew rosnących przy świątyni. Wokół stało tylko kilka gospodarstw. Tu albo w którejś z okolicznych farm mieszkała Ingeborga N-q. Patrzyłem na te same kamienne mury, które oglądała z Karlem. Wyjąłem odbitkę i porównałem. Nie miałem żadnych wątpliwości. Wypatrzyłem nawet miejsce, gdzie prawdopodobnie stali, robiąc zdjęcie.

Zostawiłem rower przy bramie i ruszyłem na cmentarz. Niewielki kamienny budynek mógł być w przeszłości spichlerzykiem probostwa. Kawalek dalej pod daszkiem na metalowym stelażu wyeksponowano stare płyty nagrobne lub kommemoratywne. Popatrzyłem na misternie kute ornamenty i napisy. Daty z XVII i XVIII wieku powiedziały mi, że nie tego

szukam.

Ale był tu także cmentarz bardziej współczesny. Nowe nagrobki oglądałem z rosnącym zdumieniem. Krzyże ewidentnie były już od dawna passé. W kamieniu wykuto zachodzące słońca, drzewa gubiące liście, pęki ziół, splecione dłonie, klucze odlatujących ptaków, a często tylko imiona i nazwiska zmarłych. Na kilku wyryto róże, być może nawiązujące do róży Lutra, a może nieniosące już żadnej treści? Na górnych krawędziach niektórych płyt przymocowano odlane z brązu ptaszki. Gdzieś leżał nawet martwy marmurowy gołąb z łebkiem tragicznie zwieszonym za krawędź kamienia.

– Poganie, psia mać – westchnąłem. Psa wyjącego na mogile pana sobie wykujcie. Albo od razu Myszkę Miki i Kaczora Donalda...

Przypomniałem sobie książki Jadwigi Warnkówny, Stanisława Bełzy, Macieja Szukiewicza i innych polskich podróżników, którzy odwiedzili Skandynawię przed wiekiem. Praktycznie wszyscy podkreślali głęboką moralność i wyjątkową religijność Szwedów.

I komu to przeszkadzało? – zadumałem się.

Przyglądałem się starym nagrobkom. Ingeborga na zdjęciach miała szesnaście, góra osiemnaście lat. Urodziła się zapewne pod koniec dziewiętnastego wieku. Mogła zatem umrzeć w ostatnich trzech dekadach wieku dwudziestego. Albo i wcześniej.

Bez sensu, pomyślałem godzinę później. Założyłem, że właśnie tu leży, a przecież w okolicy, między tą świątynią a głazem runicznym, jest jeszcze kilka innych kościołów i cmentarzy. Zasugerowałem się sandałkami na fotografii, a przecież mogli przyjechać bryczką na wycieczkę... Dziewczyna mogła też, jak tysiące młodych Szwedek, znaleźć po wojnie robotę w mieście, wyjechać z tej pięknej okolicy i leży teraz na cmentarzu gdzieś w Sztokholmie czy Goeteborgu...

Kwadrans później trafiłem na kwaterę rodu Nynquistów.

Inicjał N-q? Pasowało! Grobów było kilkanaście, najstarszy pochówek pochodził z lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Ingeborgi wśród nich nie było, ale czułem, że złapałem naprawdę dobry trop. Na jednej z płyt wykuto koło sterowe. Kapitan czy co? Żeglował po morzach czy też po pobliskim jeziorze Vättern?

Rodzina mieszkała tu od co najmniej połowy dziewiętnastego wieku. Trzymali się okolicy, a zapewne nawet jak wyjeżdżali pracować gdzie indziej – dotknąłem wykutego koła – to na starość albo dopiero po śmierci wracali tu, do swojej parafii... Gdzie zatem podziła się Ingeborga? No cóż. Czekala na wiadomości od Karla. Być może napisała do jego rodziny i dowiedziała się, że przepadł bez wieści w Alpach. Odczekała rok lub dwa, może w nadziei, że dostał się do niewoli i wróci po wojnie. A potem, no cóż... Znalazła sobie chłopaka, wyszła za mąż i leży wśród grobów rodziny męża. Tutaj albo gdzieś daleko. Czyli szukamy dalej, po imieniu. Ingeborga urodzona około roku 1895 to będzie ta, której szukam. A jak nie znajdę, pójdę na pocztę, ustalę, gdzie mieszkają ci ludzie, i zapytam u źródła.

Nie było to konieczne. Poszukiwany grób znalazłem dwadzieścia metrów dalej. Ingeborga Nynquist-Eriksson. Urodzona w marcu 1897, zmarła w 1988. Na nagrobku wykuto panoramę górskich szczytów, zachodzące słońce i odlatujący klucz jaskółek. Nawiązanie do pierwszej miłości, do chłopaka, który zginął w górach, czy może czysty przypadek? Pewnie to drugie.

– Dzień dobry, mam dla pani list od pani przyjaciela, Karla z Salzburga – powiedziałem, składając nieliczne znane mi szwedzkie słowa.

Wydobyłem wydruk i rozprostowałem. Odczytałem tekst, zdając sobie sprawę, jak fatalny jest mój niemiecki. Potem wyjąłem zapalniczkę i podпалиłem kartkę z wydrukiem skanu. Zapłonęła jasnym płomieniem. Stałem, trzymając płonący papier

w palcach, aż wreszcie żar zmusił mnie, bym puścił na wiatr ostatni skrawek. Poczulem satysfakcję. Zadanie zaliczone. Można siadać na rower i ruszać dalej... Obejrzeć muzeum w dawnym klasztorze sióstr brygidek w Vadstenie albo... W sumie nigdy nie widziałem prawdziwego kamienia runicznego. Mogę się udać do przysiółka Rok, obejrzeć głaz, który odwiedzili Ingeborga z Karlem. A opodal, w Alvastrze, były jeszcze ruiny pierwszego szwedzkiego klasztoru. W ogóle okolica zasługiwała, aby spędzić tu kilka dni.

Człowiek w spodniach od dresu i koszuli ozdobionej koloratką, do tej pory podpierający średniowieczny mur kościoła, odkleił się od ściany i ruszył w moją stronę.

– Obserwuję pana od dłuższego czasu – zagadnął po angielsku i wskazał okna pobliskiego budynku, zapewne plebanii. – I tak mnie zaintrygowało... Jak mi się zdaje, znalazł pan wreszcie to, czego szukał?

– Można tak powiedzieć – przyznałem.

Popatrzył na nagrobek, na mnie i na zapalniczkę.

– Z daleka pan przybył?

– Z Polski albo z Dolomitów, zależy, jak zdefiniować początek drogi, która mnie tu doprowadziła... – odparłem w zamyśleniu.

– Biblia uczy, by otaczać wędrowców opieką, zatem zapraszam na herbatę.

Zasiedliśmy przy stole. Wnętrze saloniku umeblowano prostymi, choć eleganckimi białymi sprzętami – jak z obrazów Carla Larssona. Na ścianie wisiało kilka oprawionych akwarelek, przedstawiających kościoł w różnych porach roku. Widać było w nich przebłysk talentu, ale po ogólnym poziomie wykonania ocenilem, że zapewne namalował je któryś z parafian. Pastor zaparzył dobrej herbaty, mocnej i gorzkiej. Widziałem, że zżera go ciekawość, więc popijając małymi łykami napar, odpaliłem tablet, pokazałem zdjęcia i opowiedziałem całą historię. Nie przerywał, tylko wybałuszał oczy. Gdy skończyłem, wyglądał na

kompletnie oszołomionego.

– Czyli, jeśli dobrze zrozumiałem, namordował się pan, by znaleźć to miejsce, a potem przejechał taki kawał drogi, żeby odczytać na grobie kobiety niedoręczony list jej przyjaciela sprzed wieku? – Pokręcił w zdumieniu głową. – Nie znał pan nawet jego ani jej. Cokolwiek wydarzyło się między nimi sto lat temu, pana nie dotyczy. Nawet nigdy nie był pan w naszej okolicy. To nawet nie byli pańscy rodacy.

– Nieboszczyk pożyczył mi narty. Byłem mu winien tę przysługę. – Rozłożyłem ręce. – Jeden z moich krewnych był listonoszem. Wiem, na czym polega etos tego zawodu. Każdy list powinien zostać doręczony.

– Ale pan nie jest listonoszem...

– Czy to naprawdę takie ważne?

Pastor chyba uznał mnie za wariata. Na jego twarzy odmalowała się nieokreślona troska. Otaksował mnie wzrokiem, jakby próbując ocenić, czy jestem niebezpieczny dla otoczenia. I chyba odetchnął z ulgą. Był ode mnie o pół głowy wyższy, wyglądał też na silnego. Nie stanowiłem dla niego poważnego zagrożenia.

– To przecież bez sensu. – Znów pokręcił głową. – To podwójnie bez sensu, bo jeśli zakładamy istnienie życia wiecznego, to już dawno spotkali się w niebie i wszystko sobie powiedzieli...

Hmm... Na to jakoś nie wpadłem. Z drugiej strony, nie wiadomo, co każde z nich w życiu nawywijało. Może się nie spotkali?... A może domknięcie tej ostatniej ziemskiej sprawy było do czegoś potrzebne? Albo i nie. Nie miałem snów, wizji, niczego, co mógłbym zinterpretować jako przesłanie. Żadnej czytelnej prośby z tamtego świata.

– Być może to jest bez sensu – przyznałem. – Ale ktoś musiał dostarczyć ten list i widocznie padło na mnie. Jestem Polakiem. My tak robimy.

Wilcze leże



Rachela nie odważyła się przejść na ukos przez Rynek. Ruszyła wzdłuż pierzei. Przemykała się chyłkiem, uważnie lustrując drogę przed sobą. Na szczęście żaden z ludzi Kurtza nie pojawił się w zasięgu wzroku. Odetchnęła z ulgą. Od pewnego czasu każde wyjście z domu napawało ją strachem.

Niebo zaciągnęły chmury, lada chwila mógł spaść deszcz. Wiatr dmuchnął jej w twarz. Poprawiła okulary i chustę okrywającą ramiona. Szyld na domu szewca Majzla, malowany na blasze, zabrzączał, targany podmuchami.

Przydałyby mi się dobre buty na zimę, westchnęła w duchu, patrząc na swoje kompletnie znoszone obuwie.

Już dwa razy dawała je do podzelowania, szewc doszył nowe noski, ale wiedziała, że żadne natłuszczenie ich nie uratuje. Przepocona skóra zaczynała pękać i kruszyć się. Obcasy trzymały się już tylko na słowo honoru. Przybijano je tyle razy, że niewiele zostało zdrowej skóry w podeszwie. Zagryzła wargi i zacisnęła ze złością dłoń. W szafie w pokoju Estery stały bardzo przyzwoite zimowe trzewiki. Wysokie, czarne, podszyte wewnątrz futerkiem... A nad nimi wisiał ciepły serdaczek z króliczych skórek. Poprosić gospodynię? Westchnęła, oceniając swoje szanse.

Z piekarni Strzeleckiego dobiegała woń świeżo upieczonego chleba. Dziewczyna ponownie zagryzła wargi i odwróciła głowę od witryny kuszącej wspaniałymi wypiekami. Zwłaszcza piękne

chałki leżące przy szybie jakby sobie z niej kpiły. Od kilku miesięcy nie jadła takich delicji. Przyspieszyła kroku. Dawniej, przed wojną, lubiła pooglądać, co ciekawego mają kupcy różnych specjalności. Teraz... Żydowskie sklepiki i warsztaty nadal były otwarte, ale towar jakby wymiotło. Tam, gdzie jeszcze coś oferowano, na każdy produkt wyznaczono iście paskarskie ceny. Zresztą i tak nie miała pieniędzy. To znaczy miała odrobinę. Na buty nie wystarczy. W ogóle na niewiele już wystarczy. Kupcowa od siedmiu miesięcy nie zapłaciła jej ani grosza... A tu czasy takie, że ani porzucić służbę, ani komu się poskarżyć.

Skręciła za róg i prawie wpadła na Kaśkę, służącą aptekarzystwa. Wymieniły uprzejmości. Kaśka, przed wojną rumiana wiejska dziewczucha, nieco wychudła, jej zaraźliwy optymizm mocno przygasł. Prostą twarz o policzkach jak bębny stała się pociągła, tylko zadarty nos i ciasno splecione warkocze nie zmieniły się. Na ramieniu niosła wypchaną szmacianą torbę, zapewne z jakimiś sprawunkami.

– Co tam u ciebie? – zapytała Rachela.

– Oj, uśmiejesz się. Pan i pani wywołują duchy po nocach. Wyobraź sobie, przyszedł raz do nich sam cesarz Napoleon. Podobno przepowiedział, że Hitler dojdzie do Uralu, a potem na Syberii pobiją go Japończycy.

– A nie powiedział, kiedy wojna się skończy? – Rachela uśmiechnęła się mimowolnie.

Wizja ducha cesarza Francuzów odwiedzającego mieszkanie w zapyziałym miasteczku na Lubelszczyźnie wydała jej się szalenie zabawna.

– Powiedział, że w pięćdziesiątym roku. Ale podobno nauczyciele wywołali ducha Juliusza Cezara i ten twierdził, że wojna potrwa jeszcze dwadzieścia lat.

– Dorośli ludzie, a w takie bajdy wierzą...

– Ano cóż, wszystkim ciężko, to i szukają sobie pociechy, jak kto może i umie. A co tam u ciebie?

– Nic nowego. Przesiedleńcy zrą się między sobą i z Bergerową też.

– A Berger?

– Bez zmian. Od śmierci córki nie powiedział ani słowa. Czasem tylko po nocy wrzeszczy jak opętany, ale to przez sen chyba. Mnie pani wysłała do Zylbersztajna z zapytaniem, czyby nie kupił beli sukna. Ale nie jest zainteresowany... Nie w głowie mu teraz interesy.

– A komu w głowie? – westchnęła Kaśka. – No może naszemu burmistrzowi. – Wydęła wargi. – Ten to jak pączuszek w maśle, ciągle chła z niemieckimi żandarmami... Zapytać aptekarza?

– Zapytaj. Cena naprawdę okazyjna.

– Słyszałaś o tym Weisbergu? – Kaśka ściszyła głos.

– Weisbaumie. Słyszałam. Tygodnia nie ma, żeby kogoś nie pobili albo nie zastrzelili... Pewne nie miał pieniędzy, by się opłacić Kurtzowi i jego bandzie.

– Jakby znów do was przyleźli, to uciekaj.

Rachela uśmiechnęła się tylko smutno w odpowiedzi. Rada była życzliwa, jednak pomysł trochę trudny do realizacji...

– Jak myślisz, co z tego dalej będzie? Co wasi sądzą? – Służąca aptekarzystwa też nabrała odruchu ukradkowego rozglądania się dookoła.

– Jedni mówią, że będzie gorzej, a inni, że lepiej. Są i tacy, którzy twierdzą, że Hitler wykończy wszystkich Żydów na świecie. A inni, że Jahwe go wcześniej pokarze. Mówią, że to już się dzieje, że dobiega czas dany złu, a atak na Rosję to objaw szaleństwa.

Rachela sama też rozejrzała się wokoło, ale na rynku panował spokój. Jesienne popołudnie było chłodne, chmury zasnuły już całe niebo, ludzie siedzieli w domach.

– No nie wiem, przecież Polacy pokonali Sowieców w dwudziestym pierwszym.

– Inżynier twierdzi, że ich można pobić, ale nie da się podbić.

Zbyt wielki kraj, za dużo ludzi, przemysłu i tak dalej... – mruknęła Rachelą.

Kaśka nie odpowiedziała, grzebała w torbie, aż wreszcie triumfalnie wyciągnęła papierowy pakuneczek.

– Suszone śliwki, węż, proszę, od wuja dostałam.

– Dziękuję. Ale może połowę?

– Bierz, bierz, ja jeszcze trochę mam z poprzedniego razu... Po wojnie mi odpracujesz.

Pożegnały się. Rachelą wróciła do domu. Siedziba kupca Bergera stała w południowej pierzei rynku. Od frontu na parterze mieścił się kantor, gdzie właściciel dawniej załatwiał interesy. Od tyłu był wjazd na dziedziniec, a obok stajnie, magazyny i oficyny, w których czasem nocowali chłopci, jeśli przyjechali z daleka. Dziewczyna dotknęła mezuzy przybitej do drzwi i zapukała.

Przed wojną drzwi wejściowych nigdy nie ryglowano, pomyślała ze smutkiem. Dwa lata raptem, a tak wiele się zmieniło...

Przypomniała sobie jesień trzydziestego ósmego: wozy pełne worków pszenicy i ona, wtedy trzynastoletnia, ale ważna i kompetentna, służąca samego pana Bergera, wyznaczająca miejsca, gdzie kto ma stawiać furę, jak rozlokować na noc konie, wskazująca drogę do pompy, pobrzękująca dumnie pękiem kluczy. I zawsze było ją stać, by raz lub dwa w tygodniu wieczorem po robocie iść z Kaśką na ciastka. A czasem to Estera, gdy była w dobrym humorze, zapraszała je obie. Teraz nie powierzano jej nawet kluczy do drzwi frontowych...

Minął ją stary Mikołaj. Przez ostatnie lata wyraźnie zniedołężniał. Kuśtykał wsparty o laskę, ale w ręce jak zwykle niósł wiaderko z jakimiś podrobami. Już przed wojną Rachelę zastanawiał ten wiekowy dziwak. Raz w miesiącu obchodził rzeźników, zbierał niesprzedane ochłapy, czasem kości i podroby, a potem zanosił je na skraj lasu. Jak mówił – dla wilków. Byli ludzie, którzy sarkali na te zwyczaje. Wprawdzie

w okolicy od lat nikt nie widział wilka, ale obawiano się, że tak regularne wykładanie padliny może je wreszcie przywabić...

Nadal nikt nie otwierał. Zapukała raz jeszcze i wreszcie usłyszała stuknięcie zasuw. Drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha, zatrzasnęły i uchyliły ponownie na tyle, by można się było wślizgnąć do wnętrza sieni.

– I czego łomocze, nie pali się przecież! – burknęła Bergerowa.
– Co załatwiła?

– Zylbersztajn nie kupi sukna. Ale ma na sprzedaż dwadzieścia blaszanek nafty i inne rzeczy... O, tu kartkę ze spisem dał.

Gospodyni wzięła papier i schowała do kieszeni. Przeczyta później, pomyśli...

– A na sztych co da? – zapytała już trochę mniej oschłym tonem.

– Proponuje dziesięć wojskowych konserw.

– Wieprzowina?! Bandyta!

Dom był wyziębiony i przez cały dzień huczało w nim jak w ulu. Niemcy jeszcze w ubiegłym roku dokwaterowali Bergerom cztery liczne rodziny wyrzucone z Poznania. Potem przesiedlono jeszcze dwie z Radomia. Gospodarze w pierwszej chwili nawet się ucieszyli. Roili sobie, że tak nawiązane znajomości mogą zaprocentować w przyszłości. Szybko stało się jednak jasne, że nic z tego nie będzie. Przybysze odgradzili się jakby szczelnym murem. Zajęli wszystkie wolne pomieszczenia, w tym trzy magazyny, w których Berger przed wojną trzymał zboże. Nawet w stajni naskładali jakieś swoje kufry z dobytkiem.

Ich dzieciaki całą bandą biegały po dziedzińcu, roiły się w korytarzach i niemożebnie wręcz hałasowały. W tej ciasnocie ciągle dochodziło do kłótni. Utrzymanie porządku w domu stało się niemożliwe. Rachela początkowo liczyła, że dorobi sobie praniem, prasowaniem lub cerowaniem. W sierocińcu nauczyła się też szyć i haftować. Ale przybysze nie potrzebowali jej usług. Prawdopodobnie nie mieli pieniędzy lub bali się je wydawać.

Wszystko robili sami.

Może gdyby Berger był zdrowy, inaczej by to wszystko wyglądało? – pomyślała.

Zaszła do kuchni. Na piecu inżynierowa gotowała obiad. Ustawiała garnki w piramidę, na spodzie w największym gotowały się kartofle, wyżej zupa, a na samym szczycie stał czajnik. Para z dolnych naczyń nagrzewała wyższe. Dzięki temu zużywało się znacznie mniej opału. Wprawdzie na prowincji brak węgla nie był tak dotkliwy, jak w dużych miastach, palono głównie drewnem, ale przez dwa lata okupacji oszczędność wszystkim weszła już w krew. Dziewczyna stanęła w kącie. Przekręciła klucz w zamku. Wyjęła ze swojej szafki miskę. Rozmieszała odrobinę mąki z wodą i oliwą, a potem wbiła jedno jajko. Zagniotła ciasto. Położyła cienkie placuszki na rozpalonej blasze wokół garnka inżynierowej. Wolałaby zagnieść i ugotować kluski, ale wiedziała, że babsztyl nie pozwoli jej dostawić garnka obok swoich. Kobieta popatrzyła na podpłomyki chmurnie, ale nic nie powiedziała. Chyba nie chciała się zniżyć do rozmowy z „dziadówką”. Rachelę siadła na zydlu pod oknem i wyjęła z kieszeni płaszczyka książkę.

Udawała, że czyta, ale myśli nie były w stanie ulecieć ku dalekim krainom, odmalowanym mistrzowsko przez Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego.

Wszystkim ciężko, ale zamiast sobie pomagać, ludzie warczą na siebie, gotowi pozagryzać się o byle głupstwo, westchnęła w duchu. Wojna obudziła w ludziach to, co najgorsze, a w niektórych, dla odmiany, to, co najlepsze... Dotknęła torebki z suszonymi śliwkami.

Prychając silnikiem, ulicą przejechał samochód. Obie wzdrygnęły się. Kobieta wyjrzała ostrożnie, a potem uspokajająco machnęła ręką. Podpłomyki zarumieniły się od spodu. Dziewczyna ostrożnie odwróciła je na drugą stronę.

– Mogłaby trochę opału sama zdobyć – inżynierowa burknęła

pólgłosem, patrząc obojętnie za okno.

Rachela nie odpowiedziała na zaczepkę. Bo i co miała powiedzieć? Ta baba gotowała na drewnie z zapasów Bergerów. Zresztą w tym domu służąca była poniekąd u siebie, bo to miastowych dokwaterowano.

Z podpłomykami na talerzyku wdrapała się na swoje poddasze. Facjatka była wychłodzona. Dziewczyna z żalem popatrzyła na od dawna nieużywany piecyk – popularną blaszaną kozę. Wprawdzie zachomikowała sobie na stryszku setkę polan i dwa worki dobrze wysuszonych patyków, ale trzymała to na czarną godzinę. Wszyscy spodziewali się długiej, ostrej zimy. Jediną pociechą była świadomość, że armia Hitlera niebawem pozna uroki rosyjskich mrozów.

Siadła na kulawym krześle pod oknem, nakryła ramiona derką i zagłębiła się w lekturze. Nie była jednak w stanie skupić wzroku na literkach. Myśli uciekały. Zjadła kilka płatków suszonego jabłka i dwie śliwki od przyjaciółki. Słodycz utzymała się w ustach przez długą chwilę. Na moment dała złudzenie sytości.

Odłożyła książkę. Odechciało jej się lektury. Dawniej uwielbiała książki podróżnicze, ale teraz zadawała sobie pytanie, czy warto czytać o miejscach, których nigdy nie zobaczy, o ludziach, których nigdy nie pozna, o dzikich obyczajach pierwotnych ludów. Świat wokół przez ostatnie dwa lata stał się wystarczająco prymitywny i okrutny, a Niemcy i folksdojczy w niczym nie ustępowali ludożercom, o których czytała w książkach.

Potrzebuję czegoś weselszego, optymistycznego, powieści o ludziach dobrych i szczęśliwych, pomyślała. Książki, która pozwoli oderwać myśli od okupacji, od biedy, głodu, śmierci...

Nie miała nic do roboty, bezczynność ją męczyła chyba nawet bardziej niż ciężka praca, którą wykonywała dawniej. Wróciła do lektury. Nad miasteczkiem zapadał wieczór. Wkrótce nie była już w stanie odróżnić literek. Miała schowane spore pudełko

świeczek, ale nie chciała ich zapalać. Przyjdą zimowe wieczory i noce, wtedy będą o wiele bardziej potrzebne. Stryzek wyziębiał się, widać było już parę z oddechu. Rachela wzięła grube wełniane skarpety. Poślanie przerobiła sobie już kilka tygodni temu. Na spód dała dwa worki słomy. Siennik nakryła starym materacem z trawy morskiej. Opatuliła go grubą końską derką, podwędzoną ze stajni i wypraną w ługu. Na to położyła kołdrę, na wierzch koc i jeszcze jedną derkę. Gdy wczołgała się do środka, skuliła i nakryła razem z głową, było całkiem przyjemnie, choć trochę ciężko i ciasno. Ale przynajmniej myszy nie biegały jej po twarzy. Ubranie przed snem rozkładała starannie na sienniku pod kolejnymi warstwami. Dzięki temu, gdy przebierała się rano, było suche i ciepłe.

Ułamała sobie mały kawałek podpłomyka i żuła go tak długo, aż zrobił się niemal słodki... Naraz rozpaczliwie zapragnęła napić się kawy. I zagryźć czekoladką... Stare łóżko zaskrzypiało pod jej ciężarem. Przez chwilę mościła się na sienniku.

Jeszcze jeden dzień za mną, pomyślała z melancholią. Ile już było tych ponurych okupacyjnych dni? Siedemset... I na razie nie zanosilo się na zmianę. A jeśli już, to na gorsze.

Zazwyczaj przed snem marzyła. To były marzenia ciepłe, optymistyczne, przyspieszające sen... Zaczęła wyobrażać sobie, że mieszka w Izraelu, w małej chatce na wzgórzu porośniętym drzewkami pomarańczy. I że ma sprzed drzwi widok na Morze Śródziemne... Że wszędzie jest ciepło i bezpiecznie. Wreszcie zasnęła.

Śniło jej się, że idzie drogą wiodącą przez las. Była jesień, drzewa gubiły kolorowe liście. Słońce niby to świeciło, ale wśród drzew było mroczno. Na pniach wisiały obfite brody porostów, jakieś kształty przemykały się wśród krzaków, ale gdy odwracała głowę w tamtą stronę, znikaly jak zdmuchnięte. Domyślała się, że to wilki – wielkie płowe bestie. Czuła strach, ale one nie atakowały, nie pojawiały się nawet na widoku. Po prostu

towarzyszyły jej krok w krok, niewidoczne, ciche i groźne...

*

Wyszorowanie korytarza na parterze było pracą ciężką, niewdzięczną i na swój sposób beznadziejną. Rachela uważała, że nie ma to najmniejszego sensu. Dzieciaki przesiedleńców biegały w tę i z powrotem, nanosząc nieustannie błoto z dziedzińca. Służąca ciągle szorowała ceglane płytki, ale nadal były brudne. Zaskrzypiały schody, to doktor Wiśniewski wracał od Bergerów.

– Biedna mała Rachela znów przy pracy – westchnął ze współczuciem.

Zostawiła szmatę i dumnie wyprostowała się na całą wysokość swoich siedemnastu... no, prawie siedemnastu lat.

– Dzień dobry, panie doktorze. Co z panem Bergerem?

– Ano niedobrze. Bez zmian, głęboka depresja, rzekłbym: na pograniczu katatonii – powiedział lekarz. – Może jakiś wstrząs wyrwie go z tego stanu, a może już nie... Gdyby tak wrócili jego synowie... Ale przecież nie wrócą. Może już nigdy?

Synowie kupca jeszcze we wrześniu trzydziestego dziewiątego, nie bacząc na swoje burżujskie pochodzenie, wstąpili do czerwonej milicji. Wystrojeni w czerwone opaski, gorliwie pomagali Sowiетom. Przestali poznawać na ulicy przedwojennych kumpli, chętnie wygłaszali złote myśli „o polskiej świni, która wreszcie zdechła”. Sowietci obiecali im posady w gminie. Tyle tylko, że po dwu miesiącach, gdy młodzieńcy już czuli się panami miasteczka, wylano na nich wiadro zimnej wody. Granica została skorygowana i teren przejęli Niemcy. Lokalni komuniści nie czekali na samosąd ze strony mieszkańców, uciekli za Bug. Racheli ulżyło, bo starszy z braci, Ajzyk, przystawiał się do niej coraz nachalniej...

– Tak czy inaczej, z kupcem źle – podjął lekarz. – Po śmierci

Estery utracił chęć do życia. Choć przecież nie jest taki stary. Nie tak dawno stuknęła mu pięćdziesiątka.

– W Chełmie jest szpital dla obłąkanych. Może umieliby mu pomóc? – zaczęła.

– Dziecko kochane, to ty nie wiesz? Niemcy jeszcze w styczniu czterdziestego wszystkich pacjentów... – Przeciągnął dłonią po gardle. – Tak sobie wymyślili, że w ich nowym lepszym świecie nie będzie już chorych na umyśle ani kalek.

Popatrzył na nią w zadumie.

– Dla Żydów też nie będzie miejsca. Słyszałaś, co dzieje się na wschodzie?

– Słyszałam – potwierdziła. – Podobno Niemcy, gdzie tylko się wedrą, mordują naszych. Całymi wioskami. Co do jednego. Ale tutaj, odkąd przenieśli posterunek, prawie spokój...

– Myślę, że tu będzie tak samo – powiedział poważnie doktor. – Ostrzegałem nie raz. – Zatoczył dłonią krąg, dając jej do zrozumienia, że ma na myśli wszystkich mieszkańców rynku. – Hitler nie da wam spokoju. Jeśli masz zamiar coś przedsięwziąć, zrób to teraz. Jak się za was wezmą na poważnie, będzie za późno. Wtedy już się nie wyrwiesz.

– Dziękuję za radę – bąknęła. – Ale co niby mogę zrobić?

– Zostaw ich i ratuj siebie. Twój pobratymcy popadli w odrętwienie. Może to strach, może swoisty fatalizm typowy dla waszej nacji lub zgoła instynkt śmierci. Historia notuje podobne przypadki. Jeśli tylko masz przyjaciół z dala od miasteczka, przyjaciół, którzy cię przechowują, nie czekaj. Tu nic dobrego cię nie spotka. Jeszcze jedno. Podobno wysiedlają wszystkich Żydów z wiosek wokół Włodawy, aż do Chełma. Tam jest getto. Tych ze wschodnich gmin przenoszą do Hrubieszowa. Przyjeżdżają ciężarówkami, dają godzinę lub dwie na spakowanie i hajda. Niedobrze to wygląda. Coś się szykuje, coś bardzo niedobrego.

– Słyszałam różne pogłoski...

– Każdy słyszał, problem w tym, że trochę za dużo tych

pogłosek. Co gorsza, wiele z nich to prawda! Mnóstwo Żydów Niemcy zagonili do budowy drogi między Chełmem a Sielcem. Przejeżdżałem tamtędy. Gonią ich do pracy bykowcami, a jeśli kto nie wyrabia normy, od razu kula w łeb i pogrzeb na poboczu. – Lekarz wzdrygnął się.

– Mówili kiedyś, że Hitler chce wszystkich nas wysłać na Madagaskar. Gadali też, że na Lubelszczyźnie Niemcy planują stworzyć wielkie getto dla wszystkich Żydów i Cyganów z całej Europy.

– Nie liczcie na to. – Pokręcił głową. – Ani na Madagaskar nie pojedziecie, ani do Palestyny. Nie dostaniecie też żydowskiego państewka na gruzach Polski. Po co by im było coś takiego? Jakby Hitler chciał się was tylko pozbyć, to w zeszłym roku pozwoliby wyjeżdżać do Sowieców. A przecież nawet tego nie zrobił... Moim zdaniem przesiedlają was do gett, bo chcą was mieć w jednym miejscu. To może oznaczać, że planują coś gorszego. A ta wojna potrwa. Kto wie co nam wszystkim pisane? W każdym razie pamiętaj, że idzie sztorm. – Westchnął ciężko.

Pożegnał się i odszedł zatopiony we własnych ponurych myślach. Zamknęła za nim bramę. Jeszcze przez chwilę, patrząc przez okienko, odprowadzała go wzrokiem. Widziała, że przez te dwa lata bardzo się zestarzał i przygarbił. Słyszała, że jego żona choruje na gruźlicę. Nie było możliwości wysłania jej do sanatorium, w dodatku Wiśniewski bał się, że choroba może przenieść się na dzieci.

Rachela wróciła do szorowania podłogi, ale myśli w jej głowie nie chciały się uspokoić. Galopowały, jakby słowa doktora odbijały się echem. Uciec? Ukryć się? Pomyślała o służącej aptekarzystwa. Bratnia dusza, ale przecież nie przechowa jej, bo niby jak i gdzie. Pod łóżkiem? Sama żyje kątem w pokoiku za kuchnią. Gdyby tak pogadać z jakimiś chłopami, znaleźć gospodarstwo leżące na uboczu... Niemcy mają ją wprawdzie w ewidencji, ale gdy zniknie, czy będą szukać? Trzeba naradzić

się z Kaśką, jest miejscowa, może zna kogoś. Tylko warto by mieć trochę pieniędzy. Jesień, nie ma dużo roboty w gospodarstwie, ale przecież może pomóc przy lnie, przy wełnie, oporządzać zwierzęta... Dodatkowa para rąk do pracy w zamian za kąt do spania i jedzenie. Umie przecież pracować. Gorzej, że nie bardzo ma się w co ubrać...

Uporała się wreszcie z korytarzem, przetała jeszcze schody. Bergerowa siedziała w swoim pokoju, słuchała patefonu, zatopiona we własnych ponurych myślach. Najwyraźniej nie miała dla małej służącej żadnych nowych zadań. Rachela przyniosła sobie kłębek włóczki i szydełko. W salonie przy ciepłym piecu zebrali się przesiedleńcy. Usiadła w kąci, stąd nikt jej nie wyganiał... Zabrała się za robótkę. Na zimę przydadzą się grube skarpety, rękawice i szalik. Zaczęła od skarpet, a jednym uchem łowiła, o czym rozmawiają mężczyźni.

– Gospodarka niemiecka, drogi panie Rosenblum, już dziś musi dusić się z braku wykwalifikowanych pracowników – dowodził inżynier. – Pomyśl pan, proszę, jak poważny odsetek fachowców po szkołach technicznych wcielono do wojska i posłano na front wschodni. To przecież miliony ludzi zabranych wprost z fabrycznych hal i warsztatów... O nie, ja tam jestem spokojny. Każdy Żyd, który cokolwiek umie, niebawem będzie dla Niemców na wagę złota.

– Apfelbaum, pan sam wierzysz w to, co pan mówisz? Jakoś na Podolu i Wołyniu, zamiast naszych cenić na wagę złota, wystrzelano całe wsie i miasteczka, a trupy pogrzebano po lasach...

– Panie magistrze, proszę wziąć poprawkę na to, że proste wiejskie Żydki po sześciu klasach szkoły podstawowej nie posiadają kwalifikacji technicznych do obsługi najprostszej obrabiarki. – Inżynier wyduł wargi z pogardą. – Oni nawet do łopaty się nie nadają.

– Pan się rozejrzyj wokoło. Tu też, jak pan mówisz, proste

wiejskie Żydki, a wokół rynku ilu krawców i szewców. Tam we wschodnich województwach myślisz pan, że jest inaczej? Tu po wioskach Żyd to rzemieślnik, szynkarz, sklepikarz, lichwiarz. Wykształceni też się trafiają. Czasem nauczyciel, czasem felczer. Armia potrzebuje i butów, i mundurów. A jednak pod mur posłano wszystkich. Kowali, krawców i szewców. A nawet jeśli dojdą do wniosku, że przemysł nas potrzebuje, jak pan to sobie wyobrażasz? Ci, którzy faktycznie będą użyteczni, może dostaną pryczę w obozie i miskę zupy. Ale ich kobiety i dzieci pójdą pod mur. Niemcy są praktyczni. Żaden interes karmić tych, z których niewiele jest pożytku. Źle to wszystko wróży, oj, źle.

– Idę o zakład, że jeszcze trochę i nie będą patrzyli, kto Żyd, a kto Niemiec, tylko kto ma dyplom inżyniera, a kto nie! Zdrowy rozsądek zwycięży. Choćby mieli oszukiwać swojego Führera.

– A ja myślę, że będzie odwrotnie – burknął milczący dotąd były wykładowca lubelskiej jesziwy. – Uczonych Żydów wybiją bez litości, bo jeszcze byśmy niewolników zagrzewali do buntu. Ale prostaczków Hitler wykorzysta do ciężkich i niewdzięcznych robót, jak sypanie grobli czy budowa dróg. Tylko robić będą, aż wreszcie zdechną przy robocie. I rzeczywiście pewnie będzie za to prycza i miska zupy, ale nie liczymy, że należą jej po brzegi. Szewcy może i najdłużej przeżyją. Potrzebni będą, by robić buty dla jego wojska. Kłopot prawdziwy w tym, że żaden z nas szewcem ani krawcem jakoś nie jest!

– Szewcy z Kresów niby co? A pod ścianę poszli. Gorszi byli od tych z Kongresówki? – odgryzł się inżynier.

– Nie wiemy, czy tam na wschodzie wszystkich pozabijano – odbił piłeczkę magister. – W ogóle wiemy tyle co nic. Plotki, wieści przekazywane z ust do ust. Dla nas konkretem jest to, co widzimy wokół. A widzimy, że źle się dzieje. W Chełmie przesiedlają Żydów w jedno miejsce. Mówi się, że będzie tam getto jak w Lublinie i innych miastach.

– To pan masz wieści spóźnione o wiele miesięcy. Tam już jest

getto. I obóz dla jeńców sowieckich. A więzienie ponoć pęka w szwach. I powiadają, że w lesie Borek rozstrzelują co i rusz więźniów. A część Żydów z getta wysyłają gdzieś pociągami i nikt nie wraca... Tyle powiem, że my tu jak u Pana Boga za piecem – burknął wykładowca.

– Powiedz to pan tym, których synów zabrali wiosną do budowy linii kolejowej. Wzięli zdrowych, silnych chłopaków, a po dwóch miesiącach zjawily się wycieńczone, chore, poranione kaleki. Kilkunastu w ogóle nie wróciło, bo wykończyli ich pracą ponad siły. Powiedz pan to naszemu gospodarzowi. Córkę zastrzelili na jego oczach! Ten Kurtz to kawał bydłęcia, prawdziwego bydłęcia! Wilk, a nie człowiek... – wybuchnął magister.

– Swoją drogą, wilki w czasie wojny zawsze się mnożą jak oszalałe... Szczęście prawdziwe, że tu lasy marne i nie ma problemów z tym zębatym ścierwem – westchnął Apfelbaum.

– Wilki w lasach to akurat najmniejszy z naszych kłopotów – wzruszył ramionami Rosenblum. – Pan lepiej pomyśl, jak przyjdzie co do czego, czy masz pan dość siły, by dźwigać stalowe szyny i dębowe podkłady kolejowe!

Rachela westchnęła cicho. Liczyła, że czegoś się dowie, ale podsłuchiwana rozmowa była jałowa i nudna... Jak dwadzieścia czy trzydzieści innych, które podsłuchiwała wcześniej.

Oni niczego nie wiedzą, rozmyślała. Na plotkach i pogłoskach budują sobie teorie, snują przypuszczenia... Przelewanie z pustego w próżne... Będą siedzieli i gadali, aż przyjdą Niemcy i wszystkich nas zabiją albo w najlepszym razie zabiorą do getta czy obozu pracy.

Zwinęła robótkę i cicho wymknęła się do holu. Z kuchni dobiegało mamrotanie kupcowej. Rachela pociągnęła nosem. Pachniało żurkiem. Ssanie w żołądku stało się jeszcze bardziej dokuczliwe... Wślizgnęła się do pomieszczenia.

Bergerowa stała przy garnku. Obrzuciła służącą niechętnym

spojrzeniem, ale sięgnęła po chochelkę, naląła dziewczynie miskę wodnistej zupy i położyła obok pajdę chleba, jeszcze cieńszą niż wczoraj.

– Pani? – dygnęła Rachela. – Czy mogłabym dostać coś z zaległych wypłat?

– Ty głupia! Co? Nie zauważyła, że jest wojna? – prychnęła gospodyni. – Żreć dostajesz i jeszcze ci mało? Nie podoba się, to won.

Dziewczyna skinęła potulnie głową. Jeść, owszem, dawali. Wyskrobki z dna garnka, czasem trochę chleba... Gdyby nie dokupywała sobie mąki, nie gotowała klusek i nie piekła podpłomyków, dawno by już osłabła z głodu.

– Pożytku z ciebie prawie żadnego – fuknęła gospodyni. – Jak pozmywasz po obiedzie, to idź dziedziniec zamieść!

– Tak, proszę pani.

Przed wojną zawsze było coś do roboty. Sprzątała cały wielki dom. Pomagała w kuchni. Przędła wełnę. Teraz większa część budynku została zajęta przez przesiedleńców, w kuchni Bergerowa wolała rządzić się sama, wełny prawie nie miała. Berger dawniej był fanatykiem, jeśli chodzi o elegancki wygląd, przebierał się nawet trzy razy dziennie. Rachela nieustannie prała koszule, prasowała... Teraz gospodarz całymi tygodniami siedział na łóżku w szlafmocy, niezdolny z własnej woli wstać i ubrać się jak człowiek.

Wiosłowała łyżką i skubała pajdę chleba powolutku, by wystarczyło na dłużej. Na dnie miski odkryła nawet kilka zacierek. Słowa doktora nadal dźwięczały jej w uszach. Będzie już tylko gorzej... Uciec? Ukryć się? Gdzie i jak? Trzeba opracować jakiś plan... Na razie nie miała żadnego pomysłu. Odpłynęła w marzenia.

Nadszedł wieczór. Rachela była nieludzko wręcz zmęczona. Bergerowa dawno już poszła spać, za to z salonu dobiegał szmer rozmowy. Mężczyźni nadal dyskutowali, a może zaczęli od nowa? Na palcach zakradła się do frontowej części domu. Znała tu każdą skrzypiącą deskę w podłodze. Namacała w kieszeni klucz. Ostrożnie wsunęła go w zamek. Zawiasy na szczęście chodziły gładko. Weszła do pokoiku Estery. W półmroku wypatrzyła puste łóżko, kawałek mydła nadal leżący na toalecie... Niczego nie ruszano, nic nie zmieniło się od tamtego tragicznego wiosennego dnia.

Ona nie wróci, usprawiedliwiła się sama przed sobą. To była dobra dusza. Zrozumiałaby mnie...

Musnęła dłonią pięknie rzeźbione kolumnienki, intarsjowane drzwiczki i otworzyła starą szafę. Zastęła zawiasy pisnęły cichutko. Sukienki, halki, bluzeczki – wszystko to wisiało na wieszakach i leżało na półkach, zupełnie jakby właścicielka wyszła tylko na chwilę... Rachela poczuła mrowienie w kącikach oczu. Zamrugnęła szybko. Całą akcję zaplanowała wcześniej, teraz wystarczyło wyciągnąć rękę i brać upatrzone rzeczy. Ale jakoś nie mogła się przełamać.

Nie tak łatwo kraść, pomyślała, zła na siebie. A przecież muszę. Po prostu muszę. Nikogo nie krzywdzę. Ona nie żyje...

Wciągnęła powietrze. Wewnątrz zamkniętej szafy zapachy utrzymywały się dłużej. Poczuła delikatną woń perfum Estery. Dwie łzy spłynęły Racheli po policzkach, a zarazem poczuła strach. Czy duch dziewczyny może nadal błąkać się po pokoju? Odetchnęła głęboko i policzyła do dziesięciu. Wyciągnęła rękę i dotknęła futerka opuszkami palców. Nie oparzyło jej. Było miękkie, gładkie i miłe w dotyku. Zdjęła z wieszaka ładny serdaczek z króliczych skórek. Nie musiała go mierzyć, córka gospodarzy, choć starsza dwa lata, była od niej ciut drobniejsza. Teraz jeszcze to drugie... Ważniejsze. Namacała stojące na dnie szafy wysokie sznurowane trzewiki, podszyte wewnątrz skórą

wydry. Połyskiwały leciutko w księżycowym świetle, właścicielka zapewne jeszcze wiosną wypastowała je i wypolerowała. Rachel nie musiała ich mierzyć, by wiedzieć, że będą na nią minimalnie za luźne. Swoje trzewiki donaszała właśnie po Esterze... Związała sznurowadła i przewiesiła je sobie przez ramię.

I naraz, jakby zachęcona sukcesem, nabrała złodziejskiej śmiałości. Wsunęła dłoń pomiędzy jedwabne halki leżące na półce. Chłodna tkanina była gładka i wydawała się lekko wilgotna. Wiedziała, gdzie sięgnąć, nawet nie pomyliła półki. Po chwili namacała niewielki woreczek. Cukierki, dwadzieścia, może nawet trzydzieści deko ciągutek. Przełożyła je do cholewki buta. Wsunęła szufladkę. Chciała znaleźć jeszcze czapkę, ale zamiast tego namacała skórkowe rękawiczki. W pierwszej chwili chciała je zostawić, ale przypomniała sobie swoje, mocno już sfilcowane, włóczkowe. Idzie zima... Będzie zakładać te, a na wierzch swoje... Naraz jej palce musnęły coś twardego. Kabura pistoletu? Jak i skąd?... Wydobyła zagadkowy przedmiot. Początkowo nie mogła się zorientować, co to takiego, ale rozpoznała niewielką elegancką torebkę. Wsunęła dłoń do środka. Namacała kilka grubych monet i lornetkę teatralną. Uśmiechnęła się odruchowo na wspomnienie Estery stojącej w oknie, ukrytej za zasłonką i śledzącej jakiegoś miasteczkowego amanta, idącego na schadzkę do akuszerki. Lornetka była mała, ale miała naprawdę mocne szkła. Może się przydać. Pieniądze? Pięćdziesiąt złotych, pięć grubych srebrnych dziesięciozłotówek z Piłsudskim. Zawahała się, ale potem pomyślała, że przecież od ośmiu miesięcy nie dostała złamanego grosza wypłaty. A to przecież coś warte.

Po prostu mi się należą, ucięła rozterki.

Znienacka gdzieś za oknem rozległo się łomotanie do drzwi. Towarzyszyły mu wrzaski po niemiecku. Bez chwili namysłu zanurkowała do wnętrza szafy, skuliła się za wiszącymi sukienkami i przyciągnęła do siebie drzwiczki. Klęczała skulona,

słyszając, jak wali jej serce. Na szczęście już po chwili zorientowała się, że Kurtz i jego ludzie dziś „wpadli z wizytą” do domu po drugiej stronie ulicy. Odetchnęła z ulgą i zagryzła wargi. Raz już to przeżyła. Sąsiadów czeka straszna noc. Niemiecki zarządca i jego kumple z piekła rodem... Znów kogoś pobiją, okradną z marnych resztek dobytku, poniszczą sprzęty, ale jej tym razem nic nie grozi. Usłyszała trzask tłuczonej szyby, wrzaski, lamenty, łomot mebli wyrzucanych oknem. Zatkaną uszy dłońmi i długo trwała skulona. Na ulicy huknęły dwa strzały pistoletowe, oddane chyba na wiwat, a potem rozległa się piosenka po niemiecku, śpiewana bełkotliwym pijackim głosem. Aż wreszcie wszystko ucichło... Burmistrz i jego ludzie wracali na kwaterę z łupami, by dalej pić aż do białego rana. Wiedziała, że w tej chwili niejednen mieszkaniec rynku odetchnął z ulgą. Śmierć była znowu blisko, ale ominęła tym razem... Poczula wyrzuty sumienia. Jeszcze mogła odłożyć skradzione rzeczy na miejsce. Ale rozsądek wziął górę. Zabrała tylko to, czego naprawdę potrzebowała. Nawet cukierki to dziś żywność. To cukier dający siłę... Pieniądze to też możliwość kupienia czegoś do jedzenia, przetrwania kolejnych kilku dni. A jednak miała potwornego kaca moralnego. Okradła pracodawcę... Zrobiła coś, czego dobra służąca nie robi nigdy.

Długo jeszcze stała w pokoju Estery, a gdy była już pewna, że Bergerowa śpi, cicho jak duch prześlizgnęła się przez drzwi i zamknęła je na klucz. Ostrożnie wdrapała się na swój strych. Schody tylko dwa razy zaskrzypiały pod jej drobnymi stopami. Pnąc się stopień za stopniem, przypomniła sobie mydło leżące na toalecie. Westchnęła. Mogła je zabrać... Wrócić? Nie. Po pierwsze, to ryzyko. Po drugie, gdyby kupcowa zaszła do pokoju zamordowanej, zauważyłaby, że coś się zmieniło. Ukryła łupy. Pierwszy etap za nią. Ma dobre, naprawdę dobre buty na zimę. Może w nich wędrować. Ma też serdak, dzięki któremu chłód jej niestraszny. Jutro musi kupić jeszcze parę rzeczy... Dotknęła

monet, przyjemnie ciężących jej w kieszeni, i uśmiechnęła się do swoich myśli.

To prawie tak, jakby Estera mi pomogła, pomyślała.

Wsunęła się w posłanie. Sen nie nadchodził, chyba nazbyt stargała nerwy złodziejską wyprawą... Co można robić w bezsenne noce? Można planować wielką ucieczkę. Opuszczenie miasteczka będzie pierwszym i być może najłatwiejszym etapem. Drugi etap to przedostanie się na drugą stronę lasów. Tam jest następna rozległa dolina, a kilka kilometrów dalej wioska... Ale pod lasem stoją trzy lub cztery stodoły. To dobre miejsce na tymczasową kryjówkę. Trzeci etap ucieczki nawet jeszcze jej nie majaczył.. Zdobyła dobre buty i serdak. Jeśli rzecz miała się udać, potrzebowała jeszcze paru rzeczy.

*

Rachela na początek zaszła do olejarni na rogu. Właściciel rozmawiał z jakimś znajomkiem. Na ladzie między nimi leżał stary carski banknot sturublowy.

– Teraz albo nigdy! Panie Szwarc, Hitler uderzył na Sowieców. Sam nie da sobie rady, jedyna nadzieja to przeciągnąć Rosjan na stronę nazistów. Żeby to zrobić, musi odwołać się do prawdziwych autorytetów. Starsi ludzie jeszcze pamiętają, jaki dobrobyt panował za rządów Mikołaja II.

– Przecież cara i jego rodzinę czerwoni zamordowali w osiemnastym roku?

– Ale żyje masa Romanowów z bocznych linii. Car regent Włodzimierz Kiriłowicz rezyduje przecież we Francji. Gdy tylko Hitler zajmie Moskwę albo Leningrad, koronuje go na cara. A gdy tylko ten poczuje się mocny, to Rosja strząśnie Niemców jak niedźwiedź strąca czepiające się jego futra kundły. Wtedy za taki

jeden papierek kupisz pan cztery krowy! Carska Rosja była najpotężniejszym imperium świata i miała najsilniejszą walutę. I pan teraz pomyśl, panie Szwarc, jaki złoty interes ja panu proponuję. Pan dasz mi dziś za ten banknocik dwadzieścia litrów oleju, a za rok lub dwa kupisz pan cztery krowy.

– Panie Zając, ja nie przeczę, wizja to piękna, ale jak pan wiesz, Moskwy ani Leningradu jeszcze nie zdobyto, o koronacji cara niemieckie gazety nie wspominają nawet, a sądząc po tym, że sowieccy jeńcy w obozie w Chełmie mają ponoć jeszcze gorzej niż Żydzi w getcie, to i liczyć na to specjalnie nie można... Ja panu zaproponuję za ten banknot litr oleju, a gdyby faktycznie kiedyś był wart cztery krowy, to trzy panu oddam i jeszcze zadowolony będę, że dobry interes zrobiliśmy.

– Aj wej mir... Litr oleju za krowę, toż to rozbój w biały dzień...

– Nazywaj pan to, jak chcesz. Ale to geszeft tak wysokiego ryzyka, że inaczej się nie dogadamy. Litr dziś i trzy krowy po koronacji cara. Szojn?

– Szojn... – Zając skrzywił się demonstracyjnie, ale kiwnął głową na zgodę i po chwili wyszedł z butelką w ręce.

– Taki to szmonces geszeft, jak wszystkie, które dziś robimy, droga Rachel – westchnął olejarz. – Nic z tego nie będzie, żaden car nie wróci, a gdyby nawet, to w tej nowej Rosji Niemcy wprowadzą własne waluty, jak i w Polsce wprowadzili. Chcesz, to weź sobie na pamiątkę ten papierek, będziesz miała zakładkę do książki. Albo potraktuj jako los loteryjny z szansą na wygranę czterech krów.

– To po co mu pan sprzedał?

– Bo ma siedmioro dzieci, które zdychają z głodu. Tyle jeszcze mogę mu pomóc.

– To już tylko pamiątka? – Obejrzała banknot pod światło.

Choć upłynęło trzydzieści lat, od kiedy został wydrukowany, wyglądał jak nowy. Znaki wodne były wyraźnie czytelne, barwy nie wyblakły, minimalnie tylko pożółkł papier...

– Zdziwiłabyś się, ilu poważnych ludzi, i naszych, i gojów, nadal trzyma carskie pieniądze w przekonaniu, że jeszcze kiedyś nabiorą wartości... Był czas, gdy Piłsudski zajął Kijów, że całkiem niezły pieniądz za takie papierki dawali... No ale czego potrzebujesz? Mydło już się ścina, będzie gotowe pojutrze. I to na razie ostatnia partia, bo sodę coraz trudniej zdobyć, a i z tłuszczami tylko gorzej i gorzej.

– Potrzebuję świec... Choć waluta, którą dysponuję, też jest trochę przeterminowana. – Brzęknęła o ladę srebrną przedwojenną dziesiątką. – Ile to dla pana warte?

– Sanacja już raczej nie wróci, ale co srebro, to srebro. Mogę dać za to piętnaście sztuk – mruknął staruszek

– Czterdzieści – odruchowo zaczęła się targować.

– Wstydz się, sziksa, takie rzeczy wygadywać! Żebyś ja był twoim ojcem, to za takie słowa różgą bym siekł przez goły tyłek!

– Trzydzieści osiem?

– Miszagas! W tych czasach są inne ceny. Nu, osiemnaście dam. Zadowolona?

Po kwadransie wyszła ze sklepiku, niosąc w zawiniątku dwadzieścia sześć sztuk. Ostatnie pięć minut spędziła na targach o tę ostatnią.

– Szejen dank zajde! – zawołała wesoło przez uchylone drzwi i w locie złapała dwudziestą siódmą świecę, którą rozzłoszczony kupiec w nią cisnął. Nie była pewna, czy zrobił to dla żartu, czy w autentycznej złości, ale co świeca, to świeca...

Zabręczała w kieszeni tym, co jeszcze zostało z gotówki, a potem ruszyła do chrześcijańskiej jatki.

– Smalec? – zdziwił się rzeźnik, słysząc jej pytanie. – Chcesz kupić świński smalec?! To przecież dla was trefne świństwo... Porządny Żyd nawet końskiej uprzęży tym nie nasmaruje.

– Panie Malinowski, kto w dzisiejszych ciężkich czasach przywiązuje wagę, by jadać koszernie – westchnęła. – Powie pan lepiej, ile dostanę za dziesięć złotych?

– Pół kostki.

– A za takie dziesięć? – Pokazała dychę z Piłsudskim.

– A... za „dziadka”, no to, powiedzmy: dwa litrowe słoiki.

– Dwa słoiki i kawałek suchej kiełbasy – podbiła cenę.

Rzeźnik otaksował wzrokiem wychudzoną sylwetkę dziewczyny i spojrzenie mu zmiękło. Kiwnął głową. Gdy pakowała zakupy, spostrzegła w kącie znajome wiaderko na podroby. Było puste.

– Wiesz, że zabili starego Mikołaja? – odezwał się rzeźnik.

– Widziałam go przecież wczoraj? – zdziwiła się.

– Wezwali go wieczorem do Kurtza. Przyjechał jakiś ważny gestapowiec z Chełma. Pytali o kierownika szkoły. Mikołaj to jego stryjeczny dziadek czy ktoś taki. Pan Stefan podobno jest w Anglii, ale ktoś im podkablował, że widziano go w Chełmie. Stary nic nie wiedział, a może nie chciał powiedzieć. Zbili go strasznie. Dowłókł się jeszcze jakoś do chałupy. Doktor próbował go ratować, ale nie było jak. Pęknięta wątroba czy też śledziona, albo podobne obrażenia. Do rana się zawiął. Jutro lub pojutrze pogrzeb. Żal starego...

Westchnęła ciężko i zacisnęła wargi.

– Karmił wilki... – odezwała się po chwili.

– Ech, dziecko, żebyśmy my w jego wieku tylko takie dziwactwa mieli. Wilków, owszem, dawniej było tu trochę. Nie jakoś bardzo dużo, ale się trafiało. Ja raz takie spotkałem, jak po choinkę na święta poszedłem. Tnę drzewko, a tu dwa wylazły z krzaków. Myślałem już, że będzie źle, bo szybkie są i zwinne, więc siekierą ciężko się przed nimi obronić. A tu jeszcze dwa były. Ale na szczęście tylko pogapiły się na mnie chwilę i odeszły. Po pierwszej wojnie się tego namnożyło, bo masa martwych koni leżała po lasach, żarły i mnożyły się jak króliki. Ale potem wystrzelano je prawie do nogi. Od dawna nie słyszałem, żeby jakiegoś tu widziano, ale przed wojną raz jechaliśmy ze znajomkiem przez las i słyszeliśmy, jak wyją do księżycy. Stary

leśniczy niejedno by pewnie opowiedział, ale zabili go zaraz na początku wojny.

– Co i rusz kogoś... – powiedziała.

– Ale jego to specjalnie, żeby był wakat na stanowisku. Kurtz potrzebował miejsce zwolnić dla swojego kumpla. Zezowaty Franek przed wojną był wioskowym obszcymurkiem i kłusownikiem, a teraz niemieckiego się uczy i lasów pilnuje – prychnął rzeźnik. – O Kurtzu gadają, że przed wojną mieszkał w okolicy, ale był złodziejaszkiem, tylko na robotę jeździł do Chełma. Tak czy siak, nikt nigdy nie widział, żeby pracował, ale zawsze miał pieniądze z kumplami w knajpie siedzieć... Też sobie hitlerowcy znaleźli „zarządcę”. Widać gorszej kanalii w pobliżu nie było.

– Wszędzie wyszukiwali miejscowych Niemców.

– Gdzie mu tam do Niemców, piąte przez dziesiąte w ich języku duka, bo faktycznie jego dziadek był stamtąd, a tu osiadł, żeby prowadzić u hrabiego roboty melioracyjne. Źle już musi być z Hitlerem, jak sobie takich pomocników wyszukuje... Tu i tak spokój w porównaniu z tym, co dzieje się w Warszawie czy Lublinie. Jeden znajomek mi opowiadał, że Niemcy zniemacka grodzą ulicę i zgarniają jak leci wszystkich na ciężarówkę. Kto nie ma papierów, że pracuje, tego wywożą do Niemiec na roboty. No i bez przerwy kogoś aresztują. Adwokatów, inżynierów, nauczycieli... Ale nie wiadomo, czy na śmierć, czy tylko do obozów. U nas tylko ten łajdak Kurtz i jego przydupasy... W ogóle źle się dzieje – burknął rzeźnik. – Jeden znajomek mi mówił, że już ostatnich Żydów z wiosek na wschodzie przesiedlają do getta w Hrubieszowie. A tych z Sielca wczoraj wywieziono do Chełma. U nas spokój, ale... – zawahał się. – Słuchaj, bo to może być ważne. Kurtzowa wczoraj kupiła dziesięć kilogramów pieczeniowego. Chyba szykuje duży obiad dla jakichś gości albo robi zapasy na kilka dni. Może jakiś oddział idący na front będzie kwaterował albo przyjadą gestapowcy i otworzą stały

posterunek. A ty uważaj. Wyrosłaś, wyładniałaś. Wiesz, co mam na myśli... Ten cap Kurtz ma w nosie wszelkie banialuki o czystości rasy. Gwałci, co się nawinie. Nie leż mu w oczy. Masz cukier? – nieoczekiwanie zmienił temat.

– Odrobinę...

– Jeśli planujesz gdzieś uciekać, podgrzej smalec i wsyp cukier do środka. Rozpuści się w tłuszczu, na litr spokojnie wejdzie i ćwierć kilograma bez zwiększenia objętości, zamiast dwu paczek masz wtedy jedną. Tylko nie jedz samego smalcu, bo jak jesteś nienawykła, to cię przeczyści... Tylko z chlebem, kartoflami, kaszą... Rozumiesz? Smalec to po słoninie i miodzie najlepsza rzecz. Jest bardzo sycący. Jedz po odrobinie takiego z cukrem i na bardzo długo ci starczy.

– Dziękuję za radę.

– Weź jeszcze wędzonkę. – Zawinał jej w gazetę dobrze wysuszony kawałek mięsa. – Jak przeżyjesz, zapłacisz po wojnie.

Podziękowała i ostrożnie przemknęła się do domu. Po kolacji ściągnęła ze stryszku nad stajnią stary plecak i zaczęła przeglądać swoje zapasy.

Otworzyła wiekowy, obity spękaną skórą kuferek. Wyjęła mały pakuneczek, rozsupłała rzemyk i odwinęła irchę. Tania, ale ładna mezuzza wytłoczona z cienkiej miedzianej blaszki zabłysła lekko w świetle świecy. Dostała ją, gdy opuszczała sierociniec.

Czy będą jeszcze kiedyś drzwi, do których ją przybiję? – przemknęło jej przez głowę. Ciekawe swoją drogą, co dzieje się z doktorem Korczakiem...

Przedrzemała parę godzin. Gdy się zbudziła, było kilka minut po pierwszej. Zapakowała do plecaka wszystkie swoje rzeczy. Na dnie umieściła dwulitrową blaszankę z naftą. Owinęła ją dobrze w gazety. Wyżej zmieścił się pięciokilogramowy woreczek z kaszą. Słoiki ze smalcem, świece... Wszystko pozawijała dokładnie w gazety. Suszone jabłka, suszone śliwki... Na wierzch upchnęła ubrania. Dużo ich nie miała. Zagryzła wargi, ale nie

odważyła się iść na kolejną wyprawę do pokoju zmarłej. Zrolowała swoją cienką kołdrę, owinęła ją prześcieradłem, pledem i obiema derkami. Pościskała jak mogła najmocniej, potem owinęła całość grubym rzemieniem i po wojskowemu dopięła do plecaka.

Wydobyła buty Estery ze schowka. Natarła noski odrobiną łożu. Wreszcie założyła grube wełniane skarpety i wzięła trzewiki. Pasowały idealnie. Podociągała sznurówki haczykiem. Stuknęła obcasikami. Zdmuchnęła świecę, a potem uśmiechnęła się krzywo i schowała ją do kieszeni. Sprawdziła, czy ma w kieszeni płaszczyka lornetkę, założyła plecak. Był upiornie ciężki, ale wiedziała, że musi dać sobie z tym radę. Zeszła ostrożnie po schodach, omijając najbardziej trzeszczące stopnie.

Otworzyła drzwi na dziedziniec. Ziąb panował taki, że w pierwszej chwili aż cofnęła się pół kroku. Zawahała się.

Może nie dzisiaj? – przeszło jej przez głowę. Pogoda paskudna... Tylko czy jutro będzie lepsza?

Zacisnęła zęby, poprawiła okulary i wyszła w ciemność przedświt. Zamknęła drzwi na klucz. Cicho jak duch przemknęła się przez dziedziniec i dotarła do tylnej bramy. We wrotach była jeszcze mniejsza furtka. Dziewczyna ostrożnie zdjęła belkę ryglującą. Przekręciła klucz w zamku. Wyszła na uliczkę i zamknęła furtkę. Pierwsza, najłatwiejsza część drogi za nią. Teraz byle nikt jej nie zobaczył... Wyjrzała za róg budynku. Rynek tonął w ciemnościach, ale w świetle księżyca łatwo wypatrzyła trzy ciemne sylwetki. Stróża powinna stać na wyznaczonych stanowiskach, ale najwyraźniej nuda zwyciężyła i strażnicy zeszli się, by pogadać, albo i gołnąć coś ukradkiem. Liczyła, że o tej porze chłopci, zakutani w jesionki i derki, będą dopalali ostatnie skręty z machorki, przeklinali służbę, a popijana ukradkiem wódka zdrowo zaszumi im już w głowie.

Dobra nasza, pomyślała.

Przemknęła się pustymi uliczkami do chaty starego Iwaszki.

Dom od dwu lat stał pusty, strasząc wypalonymi oknami. Płot na szczęście znikł już dawno, rozkradziony po jednej sztachecie... Weszła na podwórze zarośnięte pokrzywami. Odpoczęła chwilę, odstawiwszy plecak na stary wóz. Rozmasowała ramiona. Przywykła do pracy, ale takich ciężarów nie dźwigała nigdy...

Minęła stodołę. Drzewa w sadzie, choć pozbawione liści i owoców, zasłaniały ją doskonale. Nie było wcale tak ciemno, jak się obawiała, odnajdywała drózkę bez większego trudu. Doszła opuszczonymi ogrodami aż do kładki. Bała się, że ktoś może pilnować w tym miejscu, ale nie było żywego ducha. Przeszła po starych, trzeszczących dechach i ruszyła ścieżką przez pola. Najwyraźniej nikt jej nie zauważył, nie obudził się żaden pies... Niebo pojaśniało, gdy była już daleko na polach. Przyspieszyła kroku. Zboże i kartofle zwieziono dawno temu. Wokoło ciągnęły się ścierniska i pasy przeoranej ziemi. Nigdy nie bała się ciemności, ale poczuła się straszliwie samotnie. Chociaż miała na dłoniach dwie pary rękawiczek, zmarzły jej koniuszki palców. Zimny wiatr ze wschodu przenikał na wskroś.

W lesie, wśród drzew będzie cieplej, pomyślała.

Paski wojskowego plecaka cisnęły w ramiona, ciężar dusił do ziemi... Na szczęście, zanim zrobiło się zupełnie jasno, znalazła się na skraju lasu. Nikt chyba jej nie zauważył, nie widziała żadnego pościgu. Nad kominami miasteczka snuły się poranne dymy. Ludzie rozpalali w piecach, rozdmuchiwali żar... Patrzyła na ten obraz. Co powie Bergerowa, gdy spostrzeże, że Racheli nie ma? Kto wie, może nawet ucieszy się, bo nie będzie musiała jej już karmić. Ale jak zajrzy do pokoju zamordowanej córki i odkryje brak butów...

– Musiałam, po prostu musiałam – westchnęła.

Odpoczywała długą chwilę na skraju linii drzew. Faktycznie, w miejscu osłoniętym przed wiatrem ziąb dokuczał znacznie mniej. Pierwszy etap ucieczki się powiódł, ale teraz, gdy wydostała się z miasteczka, straciła pewność siebie. Wiedziała, że

trzeba przejść przez lasy, ale po ich drugiej stronie była tylko raz w życiu, w pierwszym roku służby, jeszcze przed wojną. Owszem, czasami wyprawiała się na grzyby ze znajomymi, parę razy była tu także z Kaśką, ale pan Berger obawiał się zatrucia i w domu darów lasu nie jadano... Czy dobrze zapamiętała, że faktycznie stoją tam stodoły? A może coś jej się pomyliło?

Wyobraziła sobie, jak wygrzebuje wygodną norę w słomie. Zdrzemnie się, aby nadrobić zarwaną noc, i pomyśli, co dalej.

Plecak był porażająco ciężki i po chwili namysłu ukryła go w wykrocie, starannie przysypując liśćmi. Wyszukała ścieżkę prowadzącą w odpowiednim kierunku i ruszyła ostrożnie. Las był spokojny i cichy. O tej porze roku raczej nie natknie się na grzybiarzy. Prawdziwym zagrożeniem był zezowaty leśniczy, ale liczyła na to, że wieczorem biesiadował z Kurtzem i teraz odsypia całonocne pijaństwo. Szła dobre czterdzieści minut. Minęła stary cmentarz z pierwszej wojny światowej. Krzyże poprzekrzywiały się, płot pokrywał mech. Z metalowych tabliczek wiatry i deszcze ścierały nazwiska rosyjskich i austro-węgierskich żołnierzy, którzy padli na okolicznych polach niespełna trzydzieści lat temu. Las nadal nosił ślady tamtych walk. Ścieżka kilkakrotnie przecinała stare okopy. Carscy żołdaci wykopali tu kilka rzędów tranzei, bronili się dobre dwa tygodnie, zanim ulegli.

Wreszcie pomiędzy drzewami pojaśniało. Jeszcze kilka minut marszu i wyszła po drugiej stronie. Daleko w dolinie leżała niewielka wioska. Rachela wyjęła z kieszeni teatralną lornetkę Estery. Widziała strzechy obór i domów, nad kominami snuły się dymy. Krowy wypędzono na pastwisko, choć niewiele mogły sobie naskubać. Ale stodoły w pobliżu lasu, które zapamiętała z tamtej przejażdżki, nigdzie nie było widać.

To nie to miejsce, zrozumiała. One muszą stać gdzieś na wschód albo na zachód ode mnie...

Powędrowała brzegiem lasu najpierw w prawo. Przeszła może kilometr, ale nie znalazła zabudowań. Zawróciła i poszła dla

odmiany w lewo. Ale i tu spotkało ją rozczarowanie.

Może zostały rozebrane albo pamięć splątała mi figła i widziałam je zupełnie gdzie indziej? – pomyślała ze smutkiem.

Do tej pory miała konkretne plany, a teraz zawróciła w las, nie bardzo wiedząc, co dalej robić. Iść wzdłuż linii okopów i poszukać jakiejś niezawalonej ziemianki? A może lepiej postawić sobie szalasa? Nie, to nie wchodzi w grę, ten diabelski leśniczy z pewnością zna tu każdą ścieżkę. Odnajdzie ją i schwyta. Najpierw pewnie pobije i zgwałci, a potem zastrzeli albo zawlecze do Kurtza, żeby mu pokazać, jaki to z niego czujny strażnik... Iść dalej? Ominąć wieś... Po drugiej stronie doliny są kolejne lasy, znacznie rozleglejsze i gęściejsze. Może tam leśniczymi nadal są Polacy? Może tam będzie bezpieczniej? Tylko żeby bezpiecznie minąć wieś, trzeba chyba poczekać do nocy. A na razie wróci do miejsca, gdzie ukryła plecak. Pogoda, do tej pory znośna, psuła się.

Ciemne chmury sunęły po niebie. Dmuchnął wiatr. Rachela poczuła na twarzy pierwsze grube krople deszczu. Jesienne popołudnie przyszło jakby wcześniej niż zwykle. Dziewczyna siadła na plecaku, zawinęła się w jedną z derek i skuliła, oparta plecami o pień świerka. Gałęzie trochę chroniły przed deszczem. Po jakimś czasie ulewa przeszła w dokuczliwą mżawkę. Powoli przemiękło wszystko – koc, płaszcz, sweterek, bluzka... Ochłodziło się znacznie. Chuchała sobie w dekolt, bezskutecznie usiłując się choć trochę rozgrzać.

Beznadziejne to wszystko, westchnęła w duchu. Cała ta ucieczka... Co ja się wygłupiam? Nie miałam dokąd pójść i siedzę teraz sama pośrodku niczego. Trzeba było pogadać z Kaśką, może z doktorem, poszukać za ich pośrednictwem kogoś, kto przechowa, pomoże... Źle to wszystko wymyśliłam.

Widziała delikatną parę, wydobywającą się z ust. Jak zimno zrobi się wieczorem? A nocą? Albo nad ranem?

Nie dotrwam do świtu, uświadomiła sobie. A może rozpalić

ognisko? Nie, ktoś może spostrzec. A gdyby tak...wrócić?

Wyobraziła sobie swoją komórkę na strychu, wąskie, skrzypiące łóżko, twarde materac i ta wizja wydała jej się nagle szalenie kusząca. Tak. Trzeba wstać i iść. Przez zaorane pola, do miasteczka. Wślizgnąć się do domu pana Bergera, przebrać w coś suchego. Jej klitka z pewnością jest wyziębiona, ale przynajmniej drewniane ściany chronią przed deszczem i wiatrem... Zacisnęła zęby. Musi tylko przemknąć się na tyle zwinnie, by zdążyć zmienić buty z kradzionych na własne. Bo jeśli kupcowa zobaczy, co ma na nogach, spierze ją na kwaśne jabłko albo i przegoni z domu.

Wrócić? Wszystkie argumenty, które popchnęły ją do ucieczki, straciły na wyrazistości. Czują, jak ziąb zamienia ją w zwierzę. Jak wizja bezpiecznego, suchego schronienia odbiera resztkę rozsądku. Spojrzała na plecak. Myśl o tym, że musi wlec taki ciężar co najmniej kilometr, sprawiła, że zakręciło jej się w głowie. Po chwili namysłu ponownie ukryła pakunek w wykrocie i przysypała liśćmi. Wróci jutro i przeniesie wszystko na raty do miasteczka. Zabrała tylko zrolowaną pościel, a do środka wsunęła kilka sztuk odzieży. Derki były mokre, kołdra też nasiąkła. Ale Rachelę liczyła, że skoro wszystko zwinięte jest jak rolada, to po rozwinięciu mokre będzie tylko na końcu. Szło jej się lekko. Wprawdzie wyobraziła sobie, jaką burę da jej gospodyni, ale z każdym krokiem miała to coraz bardziej w nosie... Buty oblepiło błoto, w tym stanie sam diabeł by ich nie poznał.

Daleki huk wystrzału wyrwał ją z zamyślenia. Poderwała głowę i poprawiła okulary. Kolejny grzmot. To nie do niej strzelano, ale na otwartej przestrzeni w każdej chwili mogła zostać zauważona. Pognała przez przeorane bruzdy i schowała się za krzakiem burzanu. Rozglądała się po okolicy. We wsi panował jakiś rozgardiasz. Kolejny raz poprawiła okulary, nadal niewiele widziała. I naraz przypomniała sobie o lornetce.

Podniosła ją do oczu, podkreśliła ostrość... Zgroza wdusiła ją w ziemię. Spostrzegła kilkanaście niemieckich ciężarówek na placu przed bankiem. Domy północnej pierzei zasłaniały większą część rynku, ale i tam wypatrzyła charakterystyczne brezentowe dachy aut. Zobaczyła w kilku miejscach duże grupy stłoczonych ludzi, trzymających walizki. Była zbyt daleko, by usłyszeć krzyki, ale od razu zrozumiała, że to już. Deportacja... Szwaby tym razem przyjechały do jej miasteczka. Przyszli nie po młodych i silnych do prac przy szosie, ale po wszystkich... Zabierają jak leci wszystkich Żydów. Do getta w Chełmie albo w Hrubieszowie. Przypadła ponownie twarzą do mokrej gleby.

Doktor miał rację! – uświadomiła sobie ze zgrozą. Zdążyłam w ostatniej chwili!

Dmuchało w jej stronę, teraz dopiero usłyszała ostre krzyki po niemiecku, niesione wiatrem. Podniosła głowę i ponownie spojrzała pomiędzy gałęziami krzewu. Ktoś próbował uciekać, biegł w stronę pól. Za nim pędziły dwa psy. Nagle człowiek przewrócił się i padł w bruzdę. Chwilę potem rozległ się huk pojedynczego wystrzału. Psy dopadły trupa, trącały go nosami i najwidoczniej stwierdziwszy, że nie żyje, zawróciły. Racheli pociemniało w oczach. Nie wiedziała, co robić. Bała się zostać tu, gdzie leżała, ale jeszcze bardziej bała się wstać i umykać w stronę lasu.

Na polu będą widoczna z miasteczka, przemknęło jej przez głowę. Z drugiej strony, ktoś mógł widzieć, jak idę drogą. Trzeba czekać... Nie mogę czekać!

Leżała, czując, jak od błota do reszty przemaka jej spódnica. Z dołu od strony wsi znów dobiegały jakieś krzyki. Chyba jeszcze ktoś został zastrzelony. Wreszcie usłyszała dźwięk zapuszczanych silników. Wyjrzała, ale to tylko część żołnierzy odjechała. Żydzi wrzucali swój dobytek i gramolili się na kilkanaście podstawionych furmanek. Nie wszyscy się zmieścili. Rachela patrzyła na to przez lornetkę. Jednak z tej odległości nie

rozpoznawała nikogo. Wreszcie Niemcy opanowali jakoś sytuację. Przodem ruszyły furmanki, za nimi, wlokąc się noga za nogą, powędrowali piesi. Żołnierze otoczyli kolumnę. Pozostałe ciężarówki odjechały w przeciwnym kierunku. Wracają do koszar? Ale nie wszyscy odjechali. Widziała zaparkowane motocykle.

Odczekała jeszcze godzinę, kuląc się z zimna za krzakiem. Na szczęście chyba nikt jej nie zauważył. Z tego, co mogła zobaczyć, sprawdzano dom po domu. Chyba znaleziono jakichś ukrywających się Żydów, bo znów padły strzały. Wypatrzyła kilkunastu Niemców, którzy nosili jakieś rzeczy do magazynu w dawnej synagodze. Rabowali pozostawiony dobytek i zabierali co ciekawsze łupy? Nad rynkiem w dwu miejscach uniosły się kłęby dymu. Chyba coś palili.. Wreszcie ostatni hitlerowcy zapakowali się na motocykle i odjechali. Spostrzegła, że z domów ostrożnie wychodzą Polacy, widocznie niebezpieczeństwo minęło. Na rynku pojawił się Kurtz. Rozpoznała go po jasnej kurtce. Chyba wygłaszał do mieszkańców jakąś przemowę.

– Teraz... – szepnęła, podnosząc się z ziemi.

Ostatkiem sił dowlekła się na skraj lasu. Spojrzała na zegarek. Minęła szesnasta. Między drzewami było już niemal zupełnie ciemno. Drżała z zimna, zmęczenia i strachu. Rzuciła zrolowane derki na mokre liście.

Trzeba odejść głębiej, dużo głębiej w las i na dnie jakiegoś parowu rozpalić ognisko, pomyślała. Muszę się ogrzać... Wysuszyć, zagotować w rondelku wodę i napić się gorącego. Bez tego złapię bronchit, potem zapalenie płuc i umrę...

Odkopła plecak. Gdy spróbowała go poruszyć, wydawał się ciężki jak kamień. Długą chwilę usiłowała zarzucić go sobie na ramię, lecz nie dała rady. Uklękała i założyła paski. Czepiając się pnia drzewa, z największym trudem stanęła na nogi. Dała radę zrobić tylko kilkanaście kroków. Potknęła się i zatoczyła, w ostatniej chwili łapiąc się drzewa. Zrozumiała, że nie da rady.

Rzuciła plecak i usiadła na nim, opierając się o pień starego buka.

Chwilę odpocznę, zdecydowała. Potem przepakuję się. Wezmę naftę, ronderek i coś do jedzenia. Przejdę z tym kawałek dalej, tam, gdzie parowy robią się głębsze. Rozpalę ognisko, zbuduję sobie szałas, powolutku wszystko wysuszę... Muszę się przespać, a nad ranem obejdę wioskę i zbadam lasy na północ stąd. Jeśli znajdę dobre miejsce na obozowisko, wrócę po resztę rzeczy.

Usiadła na plecaku i przymknęła oczy tylko na moment...

*

Ktoś dotknął jej ramienia. Ocknęła się w jednej chwili. Nie wrzasnęła tylko dlatego, że z przerażenia głos uwiązł jej w gardle. Było już prawie zupełnie ciemno. Przed nią kucał jakiś chłopak, dwa lub trzy lata starszy od niej. Kojarzyła go z widzenia, ale nie miała pojęcia, jak ma na imię. Na szczęście nie był to żaden z przydupasów Kurtza.

– Rany boskie, dziewczyno, dlaczego śpisz tu na deszczu!?

Spojrzała na niego półprzytomnie. Faktycznie, była kompletnie już przemoczona. Ale przecież nie spała, tylko planowała drogę... Nieznajomy delikatnie nią potrząsnął. Uniosła głowę i poprawiła okulary. Dłoń ciążyła jak kamień.

– A niech mnie... Przecież ja cię znam – powiedział, przyglądając się jej uważnie. – Ty jesteś pokojówką starego Bergera...

Kiwnęła głową. Pokojówka? A to ci komplement, gdzie tam jej do pokojówki! Pokojówki chodzą z miotełką z piórek, a ich najcięższą pracą jest prasowanie kołnierzyków. Dobrze być pokojówką u bogatych i wpływowych ludzi.

– Ocknij się!

Rozejrzała się na boki, ale wiedziała, że nie ucieknie.

– Nie bój się – szepnęła. – Nie pamiętasz mnie? No tak, nie chodziłaś przecież do naszej szkoły. Jestem Fryderyk, syn kierownika.

– Pana Stefana?

– No właśnie.

Kojarzyła kierownika szkoły, głównie z widzenia. Nigdy nie zamieniła z nim słowa. Nie było okazji, nie było też potrzeby. Przed wojną często widywała go w rynku. Wszędzie go było pełno. Sadził drzewa, budował z harcerzami drogę, kierował robotami nad stawem... Uczył chętnych trudnej sztuki jazdy na rowerze, a na uroczystościach grał na akordeonie. Chłopak znowu nią potrząsnął. Odchrząknęła i z trudem wypowiedziała swoje imię.

– Sądny dzień był dzisiaj – powiedział ze smutkiem Fryderyk. – Widziałem, jak pędzono waszych drogą... Masz bagaże, to znaczy uciekłaś wcześniej? Czy może miałaś to zachomikowane zawczasu w lesie?

– Uciekłam przed świtem – wyszeptała.

– Szkopy przyjechali rano, dali godzinę na spakowanie i wszystkich przesiedlili, podobno do getta w Chełmie, ale coś mi się widzi, że źle się to skończy.

Kiwnęła głową. Zęby jej dzwoniły, miała dreszcze. Pochylił się i dotknął jej czoła.

– Masz gorączkę... Chodź, musisz się położyć. Czeka na ciebie wygodne łóżko.

Pokręciła głową.

– Nie bój się, przecież nic ci nie zrobię... Nie dotknę cię.

O tym nawet nie pomyślała, po prostu bała się obcego. Pomógł jej wstać. Miał dłonie silne, ale nie spracowane. Zawrót głowy był tak silny, że omal nie upadła. Podniósł jej plecak i zarzucił na ramię. Ciężar wyraźnie go zaskoczył.

– Chodź. – Podał jej dłoń, a potem, widząc, że słańia się na nogach, wziął ją pod rękę.

Ruszyli w las. Było już niemal zupełnie ciemno. Chłopak poruszał się bardzo ostrożnie. Co jakiś czas przystawali między drzewami, a on nasłuchiwał w skupieniu. Potem podejmowali marsz. Rachela słała się na nogach, czuła, jak jej łydki i uda drżą zupełnie wbrew woli... Dygot w piersi też narastał. Fryderyk musiał ją podtrzymywać.

– Już niedaleko – szepnął, skręcając w gęsty młodnik.

Nogi plątały się, w głowie szumiało, przed oczyma latały mroczki. Resztę drogi przebyła jak w malignie. Pamiętała, że przeciskała się przez jakąś dziurę i schodziła po bardzo stromych schodkach, jakby do piwnicy, a potem była już tylko ciemność.

*

Obudziła się, gdy ktoś położył jej chłodny wilgotny kompres na czole. Rozchyliła z wysiłkiem powieki. W ustach miała zupełnie sucho, czuła, że ma zajęte gardło.

– Leż. Masz wysoką gorączkę – usłyszała głos dobiegający jakby z bardzo daleka. – Chcesz się napić? To wywar z lipy. Wywoła zlewne poty, wygrzejesz się. Aspiryna też będzie nie od rzeczy. Może nawet dwie tabletki.

Świeca rozświetliła wnętrze. Rachela rozejrzała się. Leżała na sienniku, nakryta grubym wełnianym kocem i pikowaną kołdrą. Pośłanie ulokowano w dużej beczce. Woń starego oleju kręciła w nosie. Pod przykryciem było ciepło, ale telepały nią dreszcze. Gardło wyschło na wiór. Przełknęła kilka łyków z podanego kubka i z cichym jękiem wczołgała się głębiej w pośłanie, nakrywając kocem wraz z głową.

Przyśnił jej się dziwny sen. Znowu była w swojej mansardce i pakowała plecak. Nagle drzwi skrzypnęły, do pomieszczenia weszła Estera. Była blada, także jej ubranie zachowało tylko ślad dawnych kolorów.

– Wybierasz się w świat, moja droga? – zapytała z lekkim uśmiechem.

– Tak, pani...

– Jak tam moje trzewiczki, nie cisną aby?

– Przepraszam – szepnęła ze wstydem. – Ukradłam je...

– Ależ nie gniewam się, mnie już nie będą potrzebne, tam, gdzie zawędrowałam, nic nie rani mi nóg. – Dziewczyna wskazała bosc stopy. – Ale ty uważaj na pięty. – Roześmiała się, jakby ubawiona jakimś dowcipem.

Rachela obudziła się ponownie. Dłuższą chwilę leżała nieruchomo. Było jej ciepło i sucho. Miała na sobie tylko bieliznę. Poślanie było szerokie i wygodne, nad głową widziała dobrze spasowane klepki.

Leżę w dużej beczce, uświadomiła sobie po raz kolejny.

Przekręciła głowę w stronę światła. Lampa naftowa? Jakiś metr od poślania siedział ten chłopak. Jak on się nazywał? A, Fryderyk... Za jego plecami wypatrzyła jeszcze kłitkę o wymiarach może dwa na trzy metry. Ściany wyłożono starymi deskami, strop tworzyły pnie brzózek, leżące jeden obok drugiego. Stał tu także niewielki piecyk – popularna koza. Otoczono go półkolistym murkiem z cegieł. Spostrzegła też polana ułożone warstwami aż do sufitu. Wyżej na sznurkach, przeciągniętych od ściany do ściany, wisiało jej ubranie, kołdra, derki i inne łaszki z plecaka. Do popielnika spadały ostatnie, pojedyncze iskierki. Pod ścianą stały obite blachą skrzynie. Na nich wymoszczono drugie legowisko. Szósty zmysł podpowiedział jej, że znajdują się pod ziemią.

Chłopak spostrzegł, że się obudziła. Podkręcił nieco knot lampy.

– Witaj. – Uśmiechnął się. – Lepiej ci trochę?

– Tak, dziękuję – wychrypiała, wpatrując się w klepki.

– To stara beczka z olejarni w miasteczku – wyjaśnił Fryderyk.

– Ojciec wyprosił ją jeszcze przed wojną. Zatoczyliśmy do lasu

i ukryliśmy w parowie. Jest przysypana liśćmi i darnią, a przez lata tyle tłuszczu wypła, że nie zgnije, leżąc w ziemi, wilgoci też nie przepuszcza. Reszty bunkra nie udało się tak dobrze zaizolować, ale całkiem tu sucho. Tylko książki musiałem dobrze pozawijać w gazety, żeby się kartki nie pofalowały.

– To ziemianka?

– Tak. I to naprawdę dobrze zamaskowana. Nie martw się, tu nic ci nie grozi... Twoje rzeczy już prawie wyschły. Ale następne grzanie dopiero za dziesięć godzin. Palić w piecu mogę tylko nocą, i to bardzo ostrożnie – wyjaśnił. – Rura kominowa jest pociągnięta kilka metrów w bok, a wylot ukryliśmy w krzakach, ale dym czuć z daleka, zwłaszcza nocą. A jak ktoś zwęszy dym, to wie, że gdzieś jest kryjówka, i będzie szukał. Muszę tu żyć tak, żeby nikt się nawet nie domyślał mojej obecności.

– Rozumiem...

– Mówiłaś, że uciekłaś, zanim Szwaby przyjechały do miasteczka. Sądząc po ilości zapasów – klepnął dłonią jej plecak – chciałaś się gdzieś przenieść?

– Tak... Gdzieś... Gdziekolwiek. Ostrzegano mnie, że tam lepiej nie zostawać – wyszeptała. – Że w okolicy dzieje się bardzo źle... No i także u nas źle się stało.

– Wiem. Czyli nie miałaś żadnego planu.

– Za lasem są stodoły. Myślałam, że tam ukryję się na jakiś czas.

– To daleko. Stąd będzie z pięć, może sześć kilometrów. Poza tym teraz stoją puste. Uświerkłybyś z zimna. Nikt nie trzyma dobytku poza domem, złodziejstwo nastąpiło straszne. No i nie jest tam bezpiecznie. Włóczą się po okolicy różne bandy. Powiadają, że z obozu uciekło trochę sowieckich jeńców. Nie mają nic do stracenia, więc grabią, gwałcą i mordują bez litości.

– Aha... – Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

Słyszała już wcześniej paskudne opowieści o takich bandach, ale planując ucieczkę, jakoś w ogóle o podobnym zagrożeniu nie

pomyślała.

– Żydzi wszędzie mają dziś pod górkę, a na terenach, które Szwaby zajęli na wschodzie, to już podobno jest zupełnie źle. – Przeciągnął dłonią po gardle. – Jak nie masz dokąd iść, może zostaniesz tutaj? – zaproponował nieoczekiwanie.

– Ale ja... – zaczęła.

I umilkła. Wszystkie plany, które ułożyła wcześniej, wydały jej się kompletnie głupie i nierealne. Ale nie wiedziała, czy może zaufać nieznanemu... Wyglądał sympatycznie, jednak...

– Jesteś synem kierownika szkoły – ocknęła się nagle.

– Tak.

– Podobno twojego ojca ktoś widział w Chełmie. Gestapo zakatowało twojego pradziadka Mikołaja – powiedziała.

– Wiem, wczoraj był pogrzeb... Oczywiście nie mogłem iść. Z tym ojcem to chyba tylko plotka. Ale jeśli jest w okolicy, wie, gdzie mnie szukać.

– Ja...

– Przemarzałeś i przemokłeś na wskroś. Rozebrałem cię i natarłem kamforą. Nie obraż się, to było konieczne. Zresztą ciemno tu, niczego nie widziałem, a co widziałem, to zaraz zapomniałem. Teraz musisz odpocząć kilka dni, rozgrzać się i wypocząć. Potem pomyślimy, co dalej.

Poczuła palący rumieniec wstydu. Widział... Nie, majtki z długimi nogawkami i stanik nadal miała na sobie...

– Zajęłam ci łóżko – bąknęła.

– Furda, już sobie zrobiłem miejsce do spania. Zresztą beczka ma ponad półtora metra średnicy, możemy przedzielić ją sobie ścianką z desek i każde będzie miało wygodne poślanie, a i moralności nie naruszymy... – Puścił do niej oko.

Rachela zagryzła wargi.

– Jeśli chcesz skorzystać z toalety, to w korytarzyku mam ustęp. Ubierz się proszę, ja nie patrzę. Potem herbata, aspiryna i śpij dalej, aż wydobrzejesz. Co byś chciała zjeść? Mam kaszę,

jeszcze w miarę ciepła. Załóż kapcie, podłoga... No cóż, czysto to tu nie jest. Sadza z piecyka osiada i wnosi się błoto.

Zdjął ze sznura wysuszoną sukienkę, podał ją dziewczynie i odwrócił się. Włożyła ubranie, zarzuciła na ramiona serdaczek Estery. W korytarzyku faktycznie był niewielki ustęp. Umyła w misce dłonie i twarz. Wnętrze kryjówki było ciasne, ale piecyk przyjemnie je nagrzał. Gdy spała, chłopak wyczyścił także jej buty.

Zjadła miskę kaszy z omastą i skwarkami. Wytarła starannie resztki tłuszczu kawałkiem chleba. Połknęła dwie aspiryny i popiła letniego naparu z kubka. Sądząc po smaku, herbatę rozcieńczono suszem ziołowym.

– A więc mieszkasz tu... – zaczęła.

– Od wczesnej wiosny. Gestapo pytało o ojca, jest widać na liście do aresztowania. Ja miałem ormiańskich przodków, przez to uroda u mnie taka trochę cygańska. – Musnął dłonią czarne włosy. – Niemcom od razu wydaję się, jak to mówią, „podejrzany rasowo”... Choć najważniejszego o mojej rodzinie na szczęście nie wiedzą... – Urwał nagle, jakby w obawie, że powiedział za dużo. – Przepraszam, gadam i gadam, ale tyle czasu nie miałem do kogo ust otworzyć...

Aspiryna i herbata rozgrzały Rachelę, ale zarazem wywołały poty. Dziewczyna czuła, że znowu odpływa. Pomógł jej umościć się na posłaniu. Usiadł w kręgu światła, z książką w ręce. Spostrzegła jeszcze, że chłopak skręca knot lampy, by zaoszczędzić nafty. Zaraz potem zasnęła.

*

Po przebudzeniu znów miała dreszcze. Otworzyła oczy. Wnętrze kryjówki było niemal zupełnie ciemne, tylko z popielnika świeciła odrobina żaru. Chłopaka nie było. Wygrzebała się

z pościeli. Zapaliła świecę i postawiła na blacie. Na posłaniu Fryderyka leżała kartka. „Wrócę po północy” – naskrobał. Nie miała pojęcia, która może być godzina. Zegarek gdzieś przepadł... Założyła serdaczek Estery.

Westchnęła ciężko na wspomnienie córki chlebobawców. Taka piękna dziewczyna i miła, co rzadko idzie w parze. Przypomniała sobie sen z poprzedniej nocy. Buty... Dotknęła swoich pięt. Skóra była trochę szorstka i spękana, ale nie obtarła ich, nie zrobiły się jej także pęcherze. Wyjęła trzewiki spod ławki i obejrzała. Eleganckie i wygodne, nie kupione w sklepie, lecz zrobione przez dobrego szewca. Wewnątrz były nowiutkie wkładki z grubej skóry.

Podniosła wkładkę i zobaczyła drewniany krążek zatyczki. Wydłubała ją ostrożnie. Wnętrza obcasików były wydrążone. Wygarnęła zawartość. W lewym bucie umieszczono kilkanaście złotych pięciorubłówek, a w prawym znalazła zwinięte grube złote łańcuszki oraz pierścionek z czerwonym oczkiem.

Przygotowali to sobie na wypadek, gdyby trzeba było uciekać, pomyślała Rachel. Albo gdyby ich przesiedlono do getta. To i przed wojną byłaby fortuna. Przeżyliby za to wiele miesięcy. A zapewne i sami państwo mieli coś podobnego...

Zagryzła wargi. Kradzież butów była w stanie jakoś przed sobą usprawiedliwić, ale to... To już zbyt gruba sprawa. Na taką kwotę musiałyby pracować wiele lat.

Oddam im po wojnie, pomyślała. O ile przeżyjemy...

Przymierzyła pierścionek. Pasował idealnie. Rubin w blasku świecy wyglądał jak kropelka gołębiej krwi. W pierwszej chwili pomyślała, że będzie miała pamiątkę po przyjaciółce, ale zaraz potem zawstydziała się.

– Głupio tak – westchnęła.

Z drugiej strony... Bergerowie zalegali jej od niemal roku z wypłatą, a i wcześniej płacili bardzo marnie. Jak wyliczyć, ile z tego może zatrzymać? Schowała znaleziony kruszec i odstawiła

buty na miejsce. Kaśka mówiła, że mieszkańcy miasteczka organizują seanse spirytystyczne. Estera... Czy to był zwykły sen, czy nawiedził ją duch?

– Tak czy siak, dziękuję – powiedziała.

Bała się potem zdmuchnąć świecę. Żar dogasał, wsunęła w palenisko jeszcze kawałek brzozowego polana. Czowała się kompletnie rozbita i przeraźliwie samotna. Wszyscy miasteczkowi Żydzi znaleźli się teraz w chełmskim getcie. Co się stało z Bergerami? Kupiec ocknął się z katatonii czy może Niemcy zobaczyli, że zwariował, i od razu go zastrzelili? Wzdrygnęła się na tę myśl. A przesiedleńcy?

W korytarzyku prowadzącym do wyjścia coś zachrobotać. Zamarła przerażona, ale na szczęście to tylko Fryderyk wrócił. Przyniósł jakieś zawiniątko. Z cholewki buta zawadiacko wystawała mu zrolowana gazeta. Odstawił do kąta kij.

– Chodziłem do skrytki – wyjaśnił. – A w drodze powrotnej prawie wpadłem na tego sukinsyna leśniczego. Łazi gad po lesie w nocy, z psami. Szuka...

– Ciebie?

– Raczej ciebie – odparł. – Takich jak ty. Znalazłem dogasające ognisko, ktoś obozował w jednym jarów, prawie na skraju pól. Może to Sowietci, którzy zbiegli z obozu, ale widzi mi się raczej, że Żydzi. Widać ktoś jeszcze zdołał się wymknąć. Może ukrył się gdzieś na strychu i przeczekał? Albo może uciekł z transportu, czy nawet zbiegł z getta i wrócił w te strony? Ale nie spotkałem tam już nikogo. No a potem psy mnie zwietrzyły. Nie po śladzie na szczęście, bo buty zawsze zawijam w szmatkę z kamforą. Zezowaty poszczuł jednego... Zabiłem go. Psa znaczy, a powinienem tego gada. Ale nie było jak podejść. Zastrany stary kłusownik, oczy ma dookoła głowy. Gdybym miał chociaż najgłupszą dubeltówkę... Ojciec przed wojną polował trochę. Niestety, jedyne, co mi zostało, gdy musiałem uciekać, to laska po pradziadku.

Podniósł z kąta sękaty kijaszek, przekręcił pierścień przy gałce i wyciągnął ukrytą wewnątrz klingę, długą na dobre pół metra.

– Ktoś powinien to zrobić. Zabić jego, zabić tego drania Kurtza... Tylko że Niemcy by się pewnie wściekli. Lepiej by ich było jakoś zastraszyć, ale jak? Dom tego naszego burmistrza to istna twierdza. Obsada posterunku w miasteczku niby tylko ośmiu, może dziesięciu Niemców, ale ruszysz jednego i w odwecie spacyfikują całą osadę. Za każdego swojego rozstrzelają i dwudziestu Polaków. Gdyby chociaż operowały tu jakieś oddziały partyzanckie...

– Jedyne, co możemy, to spróbować przeczekać zły czas – westchnęła dziewczyna.

– Ta bezsilność doprowadza mnie do szału – wyznał. – Opowiesz mi, co tam słychać u Bergerów? – zapytał. – Chodziłem z Esterą do jednej klasy. – Posmutniał. – Słyszałem, że ją zabili, wiosną jeszcze... Mogłem zabrać ją ze sobą tu do lasu, choć pewnie by się nie zgodziła.

– Kurtz łajdak... Przyszedł któregoś wieczora z paroma znajomymi Niemcami. Zażądali złota i wódki. Berger nie chciał dać. Pobili go, a ją zgwałcili na jego oczach i zastrzelili w salonie. Ja przeżyłam, bo leżałam schowana za kanapą... Gospodarz już nigdy nie doszedł do siebie. Bergerowa miała do mnie o to jakby żal, może uważała, że gdyby to mnie zgwałcili i zabili, może Estera by ocalała?

– Tego już się nie dowiemy, ale myślę, że skrzywdziliby was obie...

– Chcieli zabić też kupca. Bergerowa otworzyła kasę pancerną, dała im pieniądze, a wtedy się wynieśli... Berger od tamtego dnia zapadł w katatonię.

– Kurtz... – W ustach Fryderyka znienawidzone nazwisko zabrzmiało jak przekleństwo.

– Niejednego potem tak okradł, tylko ludzie już się nie buntowali, dawali mu złoto, wódkę, futra, obrazy, zegary, co

lepsze meble... Co kto miał. Ale dziewczyn jeszcze kilka zgwałcił. Jedna się potem w studni utopiła. Kary na niego żadnej...

– No tak, Żydzi są wyjęci spod prawa. Mówiłaś, że zabili też starego Mikołaja. Wiesz coś więcej?

– Rzeźnik opowiadał tylko, że pytali o twojego ojca... Nie chciał mówić albo nic nie wiedział i zbili go tak, że umarł.

– Jedno wiedział... Wiedział, że żyję gdzieś w lesie. Miał ponad dziewięćdziesiąt lat. To był stryjeczny dziadek mojego ojca – wyjaśnił chłopak. – Pamiętał jeszcze powstanie styczniowe, choć za mały był, żeby brać w nim udział. Opowiadał, jak się nasi na tych polach starli z Ruskimi...

Westchnął.

– Dlaczego on wykładał to mięso w lesie? – zaciekawiała się.

– Dla wilków.

– Ale w tych stronach przecież nie ma wilków? – zdziwiła się.

– Że czegoś nie widać, to nie znaczy, że tego nie ma... Gdy był młody, jego synowi przytrafił się pewien wypadek. On wiedział, że wilki w tych lasach czasem się pojawiają. Wierzył, że jest co najmniej jeden, który żyje tu na stałe.

– Zatruiwał to mięso, by wykończyć wilka, który rozszarpał mu syna? – zastanawiała się. – Ale te zwierzęta nie żyją tak długo...

– To nie takie proste... – zaczął i urwał w pół słowa. – Takie tam rodzinne sprawy, starcze dziwactwa, nie zaprzataj sobie tym głowy. Estera – zmienił temat. – Raz się złożyło... Wiesz, uczyliśmy się w Chełmie, ja byłem w szkole technicznej, ona w Koedukacyjnym Gimnazjum Kupieckim. U nas nie było dziewczyn, tam nie było wielu chłopaków. W karnawale zrobiliśmy potańcówkę, obie szkoły razem. Ona też dała się zaprosić. Odprowadzałem ją na kwaterę i pocałowaliśmy się w bramie.

– Nie chwaliła się – bąknęła Rachel.

– Ja myślę, że się nie chwaliła. Może i Berger nie nosił brody, ale romans córki z gojem z pewnością doprowadziłby go do

szahu. Zresztą to tylko raz było, po prostu ulegliśmy nastrojowi chwili. A teraz jej nie ma... – westchnął ciężko. – Nigdy nie spędzimy razem popołudnia w kawiarni przy Lwowskiej. Nigdy nie będziemy siedzieć pod morwami na chełmskiej Górcie...

Zapadła niedobra, ponura cisza. Każde miało co wspominać. Chłopak otrząsnął się wreszcie.

– No dobra, muszę ci jeszcze trochę rzeczy wyjaśnić. Teraz mamy niemal idealne warunki, by się ukrywać. Ale w zimie trzeba będzie bardzo uważać – powiedział.

– Śnieg nad bunkrem stopnieje i zdradzi kryjówkę?

– E, raczej nie, mamy nad głową prawie metr ziemi. Ale dym jest ciepły, będzie topił śnieg na krzakach. Rura kominowa ma wprawdzie jakieś siedem metrów długości, więc po drodze większość ciepła i sadzy odda, ale mimo wszystko... Poza tym, jak już spadnie śnieg, będziemy odcięci od jakiegokolwiek kontaktu z ludźmi.

– Leśniczy albo Niemcy wytropiliby nas po śladach – domyśliła się.

Kiwnął głową.

– Jeśli zostaniesz sama, a może się tak zdarzyć... Czy wiesz, gdzie jest kapliczka przy mogile powstańców styczniowych?

– Wiem. Jakiś kilometr albo półtora od tego cmentarza z pierwszej wojny.

– Za nią rośnie stary dąb. Po drugiej stronie niż kapliczka jest pod korzeniami nora. Wlot zamaskowany został kamieniem. Tam jeden przyjaciel zostawia dla mnie różne rzeczy. Zimą raczej nic nie przyniesie ani my nie mamy tego jak odebrać, chyba że w jakąś szczególnie mocną zadymkę, ale wtedy łatwo pobiłdzić. Ale wiosną, gdy śniegi stopnieją, będą kolejne dostawy. Szkoda, że nie masz pieniędzy, wszystkim teraz ciężko... A on wszystko z kieszeni własnej musi kupować.

– Mam.

Podniósł zaskoczony głowę.

– Mam pieniądze. Trochę. Cztery złote carskie piątki oraz to. – Wyjęła z kieszeni trzy grube srebrne dychy z Piłsudskim.

Wolała nie mówić, ile naprawdę złota znalazła w butach Estery.

– Dziewczyno, toż to prawdziwa fortuna! – ucieszył się. – Teraz kwestia taka – zmienił temat – żebyś się nie zanudziła. Pamiętam, że przed wojną zachodziłaś do gminnej biblioteki... Mam trochę książek. Głównie takie chłopięce lektury, ale może coś ci podpasuje? Czytałaś coś Juliusza Verne’a?

– To mój ulubiony autor.

– Mój też! Mam też książki Władysława Umińskiego i kilka tomików podróźniczych, głównie Lepeckiego i Goetla. Na długo nam to nie wystarczy, a niestety, chwilowo nie mamy jak odwiedzić księgarni...

*

Kolejne dni były podobne do siebie. Spali do późna. Rachela nigdy wcześniej nie miała tyle czasu na lekturę. Ograniczało ich tylko to, że musieli bardzo oszczędzać świece i naftę. Opowiadali sobie za to, siedząc po ciemku, treść książek, które każde z nich czytało dawniej. Palili w piecyku bardzo ostrożnie i oszczędnie. Fryderyk najpierw wychodził i lustrował okolicę, czy nie widać niczego podejrzanego. Używali dobrze wysuszonych polan bukowych i brzozowych, które dawały dużo ciepła, za to niewiele dymu. Gotowali przeważnie kluski razowe, kaszę, czasem robiąc na zapas na dwa, trzy dni. Rachela miała szaloną ochotę zrobić makaron, ale brakowało im jajek. Raz w tygodniu chłopak poświęcał jedną konserwę. Miał też zapas sucharów, posmarowane smalcem smakowały całkiem znośnie i na długo wypełniały żołądek. Dziewczyna spostrzegła, że przestała chudnąć, a nawet jakby odzyskała odrobinę ciała. Co jakiś czas

wychodzili na nocne spacery. Fryderyk pokazał jej drzewo obok kapliczki i zadbał, by choć trochę poznała tę część lasu. Kilka razy podglądali pasące się sarny, raz omal nie stratował ich dorodny jelen. Parokrotnie z daleka usłyszeli psy leśniczego, ale nie natrafili na innych ukrywających się.

Chłopak drobiazgowo przestrzegał zasad bezpieczeństwa. Przed każdym wyjściem nacierali buty kamforą, starannie dbali też, by nie wydeptywać trawy w pobliżu kryjówki. Noce były coraz chłodniejsze, listopad zbliżał się ku końcowi. Księżyc rósł. Do pełni zostało kilka dni. Fryderyk obserwował srebrną tarczę i na jego twarzy malowała się nieokreślona troska.

Wreszcie pewnego wieczora wyciągnął z jednej ze skrzynek pół tabliczki przedwojennej czekolady i butelkę wina. Zapalił dwie dodatkowe świece. Rachelą obserwowała te poczynania zaciekawiona.

Oświadczy mi się, przemknęło jej przez głowę, ale zaraz odrzuciła to przypuszczenie. Pewnie ma urodziny albo coś takiego...

Przejrzała w głowie kalendarz. Chrześcijańskie święto zmarłych już minęło. Świętego Marcina też. Na andrzejki, katarzynki i lanie świec w dzień świętej Łucji było dla odmiany za wcześnie.

– Musimy porozmawiać – powiedział, zapraszając ją do stołu.

Przysiadła się.

– Jesteś fantastyczną dziewczyną... – zaczął. – Rozumiemy się w pół słowa. Muszę ci powiedzieć jedną rzecz. Ukryłem cię, bo tak trzeba. Bo całe życie uczono mnie w domu, w szkole, drużynie harcerskiej, że ludzie w biedzie muszą sobie pomagać. Że silniejszy ma podawać pomocną dłoń słabszemu. Wiesz, ja powinienem mieszkać tu sam. Czasem choruję, to przykry widok.

– Ja...

– Nigdzie nie odejdiesz – uciął. – Dopóki trwa wojna, jesteś

pod moją opieką. Tu masz szansę przeżyć. Masz dach nad głową, jest co jeść, można się ogrzać. Jak cię złapią, nie będą się męczyli, by cię odwieźć do getta, tylko od razu zaprowadzą do jaru za apteką. Kula w głowę i do piachu. Zostaniesz ze mną, i tyle.

Kiwnęła głową. A jednocześnie poczuła ogromną ulgę.

– Chodzi o to, że jutro lub pojutrze będę miał pierwsze ataki... Niczym się nie martw. To nie jest zaraźliwe.

– Mieliliśmy pogadanki o różnych chorobach. W razie czego muszę włożyć ci kawałek drewna w usta i przytrzymać szczękę, żebyś nie odgryzł sobie języka? – wołała się upewnić. – Wiązać nie trzeba?

– To... to nie jest padaczka. Ja... – zaczął i urwał. – Nie uwierzysz – dodał po chwili.

– Powiedz, proszę...

– Zbliża się pełnia księżyca – powiedział. – Pamiętasz, co mówiłem o wilkach?

– Że tu są, choć ich nie widać.

– Nie są. Bywają. – Zawahał się. – Może się tak zdarzyć, że zmienię się w wilka – wypalił.

– Jak wilkołak? – zdumiała się.

– Nie jak wilkołak, ja jestem wilkołakiem – wyrzucił z siebie.

Meszugene! – przemknęło jej przez myśl.

– Dorastam. Dojrzewam. Wilk we mnie się budzi. Nie wiem, kiedy zacznę się przemieniać. Może za kilka dni. Może za rok dopiero. Ale z miesiąca na miesiąc łapie mnie coraz mocniej. To tak, jakbym skakał do belki w stodole, już prawie-prawie muskał ją palcami, ale ciągle nie mógł złapać. To przyjdzie. Wcześniej czy później. Nie wierzysz?

– Nie. – Uśmiechnęła się bezradnie.

– Nie dziwię ci się... To trudne do uwierzenia, choć są w miasteczku ludzie, którzy wiedzą. Jest w okolicy co najmniej jeszcze jedna rodzina taka, jak moja. Słyszemy ich, ale nie wiemy, kim są... Mój ojciec też zmienia się w wilka. To uciążliwe,

ale wygodne zarazem... Gdy trzeba uciekać, zwierzę się przemknie tam, gdzie człowiek nie da rady. Teraz posłuchaj, bo to ważne. Nie musisz mi wierzyć, ale zapamiętaj na przyszłość. Przemiana trwa kilkanaście, czasem kilkadziesiąt godzin i zazwyczaj cofa się bez śladu. Ale istnieje pewne ryzyko. Gdybym zmienił się w wilka i już nie wrócił, zostaniesz tu sama. Pamiętasz, co mówiłem o drzewie ze skrytką?

– Tak.

– Bez wsparcia z zewnątrz nie da się przetrwać w lesie. Pisz na kartce drukowanymi literami, czego ci potrzeba. Mój przyjaciel będzie starał się to zdobyć. Dobrze by było, gdybyś zostawiła mu co jakiś czas trochę pieniędzy... Myślę, że nie będzie kłopotu, ale mówię to na wszelki wypadek. Rozumiesz?

– Tak...

– Nie przejmuj się, wiem, że to brzmi jak brednie szaleńca. Zobaczysz, to uwierzysz.

Napili się wina, zjedli po kawałku czekolady.

– Ty i Estera... – zaczęła.

– Niczego między nami nie było, tylko przyjaźń – powiedział to z lekkim żalem.

Rachela z miejsca mu uwierzyła.

– Kaśka od aptekarzostwa jest kochliwa – mruknął. – Co i rusz obściskuje się z jakimś chłopakiem, ale chyba zachowuje cnotę. Tak mi się wydaje, że ona jest raczej z tych, które lubią sobie potańczyć, jednak swój rozum ma i pozwoli co najwyżej na kilka pocałunków. Albo i to nie...

– Nigdy nie miałam żadnej sympatii – wyznała dziewczyna.

Uśmiechnął się lekko.

– Przyjdzie na to czas po wojnie. A może i nie... Pokolenie młodych mężczyzn w odpowiednim wieku z pewnością zostanie bardzo przetrzebione.

– Nigdy nawet nie całowałam się z chłopakiem – dodała.

Wino wprowadziło ją w nastrój lekko frywolny.

– Zły czas i złe miejsce na takie doświadczenia... Ale jeśli zechcesz, wrócimy do tematu, gdy Hitlera diabli wezmą. – Puścił do niej oko.

Rozmawiali potem na jakieś obojętne tematy. Chłopak wspomniał o harcerskiej wyprawie dookoła świata zorganizowanej przez Jerzego Jedlińskiego dekadę przed wojną. Ona opowiadała o wizycie w Instytucie Radowym i o dwóch filmach, które widziała w kinie. Wreszcie przyszła pora udać się na spoczynek.

Rachela udawała, że śpi, ale popatrywała spod współprzymkniętych powiek. Gdy zmrużyła oczy, widziała prawie tak dobrze, jak przez okulary. Fryderyk zdjął koszulę i mył się nad miską. Blask świecy kładł refleksy na jego nagiej skórze. Był szczupły, żyłasty, mięśnie miał drobne, ale rysowały się wyraźnie. Wyobrazila sobie, że te ramiona obejmują ją, gładzą po plecach. Poczula przyjemny dreszcz.

Tak nie będzie, pomyślała. A może? Wojna potrwa i jeśli przetrwamy razem w tej kryjówce, to siłą rzeczy nas zbliży... Może jest nam pisana wspólna przyszłość? Mamy podobne zainteresowania... Lubimy tych samych autorów. Z pewnością nie nudzilibyśmy się przez kolejne lata.

Wyobrazila sobie, że biorą ślub w kościele w miasteczku. Dziwna to była myśl, niepokojąca. Fryderyk zasnął jak kamień na swoim posłaniu. Dziewczyna długo leżała z otwartymi oczami, nie mogąc zapaść w sen. Przesunęła opuszkami palców po rozchylonych wargach. Mrowiły ją delikatnie... Ciekawe, jak by to było, gdyby ją jednak pocałował.

On ma rację, pomyślała. Pewne rzeczy trzeba odłożyć na „po wojnie”. Tylko kiedy ta wojna się skończy? Duch cesarza Napoleona przepowiedział, że dopiero za osiem lat. Czy to możliwe? Czy Sowieci kiedyś pobiją Hitlera? A jeśli faktycznie dojdzie do Uralu, a Japończycy uderzą ze swojej strony i zajmą Syberię? Jaka siła przeciwstawi się wtedy potędze Niemców?

A jeśli Stalin i Hitler wyczerpią siły i zaczną rokowania pokojowe? Rzesza zachowa we władaniu Polskę, Ukrainę, Białoruś, kraje bałtyckie... Będzie nas okupowała jeszcze przez wiele, wiele lat. Co wtedy z nami? Co będzie ze mną... Ile lat można przeżyć w beczie zakopanej w ziemi? Już teraz czuję się osłabiona przez brak światła, powietrza, ruchu. Wiele chorób lęgnie się w wilgoci i zaduchu. Reumatyzm, artretyzm, gruźlica...

*

Wstał kolejny dzień. Fryderyk siedział nad kalendarzem zatroskany.

– Ostatnia noc przed pełnią. Dziś będzie ciężko, a jutro na poważnie weźmie mnie w obroty. Będę potrzebował dużo wody do picia i pewnie coś do jedzenia, bo to bardzo wycieńcza... Ale teraz nie mogę nic jeść. Muszę mieć pusty żołądek.

Dzień upływał jak każdy inny. Chłopak wyszedł do lasu, zabrał ze sobą lornetkę. Wrócił po niemal trzech godzinach. Wyglądał na bardzo przybitego. Niczego nie przyniósł, widocznie zaopatrzenie nie dotarło, a może nie chodził do skrytki?

– Co się stało? – zaniepokoiła się Rachela.

– Nad łąką stoi szubienica, a na niej wiszą trzy ciała. Z tej odległości nie rozpoznałem twarzy. Może złapano jakichś Żydów, a może to zbiegli sowieccy jeńcy. Ale tych zawleczono by z powrotem do obozu na pokazową egzekucję... Może to Polacy? Widziałem też auto leśniczego, jak jechał przez pola do siebie. Wiózł kilku żandarmów. Pewnie znowu będą przetrząsali las. Dziś palimy tylko świece. Naftę jednak trochę czuć. Zastanawiam się, czy można wyszkolić psa tak, by tropił po zapachu dymu.

– Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

– Ja też nie, ale kto wie, a nuż się da? Niemcy to sprytne łajdaki. Pomyślunku draniom nie brakuje.

Rachela przekopła swój plecak w poszukiwaniu czystej bluzki. Przy okazji znalazła zaginiony zegarek i menurę. Położyła ją na stoliku. Fryderyk spojrział na przedmiot, zmarszczył brwi, a potem zorientował się, co to jest.

– Nie masz swojego domu, by przybić ją do framugi – zadumał się.

– Dostałam na szczęście, na dobry los... Od doktora Korczaka i pani Wilczyńskiej – wyjaśniła.

– Nie chodziłaś z nami do szkoły – zauważył. – Ktoś mi mówił, że jesteś sierotą z Warszawy, jak trafiłaś w nasze strony?

– Byłam w domu sierot u doktora Korczaka – odparła. – Starłam się zapewnić jakiś los tym, których wypuszczał spod swojej opieki. Starszym dziewczętom znajdował bogate żydowskie rodziny, które potrzebowały służących, chłopcom załatwiał posady w fabrykach i u rzemieślników. Żeby wychowankowie nie trafiali na bruk, tylko mieli jakieś swoje miejsce na początek.

– Byłem w Warszawie dwa razy – westchnął chłopak. – Przed wojną jeszcze, na zlotach harcerstwa. Za pierwszym razem żył wciąż marszałek Piłsudski, defilowaliśmy przed nim. Za drugim razem, już po jego śmierci, przechodziłem kurs harcerskiego przysposobienia wojskowego. To piękne, wielkie miasto, i takie nowoczesne...

– A mnie się tu podoba. – Wzruszyła ramionami. – Może nie mamy kina ani teatru, ale za to wszyscy się znają. Może i biednie, ale przed wojną nikt nie chodził głodny. No i nie ma domów schadzek, rajfurek, bandytów, całej tej ludzkiej pleśni, która zatruwa powietrze w miastach. Do wojny nie wiedzieliście nawet, co to zbrodnia. Ot, jeden chłop drugiemu na zabawie siekierą dał w głowę. Ale nie było morderstw.

– Idealizujesz – prychnął. – Tu się o podoranie między sąsiedzi tłukli kułakami do krwi. A i niechciane ciężę się dziewczynom przytrafiały.

– Nie było uliczników! Nie było żebraków ani nieletnich

złodziejasków. Każdy dzieciak miał coś do roboty, czy to u rzemieślników, czy w gospodarstwie...

– Może i masz trochę racji. – Pokiwał głową. – Ludzie tu sobie dobrze żyli. Trochę biednie, ale cóż, wojna zmieniła wszystko. Obudziła dawne waśnie, zapomniane spory. W cieniu, który Rzesza rzuciła na nasz kraj, zaczęły kiełkować jak z ziarna małe wiejskie hitlerki. Na przykład ten pomocnik piekarza Ajzyka... Przy pierwszej okazji zadenuncjował, że jego dawny szef ukrywa zapasy mąki. Po co to zrobił? Nie dostał za to nagrody, bo i tak trafił na budowę szosy. Wykazać się chciał czy jak? I donosów tyle ludzie na siebie wzajemnie popisali... A taki donos to często śmierć.

– I spokojnie się tu żyło, bez tego pośpiechu, harmidru, rejwachu. Raz w tygodniu targ i wystarczy. Chciałabym resztę życia spędzić w takim małym, ślicznym miasteczku! Tylko czy tak będzie? Kto z wygnanych do getta przeżyje i wróci tu po wojnie? A jeśli nikt nie wróci?

Nie odpowiedział. Zadumany, patrzył w ścianę.

*

Kryzys przyszedł wieczorem. Fryderyk położył się na swojej pryczy i zawiął w koce. Trzęsło nim jak w febrze, dostał zlewnych potów. Przez twarz przebiegały mu nerwowe tiki. Chwilami jego ciało sztywniało jak deska. Rachela położyła mu zimny kompres na czoło. Wreszcie wyczerpany konwulsjami zapadł w głęboki, spokojny sen. Dziewczyna pociągnęła nosem. Zmarszczyła brwi i pociągnęła raz jeszcze. Chłopak cuchnął potem, ale przez ten zapach przegryzało się jeszcze coś ostrzejszego. Nie umiała zidentyfikować tej woni, a zarazem czuła jakiś atawistyczny strach. Fryderyk najwyraźniej cuchnął jakimś zwierzęciem... Drapieżnikiem. Tylko raz była w zoo

w Warszawie, poszli z całym domem sierot na wycieczkę. Widziała wilki. Wielkie płowoszare zwierzęta siedziały za kratami i szarpały krwawe ochłapy karmy. Pamiętała, że wzbudziły w niej lęk większy niż tygrys zamknięty w innej klatce, ale nie zapamiętała, jak pachniały...

To niemożliwe, uspokoiła się. Siedział tyle czasu sam w lesie, jego umysł jest trochę zmacony. Ale to nie jest zwykły atak epileptyczny...

Posiedziała przy śpiącym chłopaku około godziny. Świeca zdążyła wypalić się do połowy. Dziewczyna podczytywała książkę, ale szybko zaczęły piec ją oczy. Zdmuchnęła świecę i wróciwszy na swoje posłanie w beczce, zdrzemnęła się. Śniło jej się, że wraz z Esterą chodzą po Warszawie. Potem weszły do zoo. Zatrzymały się przy wybiegu słonicy Kasi i jej córeczki Tuzinki. Potem ruszyły w stronę pawilonu zwierząt drapieżnych, ale zanim tam dotarły, Rachela spostrzegła, że zamiast przez ogród zoologiczny maszerują przez gęsty, ciemny las. A potem córka kupca gdzieś się zapodziała. Dziewczyna stanęła i rozejrzała się. Otaczał ją nieprzebyty gąszcz stuletnich dębów i buków. Ścieżka zniknęła...



© Fabryka Słów

Obudził ją chłód i świeże, wilgotne nocne powietrze. Przestraszyła się. Chwilę szukała zapalek, pierwsza złamała jej się w drżących palcach. Wreszcie zdołała zapalić świecę. Kuchnia była pusta. Dziewczyna zamrugła, odnalazła okulary i spojrzała raz jeszcze. Posłanie Fryderyka było rozrzucone, poduszka spadła na podłogę. Przez otwór wejściowy lało się lodowate zimno. Wspięła się po drabince i wyjrzała. Był środek nocy, ale ponieważ księżyc w pełni stał wysoko nad bezlistnymi drzewami, było widno prawie jak w dzień. Rachela rozejrzała się, pełna obaw, a potem wróciła do bunkra i zamknęła starannie właz. W kuchni mimo wietrzenia unosiła się ostra zwierzęca woń. Dziewczyna strzepnęła skołtunioną kołdrę Fryderyka. W powietrzu zawirowały kłaczki szarej sierści. Złapała jeden z nich. Zgroza niemal wcisnęła ją w podłogę.

– On naprawdę zamienił się w wilka?! – szepnęła. To przecież niemożliwe. Może usłyszał coś podejrzanego, wybiegł.. Tylko czemu nie spuścił klapy? Przecież zawsze był taki ostrożny.

Usiadła i zamyśliła się.

To nic, powiedziała sobie twardo. On wróci. Nawet jeśli stał się zwierzęciem, to przecież rano zły czar pryśnie.

Położyła się i drzemała płytko, gotowa obudzić się natychmiast, gdyby się pojawił. Przyszedł poranek, a Fryderyka nie było. Rachela zjadła śniadanie, długo siedziała jak na szpilkach. Próbowwała czytać, ale nie mogła się skupić. Przypomniła sobie, co chłopak mówił o samochodzie leśniczego i żandarmach. Wreszcie wyjrzała ostrożnie z kryjówki. Była ósma. W lesie leniwy wietrzyk przetaczał wielkie tumany mgły, ale chłopak nadal nie wracał. Rachela bała się wyjść poza młodnik, czekała przy otwartym włazie, nasłuchując. Opodal trzasnęła gałązka. Dziewczyna poderwała się przestraszona, ale to tylko dorodna sarna skubała zrudziałe jesienne trawy.

Zmienił się w wilka, pobiegł w las, zapuścił się gdzieś daleko.

Nad ranem znów stał się człowiekiem, ale nie może wracać nago taki kawał, więc przyczaił się... Może w tych stodołach za lasem i wróci, gdy się ściemni? – wysnuła nową teorię.

Ale sama nie bardzo w to wierzyła. Namoczyła kaszy w garnku na kolację i czekała. Co jakiś czas wychodziła z bunkra, by się rozejrzeć, ale Fryderyka nie było widać. Zapadł zmrok. Ugotowała kaszę na prymusie, by nie palić w piecu. Koło północy zjadła kolację. Drzemała potem, siedząc na krześle. Wreszcie, gdy wstał kolejny ranek, zrozumiała, że chłopak nie wróci.

Czyli zostałam sama... – uświadomiła sobie. Nie tak do końca sama, bo jest jeszcze ten jego przyjaciel, który zostawia wiktuały w norze pod drzewem przy kapliczce. Tylko co będzie, gdy zorientuje się, że odbiorca się zmienił?

Przejrzała zapasy. Przeliczyła blaszanki z naftą, kasze w słojach, weki, oliwę, puszki, świece. Przy oszczędnym gospodarowaniu wystarczy tego na kilka miesięcy. Przełożyła swoje rzeczy do spizarki. W kieszonce plecaka leżała mezusa od doktora Korczaka. Rachelę wahała się tylko chwilę. Włożyła w zagłębienie karteczkę z modlitwą, z puszki wyjęła dwa gwoźdźki i młotek, po czym przybiła blaszkę do pionowej belki przy wejściu. Ucałowała palce, dotknęła litery szin, potem czoła i serca. Odmówiła modlitwę.

Pierwszy raz w życiu mam własny dom, pomyślała. „Ja i dom mój będziemy służyć Panu”...

Przypomniała sobie doktora Korczaka i jego współpracownicę, panią Stefanię Wilczyńską. Ciekawe, co powiedzieliby, widząc ją teraz... Ciekawe też, co dzieje się u nich? Ludzie opowiadali, że w gettach panuje głód i szaleją choroby.

Odwinęła z gazety „Dzieci kapitana Granta”. Przyjemnie było czytać książkę w blasku świecy, ale nie mogła się skupić. A jeśli Fryderyk stał się człowiekiem gdzieś daleko w lesie i został schwytany, gdy próbował wrócić do kryjówki?

Wyjrzała na zewnątrz. Z ciemnego nieba siąpiła paskudna

jesienna mżawka. Ziąb był straszny. Zacisnęła zęby i podjęła decyzję. Wyjęła spod ławki trzewiki Estery. Chwilę obracała je w dłoniach – skóra była gładka, sucha i ciepła. Rachelę wzięła szmatkę i starannie natarła je łojem. Zawiązała chustkę na głowie. Założyła płaszcz, a ramiona okryła derką. Z kąta wydobyła laskę Fryderyka. Gdy się trochę zgarbi, z daleka będzie wyglądała jak zwykła wiejska babcia...

Byle tylko nie natknąć się na leśniczego, żandarmów czy stróżę, pomyślała.

Najtrudniejszy był pierwszy krok. Las stał cichy i milczący w strugach deszczu. Polne drogi rozmiękły, less czepiał się butów. Laska przydała się kilka razy, bez niej ślizgałaby się w błocie. Rachelę podeszła od strony opuszczonego gospodarstwa Iwaszków. Znajomą trasą przez sad dotarła do stodoły i długą chwilę stała przy tylnych wrotach, wsłuchując się w ciszę. Gospodarstwo nadal było opuszczone, nic się tu nie zmieniło. Tylko drzwi chaty znikły, a ze ścian stodoły wyrwano sporo desek. Minęła dom i wyszła na ulicę. Nie spotkała nikogo. W tak paskudny wieczór ludzie siedzieli w izbach i grzali się przy piecach.

Przekradła się do domu aptekarzystwa, zaszła od tyłu i cicho zastukała w szybę pokoiku Kaśki. Przyjaciółka wyjrzała, ze zdumienia rozdziawiła usta i po chwili otworzyła drzwi. Wciągnęła Rachelę do ciepłego wnętrza.

– Ty żyjesz?! Naprawdę żyjesz?! – Uściskała ociekającą wodą dziewczynę i obsypała pocałunkami. – Mało oczu nie wypłakałam! Uciekłaś?

– Tak. Uciekłam.

– Dzięki Bogu! Siadaj tu przy piecu, ogrzej się, zaraz ci zrobię coś do jedzenia, jest świetny pasztet! Państwa nie ma, pojechali do krewnych w Chełmie. Zaraz to wszystko wysuszemy... Ach, ja głupia! Herbaty ci zrobię. Nie, do diabła z herbatą, prawdziwej kawy się napijmy!

Znikła w głębi domu i po chwili wróciła z pękatym kieliszkiem w dłoni.

– Koniak! Łyknij koniaku, bo się zaziębisz. A kawa już się grzeje!

Wreszcie mogły usiąść przy aromatycznym napoju i ciasteczkach, oparte plecami o ciepły piec. Jakby nic im nie groziło, jakby okupacja była tylko złym snem.

– Jakie nowiny? – zapytała Rachela. – Co słyszeć w miasteczku?

– Oj, działo się... Kurtz nie żyje – rzuciła nagle nowinę przyjaciółka. – I ten jego leśniczy, kanalia zezowata.

– Co ty mówisz!? Jak to się stało? – zdumiała się Rachela.

– Jak wysiedlili wszystkich waszych do getta i przeliczyli, okazało się, że tak ze trzydziestu Żydów z list brakuje. Zaczęli szukać. Przetrzęsnęli dom po domu, mieli takie szkolone psy. Kilkoro wyciągnęli z różnych kryjówek i zastrzelili albo zatłukli na miejscu. Ale dalej brakowało i brakowało. Przeszli się po domach chrześcijańskich, szukali, czy kto kogo nie ukrywa. U nauczycielki Kowalskiej znaleźli jej dwie uczennice, rozstrzelali zaraz całą trójkę w jarze za pocztą. Chodzili, węszyli... Jeszcze kogoś tam znaleźli w szopie za sadem. Lichwiarz Natanson miał kryjówkę w piwnicy pod swoim domem, ale wywlekli go z całą rodziną. Jego zastrzelili na miejscu, a ich zabrali gdzieś. U mnie też byli, i u państwa wszystko przetrzęsnęli... Do piwnic zaglądali. U lekarza znaleźli skrzynkę wina, to oczywiście przywłaszczyli sobie. Potem jeszcze, znaczy kilka dni później, Kurtz mnie wezwał, bo byli u niego gestapowcy z Chełma. Pytali o ciebie. Trochę mnie wytrzaskali po twarzy, ale furda, mocno nie bili, tydzień i śladu nie było. Jak mnie sprali, to się popłakałam i nałgałam im, że wspominałaś ubiegłej wiosny, że chcesz jechać do ciotki w Warszawie, a ona nazywa się Goldsztajn. Ale się ucieszyli z tej informacji! Kurtz to nawet mnie pochwalił i kazał wypuścić. I niech sobie świnię sprawdzają teraz wszystkich

Goldsztajnow w warszawskim getcie, ze trzy lata im zejdzie.

Rachela chcąc nie chcąc się uśmiechnęła.

Twarda wiejska rzepa, pomyślała z mieszaniną rozbawienia i mimowolnego podziwu. Nie zdradzi, nie boi się bicia, gdy trzeba, łże jak z nut... I do tego sprytnie.

– Dziękuję. – Objęła Kaśkę i pocałowała w policzek. – Jesteś kochana.

– Furda! Ciekawam tylko, kto podkablował, że się przyjaźnimy... – Przyjaciółka nachmurzyła się. – Choć Kurtz mógł i przed wojną zauważyć. Ci z Chełma strasznie go zrugali, że mu tyłu Żydów uciekło. No to z leśniczym wzięli psy tropiące, pięciu żandarmów obstawy. I zaczęli przetrząsać samotne gospodarstwa, a potem okoliczne lasy. Jeszcze kogoś znaleźli w jarach, kogoś dopadli w starej cegielni. A pewnego wieczora, jak wracali z poszukiwań, koło gajówki dopadły ich wilki. Dwaj żandarmi zdołali uciec, bo się ostrzeliwali z pistoletów, ale resztę... – Uderzyła dłonią w palce. – Dopiero następnego dnia ludzie poszli do lasu większą gromadą i przywieźli poszarpane ciała. Trupa Kurtza to w ogóle tam nie było, znaleźli go dopiero po śladach krwi, w polu leżał. Wilki rozszarpały brzuch, jelita na wierzchu, musiał wiele godzin czołgać się w błocie, ale do wsi się już nie doczołgał. Dostał za swoje, łajdak...

– Dostał za swoje – powtórzyła Rachela. – Słuchaj, mam pytanie, kojarzysz takiego chłopaka Fryderyka?

– Syna kierownika szkoły? No ba... Pół miasteczka się w nim kochało, a ja to ze trzy razy próbowałam z nim zagadać. A co?

– Proszono mnie, żebym przekazała mu wiadomość.

– Nikt go nie widział od roku, albo i lepiej. Kierownik podobno był we Francji czy Anglii. Choć gadali też, że go widziano w Chełmie i w Hrubieszowie. Ale jego chłopak po prostu któregoś dnia znikł. Wiesz, taki smagły, to był podobny do Cygana. Albo uciekł i gdzieś się ukrywa, albo Szwaby go zamordowali... Nie wiem.

– Dziękuję za wieści. Muszę się zbierać.

– Masz gdzie się ukryć?

– U dobrych ludzi siedzę, aż pod Krasnymstawem... – Rachela skłamała na wszelki wypadek.

– Czekał, dam ci chociaż coś na drogę.

Kaśka wydobyla spod łóżka walizę, wyjęła ze środka woreczek. Wrzuciła do niego kilka cebul, pół bochenka chleba, papierową torbę orzechów, jeszcze jakieś wiktuały. Przepatrzyła swoje skromniutkie zapasy i bezradnie rozłożyła ręce.

– Wełny ci dam, skarpetki sobie zrobisz. I chyba tyle – powiedziała przepaszającym tonem. – Wpadniesz jeszcze?

– Idzie zima. Po śniegu niedobrze iść, bo ślad się zostawia. Może wiosną? To bardzo niebezpieczne. I dla mnie, i dla ciebie. Wiesz, co grozi za pomoc Żydom.

– A niech mnie Szwaby w dupę pocałują! – Kaśka wydeła wargi. – Ale dobrze, że zaszłaś, bo już myślałam, że po tobie. Po wojnie wracaj tu koniecznie. Stęskniłam się za tobą. Czekał, do czytania ci jeszcze coś dam. – Wyciągnęła spod poduszki opasy wolumin. – Fajna książka, na pewno ci się spodoba. Tylko po wojnie do szkoły oddaj, bo to ich. Zwinęłam z furmanki, jak Niemcy wywozili szkolną bibliotekę do spalenia – pochwaliła się.

Ucałowały się, uściskały i Rachela wyszła w deszcz. Pożydowskie domy stały ciemne i wyglądały jak martwe. Namacała w kieszeni klucz do tylnej furtki na dziedziniec domu Bergerów. Zawahała się. Bała się kusić los, ale wspomnienie szafy w pokoju Estery nie dawało jej spokoju. Tyle dobra tam zostało. Ciepła koszula nocna, plisowane spódnice, pończoszki, jedwabne halki... Gdy jednak dotarła do furtki, zobaczyła, że żaden klucz nie będzie potrzebny, bo zamek wyłamano. Prześlizgnęła się obok pustych stajni. Na bruku dziedzińca leżały połamane meble. Zrozumiała, że nie ma tu już czego szukać. To, czego nie zrabowali Niemcy, przywłaszczyli sobie zapewne miejscowi szabrownicy. Być może Bergerowie mieli jeszcze jakieś skarby

zakopane w piwnicach albo zamurowane w ścianach, ale nie miała zielonego pojęcia, gdzie ich szukać.

Wojna kiedyś się skończy, pomyślała. Co będzie ze mną? Bergerowa, nawet jeśli przeżyje, to nie przyjmie mnie z powrotem na służbę. Będzie pamiętała, że uciekłam... A może nie będzie o to zła? Może nie skojarzyć, że znikłam z domu przed świtem. Pomyśli, że umknęłam, gdy przyszli po wszystkich. Jeśli oboje zginą, może synowie wrócą i ponownie rozkręcą interes? Bo pieniądze faktycznie gdzieś tu mogą być... Pobyt w Sowietach pewnie wyleczy ich z jakichkolwiek komunistycznych ciągotek. Ale u nich nie chciałabym pracować! A może wrócą Bergerowie, a synowie przypadli na zawsze? I tak może być. Zobaczymy.

Zawróciła na uliczkę i przez posesję Iwaszki przemknęła się na pola. Deszcz padał i padał, w ciemności z trudem odnajdowała drogę, ale jednocześnie czuła się bezpiecznie, ukryta za kotarą kropel wody. W taką pogodę nikt nie będzie się włóczył po polach i lesie. Do rana ulewa zatrze wszelkie ślady.

Więści przekazane przez przyjaciółkę też nastroiły ją – no, może nie zupełnie pozytywnie, ale jakoś tam w głębi duszy ucieszyła się, że wir śmierci szalejący po okolicy pochłonął także oprawców... Rzęsista ulewa znowu przemoczyła ją na wylot. Długo błądziła przemarznięta po lesie, nie mogąc w ciemności znaleźć kryjówek. Wreszcie trafiła. Wślizgnęła się na dół i zamknęła za sobą właz. Zapaliła świecę. W bunkrze było zimno, ale i tak zacisznie w porównaniu z przenikliwym ziąbem na zewnątrz. Czuła, że naprawdę wróciła do domu. Dotknęła mezuzy.

– Niech Bóg chroni moje wyjścia i powroty... – szepnęła słowa modlitwy.

Spokojnie napaliła w kozie. W taką pogodę nikt nie będzie łaził po lesie, zwłaszcza że zezowaty leśniczy nie żyje. Upłynie trochę czasu, zanim przyślą kogoś nowego. Ściągnęła przemoczone ubranie. Zdmuchnęła świecę, poblask żaru z paleniska musiał

wystarczyć. Zawinęła mokre włosy w ręcznik. Kucnęła całkiem nago przed piecykiem, pozwoliła, aby ciepło przeniknęło ją na wyłot. Rozwiesiła kołdry i koce – niech też się nagrzeją.

Znowu zostałam sama, pomyślała. Z jedną tylko przyjaciółką, ale ona jest daleko... Nie mam z kim pogadać.

Do tej pory trzymała się jakoś, ale teraz żal wziął górę. Długo łkała, patrząc, jak do popielnika spadają gasnące iskierki. Wreszcie trochę się uspokoiła... Umyła twarz lodowatą wodą z wiaderka. Ubrała się w suche rzeczy. Potem rozwinęła pakunek od Kaśki. Poza chlebem, cebulami, orzechami były w nim jeszcze suchary, trzy laski kiełbasy, woreczek kaszy. Znalazła też kilka cukierków i dziesięć świeczek. Książka? Na szczęście zawinięta w kilka warstw nawoskowanego papieru śniadaniowego nie zamokła.

– Wincenty Januszewski, „Dookoła Morza Śródziemnego” – przeczytała na stronie tytułowej.

Grubachny wolumin, ponad pięćset stron. Przekartkowała. W tekście zamieszczono ogromną liczbę zdjęć i rysunków. Maroko, Egipt, Palestyna, Turcja, Grecja... Będzie co czytać i oglądać przez wiele dni.

Zasnęła w ciepłe i z pełnym żołądkiem. Z miłą świadomością, że ma na świecie choć jedną bratnią duszę, że oprawcy zostali ukarani. I tylko dojmujący smutek po stracie towarzysza napełniał jej duszę ciężką melancholią.

*

Ostatnie dni listopada miały leniwe i smutne. Racheli jeszcze kilka razy zbierało się na płacz... Próbowwała robić na drutach i szydełkiem, ale bardzo szybko skończył się zapas włóczki. Skarpetki wyszły przez to dziwne. Ani krótkie, ani długie, sięgały do pół łydki. Podczytywała po trochu Januszewskiego.

Dawkowała lekturę oszczędnie, by starczyło przyjemności na dłużej. Stariała się zapamiętać jak najwięcej informacji.

Tego dnia zasiedziała się nad książką do późna. Czytała właśnie przy stole, gdy nieoczekiwanie zachrobotła kłapa włazu. Dziewczyna jednym ruchem porwała laskę, przekręciła mosiężny pierścień i wydobyla klingę. W korytarzyku stał jakiś nieznajomy, zarośnięty mężczyzna. Przestraszyła się tak, że nie była w stanie wydobyć głosu. Przybysz patrzył na nią, jakby zaskoczony. I naraz ona też go poznała.

– Pan Stefan! – wykrztusiła.

– Czekał, przecież znam cię, mała... Ty chyba jesteś służącą pana Bergera... Miriam?

– Rachel... – wyszeptała. – Miriam to była podkuchenna u Erlebauma.

Opuściła broń. Gość usiadł ciężko na zydlu.

– Czy wiesz, gdzie jest mój syn, Fryderyk? – zapytał. – Co się z nim stało? To jego kryjówka.

– Wiem, przygarnął mnie, gdy musiałam uciekać z miasteczka. On... Ja nie wiem, jak to powiedzieć... – zacięła się. – Choć może pan... Z tego, co mówił, wy...

Umilkła i milczała bezradnie. Gość odezwał się pierwszy.

– W czasie ostatniej pełni po raz pierwszy zmienił się w wilka?

Spojrzała na niego dziko, a potem z wysiłkiem skinęła głową. Westchnął ciężko.

– I od tamtej pory przepadł bez wieści?

Ponownie przytaknęła. Milczał długo, a potem wyjął z kieszeni fajkę. Nabił ją tytoniem i odpalił z ręcznej lampy naftowej. Zaciągnął się i na chwilę znikł, otoczony kłębem dymu.

– Przygotowałem tę kryjówkę jeszcze przed wojną – powiedział wreszcie. – Czułem, że idzie wielka burza i że bezpieczne schronienie może okazać się niezbędne. Myślałem, że w najgorszym wypadku znajdę go tutaj...

– Czy on... – zaczęła i zacięła się.

– Lykantropia to u nas skaza rodzinna. Fryderyk już w chwili narodzin miał wykształcone zęby, więc podejrzewałem, że jest mu to pisane.

– Jesteście wilkołakami?

– Tak. Nie wszyscy w naszej rodzinie posiadają tę cechę. Zazwyczaj jeden, czasem dwóch w każdym pokoleniu. Żyjemy jak zwykli ludzie aż do pełni księżyca. Wtedy następuje przemiana. Czasem trwa dzień, czasem trzy dni, a potem wraca się do ludzkiej postaci. Jest tylko jeden problem... Gdy się zmieniamy, tracimy wiele ludzkiego rozsądku. Co gorsza, złość i nienawiść nie tylko zostają, ale też nie ma tego wszystkiego, co je hamuje. I może być nieszczęście.

– Nic mi nie zrobił..

– Tobie nie. Ale najwyraźniej gdy stał się wilkiem, zagryzł Kurtza, kilku żandarmów i leśniczego. Gdy tylko o tym usłyszałem, domyśliłem się, że to on. Nie przeczę, należało się bydłakom. Ale mój syn skosztował ludzkiej krwi... Wtedy... wtedy nie ma już odwrotu. To złamanie pewnej zasady, wybór między dwiema rzeczywistościami. Opowiedzenie się po jednej stronie.

– Nie rozumiem?

– Od wilkołactwa można się uwolnić. Wystarczy, będąc w ludzkiej postaci, zabić jakiegoś wilka. Ale to działa także w drugą stronę. Jeśli będąc wilkiem, zabije się człowieka, pozostaje się zwierzęciem już na zawsze. Pierwsze przemiany są najgorsze. To radosne zachłyśnięcie się nowymi możliwościami. Siłą, szybkością i zwinnością niedostępnymi zwykłym ludziom. Do tego doszedł gniew, nienawiść, długo niezaspokojone pragnienie sprawiedliwego odwetu... Chciał wymierzyć im karę. I nagle miał możliwość to zrobić. Pokusa była zbyt silna.

– On nie wróci? – wołała się upewnić.

– Już pewnie nawet nie pamięta, kim był...

– Nie da się tego jakoś... odczarować?

– Przez ostatnie dwieście lat próbowaliśmy wszystkiego.

Spojrzał na zegarek i zagryzł wargi.

– Muszę już iść – westchnął. – Nie mogę zabrać cię ze sobą. Oddział dywersyjny to nie miejsce dla dzieci. Tu będziesz znacznie bezpieczniejsza. Może jakoś przechowasz się do końca wojny. Jak będę w okolicy, postaram się zajrzeć do ciebie i podrzucić coś do jedzenia. Na razie weź to. – Wyciągnął z raportówki kilka konserw.

– Dziękuję – bąknęła.

Odprowadziła go do wyjścia. Patrzyła jeszcze przez chwilę, jak odchodzi. Znikł między drzewami, a ona ciągle patrzyła... Gdzieś daleko zawył wilk. Dmuchnął wiatr i dziewczyna spostrzegła, jak na czarnej włóczce swetra osiadają pierwsze płatki śniegu. Po chwili między drzewami roztańczyła się zadymka. Pierwszy śnieg tej zimy. Zawróciła do bunkra.

Do wiosny jestem zdana wyłącznie na własne siły, pomyślała, patrząc na odziedziczone skrzynki z zapasami.

Do tej pory wydawało jej się, że ma dużo jedzenia oraz solidny zapas opału, świec i nafty. Teraz, gdy uświadomiła sobie, że musi to wystarczyć może nawet na sto dni samotności, zagryzła wargi.

– Dam radę... – szepnęła. – Byle dotrzeć do końca wojny...

Epilog

– Mamo, dlaczego my raz w miesiącu jedziemy taki kawał, żeby wyłożyć mięso na skraju lasu?

– Dla wilków, Esterko.

– Ale pani Kasia mówiła, że tu od wielu lat nie widziano wilków...

– Wiem. Ale że czegoś nie widać, to nie znaczy, że tego nie ma. Myślę, że został tu choć jeden...

Cmentarzysko Marzeń



Marzec w Warszawie był zaskakująco ładny, słoneczny i ciepły. Wiatr przewentylował miasto. Oddychało się lekko, więc chłonałem pełną piersią wilgotne warszawskie przedpołudnie. Marzłem, ciało przywykło do zupełnie innych temperatur, ale nie miało to większego znaczenia. Liczyło się tylko jedno – wróciłem. Wreszcie wróciłem!

Stałem przy furtce rodzinnej willi. Przyjechałem prosto z lotniska. W rękę dzierżyłem walizkę, na ramiona zarzuciłem iście kosmiczny łachman – znoszony, niegdyś czarny płaszcz etiopskiego Żyda z plemienia Felaszów. Słońce i wiatr nubijskich pustyń oraz gór Etiopii spaliły mi twarz, a włosy i brwi zrobiły się o dwa odcienie jaśniejsze. Było niedzielne popołudnie, a sądząc po liczbie zaparkowanych aut, klan Stormów odbywał kolejny nieformalny zjazd rodzinny. Zadzwoiłem do drzwi. Otworzyła mi kuzynka Alfreda, zwana przez nas zdrobniale Fredzią.

– O, Robert! – ucieszyła się. – Całe wieki cię nie widziałam. Jak było w Afryce?

– Smutno, gorąco i piach zgrzytał w zębach – odparłem. – Jak się trochę ogarnę, urządzę pokaz zdjęć i wszystko opowiem.

– Po podróży pewnie chcesz wziąć prysznic. Łazienka na górze jest wolna, ręczniki znajdziesz w wysokiej szafce. Podrzucę ci koszulę Alberta, tylko wyprasuję.

– Jesteś aniołem.

Zjechali się wujkowie, stryjkowie i dalsze pociotki. Teraz będą

się naradzali do białego rana. Ustalą wszystko, cały plan działań na nadchodzące pół roku. Kto u kogo zamieszka na czas studiów. Kogo z najmłodszego pokolenia zatrudnią w rodzinnych firmach. Komu załatwią pracę, a kto jest na tyle cenny, że może liczyć na stypendium ze skarbczyka rodziny. Kto z nestorów rodu potrzebuje dostępu do lekarza specjalisty. Których wrogów klanu trzeba poszczuć sądem, a którym wystarczy komisyjnie wklepać. Komu udzielić pożyczki na budowę domu, na kiedy krewny architekt przygotuje projekt i na ile rodzina może pomóc, delegując co bardziej krzepkich młodzieńców do noszenia cegieł. Fachowcy na każdą okazję...

Kilku kuzynów próbowało w kuchni piwa domowej roboty. Kobiety należące do rodziny, a posiadające już dzieci, wymieniały się w ogrodzie stosami ubranek. Same dzieci okupowały piaskownicę i zjeżdżalnię. Omawiano też kwestie – nazwijmy to – sercowe. Prześwietlano do trzeciego pokolenia narzeczonych i narzeczone, chłopaków i dziewczyny, kandydatów i kandydatki. A czasem w rodzinach znajomych i przyjaciół szukano odpowiednich partii takim nygusom jak ja... Niczym w chińskim guanxi. Lubilem od czasu do czasu spotkać się w gronie rodzinnym, ale naturę miałem raczej samotnika. Tłum mnie męczył, irytował. Jednak klan to rzecz święta.

Ogarnąłem się szybko, wbiłem w koszulę kuzyna, jeszcze ciepłą od żelazka, i poszedłem złożyć ukłony starszyźnie. Pradziadek Antoni Storm miał pięćdziesiąt trzy lata, ale spoglądał na świat zaskakująco bystro. Tak po prawdzie, nie był to mój pradziadek, tylko przodek jednej z równoległych linii, jednak jako najstarszy piastował zaszczytną funkcję nestora rodu.

– O proszę, Robert wrócił z Afryki – mruknął, poprawiając okulary. – Mam dla ciebie dwie wiadomości. Doniesiono mi, że nie lubisz Niemców i bardzo się stresujesz naszym niemieckim nazwiskiem oraz domniemanym niemieckim pochodzeniem...

Owoż twoja kuzynka Irena znalazła w archiwum biskupim w Pelplinie taki oto dokument z końca piętnastego wieku. – Podaj mi kserokopię.

Wgryzłem się w zawilóści średniowiecznej łaciny kancelaryjnej. Zajęło mi to nie więcej niż dziesięć minut. Czcigodny przodek cierpliwie czekał.

– Jesteśmy z pochodzenia Natangami!? – zdumiałem się, gdy dotarłem na koniec dokumentu.

– Tak. I to w dodatku zapewne spokrewnionymi z klanem Herkusa Monte, wielkiego bohatera powstania przeciw Krzyżakom. Wprawdzie rodzina się potem trochę zasymilowała, a nawet dostarczyła zakonowi krzyżackiemu kilku rycerzy, ale płynie w nas krew Bałtów, a nie Germanów.

– To naprawdę dobra wiadomość – ucieszyłem się. – A ta druga pewnie jest gorsza?

– Wręcz przeciwnie. Gdy włóczyłeś się po świecie, zdobyliśmy dla ciebie przedwojenne wydanie „Pyzy na polskich drózkach”. To, w którym zamiast Nowej Huty odwiedza Lwów, Wilno i Grodno. Wspominałeś kiedyś, że nigdy tego nie wznowiono.

– Dziękuję – wzruszyłem się.

Zszedłem na parter akurat w chwili, gdy podawano do stołu. Zupa grzybowa... Nie jadłem jej z półtora roku. Po posiłku otworzyłem walizkę i zacząłem wyciągać prezenty. Dla mężczyzn – cięte w metalu ozdobne etiopskie krzyże, przypominające kształtem klucze. Dla kobiet – naszyjniki z kolorowych kamiennych paciorków, bransoletki wyplatane z lokalnej „złotej trawy”. Dla najmłodszych – drewniane i kamienne figurki afrykańskich zwierzątek. Najważniejsi dostali koptyjskie ikony. Każdy otrzymał jakiś drobiazg, a na dnie walizki zostało jeszcze kilka sztuk.

Gdy byliśmy przy deserze, Fredzia i Klara zagrały na skrzypcach. Przypomniało mi się, jak kilka lat temu szukałem legendarnego świerka lutniczego... Wreszcie wszyscy rozdzielili

się na niewielkie grupki, więc miałem okazję pogadać z ojcem. Wyszliśmy na taras.

– Synu, skoro wróciłeś na dobre... może potrzebujesz roboty? – zaproponował. – Powiedz tylko, co chcesz robić, a miejsce się znajdzie.

– Chcę robić to, co dotychczas – odpowiedziałem bez wahania. Spojrzał na mnie zafrasowany.

– Twoje wariackie poszukiwania antyków i kuriozów napętały ci ostatnio poważnych kłopotów...

– Ano, niechcący wdepnąłem w lepsze łajno. Ale mój przyjaciel twierdzi, że zagrożenie prawdopodobnie już minęło. Rok spędziłem, włócząc się po świecie... Raczej nikt już na mnie nie poluje.

– Jeśli wrócisz do swojego dziwaczego zawodu, informacja o tym wcześniej czy później dotrzeć może do uszu ludzi, których nie chciałbyś ponownie spotkać. – Widać było, że ojciec się martwi.

– Bez Warszawy, jej dziejów i zagadek nie istnieję... – Rozłożyłem bezradnie ręce. – Męczyłem się, wędrując przez Sudan i Etiopię. Cieszyłem oczy niesamowitymi zabytkami przeszłości, ale jednocześnie było mi ciężko na duszy. Tu jest moje miejsce. Mój świat...

– No cóż, dorosły jesteś. Musisz sam skalkulować ryzyko. Zapewne będziesz potrzebował w pracy samochodu?

– Zarobię trochę i kupię coś.

– Jakbyś potrzebował pojazdu, który jeździ, a nie wraku na kółkach, mogę ci sprezentować moje stare volvo. Mam od pół roku nowe auto. Będziesz miał pojazd ośmioletni, ale po pierwszym właścicielu i serwisowany. Jeździłem nim tylko do kościoła, no i jeszcze na wakacje, do pracy i w parę innych miejsc...

– Dziękuję, chętnie.

– Jeszcze jedna kwestia. Nie przywiozłeś sobie z wojaży po

dzikich ostępach jakiejś ładnej dziewczyny, dajmy na to Mulatki albo skośnookiej...

– Jakoś nie.

– Szkoda... Poszukaj sobie kogoś.

– Najpierw dowiem się, co u Marty... Może wcale nie muszę szukać? Może jej się odwiedziało przez ten rok?

– Miałem na myśli, żebyś znalazł sobie normalną dziewczynę.

– Westchnął jakoś tak ciężko. – Chodź, obejrysz auto.

Samochód stał w naszym garażu. Czarna maszyna z ciemnobrązową tapicerką. Ojciec kupił ją kilka lat po tym, jak poszedłem na swoje. Jechałem tym pojazdem chyba ze dwa razy w życiu. Obejrzałem całość, pro forma kopnąłem w oponę. Dobre auto – jak mówił, najwyżej ośmioletnie. Jak na moje standardy, nówka sztuka. Siadłem za kierownicą, spojrzałem w lusterka. Nic nie było trzeba regulować. Pas zapiąłem bez problemu, nie musiałem nawet macać w poszukiwaniu kluczy.

Dobry znak, pomyślałem.

Przekręciłem kluczyk. Silnik zagrał natychmiast. Wyłączyłem go. Odruchowo zajrzałem jeszcze do bagażnika. Apteczka, gaśnica, łańcuchy na koła, zestaw kluczy i lewarek. Jedynym niecodziennym elementem były dwie długie, starannie wyheblowane dębowe dechy.

Gdy ojciec w latach sześćdziesiątych zdawał na prawo jazdy, musiał wykazać się nie tylko znajomością przepisów, ale też przejść egzamin z budowy silnika. Część praktyczna oprócz rozmaitych manewrów obejmowała jazdę tyłem na odcinku stu pięćdziesięciu metrów oraz przejazd warszawą przez rów melioracyjny przy użyciu dwu desek. Patrzyłem na nie w zadumie. Brać? Nie brać?

– Zatrzymaj je sobie, do nowego auta mam już nowe.

– Ależ tato... – zacząłem.

– Nigdy nie wiadomo, czy się nie przydadzą. Lepiej nosić, niż się prosić. – Pogroził mi palcem.

– A tobie się przydały?

– Nigdy. Ale zrozumiem, jeśli kiedyś przyjdzie je wykorzystać, okaże się, że ci z kursu mieli rację. A jeśli nie, okaże się, że rację miałem ja, podchodząc do tego sceptycznie. W obu przypadkach uzyskam pewną wiedzę, czyli de facto, tak czy inaczej, wygram.

Ustałem dla świętego spokoju. Uczestnicy imprezy powoli się rozchodzili, zatem i ja wyruszyłem do domu.

Zmierzchało, gdy zaparkowałem przed kamienicą. Zakład zegarmistrzowski pana Maćka był już zamknięty. Podreptałem do siebie. Mieszkanie powitało mnie falą zastalego powietrza. Dawniej pachniało tu mikstonem, olejkami migdałowymi, terpentyną i szelakiem. Wszystkie te miłe wonie dawno uleciały.

Pan Maciek, dowiedziawszy się, że wracam, rozpałił w kominku. Słyszałem syczenie palącej się za szybką sosnowej kłody. Klepki parkietu mocniej niż zwykle trzeszczały pod moimi stopami, drewno rozeschło się. Obszedłem wszystkie pomieszczenia. Ktoś przeleciał parkiety odkurzaczem. Pościerano też kurze z regałów i umyto okna. Tacy sąsiedzi to skarb...

Zdjąłem płaszcz, potem buty – prawdziwe lotnicze „sikorki”, małe arcydzieło sztuki obuwniczej. Skąd przedwojenne polskie buty, bezszwowe, wykonane przez legendarnego warszawskiego szewca Józefa Sikorę, trafiły na targ ze starzyzną w Chartumie? Zapewne z zabłąkanym w Afryce oficerem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Dałem za nie równowartość jednego dolara... To był życiowy interes – co najmniej tysiąckrotne przebicie. Znałem ludzi gotowych odkupić je ode mnie natychmiast, niezależnie od tego, czy będą pasowały na ich nogi, czy też nie. Ale wolałem zostawić je dla siebie.

Zatrzymałem się przy biurku, zapaliłem halogenki. Zdjęcia Marty spojrzały na mnie ze ściany. Przypatrywałem im się przez chwilę. Na wszystkich wyglądała na poirytowaną. Nie zauważyłem tego wcześniej. Chyba nie lubiła pozować...

Uśmiechnąłem się do nich i powiesiłem obok nieduży, malowany na skórze etiopski obrazek. Przedstawiał bohaterskiego cesarza Teodora II Kasse, popełniającego samobójstwo w obecności szefa brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego – lorda Napiera. Będę i ja miał pamiątkę z dalekich wypraw.

Lodówka była prawie pusta, tylko na środkowej półce leżała kartka.

„Zapraszamy na kolację lub śniadanie” – odczytałem.

Rozpoznałem pismo starego zegarmistrza. Obok były narysowane jeszcze schodki i strzałka do góry. Spojrzałem na zegarek: dochodziła dwudziesta. Wprawdzie po spotkaniu rodzinnym byłem objedzony, ale kawa się zmieści. Wygrzebałem z walizki wyprodukowany w Sudanie budzik dla pana Maćka i ogon etiopskiej kobyły dla pana Lucjana. Ciekawe, czy takie włosie będzie lepsze, czy gorsze do smyczków. Wspominał kiedyś, że najchętniej pracuje na mongolskim... Zdobyłem też pochodzące z ogona żyrafy, ale od razu wiedziałem, że będzie za grube i zbyt twarde. Tak czy siak, pewnie chętnie je obejrzy. Idąc na poddasze do mieszkania lutnika, zrozumiałem, że naprawdę i na dobre wróciłem do domu.

*

Spałem niemal do południa. Tak to bywa, gdy kolacja z sąsiadami kończy się podkurkiem o trzeciej nad ranem. Ale przecież było co opowiadać! Obudził mnie brzęczyk komórki.

– Halo?

– Tu Piotrek. Pisałeś, że wracasz. Wróciłeś?

– Tak, wróciłem... I jeszcze niczego nie zdążyłem zmalować.

– No to *cool*, bo moja siostra krygowała się sama dzwonić, a zamierza pogadać z tobą na temat obiecanej wizyty w Galerii

Faras i okrętu „Das-coś-tam-coś-tam-księżniczki-z-Łotwy”.

– „Das Wappen der Herzogin von Kurland” – odpowiedziałem.

– Toż mówię – burknął. – Tak czy inaczej, rok temu musiałeś się związać z miasta w wielkim pośpiechu, ale wrażenie, jakie po sobie zostawiłeś, było na tyle silne, że chyba musisz dokończyć, co zacząłeś.

– Eee...

– Dziś sobota, zatem jutro o czwartej widzę cię na obiedzie u moich rodziców.

– Stawię się. Tylko żadnego swatania!

Roześmiał się szyderczo w odpowiedzi. Odłożyłem telefon. Westchnąłem. No dobra, trzeba wstać z wyra, ogarnąć się i popracować. Ściągnąłem pocztę. Wieści o moim powrocie rozeszły się już widocznie, bo na czternastą zapowiedział się pierwszy klient.

Zdażyłem wsadzić oprawianą książkę pod prasę, gdy rozległ się brzęczyk domofonu. Otworzyłem drzwi. Facet był mniej więcej w moim wieku, ubrany w garnitur, a przy tym miał bardzo urzędową minę. Wskazałem mu miejsce przy stoliku i zaproponowałem herbatę.

– Cóż zatem pana sprowadza? – zagadnąłem, gdy już rozsiadł się wygodnie.

– Reprezentuję Muzeum Literatury.

To już wiedziałem. Rzecz jasna, zanim przyszedł, sprawdziłem go w sieci.

– Czego pańska instytucja ode mnie oczekuje? – Przechyliłem głowę. – Pierwszego wydania „O krasnoludkach i sierotce Marysi”? Posiadam, ale nie na sprzedaż.

Brew drgnęła mu nieznacznie.

– Legendarny trzeci egzemplarz jednak istnieje?! – Popatrzył na mnie podejrzliwie.

– Czwarty. Mój jest czwarty.

Począpiałem do sypialni i wyjąłem książkę z sejf. Jak się okazało, gość miał przy sobie niciane rękawiczki. Oglądał wolumin dłuższą chwilę z wyraźnym nabożeństwem. Oczywiście był to fachowiec – musiał zauważyć wszystkie miejsca, gdzie pouzupełniałem uszkodzenia, dorobiłem rogi, posklejałem przedarte kartki.

– Wspaniała. I widać, że ratował ją prawdziwy fachowiec.

– Miło usłyszeć taki komplement z ust eksperta.

– Pan?!

– Ja...

– Gdyby kiedyś szukał pan na nią kupca, nasze muzeum byłoby chyba zainteresowane. To trochę jak Święty Graal.

– Jeśli bieda znów mnie przycisnie, rozważę pańską propozycję. Ale nie po to pan przybył – wróciłem do meritum.

– Eee... No tak. Mielibyśmy pewne zlecenie. Czy zna pan biografię i twórczość Kornela Makuszyńskiego?

– Pobieźnie... Hmm... Zdaje się, że zbliża się sto trzydziesta rocznica urodzin pisarza. Zamierzają panowie urządzić wystawę retrospektywną i zapewne przydałby się jakiś mocny gwóźdź imprezy. Coś nietuzinkowego...

Facet spojrział na mnie dziko. Uśmiechnąłem się. Żaden ze mnie Sherlock Holmes, po prostu taka informacja była na ich stronie. I apel o wypożyczenie pamiątek związanych z pisarzem.

– Owszem – potwierdził.

Myślałem intensywnie przez chwilę.

– Mają panowie z pewnością wiele ciekawych przedmiotów. I zapewne na taką ekspozycję uda się wypożyczyć niejedno z muzeum w Zakopanem. Ogromną rzadkością jest kilka pierwszych przedwojennych wydań jego książek. Ale to mogą państwo wypożyczyć choćby z Biblioteki Narodowej. Zatem nie w tej sprawie pan przyszedł. Dedukuję, że mam odnaleźć coś poważniejszego... Rękopis... Niepublikowany rękopis... – zaryzykowałem hipotezę.

Skinął głową z uznaniem.

– „Drugie wakacje Szatana”. Mówi to coś panu?

– Kontynuacja „Szatana z siódmej klasy”? Ta książka spłonęła w Warszawie podczas nalotów we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Czy pojawiły się jakieś informacje, że jednak ocalała? – zaciekawilem się.

– Nie mamy żadnych nowych informacji. – Rozłożył bezradnie ręce. – Czy to pana odstrasza?

– Ja nie zniechęcam się tak łatwo. Szukało się w życiu różnych rzeczy. No cóż, przyjmijmy, że podejmę się tego zlecenia. Skoro mnie pan odnalazł, to musiał pan o mnie słyszeć. Zatem zna pan moje warunki.

– Znam. Jest jednak pewien problem. Budżet naszej instytucji nie przewiduje podobnych inwestycji.

– Hmm...

– Dlatego zaproponowałbym panu coś takiego: pan odszuka dla nas rękopis, a my go od pana odkupimy. Na zakupy akurat mamy środki budżetowe. Znaczne środki.

– Jako urodzony optymista szanse powodzenia poszukiwań tej pozycji oceniam na jakieś pięć procent. Takie poszukiwania to przeważnie ciężka orka. Dni i tygodnie spędzone na kwerendach rozmaitych archiwaliów. Rozmowy z ludźmi, którzy mogą coś wiedzieć. Wyjazdy poza Warszawę. Makuszyński urodził się w Stryju na dzisiejszej Ukrainie, mieszkał w Warszawie, ale był też mocno związany z Zakopanem. Jego krewni, z tego, co pamiętam, mieszkają gdzieś w okolicach Rzeszowa. To znaczy ci, o których słyszałem, bo zapewne jest też wielu, do których trzeba będzie próbować dotrzeć. A co, jeśli włożony wysiłek okaże się jałowy?

– Pańskie ryzyko.

– Fatalnie...

Byłem cokolwiek splukany. Z podróży przywiozłem smętne resztki gotówki oraz około stu gramów samorodków,

zawierających osm, rod i iryd. Wszystkie trzy metale z osobna przedstawiały sporą wartość, problem w tym, że musiałem dopiero poszukać kogoś, kto pomógłby w ich rozdzieleniu. Tak czy inaczej, zastrzyk gotówki bardzo by się przydał. Facet spostrzegł moje wahanie.

– Ale dodam, że mamy potencjalnego wydawcę, który ze swojej strony wyłoży honorarium w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy złotych.

– Ale, jak zgaduję, także tylko pod warunkiem, że znajdzie książkę?

– Owszem. Rozumiem, że wolałby pan kwotę mniejszą, lecz pewną... Na dobitkę poświęci pan czas, więc zwrot poniesionych kosztów powinien być podstawą negocjacji. Niestety, tego też nie mogę obiecać. Mamy swoje przepisy.

– Zazwyczaj tego typu poszukiwania wymagają pewnych inwestycji. Wasz przyjaciel wydawca nie przewiduje zaliczki?

– Niestety... – Kolejny raz rozłożył bezradnie dłonie.

Kompletnie mi się to nie uśmiechało. Robota zapowiadała się trudna i pierońsko żmudna. Prawdopodobieństwo dotarcia do rękopisu, o ile w ogóle ocalał, było bardzo nikłe. Zleceniodawcy zapewne chcieliby dostać wynik na tacy bez żadnego ryzyka ze swojej strony... Czyli ja mam zapieprzać, ponosić koszty, a oni przyjdą na gotowe. Z drugiej strony, to jest sprawa przez wielkie S. Szansa na wspaniałe odkrycie, które masie ludzi dostarczy radości poznania zapomnianego dzieła wielkiego pisarza. A do tego zapłacą, i to przyzwoicie. No i w razie powodzenia będę miał kolejny naprawdę mocny punkt w CV.

– Czy istnieją jakieś dodatkowe okoliczności, które mogłyby mi pomóc w tym zadaniu?

– Raczej kolejne utrudnienia. – Uśmiechnął się przepaszająco.

– Miodzio... A konkretnie?

– Ma pan tylko dwanaście tygodni na poszukiwania. Za trzy miesiące otwieramy wystawę z gwoździem programu albo bez.

Z inwestorem jesteśmy umówieni tak: jak pan znajdzie rzecz na czas, wydawnictwo wykorzysta wystawę, by się polansować. A jeśli pan nie zdąży przed premierą, prawdopodobnie w ogóle nie zdecydują się tego wydać, zatem przepada obiecane dwadzieścia pięć tysięcy.

– Muzeum, jak widzę, idzie z duchem czasu i w miejsce muzealników poważnych niczym egipskie mumie zatrudniać zaczęło ludzi obdarzonych poczuciem humoru. Szkoda tylko, że jest to czarny humor. – Spojrzałem w sufit.

– No cóż, rozumiem, że nasza oferta faktycznie mogła być potraktowana jak niesmaczny żart. Nie będę zajmował pańskiego czasu...

– Biorę – westchnąłem.

Spojrzał na mnie uważnie, jakby chciał sprawdzić, czy nie kpię.

– Myślałem, że spuści mnie pan po schodach – bąknął.

– Z reguły nie pracuję na krechę, ale tą sprawą zajmę się z jednego powodu. Zanim maszynopis panom oddam, sam chętnie przeczytam. – Wykrzywiłem się w uśmiechu.

A w duszy wszystko mi śpiewało. Fakt, szukałem w życiu cenniejszych rzeczy. Trafiały mi się kilka razy poważniejsze zarobki niż to, co proponował wysłannik muzeum. Ale naprawdę lubiłem książki Makuszyńskiego. Możliwość odszukania zaginionego rękopisu tego autora poczytywałem sobie za zaszczyt.

*

Miałem uczucie pewnego déjà vu, jakby rok włączenia się po świecie gdzieś mi się zgubił, jakbym siedział w tym saloniku nie dawniej niż tydzień temu. Prawie całą ścianę zajmował regał z książkami. Nie mieli telewizora. Na wolnym kawałku ściany wisiała reprodukcja „Przysłów niderlandzkich” Breughla. A na

regale stała oprawiona w ramkę fotografia Nansena. Magda ubrała się inaczej niż wtedy. Założyła ładną sukienkę, ciemnozieloną, z kwiatowym deseniem. No i rok temu nie miała okularów. Cienkie metalowe oprawki dodawały jej powagi i dojrzałości, ale też wyglądała w nich jakby inteligentniej. Byli jej rodzice, był Piotrek ze swoją żoną Ireną. Na obiad tym razem zaserwowano pomidorową.

– Napisałam już ten licencjat – wyjaśniła Magda. – Sztuka dla sztuki, można powiedzieć, przekład i opracowanie pliku starych dokumentów... w zasadzie bez szans na publikację.

– Może któraś z łotewskich uczelni byłaby zainteresowana? – podpowiedziałem. – Nie wiem, na ile utożsamiają się z dawnymi Kurlandczykami, ale myślę, że ucieszyłyby ich ta informacja. Obawiam się, że temat na magisterkę to to nie jest – westchnąłem.

– Gdyby tylko udało się pociągnąć temat...

– Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat parokrotnie trafiałem na jakieś informacje o semigalsko-kurlandzkich projektach kolonialnych. Przez ostatni rok szukałem w wolnych chwilach śladów „Das Wappen der Herzogin von Kurland”, flagowego okrętu floty Jakuba Kettlera. Jestem prawie pewien, że jednostka ta została zdobyta przez Holendrów, przebudowana i, że się tak wyrażę, z przebitymi numerami jeszcze jakiś czas im służyła. Wytypowałem sześć okrętów, które mogły być w przeszłości „Das Wappen”. Znalazłem w holenderskich muzeach cztery armaty, pochodzące prawdopodobnie z niego. Kłopot w tym, że nie jest znana historia tych dział. Nie wiadomo, czy trafiły do Europy jako trofeum, wraz z macierzystą jednostką, czy też na przykład wyłowiono je na Karaibach, a potem służyły na innych okrętach...

– To trochę jak szukanie igły w stogu siana – zauważyła.

– Nawet jeszcze gorzej. Holandia prowadziła bardzo intensywną politykę kolonialną. Zakładano osady i faktorie

handlowe. Nie zapominajmy, że na przykład początki dzisiejszego Nowego Jorku to holenderski Nowy Amsterdam. Podczas takiej ekspansji niejednokrotnie dochodziło do utarczek z tubylcami i konkurencją. Tracono statki w bitwach i sztormach. Rozbijały się na rafach, czasem po drugiej stronie świata... Żegluga na nieznanym wodach to niemal zawsze znaczne ryzyko. Z pewnością usiali swoimi wrakami dziesiątki niegościnnych zakątków. „Das Wappen” może leżeć nawet u wybrzeży Japonii. Trzeba by zrobić kwerendę w muzeach połowy naszej planety. I szukać armat odlanych w ludwisarniach Rygi.

– Czyli sprawa trudna do ugryzienia? – wtrącił się ojciec dziewczyny.

– Ciężko ocenić – odparłem. – Najlepiej byłoby podjąć śledztwo na Tobago. Spróbować ustalić lub wykluczyć, czy wrak spoczywa gdzieś w pobliżu wyspy. Jeśli go tam nie ma, trzeba szukać gdzie indziej. Kupa roboty. Ciekawej, ale żmudnej i kosztownej. Okręty budowano wtedy z drewna, nie da się ich namierzyć magnetometrem. Z drewnianego wraku w egzotycznych ciepłych wodach po kilkudziesięciu latach zostają kamienie balastowe. Świdraki pożerają drewno...

– A nie dałoby się spróbować od drugiej strony? W Kurlandii? – tym razem wciął się Piotrek.

– Statek już w siedemnastym wieku uchodził za zaginiony. Kettlerowie z pewnością usiłowali ustalić, co się z nim stało. Zapewne w kurlandzkich archiwach dokumentów morskich znajdowały się raporty z tej sprawy, pytanie tylko, czy przetrwały do naszych czasów i gdzie się znajdują. Nie zapominajmy, że Łotwa dwukrotnie znajdowała się pod sowiecką okupacją, a wcześniej stanowiła część imperium carów. Sowieci wszystkie co ciekawsze i cenniejsze dokumenty wywozili do siebie. A dziś udają, że ich nie mają, albo i faktycznie je pogubili. Archiwa holenderskie też pewnie kryją jakieś ciekawe tropy. Kłopot

w tym, że nie znam języka – wyjaśniłem. – No i trzeba by ustalić, jakie miasta sfinansowały ekspedycję, która usiłowała wykurzyć Kurlandczyków. A potem przeryć ich archiwa. Czy zdobyli łupy i jak je podzielili.

– Może warto się tym zająć? – zasugerował Piotrek. – Jeśli nie masz nic innego do roboty...

– Mam robotę. Dostałem szalenie interesujące zlecenie. Choć to sprawa z gatunku tych, których szczegóły mogą popsuć nam nastrój biesiady...

– Jeśli to nie tajemnica... – zaciekawiała się jego żona.

– Czy znacie książkę Kornela Makuszyńskiego „Szatan z siódmej klasy”?

Odpowiedziało mi pięć niecierpliwych, potakujących skinięć głową.

– Tuż przed wojną autor napisał kontynuację – wypaliłem.

Widać było, że ta informacja niewąsko ich zaskoczyła.

– Dlaczego nigdy o niej nie słyszeliśmy? – zapytał Piotrek.

– Bo miała zostać wydana w grudniu trzydziestego dziewiątego. Były już nawet zapowiedzi w prasie dziecięcej. Niestety, maszynopis spłonął wraz z mieszkaniem pisarza podczas nalotu we wrześniu. Zlecono mi zająć się tą sprawą. Są ludzie, którzy wierzą, że może jednak książka ocalała.

– Skoro mieszkanie spłonęło... – zauważyła gospodyni.

– Tak się przyjmuje, jednak być może nie wszystko uległo zniszczeniu. Dwa obrazy Kossaka, które identyfikuje się jako należące do przedwojennych zbiorów pisarza, wypłynęły przed laty w Desie. Przypuszczalnie bomba obróciła budynek w perzynę, ale co nieco zdołano wyszabrować.

– I liczy pan, że ktoś buchnął przy okazji także maszynopisy? – najwyraźniej zaintrygowałem potencjalnego teścia.

– Przyjmuję to jako teorię otwierającą jeden z kilku kierunków poszukiwań.

– Ale czemu autor po wojnie, albo i w czasie okupacji, nie

napisał tej powieści od nowa? – zapytała żona mojego kumpla. – Z pewnością pamiętał treść, być może niektóre dialogi... Myślę, że zdołałby to odtworzyć. Być może nawet lepszą książkę by napisał niż pierwotna wersja.

– No cóż – westchnąłem. – Po powstaniu warszawskim Makuszyński przeszedł piekło obozów dla wysiedleńców. Tyle chociaż miał szczęścia, że nie wywieziono go do obozu koncentracyjnego. Gdy wrócił do stolicy, nie było tam już dla niego miejsca. Nowym ministrem kultury został mierny literat, przyłapany kiedyś na paskudnym plagiacie, zajadły komuch, niejaki Rzymowski. Już przed wojną prywatnie był zapięklonym wrogiem pisarza. Teraz dostało mu się trochę władzy i wykorzystał to w najbardziej podły sposób. Nagle okazało się, że żadne państwowe wydawnictwo nie chce książek Makuszyńskiego, gazety odmawiały druku jego artykułów. W jednej chwili z poczytnego pisarza stał się nikiem. Książki, które przetrwały wojnę, wycofywano z bibliotek i niszczone jako „nieprawomyślne” oraz „burżuazyjne”. W czterdziestym szóstym roku wydawnictwo Gebethner i Wolff wydało w niewielkim nakładzie napisany w czasie okupacji „List z tamtego świata”, ale mogło to opublikować tylko dlatego, że prywaciarzom dawano wówczas jeszcze mały margines swobody. Z roku na rok było jednak coraz gorzej. Zaraz po wojnie spółka odbudowała wypaloną podczas powstania kamienicę z legendarną księgarnią firmową, ale najpierw skonfiskowano ją dekretem Bieruta, a potem wyburzono, choć była w dobrym stanie technicznym. Walczono z symbolami. W latach pięćdziesiątych wydawnictwo niezwykle zasłużone dla polskiej kultury i upowszechniania czytelnictwa doprowadzono do plajty. Makuszyński nie miał szans na pracę ani pobyt w Warszawie. Na szczęście z czasów przedwojennych pozostało mu letnie mieszkanie w Zakopanem, na piętrze willi Opolanka. Tam osiadł. Przed wojną był człowiekiem zamożnym, pod koniec życia cierpiał biedę. Do tego

chorował na cukrzycę. Nie pozwalano mu drukować, nie było żadnych tantiem ze wznowień. Jedyne źródło dochodu stanowiły lekcje gry na pianinie, których udzielała jego żona. Wspomagali go przyjaciele, dokarmiali górale. Jakaś wierna czytelniczka z USA przysyłała mu w paczkach insulinę, która w naszym kraju była niemal nie do zdobycia. Przed wojną był znany z humoru i zaraźliwego optymizmu życiowego. Wojna, a potem sowiecka okupacja kompletnie go złamały. Nienormalne warunki życia niszczą... Zabijają duszę. Może okazał się zbyt słaby, może wrogowie bili zbyt mocno? W końcu przyplątało się zapalenie płuc i zmarł. Nie miał jeszcze siedemdziesiątki. Zaledwie kilka lat później stalinizm się skończył i jego książki zaczęto znów drukować. Wydano wówczas napisane także w czasie okupacji „Szaleństwa panny Ewy”. Maszynopis przechowała wdowa.

– Czyli wykończyli go – westchnął ojciec Piotrka. – Nie jego jednego... Nawiasem mówiąc, pamiętam sensację, jaką było w latach osiemdziesiątych odkrycie rękopisu książki „Za króla Piasta Polska wyrasta”. Znalaziono ją podczas remontu muzeum urządzonego w dawnym mieszkaniu Makuszyńskich w Zakopanem. Ponad trzydzieści lat tkwiła sobie zapomniana za wersalką.

– Czyli nie pracował nad odtworzeniem „Drugich wakacji”, bo nie widział szans na publikację? – zapytała Magda.

– To prawdopodobne – mruknąłem. – Choć dopuszczam też inne możliwości. Muszę sobie to wszystko poukładać.

Zjadłem deser, chwilę jeszcze pogadaliśmy o polityce i wreszcie ruszyłem do domu.

*

Zajechałem na parking galerii handlowej i po chwili szedłem już szerokim holem. Otaczał mnie tłum zombie o oczach

rozpalonych gorączką zakupów. Poniedziałkowy poranek. Tak – teoretycznie ci wszyscy ludzie powinni być w pracy, w szkołach, na uczelniach. Powinni robić coś pożytecznego.

Warsiafka na szoppingu, podsumowałem ich w myślach. Modne sklepy, ludzie, którym odrobina kasy zaszumiała w głowach i teraz na wyścigi kupują drogie ciuchy, by choć w ten sposób przekonać siebie, że należą do pokolenia zwycięzców... A ja co bym kupił, mając kilka tysiączków ekstra? Zegarek sprzed stu pięćdziesięciu lat, kompletnego trupa, którego jednak da się ożywić. Albo rozklekotaną antyczną szafę, i dłużyłbym przy niej tygodniami, aż wreszcie przywróciłbym jej dawny blask. A może dwustuletnie skrzypce dla Fredzi lub Klary, bo skoro grają, to dobry instrument bardzo by się przydał. Albo coś podobnego. Coś, co warto uratować i zachować dla tych, którzy przyjdą po nas. Nawet jeśli Marta do mnie nie wróci i moja linia rodu wygaśnie, to rzeczy, które uratuję, będą jeszcze przez wiele pokoleń cieszyły czyjeś oczy. Ja pozostanę anonimowy, niczym iroszkoccy mnisi, kopiujący wytrwale tysiące rozsypujących się zwojów z dorobkiem piśmienniczym świata antycznego.

Ludzie zawsze mnie irytowali. Ale po dziesiątkach godzin spędzonych na pustyniach i stepach Sudanu, po samotnej włóczędźce przez góry Etiopii, irytowali mnie jeszcze bardziej. Przywykłem do samotności i ciszy, przywykłem słuchać własnych myśli. Przywykłem też obcować z ludźmi prostymi. Po co w ogóle wracałem do tego syfu?

Zajrzałem przez szybę do wnętrza sklepu, ale Marty nie wypatrzyłem. Może siedziała na zapleczu, a może była w innej filii. Szkoda. Chciałem ją chociaż zobaczyć, nawet przelotnie i z daleka. Myślałem cały ranek, czy nie zostawić jej jakiegoś upominku z Afryki, ale w końcu zrezygnowałem. Spojrzałem raz jeszcze. Nie ma, trudno. Zrobiło mi się jakoś ciężko na sercu. Usiadłem na ławce przed księgarnią. Chciałem dokupić kilka rzeczy w sklepie budowlanym, ale musiałem zebrać się w sobie.

Wreszcie dźwignąłem się z trudem i ruszyłem.

I właśnie wtedy prawie wpadłem na ojca mojej dawnej narzeczonej.

– Kogo też moje oczy widzą? Robert Storm – burknął na mój widok.

– Dzień dobry. – Skłoniłem głowę.

– A więc wróciłeś – wycedził, taksując mnie spojrzeniem.

– Z bardzo daleka...

– I snujesz się pod sklepem mojej córki... Zetknąłeś się kiedyś z terminem stalkerstwo?

– Stalking – poprawiłem.

– No właśnie. – Skrzywił się.

– Coś o tym słyszałem.

– To wiesz, że na to są paragrafy?

Nie chciałem z nim gadać. Zawsze mnie wkurzał. Zero zainteresowań, tylko smykałka do zarabiania pieniędzy. Najlepiej bardzo dużych i bardzo szybko. Przeszedł w trzydzieści lat drogę od bazarowego cwaniaczka i cinkciarza do milionera, właściciela sieci sklepów z ekskluzywnym szajsem dla spragnionych lansu.

– Ile bierzesz za poszukiwania? – zagadnął.

– Zależy, czego mam poszukać – z trudem zdobyłem się na uprzejmość.

– Swojej piątej klepki – rzucił i zarechotał.

Głupi burak. W zasadzie mogłem dać mu w zęby. W młodości musiał być niezłym zakapiorem, ale teraz bez trudu dałbym mu radę. Jednak gdy tak patrzyłem na jego prostacką gębę, zrozumiałem, że to zbyt cenne. On już przegrał. Przegrał samego siebie i całe swoje życie. Tylko jeszcze o tym nie wiedział. Drogi garnitur nie uczynił z niego kogoś lepszego. Pieniądze dały mu szansę, o jakiej ja mógłbym tylko pomarzyć, ale on tego nawet nie zauważył. Bazarowe cwaniactwo zostaje we krwi na zawsze.

Przypomniałem też sobie rodziców Piotrka. Oni przynajmniej nie udawali kogoś, kim nie byli. Mili, spokojni i naturalni, do bólu

zwyczajni ludzie z mieszkania w bloku. Z książkami na regale. Bez telewizora w saloniku.

– I czegoś tak zamilkł? – zainteresował się.

Wyminąłem go bez słowa i ruszyłem w stronę marketu budowlanego.

– Ona wyszła za mąż – dobiegło mnie jeszcze.

Brzeszczoty do laubzegi, zestaw pilników iglaków, pasta malachitowa, krążki filcowe do polerowania metalu...
Brzeszczoty do laubzegi, zestaw pilników iglaków, pasta malachitowa, krążki filcowe do polerowania metalu...
Brzeszczoty do laubzegi, zestaw pilników iglaków, pasta malachitowa, krążki filcowe do polerowania metalu... –
powtarzałem w kółko listę zakupów, aż nerwy powoli uspokoiły się.

*

Magda rozejrzała się po moim mieszkaniu z niekłamana ciekawością. Trochę się zawstydziłem. Meble miałem niestety od Sasa do Lasa, i to niemal dosłownie – najstarsze pamiętały okres panowania dynastii Wettinów. Kłopot w tym, że nie bardzo zdołałem je dobrać tak, by tworzyły harmonijną całość. Trochę lepiej było w sypialni, tam całe umeblowanie miałem z połowy XIX wieku, we w miarę jednolitym stylu. Kłopot był też z wiszącymi na ścianach obrazami i trofeami z różnych spraw. Westchnąłem w duchu. Trzeba by zrobić tu małe przemeblowanie. Dobrze, że chociaż książki zaczynały wyglądać po ludzku, około jednej trzeciej księgozbioru zdążyłem przez te lata oprawić w skórę.

– Taka nora starego zdziwaczałego kawalera – wyjaśniłem. – Wypełniona gratami przywleczonymi ze śmietników i targów starzyzną...

– Trzydzieści dwa lata to jeszcze nie jest starokawalerstwo – zauważyła.

Skąd, u licha, znała mój wiek? A, tak, przecież chodziłem z jej bratem do szkoły.

– To mieszkanie ma niesamowity charakter – dodała, rozglądając się.

– I sąsiedzi w porządku... Chciałaś coś pokazać.

– Mam zbiorek znaczków po naszym pradziadku – wyjaśniła. – Piotrek się śmieje, że jeśli się pobierzemy, rodzice dadzą mi go jako posag.

– Posag? – Uśmiechnąłem się kpiąco. – Jestem absolutnie nieprzekupny. Nawet błękitny mauritius mnie nie przekona.

– Podobno w liceum zapraszałeś dziewczyny na oglądanie znaczków i potem miały focha, bo rzeczywiście pokazywałeś im znaczki.

– Uhum... Było coś takiego... Dwa albo trzy razy.

– Chcesz zobaczyć, co przyniosłam?

– Oczywiście.

Wyjęła z torby klaser. Otworzyłem go i oniemiałem.

– Ukraiński znaczek z nadrukiem polskiej poczty polowej z Grodna, w dodatku stemplowany i na kopercie?! – wykrztusiłem, kiedy wreszcie odzyskałem głos. – To absolutny unikat! Niestemplowany widziałem tylko raz w życiu. Te z Kowla są odrobinę popularniejsze, ale ty masz stemplowane i na wycinkach... Nadruki na austro-węgierskich, na carskich... Mój Boże, toż to prawie kompletna seria przedruków z Podola. I fioletowe nadruki z tryzubem, typ Kijów 2b! Zazwyczaj są czarne, ale raz w życiu widziałem też czerwone. To znaczy jeden czerwony.

– To jest coś warte?

– Ciężkie setki albo i tysiące euro wedle cen katalogowych. Problem w tym, że zebranie takiej kolekcji to lata żmudnej pracy, bo te znaczki, nawet gdy nie są szczególnie drogie, bardzo rzadko

występują w handlu... Hmm... ten ślub to ewentualnie kiedy mógłby być? Nie, zaraz, najpierw wypadaloby się zakochać i tak dalej – przypomniałem sobie.

– Piotrek wspominał, że romantyczność nie jest twoją mocną stroną i żebym się nie obrażała, jak usłyszę, że mam zad jak kobyła, nogi włochate jak sarna, coś tam z pęciami, oczy jak jałówka i usta w kształcie motyla.

– W kształcie skrzydełek lecącej ćmy... – bąknąłem. – To może najpierw pokażę moją kolekcję?

Siedzieliśmy nad klaserami przez może pół godziny. Opowiadałem historię powstania co bardziej kuriozalnych egzemplarzy. Magda sprawiała wrażenie naprawdę zainteresowanej. Przy serniku rozmowa zdryfowała na moje aktualne zlecenie.

– W okresie okupacji Makuszyński pisywał dla prasy konspiracyjnej i pracował nad nowymi książkami – rozważałem. – Stworzył „do szuflady” dwie rewelacyjne powieści. Jedne z najlepszych, o ile nie najlepsze w jego dorobku. „List z tamtego świata” i „Szaleństwa panny Ewy”. Jestem przekonany, że szykował się na chwilę, gdy Hitlera diabli wezmą. Chciał powojenną rzeczywistość ucałować na powitanie dwiema naprawdę pięknymi książkami. To był idealny moment, by odtworzyć też „Drugie wakacje Szatana”. Ale tego akurat nie zrobił. Próbuje zrozumieć dlaczego.

– Potem Niemcy odeszli, a przyszli Sowieci. To chyba było dla niego niewąskie zaskoczenie?

– I tak, i nie. W czterdziestym piątym nie było jeszcze tak do końca wiadomo, kto w Polsce dojdzie do władzy ani jak ta władza ma wyglądać. Ani jak długo potrwa, bo przecież spodziewano się i kolejnej wojny światowej, i interwencji dawnych sojuszników. Ustalenia z Jałty i Poczdamu nie mieściły się ludziom w głowach! Kornel Makuszyński zapewne liczył, że komuniści dadzą mu święty spokój. Pisał dla dzieci, był patriotą, ale mógł liczyć, że

podobnie jak wielu kolegów po fachu będzie nawet władzy potrzebny. Mógł też powieść odtworzyć i schować do szuflady, by poczekała na lepsze czasy. Gdy dostał kopa, zapewne początkowo nie brał tego poważnie. Mógł liczyć, że niełaska potrwa jakiś czas, a potem mu odpuszczą. Musiał wiedzieć, co robią jego koledzy po piórze. Na przykład Brzechwa i Tuwim jakoś się wpasowali w nową rzeczywistość... No, Brzechwa wpasował się idealnie, to znaczy błyskawicznie malowniczo się ześwinił..

Przeszedłem się po gabinecie. Wepchnąłem kolejne polano do kominka.

– I co wywnioskowałeś?

– Możliwości są trzy. Po pierwsze, Makuszyński mógł się załamać. Mógł mieć pewność, że rękopis spłonął, i nie mieć siły go odtworzyć. Po drugie, mógł tę powieść jednak powtórnie napisać i dobrze schować. Po trzecie, mógł liczyć, że uda się jednak odnaleźć egzemplarz przedwojennego rękopisu.

– Trzy warianty... – podchwyciła Magda.

– Możliwość pierwsza jest z mojego punktu widzenia najgorsza. Nie ma – to nie ma. Z próżnego i Salomon nie należy. Możliwość druga? Hmm... Gdyby książkę napisał od nowa i ukrył, chyba wtajemniczyłby żonę. W końcu to ona przechowała „Szaleństwa panny Ewy”. A może nie? W jakich okolicznościach został ukryty rękopis „Za króla Piasta”?

– Tata o tym mówił. Muzealnicy wyciągnęli go z za wersalki.

– Tak. Ale dlaczego został tam wetknięty? Kiedy i przez kogo? W dodatku to dość dziwna historia. Rozumiem, że muzealnicy niechętnie zmieniają ekspozycję, ale żeby przez trzydzieści lat nie odsuwać mebla? Coś mi w tej sprawie nie pasuje. Tak czy siak, odnalezienie skrytki z maszynopisem, jeśli nie mam żadnych wskazówek, jest w zasadzie niewykonalne. Może znajdować się w jego dawnym mieszkaniu. Nie pozwolą mi buszować w muzeum, w dodatku prawdopodobnie znaleziono by ją podczas kolejnych remontów. No chyba że rękopis jest na

przykład zaszyty w tapicerce jakiegoś mebla. Nie wymieniano obić, bo i po co... Konserwować też chyba nie musiano.

– To ciekawy trop i chyba warto zainteresować tym podejrzeniem kustosza. Wystarczy szpilką entomologiczną delikatnie nakłuć podejrzone miejsca. Gruby plik kartek powinien dać inny opór niż samo końskie włosie – zapaliła się Magda.

– Można prościej. Kamera termowizyjna pokaże, które partie mebli nagrzewają się inaczej. Ale wątpię, by udało się ich namówić do podobnych eksperymentów. Chyba że podsunąć ten pomysł zleceniodawcy, ludziom z Muzeum Literatury. Oni łatwiej dogadają się z kumplami po fachu.

– A możliwość trzecia?

– Tu w grę wchodzi czynnik ludzki. Pomyśl tylko. W dzisiejszych czasach proces edycji książki to kilka tygodni. Autor oddaje plik komputerowy, redaktor nanosi poprawki bez konieczności przepisywania całości. Podobnie działa korekta. Skład komputerowy też nie trwa dramatycznie długo. Drukarnia pracuje na plikach komputerowych, nie ma już potrzeby odlewania na linotypie pojedynczych wierszy i składania z tego matryc. Wtedy masę rzeczy robiono ręcznie. Ilustracje trzeba było skopiować metodą stalorytu czy jeszcze inaczej... Wszystko trwało wiele miesięcy. Zwłaszcza że Gebethner i Wolff to było poważne wydawnictwo. Bardzo przykładali się do jakości edytorskiej książek. Niejedna z nich to prawdziwe arcydzieło, oczywiście biorąc pod uwagę możliwości poligraficzne tamtych epok.

– To znaczy, że potrzebowali dużo czasu. A premiera była zapowiadana i przewidziana na grudzień tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego – zadumała się dziewczyna.

– Zważywszy na długość ówczesnego procesu produkcyjnego, we wrześniu książka musiała być już co najmniej na etapie obróbki redakcyjnej. To już nie był pojedynczy maszynopis.

Kopia u redaktora, druga u rysownika, jeśli przewidziano ilustracje. Być może trzecia u wewnętrznych recenzentów. Zresztą pan Makuszyński zapewne wersję ostateczną pisał przez kalkę. Jeden egzemplarz do swojego archiwum, drugi dla wydawcy. A może podłożył dwie kalki i powstała jeszcze trzecia kopia dla jakiegoś przyjaciela, którego opinii chciał wysłuchać...

– Ich kamienica spłonęła w powstaniu warszawskim.

– Owszem. Ale jednocześnie oznacza to, że jeśli maszynopis był w redakcji, przetrwał wrześniowe bombardowania. Czy ocalał tylko po to, by cztery lata później ulec zniszczeniu? Moim zdaniem, mając świadomość strat wojennych i polityki okupanta, wydawcy zadbaliby o zduplikowanie książki. Tylko że po wojnie żaden maszynopis się nie pojawił. Czy mogło być tak, że wszystkie kopie uległy zniszczeniu? Wykluczyć się tego nie da, ale wolę wierzyć, że choć jedna przetrwała i uda się ją odnaleźć!

– Od czego zaczniemy?

– Zaczniemy? – zdziwiłem się.

– Mogę pomóc. – Uśmiechnęła się. – To chyba ciekawa robota takie poszukiwania...

– Głównie żmudna i nudna... – westchnąłem. – Myślę, że na początek trzeba ustalić listę redaktorów i ilustratorów wydawnictwa Gebethner i Wolff, którzy byli aktywni zawodowo pod koniec lat trzydziestych. Najbardziej podejrzani będą dla nas ci, którzy zginęli podczas okupacji lub którzy po wojnie osiedli za granicą.

– Dlaczego?

– Bo ci, co przeżyli i byli na miejscu, z pewnością zanieśliby maszynopis do swojej firmy i „Drugie wakacje Szatana” ukazałyby się przed zakazem druku, nałożonym na Makuszyńskiego. Natomiast w sytuacji, gdy ilustrator ginie, jego rodzina mogła zignorować maszynopis, ciepnąć gdzieś na strych...

– Sprytne. – Z uznaniem uniosła kciuk.

– Ewentualnie mogło być i tak, że ktoś, kto miał dostęp do maszynopisu, został deportowany do ZSRR i wrócił z falą repatriantów w pięćdziesiątym szóstym. Wydawnictwa już nie było, Makuszyński też nie żył... Z wdową mógł nie nawiązać kontaktu. Tylko czy ten ktoś zabrałby maszynopis i przechował go przez tyle lat tułaczki? Ten wariant wchodzi w grę chyba tylko wtedy, gdyby hipotetyczny redaktor albo ilustrator po powrocie wydobył papiery z jakiejś kryjówki albo odzyskał je od ludzi, którym dał je na przechowanie.

– Tak też mogło być – zauważyła.

– Ale to mało prawdopodobne. Z tego żyję, że próbuję odgadywać koleje losu ludzi i przedmiotów – odparłem. – Zaczynam poszukiwania od wariantów najbardziej prawdopodobnych i po kolei je badam, aż dojdę do ostatnich, zupełnie już fantastycznych.

– To może być kilkanaście nazwisk do sprawdzenia?

– Raczej kilkadziesiąt – sprostowałem. – Z tym wydawnictwem związani byli najwybitniejsi przedwojenni graficy. Każdy poczytywał sobie za zaszczyt, jeśli mógł dla nich pracować. Do tego sztab redaktorów, korektorów, linotypistów. Myślę, że możemy od razu skreślić Mariana Walentynowicza, który rysował Koziółka Matołka. Przeżył wojnę, wrócił do Polski i dożył końca lat sześćdziesiątych.

– To zabawne. Makuszyński napisał powieść o młodym detektywie i by odnaleźć jej kontynuację, sami bawimy się w detektywów – powiedziała Magda.

– Życie niesie podobne niespodzianki. Niepokoi mnie jedno. Oboje mamy niezwykle osobisty stosunek do sprawy. Oboje bardzo liczymy, że tę książkę uda się znaleźć. Brak nam dystansu, a to czasem niezbędne do tego typu pracy.

– Zatem umowa jest taka: trochę ci pomogę. – Puściła oko. – A w zamian posiedzimy razem nad sprawą kurlandzkiego okrętu flagowego.

– Okej. Znasz Bibliotekę Narodową?

– Oczywiście.

– Trzeba poszukać opracowań na temat firmy Gebethner i Wolff, potem sięgnąć do książek Makuszyńskiego wydanych pod koniec lat trzydziestych i wynotować na początek, kto go najczęściej ilustrował oraz kto te pozycje redagował.

– Może istnieje jakaś biografia Makuszyńskiego?

– O ile się orientuję, nie ma żadnej wyczerpującej pozycji tego typu. – Pokręciłem głową. – Ja w tym czasie pojadę do biblioteki uniwersyteckiej i posiedzę nad mikrofilmami z przedwojennych gazet. Spróbuję się dowiedzieć, co konkretnie pisano o tej książce i czy są jakieś przedpremierowe recenzje. Może tak dojdziemy do nazwisk ludzi, którzy mogli mieć w rękach maszynopis.

Zrobiło się późno, więc odwiozłem ją do domu. Auto cicho sunęło ulicami, blask reklam kładł się na twarzy siedzącej obok mnie dziewczyny. Miasto. Moje miasto, ukochane i znienawidzone, umierające... Wróciłem tu dla syzyfowego trudu rozwiązywania zagadek i ratowania okruchów jego przeszłości. A przecież dobrze mi było na pustyni, w cieniu granitowych kolumn nieistniejących kościołów Nobatii, Makurii i Alodii.

Dojechaliśmy. Magda pocałowała mnie w policzek i poszła do drzwi klatki schodowej.

– Pocałunek lecącej ćmy... – mruknąłem. – Następnym razem chyba trzeba będzie zrobić coś romantycznego.

*

Kolejne dni nie posunęły znacząco naszych poszukiwań. Niewiele znaleźliśmy. Garść nazwisk i żadnych konkretnych informacji, żadnego śladu, kto otrzymał książkę do zredagowania lub zilustrowania. Wstawałem o świcie, by o ósmej trzydzieści

siąść do czytnika. Kończyłem czasem o szesnastej, czasem później. Magda siłą rzeczy spędzała mniej czasu na grzebaninie. Chodziła na wykłady, uczyła się do kolokwiów i zaliczeń. Trzeci rok to nie przelewki. Za to coraz cieplejsze wiosenne wieczory jakoś tak naturalnie zaczęliśmy spędzać razem. Raz wybraliśmy się do kawiarni, innym razem z moimi sąsiadami zainaugurowaliśmy podwórkowy sezon grillowy. Spędziliśmy też kilka miłych godzin, włócząc się po muzeach.

Nieustannie pisałem listy oraz mejle i rozsyłałem je do potomków oraz domniemanych potomków ludzi, którzy mogli coś wiedzieć. Odwiedziłem też kilkanaście przedwojennych adresów, aby pogadać z ludźmi, którzy obecnie tam mieszkali. Tylko w dwu przypadkach mieszkania nadal znajdowały się w rękach tej samej rodziny. Niestety, za każdym razem spotykało mnie rozczarowanie. Nikt nie słyszał nawet o „Drugich wakacjach Szatana”.

Któregoś dnia wróciłem do domu około osiemnastej, rozgrzany rozmową, wiosną i winem. Położyłem na sekretarzyku siatkę z książkami, a potem podniosłem wzrok i napotkałem karcące spojrzenie Marty, zwielokrotnione przez wszystkie trzydzieści kilka zdjęć. Tak, zdecydowanie na większości fotografii wyglądała na poirytowaną. Westchnąłem i zacząłem je zdejmować. Spakowałem cały zbiór do tekturowego pudełka, które wstawiłem na pawlacz. Ściana nad sekretarzykiem wydała mi się pusta, nieomal wyzywająco naga. Wyciągnąłem rysownicę, karton brystolu i miękki ołówek, a potem zacząłem szkicować portret Magdy. Szkicowałem, ścierałem, szkicowałem. Palce nie chciały mnie słuchać. Miałem zbyt długą przerwę w rysowaniu.

– Umieję to zrobić – szepnąłem. – W liceum przecież narysowałem portret Kościuszki, i to z pamięci...

Gniotłem kolejne wersje i ciskałem do kosza. Przymykałem oczy, by lepiej przypomnieć sobie jej twarz. Szkicowałem

ponownie... Nie szło. Zamiast tego narysowałem buzię Adelajdy. Tulila kota. Podcieniowałem całość trochę kredkami, by uwydatnić rudy kolor włosów i takąż sierść zwierzęcia. Ładnie wyszło. Znalazłem ramkę, oprawiłem szkic i zaniósłem piętro wyżej. Postawiłem cicho obok drzwi lutnika. Niech staruszek ma niespodziankę...

Wróciłem i znów zabrałem się za szkic przedstawiający Magdę. O dwudziestej pierwszej spojrzałem na finalną wersję i stos papierów w koszu. Uznałem, że nie będę już poprawiał, ale w najbliższym czasie trzeba wrócić do rysowania. Za dużo zapomniałem... Pogrzebałem w różnych papierach i zawiesiłem nad biurkiem barwną chromolitografię z 1911 roku – portret Fridtjofa Nansena.

Biolog, zoolog, wicemistrz kraju w biegach narciarskich, wynalazca, badacz stref polarnych, polityk, malarz, pisarz... – rozmyślałem, patrząc na twarz podróżnika. Niosła Nagroda Nobla w medycynie za odkrycie zasad działania systemu nerwowego. Pokojowa Nagroda Nobla. Odkrycia naukowe... I jeszcze do tego wszystkiego umiał grać na pianinie! Nigdy nie będę taki jak on.

Pora popracować... Odpaliłem komputer. Magda miała ciut więcej szczęścia ode mnie. Znalazła artykuł z 1992 roku i podczas spotkania dała mi skan na pendrivie. Faktycznie w jednym ze stołecznych antykwariatów ktoś zaoferował obraz Kossaka pochodzący z przedwojennej kolekcji Makuszyńskiego. Sprawa się rypla, transakcję zablokowano, obraz przekazano w depozyt do Muzeum Narodowego.



© Fabryka Słów

Przymknąłem oczy. Był sobie obraz, który wisiał na ścianie. Bomba trafiła w budynek. Co dalej? Zależy od konstrukcji jednego i drugiego. Żelazny korpus przeważnie samym ciężarem przebija dach i stropy kilku pięter, potem detonuje. Impet eksplozji może iść bardzo różnie, zależy, gdzie wybuchnie, czy na poziomie parteru, czy też pierwszego piętra. Jeśli wyłamie ściany nośne nisko nad ziemią, budynek zapada się do środka lub wysypuje na ulicę. Czasem fala znajdzie sobie więcej miejsca w pionie i tak właśnie skieruje impet, zostają wtedy ściany zewnętrzne z wyrwanymi oknami. Jeśli epicentrum wybuchu jest blisko mieszkania, podmuch robi sieczkę ze wszystkiego i na dodatek wywołuje pożar... Do tego odłamki tną wszystko na swojej drodze.

Szwaby chętnie używali też bomb zapalających. Tutaj przecież nie zdołali zająć miasta natarciem kolumn pancernych. Dawne carskie forty, już w latach dwudziestych uważane za przestarzałe i opuszczone, okazały się dla nich niemożliwe do zdobycia. Robili zatem wszystko, by masakrą ludności cywilnej złamać ducha warszawiaków. Czy na dom pisarza spadła bomba zapalająca? Chyba nie... Bo obraz by nie przetrwał.

Znam przecież przedwojenny adres Kornela Makuszyńskiego, uświadomiłem sobie. Wystarczy pogrzebać w archiwalnych zdjęciach i ustalić, co też stało się z jego domem. Może uda się zobaczyć zdjęcia z trzydziestego dziewiątego roku, na których widać ruiny. Coś pewnie uda się wydedukować...

Najpierw przeczesałem Internet, potem zabrałem się kartkowania albumów. Znalazłem jedno zdjęcie, tyle że wykonane dopiero w 1941 roku, gdy gruzowiska po wrześniowych nalotach zostały już usunięte lub choćby doraźnie zabezpieczone. Dom był poważnie uszkodzony, ale ściana frontowa stała do wysokości trzeciego piętra.

Albo stropy były mocne, albo bomba trafiła zapalnikiem

w stalową belkę stropową, wydedukowałem. Górne piętra rozniosło na boki, w dolne najpierw rąbnęła od góry fala uderzeniowa, potem zasypał je gruz ze zniszczonych wyższych partii budynku. Wszystko uległo zgnieceniu, ale mogły się zachować puste przestrzenie. A w nich uwięzieni mieszkańcy i ocalałe przedmioty...

Zazwyczaj zaraz po nalocie, a czasem jeszcze w trakcie zaczynała się akcja ratunkowa. Gaszono pożary, wydobywano spod gruzów rannych, odkopywano zawałone piwnice, by uwolnić tych, którzy się w nich ukryli. Kto to robił? Z pewnością straż pożarna nie dawała rady opanować wszystkiego, gasili ogień i przeszukiwali gruzy ochotnicy, często mieszkańcy sąsiednich kamienic. Piekło wojny i świadomość wspólnego zagrożenia pobudzały do takich odruchów. Ale niestety, wśród nas żyją też ludzie, których podobna sytuacja prowokuje do zupełnie innych działań... Taka już jest natura ludzka.

Kornel Makuszyński cudem uniknął śmierci. Dom był zniszczony, ale tylko częściowo. Tak czy inaczej, pojawili się na miejscu jacyś szabrownicy. Czy zabraliby maszynopis? Raczej nie. Z drugiej strony, było to mieszkanie powszechnie znanego człowieka. Mogli zagarnąć worek papierów, a potem zaproponować mu ich zwrot w zamian za, nazwijmy to, gratyfikację finansową. Ale tego nie zrobili. Przynajmniej nie słyszałem o czymś podobnym. Makuszyński i tak by na to pewnie nie poszedł, nie miał pieniędzy...

Westchnąłem. Jedyne sensowny trop to „nowy właściciel” obrazu. Spojrzałem na zegarek. Nie było jeszcze dwudziestej drugiej. Wykręciłem numer Piotrka.

- Potrzebuję jednej informacji – zagadnąłem.
- Z naszego archiwum? – westchnął ponuro.
- Yhym...
- Kategorycznie odmawiam. A co to za informacja?
- Przed dwudziestu trzema laty prowadzono śledztwo

w sprawie sprzedaży w jednym z warszawskich antykwariatów obrazu Jerzego Kossaka. Do transakcji nie doszło, bowiem obraz zidentyfikowano jako pochodzący z przedwojennego mieszkania Kornela Makuszyńskiego. Płótno nie figurowało na liście poszukiwanych dzieł sztuki, miało spłonąć we wrześniu. Ale jak się okazało, zamiast iść z dymem, przylepiło się komuś do łapek.

– Potrzebujesz zatem...

– Imienia i nazwiska tego koleśia. Jeśli zdobędziesz też adres, ozłocę cię.

– Propozycja nie dość, że nielegalna, to jeszcze zawiera wątek korupcyjny – burknął. – Czy ty wiesz, jakie są na to paragrafy i jaki wyrok można oberwać za przekupywanie gliniarza?

– Z tym ozłoceniem to było w przerośnym sensie. A personalia tego człowieka i tak ustalę, po prostu zaoszczędziłbyś mi ze dwa tygodnie roboty. I nie zapominaj, jak wysoka jest stawka! Możemy ocalić bezcenne arcydzieło polskiej literatury. A jak zdobędę maszynopis – zniżyłem głos – obiecuję, że zrobię ksero i przeczytasz pierwszy, z żoną, rodzicami i siostrą.

– Ty się, szwagier, kiedyś w końcu doigrasz – westchnął ciężko.

Ciekawe – wcześniej nie tytułował mnie szwagrem. Chyba musiało mu bardzo zależeć, żeby siostra nie została starą panną, skoro kombinował, by wydać ją za kogoś tak spłukanego jak ja...

*

Obudziłem się o szóstej. Punkt siódma zadzwonił pan Antoni – jeden z zaprzyjaźnionych antykwariuszy.

– Witaj, Robert – wychrypiała słuchawka.

– Dzień dobry...

– Ażebyś wiedział, łobuzie, że dobry. Mam dla ciebie książkę, której szukałeś. Pierwsze wydanie „Listu z tamtego świata” Makuszyńskiego, Gebethner i Wolff, Warszawa tysiąc dziewięćset

czterdzieści sześć.

– Ozłocę pana!

– Oj tam, zaraz ozłacać. Wystarczą trzy dychy.

– Będę za kwadrans!

– Otwieram o dziewiątej – droczył się.

– A gdybym dał cztery dychy, przeczytałby mi pan teraz przez telefon wstęp napisany przez autora?

– Aleś ty w gorącej wodzie kąpany – roześmiał się. – Przeczytam, przeczytam, nie musisz dopłacać...

Włączyłem nagrywanie. Istotny okazał się jeden króciutki fragment.

„Książka ta miała się ukazać w grudniu 1939. Ocalała jako jedyna z napisanych podczas wojny. Z innych pozostały strzępy, wzgardzone przez »szabrowników«. Niech ich diabli porwą, jak oni porwali moje rękopisy”.

– Coś mi się tu nie zgadza – mruknąłem, patrząc na przepisany tekst. – Na grudzień tego roku zapowiadano „Drugie wakacje Szatana”... Było pięć rękopisów, ocalał jeden... A „Szaleństwa panny Ewy”? Może napisał je zaraz po wojnie?

Wpatrywałem się w czarne literki. „...pozostały strzępy”. I co się z nimi stało? Nie próbował ich jakoś poskładać? „Niech ich diabli porwą, jak oni porwali moje rękopisy”. Czyli szabrownicy podarli maszynopisy na strzępy, czy „porwali” w sensie „ukradli”? Zostały strzępy... To może sugerować, że złodzieje je podarli, zniszczyli... Czyli chyba nie ma już sensu szukać „Szatana”.

I nagle palnąłem się w czoło, aż zadudniło.

A może to dwie różne straty? Może „Drugie wakacje...” przepadły we wrześniu, potem siedział i pisał kolejne pięć książek, by wydać je po wojnie, gdzieś je ukrył, być może z resztkami zbiorów z mieszkania, ale po powstaniu warszawskim trafił do obozu w Pruszkowie, a potem w Opocznie i gdy wrócił do miasta, przekonał się, że i te uległy zniszczeniu?

Gdzie Makuszyński mieszkał w czasie okupacji? Bo przecież przebywał w Warszawie. Gdzie mogła być skrytka, w której złożył efekty swojej pracy? Dlaczego mimo nieciekawych doświadczeń z początku wojny nie stworzył więcej kopii?

Przydałby mi się Arek. Myślę, że ustaliłby mi wszystkie adresy w najdalej kilka godzin. Niestety, mój nieoceniony młody konsultant przebywał akurat z matką w USA.

Piotrek zadzwonił koło południa.

– Sprawa śmierdzi na kilometr – powiedział. – Teczka dochodzenia jest częściowo wyczyszczona, dokumenty przekazano do wydziału wewnętrznego, który zajmuje się, nazwijmy to, podnoszeniem jakości materiału ludzkiego naszych własnych szeregów. Taka policja w policji.

– Sprzedawca był policjantem?

– Taaa... Niejaki Suchoździński. Był, no i przestał być. Wcześniejsza emerytura. Twierdził, że obraz to spadek po ojcu. Mogło tak być, ale sam rozumiesz, facet był wiele lat milicjantem, a to był akurat okres rządów premiera Olszewskiego. Czyszczono trochę policję z jemu podobnych przeżytków poprzedniego systemu. Oczywiście fachowcy czy choćby zwykli normalnie pracujący gliniarze nie mieli czego się obawiać. Ale wywalano pod byle pretekstem różnych kretynów w mundurach, przyjmowanych i awansowanych po znajomości, alkoholików, wcześniej chronionych przez naczalstwo, oraz zomowców, trzymany tylko dlatego, że umieli bić na odlew pałami. Handel kradzionym fantem był sprawą akurat odpowiednio grubego kalibru, by pokazać facetowi drzwi.

– Masz adres?

– Weź coś do pisania, podyktuję.

W archiwach IPN Suchoździńskich znalazłem dwóch. Ojciec i syn. Nestor rodu – przedwojenny komunista, podczas okupacji członek warszawskiej siatki Gwardii Ludowej – po wojnie został ubekiem. Musiał zdrowo ubabrać ręce we krwi, bo po

rozwiązaniu Urzędu Bezpieczeństwa nie przyjęto go w szeregi SB, tylko poszedł pracować do milicji, i to na głuchą prowincję, pod Otwock. Jego syn, też milicjant, został wydalony ze służby w dziewięćdziesiątym drugim. W aktach odnotowano sprawę obrazu, ale najwyraźniej nie prowadzono dalszego śledztwa albo nie przekazano akt do archiwów.

Sprawdziłem na ile się dało stary adres z akt sprawy. Nadal mieszkał tam jakiś Suchoździński – zapewne wnuk... Trzeba będzie do niego pojechać, pogadać. Być może będzie okazja wejść na strych starej chaty i wśród stosów wszelakich gratów znajdzie się poszukiwany maszynopis... – rozmarzyłem się.

*

Magda uparła się, że pojedzie ze mną. Początkowo się wymawiałem, ale wreszcie ustąpiłem. Niestety, nadzieje na znalezienie starej mazowieckiej chaty ze strychem pełnym obrazów i rękopisów okazały się płonne. Dom był doskonale przeciętnym klockiem, typowym przykładem architektonicznego bezguścia początku lat dziewięćdziesiątych. Ale eksmilicjant chyba chciał się pokazać, bo nijaka chałupa posiadała ganek kolumnowy jak w szlacheckim dworcu. Tyle tylko, że te kolumny wykonano z kamionkowych rur kanalizacyjnych.

– Zostań w aucie – poleciłem dziewczynie. – Takie milicyjne synki to bardzo specyficzna kategoria ludzkiej mierzwy. Może być bardzo nieprzyjemnie albo zgoła niebezpiecznie. Choć zapewne będzie zupełnie normalnie, to znaczy nie będzie chciał ze mną gadać.

– Czy mam nie gasić silnika i tak dalej?

– E, to już raczej przesadna ostrożność... Raczej nie liczę, że będę uciekał z maszynopisem w objęciach, ścigany przez bandę

troglodytów.

– Była taka scena w filmie „Martwica mózgu”. – Uśmiechnęła się.

No proszę, nawet gusta filmowe mamy zbliżone... Trzeba będzie się z nią ożenić, nawet jeśli nie dostanie tych znaczków w posagu. Wysiadłem i ruszyłem do ataku. Gospodarz mógł mieć około czterdziestki. Zajmował się ogródkiem, to znaczy flegmatycznie spulchniał glebę szpadłem. Widać było, że robota mu nie idzie i że nigdzie się nie spieszy. Opodal na ogrodowym stoliku postawił ledwie napoczętą zgrzewkę piwa. Na sznurze suszyły się jakieś kobiece fatałaszki.

Żona kazała skopać ogródek i pojechała z dziećmi do mamusi, a on popija piwko i niespiesznie dłubie w ziemi, wydedukowałem. I doskonale. Czasy są takie, że ludzie niechętnie wpuszczają obcych do mieszkania. Spotkanie „przez płot” daje często lepsze rezultaty.

– Dzień dobry – zagadnąłem ponad siatką.

– ...ry – odpowiedział, taksując mnie leniwym spojrzeniem. – Pan do mnie?

Oj, chyba musiało być tych piw już kilka dzisiaj...

– Robert Storm, historyk.

– Z IPN? – Skrzywił się.

Rodzinka miała przecież swoje za uszami...

– Pracuję dla Muzeum Literatury – wyjaśniłem.

Widać było, że niewąsko go zaskoczyłem.

– A co ja mam niby wspólnego z literaturą? – zdumiał się.

– Po prostu sprawdzam pewien stary trop. Pański ojciec miał nieprzyjemności ćwierć wieku temu. Wpadł mu w ręce obraz należący kiedyś do Kornela Makuszyńskiego...

– Aaaa... Tamta sprawa. – Skrzywił się ponownie.

Widać była z tego niezła afera, skoro nadal bolało.

– Zbliży się rocznica urodzin pisarza, więc muzeum poszukuje na wystawę wszelkich pamiątek, zdjęć, rękopisów...

– Panie, ten obraz to ojciec na strychu znalazł, jak naszą starą chałupę burzyliśmy. Kossak to Kossak. Nazwisko mówiło samo za siebie. Żebyśmy wiedzieli, że ktoś go szuka, tobyśmy poszli do ministerstwa i dostali pewnie nagrodę. Wiadomo, znacznie mniej by było z tego kasy, ale za to po legalu. Ale tatko miał w dupie, co to za obraz i skąd, po prostu forsy chciał, bo na wykończeniówkę potrzebował. A nawet jak coś podejrzewał, to może sądził, że gliny nikt nie ruszy. Jak się za niego zabrali, to aż wióry poleciały. Ale zasadniczo nic więcej nie wiem. Łebek byłem wtedy. A temat drażliwy, nie gadaliśmy o tym.

– Widzi pan, sprawa wygląda tak: obraz wyparował we wrześniu trzydziestego dziewiątego ze zbombardowanego mieszkania. Było tam podobnych więcej...

Facet pokręcił głową.

– Wie pan, ja tu nijak nie pomogę. U nas znalazł się tylko jeden. Był zawinięty w worek i ustawiony obok przewodu kominowego. To po dziadku musiało zostać, ale tego to już prawie nie pamiętam. Mały byłem, niecałe dziesięć lat miałem, jak kopyta wyciągnął. Tatko też kojfnął. Dziadek albo od kogoś obraz kupił, albo dostał jako łapówkę, albo skonfiskował, bo się milicji różne rzeczy kleiły do rąk, albo i faktycznie ukradł wtedy po nalocie. Może inne się zniszczyły, a może kradł z kumplami i po prostu się podzielili? Nigdy się tym nie chwalił, w ogóle o przedwojennych i okupacyjnych czasach mówił niewiele. Tylko puszył się jak paw, że miał nosa i do komunistów zapisał się już w trzydziestym roku. Tyle jego szczęścia, że kopnął w kalendarz, zanim komuna zdechła, i nie widział, jak to wszystko poszło w piz... To nie był dobry człowiek. Tatko też miał swoje za uszami.

– Dobrze, pał diabli pozostałe obrazy. W mieszkaniu Makuszyńskiego były maszynopisy pięciu nieopublikowanych powieści. Czy na strychu tej rozbieranej chaty nie znaleźli panowie podobnych papierów?

– Dziadek i papiery? Nigdy w życiu nie widziałem go z książką ręką. Z gazet tylko „Trybunę Ludu” kupował, i to chyba tylko raz w tygodniu, żeby program telewizyjny mieć. Wątpię, żeby czytał w niej coś więcej, jak nagłówki artykułów.

– Rozumiem. Gdyby jednak maszynopisy się znalazły, to, powiedzmy, mógłby pan przytulić pięć tysięcy. I też całkowicie po legalu.

– O urwał... – Kolo wytrzeszczył oczy.

Widać było, że kwota zrobiła na nim wrażenie.

– Może coś się zajdzie u kolegów dziadka. Pan pogrziebie, popyta, dogadamy się – kusilem. – A myślę, że w pakiecie byłby też dyplom i uścisk dłoni ministra.

– E, ja nie z tej opcji politycznej – mruknął.

– Ale jak minister daje dyplom, to jest bankiet, a na nim za darmochę jedzonko i drinki do wypęku – przemówilem jeszcze do jego żołądka.

Podziękowałem za informacje i zostawiłem na wszelki wypadek wizytówkę. Wróciłem do auta.

– Czyli zerwał się nam ostatni trop – zmartwiła się Magda, gdy zreferowałem jej rozmowę.

– Hmm... I tak, i nie. Trzeba ustalić, z kim kumpłował się dziadek komuszek. Jak widzisz, walka toczy się o wysoką stawkę. Maszynopisy czterech nieznanych powieści, a do tego dwa lub trzy obrazy Kossaka, za które pewnikiem zgarniemy nagrody. Może fanty z gruzu rozkradli przypadkowi ludzie, a może zrobił to dziadek ze swoimi kolesiami? Trzeba zacząć od sprawdzenia, czy był przed wojną notowany. Jeśli policja albo „dwójka” wpadły na jego trop, mogą być w papierach informacje, z kim się spotykał. Jeżeli wynajmował mieszkanie albo pokój, kto był jego współlokatorem, z kim i za co go aresztowano.

– Czyli uzyskamy następne nazwiska, poszukamy kolejnych potomków, zdobędziemy nowe adresy i tak do skutku? Będziemy jeździli po ludziach, którzy mogą coś wiedzieć, by ich

wypytywać, będziemy wysyłali listy, na które być może nigdy nie nadejdzie odpowiedź, i tak dalej, i tak dalej? – upewniała się.

– Właśnie tak. Moglibyśmy bawić się w ten sposób do samej emerytury, gdyby nie to, że muzeum otwiera wystawę już za trzy miesiące. Czytałaś biografię Marii Skłodowskiej-Curie, która stoi u was w salonie na regale? Mniej więcej na tym polega moja praca. To jak płukanie całych ton blendy smolistej dla uzyskania dziesiątej części grama soli radu... Wiem, nudy na pudy. Ale z tego żyję.

– Nudy? No co ty gadasz?! To jest fajne!

Wracaliśmy do Warszawy szosą zatłoczoną dostawczakami. Ciężarówki i mniejsze pojazdy przewoziły z magazynów centrów logistycznych i hurtowni wszystko, czego miasto potrzebowało, aby funkcjonować. Tir jadący przed nami ciut za szybko wszedł w zakręt... Zobaczyłem, jak wysoka naczepa wychyla się niebezpiecznie, a koła odrywają od asfaltu. W jednej chwili ja i moja towarzyszka zdaliśmy sobie sprawę, że środek ciężkości jest już za daleko i za chwilę przyczepa runie nam wprost przed maskę. Normalnie depnąłbym po hamulcach, ale na zderzaku wisiał nam kolejny tir... Taka ciężarówka nie zatrzyma się w miejscu. Szarpnąłem kierownicą w bok.

– Trzymaj się! – wrzasnąłem.

Auto złapało pobocze, zarzuciło nami. Samochód wpasował się w prześwit między pniami dwu dorodnych buków, skoczył nad rowem melioracyjnym, zobaczyłem, że za chwilę uderzymy w świeżo zaoraną powierzchnię pola... Błysnęło.

*

Siedziałem na drewnianej ławce. Korytarz wyglądał jak hol starego dworca przed wojną gdzieś na Kresach. Na ścianie naklejono rozkład pociągów, odchodzących do Chełma, Lwowa

i Pińska. Posadzka z wydeptanych ceramicznych płytek, półkoliście sklepiony sufit. Na obu końcach korytarza znajdowały się drzwi. Przy tych prowadzących prawdopodobnie na peron była kasa biletowa, zamknięta na głucho. Szczerze powiedziawszy, właśnie tak wyobrażałem sobie zaświaty. Nie czułem strachu. Martwiłem się tylko o Magdę.

Światło padało nie wiadomo, z jakiego kierunku. Spostrzegłem, że nie mam cienia. W ogóle nic tu nie rzucało cienia. Ale pachniało sympatycznie. Kwasmem chlebowym i parówkami, zapewne zrobionymi z prawdziwego mięsa. Wyobraziłem sobie przedwojenną „kolejarską” kanapkę – ciepły jeszcze kotlet schabowy, wetknięty między dwie pajdy świeżutkiego chleba. Jest tu bufet? Co jedzą zmarli? Podeszedłem i zapukałem do drzwi, potem nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Podeszedłem do drugich. Podobnie... Zatem trzeba siedzieć i poczekać, aż poproszą. Nie trwało to długo. Drzwi na końcu otworzyły się i podeszła do mnie dziewczyna. Miała około szesnastu lat, ubrana była w białą sukienkę. Odrobinę przypominała Adelajdę, tylko że była blondyneczką. Khm... Młoda taka... Śliczna jak z obrazka, cera zbyt idealna, nieprawdziwa. Anielica? Anieliczka? Odruchowo spojrzałem ponad jej ramieniem, ale nie miała skrzydeł.

– Witamy, panie Storm – powiedziała spokojnie.

Miała niezwykle głośny – kojący i tchnący niesamowitym spokojem. Słyszając go, można było zapomnieć o wszelkich zmartwieniach.

– Dzień dobry. Jak rozumiem, nie żyję... Co to za miejsce? – zapytałem ostrożnie.

– Żyje pan, panie Robercie, to tylko urojenia, trzepnęła pana w twarz poduszka powietrzna. Mamy kwadrans na rozmowę. – Wyjęła nie wiadomo skąd elegancki złoty zegareczek na dewizce. – A co do pańskiego pytania, to jest Cmentarzysko Marzeń – wyjaśniła.

– Co proszę?

– Miejsce, gdzie spoczęły wszystkie zarzucone ludzkie plany, nieudane wynalazki, projekty, które nie wypaliły, scenariusze nienakręconych nigdy filmów, maszynopisy nieukończonych powieści.

– Czy znajdę tu gdzieś „Drugie wakacje Szatana” Kornela Makuszyńskiego? Rękopis miał spłonąć w Warszawie w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym.

– Oj, figlarz z pana. – Pogroziła mi palcem, a potem pchnęła drzwi. – Zapraszam.

Znalazłem się w czymś przypominającym muzeum. Co ciekawe, było poświęcone mojej skromnej osobie. Zobaczyłem zwielokrotnione ni to obrazy, ni to hologramy. Ujrzałem siebie w dziesiątkach różnych dziwnych scenerii. Wykopującego kły mamuta na Syberii, płynącego kajakiem przez Wielki Kanion Kolorado, podkładającego gdzieś ładunek wybuchowy... Szedłem, patrząc to w prawo, to w lewo. Robiłem tu same ciekawe rzeczy. To stałem z wykrywaczem metali w jakichś ruinach, to znów nurkowałem wśród zatopionych kolumn antycznego miasta. Obrabiałem grobowiec egipskiego faraona, a tuż obok kierowałem latającym statkiem, sunącym nad pustyniami Marsa. To było jak otwieranie się furtek pamięci. Na niektórych hologramach byłem sam, na innych z kumplami. Wielu z nich nie widziałem od lat. Było też kilka dziewczyn, które poznałem w przeszłości i z którymi wiązałem jakieś nieśmiałe lub nieco śmielsze myśli. Przypominały mi się rozmaite plany, rojenia z podstawówki, z liceum. Na jednym z obrazów obcałowywałem się z „wiewióreczką” Adelajdą. Siedziała mi na kolanach, moje dłonie błądziły w miejscach, w których raczej nie powinny się znaleźć, a rude koty Łuna i Pożoga łąsiły mi się do nóg.

– No, cholera jasna – zirytowałem się. – Przecież ona jest nieletnia... A może była? No, tu w każdym razie znowu wygląda, khm...

– Marzenia to marzenia – wzruszyła ramionami dziewczyna. –

Trafiają do nas wszystkie. I dobre, i złe. I te, które pozostały jako cień myśli, bo moralność, uczciwość, przyzwoitość lub zdrowa świadomość obciachu powstrzymały...

Machnęła ręką i kompromitujący mnie obraz znikł bez śladu.

– W takim razie tych złych myśli powinno być więcej... – westchnąłem.

– Trochę faktycznie ich mamy, ale pocieszające jest, że znalazły się właśnie tutaj.

– Nie rozumiem?

– To cmentarzysko. Nie przywiązywał się pan do takich pomysłów, dlatego szybko spoczęły w tym miejscu. Ustawiliśmy je w tylnych rzędach, żeby nie psuły nikomu humoru – wyjaśniła. – Dużo tu za to tych marzeń dobrych, ale porzuconych. Powiedziałabym, że wielokrotnie więcej niż u innych... Weterynaria, malowanie obrazów, studia geologiczne, paleontologia, astronomia... Szeroki wachlarz zainteresowań, dziecięcych i młodzieńczych planów. Wszystko pan zarzucił. Trochę szkoda, nieprawdaż?

Zamyśliłem się.

– I tak, i nie. Jestem zadowolony z mojego życia. Z tego, co robię. Z tego, czego dokonałem. I właśnie planowałem wracać do pracy...

Wskazała gestem kierunek. Okno było duże, jak szkolne. Za nim widziałem jednak nie szare praskie blokowisko, lecz norweski fiord. Na parapecie siedziała Marta. Wyglądała dokładnie tak, jak wtedy, gdy spotkałem ją po raz pierwszy. Patrzyłem na nią. Znowu czułem dokładnie to samo co wówczas, wrażenie dotknięcia absolutu... Ubrana była identycznie, siedziała tak samo. Tylko że nie miała znowu piętnastu lat. Dorosła... Hmm... Nie do końca była podobna do siebie.

– To bardzo wyidealizowany obraz. – Moja przewodniczka machnęła ręką i Marta uległa metamorfozie. Włosy się jej przerzedziły, rysy wyostrzyły, uda i łydki stały mniej wysmukłe.

Brwi okazały się namalowane. Za to biust zwiększył objętość o co najmniej dwa rozmiary. Silikon sobie wszyła?

– To aktualny wygląd rzeczywisty...

– Jak mogę ją obudzić? – zapytałem.

Popatrzyła na mnie i westchnęła.

– Nijak. – Rozłożyła ręce. – To tylko hologram. Cmentarzysko to cmentarzysko...

Dotknąłem policzka siedzącej. Był twardy i chłodny jak porcelana. Lalka? Rzeźba?

– Hologram 5D – uzupełniła moja przewodniczka. – Nawet zapach ma, tylko selektywnie wyłączyłam. W to miejsce trafia się z dwu powodów – ciągnęła. – Jedni przychodzą tu, by odnaleźć siebie. Odnaleźć swoją przeszłość. By zabrać rzeczy cenne, ale utracone. By odszukać pomysły, które przepadły w głębinach niepamięci. Inni wręcz przeciwnie – muszą obejrzeć to, za czym tęsknią, i uświadomić sobie bezwartościowość tego, co minęło.

– To nagroda czy kara?

– Dotykanie nienazwanego zawsze trochę parzy... A było trochę tego przez ostatnie lata. To zarazem kara i nagroda.

– Ale ja... – Spojrzałem na hologramy. – Faktycznie były pewne pomysły, których nie zrealizowałem. Ale... nie żałuję niczego – powiedziałem zupełnie szczerze.

Pstryknęła palcami i całe pomieszczenie stało się idealnie puste, jak opróżniony magazyn. Został tylko latający marsjański statek i szkolne okno z Martą, siedzącą na parapecie.

– Wiem, że Mars wygląda inaczej niż w wizjach Burroughsa – westchnąłem. – Tego nie będzie, bo to niemożliwe.

Statek rozwiął się jak dym.

– A tego żałuję – powiedziałem, patrząc na okno. – Chcę, żeby wróciła do mnie... Jeśli ślub wzięła cywilny...

Dziewczyna westchnęła, wyciągnęła dłoń i dotknęła mojego czoła. Poczulem, jakby przeskoczyła iskra. Zobaczyłem w jednym ułamku sekundy te wszystkie chwile, które spędziłem z Martą.

Dobre i złe. Zobaczyłem siebie, przypomniałem sobie wszystkie wypowiedziane słowa i wszystkie myśli.. I wszystkie wredne, podłe rzeczy, które od niej usłyszałem. Zdziwiłem się, jak dużo tego było. Jak często zdarzało się, że o czymś opowiadałem, o rzeczach ważnych, a ona jedynie okazywała zniecierpliwienie.

– Pańskie intencje były czyste i dobre – powiedziała dziewczyna. – Jej nie. Jest trochę jak syrena. Narcystyczna natura. Lubi być podziwiana. Lubi błysnąć wiedzą. W którymś momencie po prostu się jej pan znudził..

– A zatem?

– Najlepiej zostawić ją tu, na cmentarzysku. Pośród rzeczy zapomnianych, odrzuconych, wśród tego, czego już nie żałujesz. I odejść żyć jak normalny człowiek – przeszła na „ty”. – Dochowywałeś wierności pierwszej wielkiej miłości, ale po prostu już nie warto. Nie zapomnisz o niej nigdy, ale to będzie od teraz tylko wspomnienie, a nie ból odbierający zdrowy rozsądek.

– Widok za oknem...

– Chciałeś pojechać do Norwegii. Zrealizuj to wreszcie. – Uśmiechnęła się. – Chyba że wolisz Tobago. Masz z kim...

Spojrzałem na Martę i spostrzegłem, że blednie, staje się przezroczysta. Wreszcie został po niej tylko wyślizgany lastrykowy parapet...

– Co dalej? – zapytałem.

– Kilka razy w życiu groziła ci śmierć. Porządny z ciebie człowiek, więc ciut naginaliśmy statystykę. Pora na kolejną szansę. – Wskazała drzwi. – Nie zmarnuj jej.

– Powiedz proszę... „Drugie wakacje Szatana”. Nie widziałem tu hologramu, że znajduję tę książkę...

– Bo to marzenie nie zostało porzucone ani zapomniane. Nie mamy u nas także wraku „Das Wappen der Herzogin von Kurland”.

– Maszynopis spłonął? Ale książka w jakiejś formie nadal istnieje? Czyli zachowała się kopia z wykonywaną redakcją,

a może wręcz wydruki próbne, tak zwane szczotki? Bo chyba nie gotowe klisze drukarskie? Znajdę to? Jest szansa?

– Pora się pożegnać. – Dziewczyna skłoniła śliczną główkę.

– Zatem będę szukał dalej.

Uśmiechnęła się i puściła do mnie oko. Teraz spostrzegłem, że jednak ma skrzydła, ledwo widoczne, półprzezroczyste, delikatne jak woal pary.

– Gdyby pan nic nie znalazł, proszę się nie martwić, po tej stronie wszystko zostało zachowane – usłyszałem jakiś obcy męski głos.

Obejrzałem się. Za moimi plecami stał Kornel Makuszyński we własnej osobie. Znałem tę twarz ze zdjęć w książkach. Tylko że fotografie były czarno-białe, a teraz widziałem go w kolorze. W ręce trzymał nadpalony na brzegach maszynopis. On też się uśmiechał.

*

Siedziałem za kierownicą. Odgarnąłem resztki wystrzelonej poduszki powietrznej. Samochód stał, silnik milczał. Z rozbitego nosa ciekła mi krew. Byłem trochę oszołomiony. Obejrzałem się na pasażerkę. Magda najwyraźniej dochodziła do siebie. Nieporadnie odgarniała kłęby tkaniny. Przejechała dłonią po czole.

– Ale nami telepnęło – mruknęła.

– Ważne, że żyjemy...

Odpiąłem pasy i wyskoczyłem z auta, wyciągnąłem dziewczynę. Ale ostrożność była zbyt duża, eksplozja nam nie groziła. Obejrzałem się na autostradę. Naczepa leżała wywrócona, ale ciągnik siodłowy stał normalnie. Najwyraźniej puścił zaczep i przednia część pojazdu uniknęła katastrofy. Drugi tir zdążył wyhamować dosłownie centymetry od przeszkody. My

już byśmy się nie zmieścili... Obaj kierowcy stali na krawędzi szosy. Patrzyli zaniepokojeni w naszą stronę. Uniosłem kciuk, by pokazać, że z nami wszystko okej. Sprawdziłem auto. Wszystko chyba grało. Przekręciłem na próbę kluczyk. Silnik zagrał. Światła działały. Zgasilem. Podszedłem i obejrzałem rów. Był niezbyt szeroki, ale głęboki. Westchnąłem ciężko. A potem zacząłem się śmiać.

– Ratujecie mnie, bo chyba was bawi obserwowanie, jak regularnie robię z siebie idiotę... – mruknąłem pod nosem, patrząc na sunące po niebie burzowe chmury. – No cóż, dziękuję.

Magda patrzyła na mnie, gdy wyjmowałem z bagażnika dwie deski, układałem nad rowem, a potem ostrożnie przejeżdżałem po nich na drugą stronę... Ale w jej spojrzeniu nie było rozbawienia, a wyłącznie zaskoczenie i niemy podziw. Schowałem dechy do bagażnika. Ulokowałem się za kółkiem, a dziewczyna usiadła obok. Poszukiwania chwilowo utknęły, na honorarium nie ma co liczyć, ale mam jeszcze iryd. Trzeba poszukać, kto zechce to kupić. Może mennica?

– Wiem, że to głupi moment na takie pytania – odezwałem się trochę zduszonym głosem – ale nigdy nie byłem w Norwegii. W muzeum uniwersyteckim w Bergen mają preparaty biologiczne, opisane własnoręcznie przez Nansena. Stoją w gablocie po lewej stronie od wejścia, w dużej sali na piętrze. Tam, gdzie pod sufitem wiszą szkielety wielorybów. Badając pasożyty fok, Nansen odkrył zasadę działania układu nerwowego, co omal nie skończyło się dla niego zdobyciem Nagrody Nobla w wieku dwudziestu jeden lat. Przy okazji moglibyśmy się powłóczyć po drewnianej dzielnicy hanzeatyckiej, a potem popłynąć na wycieczkę wśród fiordów...

– Też nigdy nie byłem w Norwegii.

Nie musiała już nic dodawać. Z jej uśmiechu wyczytałem, że pojedzie ze mną.

Notka dla Czytelników. Podczas zbierania informacji historycznych do tego opowiadania zdołałem ustalić, że prawie ukończony rękopis „Drugich wakacji Szatana” znajduje się w zbiorach Muzeum Kornela Makuszyńskiego (oddział Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem). Prawdopodobnie Pisarz, mimo braku szans na publikację, odtwarzał tę książkę przed śmiercią. Powieść ta, podobnie jak kilka innych nieukończonych utworów, nigdy nie ukazała się drukiem.

Ci, którzy powinni pozostać

Warszawa, marzec 1935



Doktor Skórzewski, ciężko wspierając się na lasce, dreptał długim korytarzem szpitala Dzieciątka Jezus. Lubił to miejsce, szczególnie oddział chorób zakaźnych i chirurgię. Od lat był już na emeryturze, ale nudziło mu się w czterech ścianach, a tu niemal zawsze brakowało rąk do pracy. Cieszył się, że nadal może się przydać. Słuchano jego rad, czasem jeszcze badał lżejsze przypadki i konsultowano z nim cięższe. Otaczała go aura szacunku. No i zawsze mógł liczyć na dobrą kawę u pielęgniarek... Przystanął i oparł się o parapet. Wiosenne słońeczko przyjemnie grzało mu obolałe plecy. Stał i zbierał siły. Starość coraz mocniej mu dokuczała, nogi czasem po prostu musiały odpocząć. Lufcik był uchylony, powietrze pachniało wiosną. Odetchnął głębiej i poczuł ból. Przekłęta jezyczka kula znów dawała znać o sobie. Gdyby tylko dało się ją usunąć... Wrócił myślami na Bliski Wschód. Nieoczekiwanie jakiś hałas wyrwał go z zadumy.

Grupka lekarzy szła korytarzem. Wyglądali na wyraźnie podekscytowanych, jeden niósł pod pachą wypreparowaną rękę szkieletu, inny targał pudło z projektorem filmowym. Wszyscy zaopatrzeni byli w bruliony i przybory do pisania. Pośrodku kroczył niewysoki młody człowiek w nieskazitelnie białym fartuchu.

Doktor Skórzewski cofnął się pół kroku, by zrobić im przejście. Znał z widzenia wszystkich maszerujących z wyjątkiem tego

młodego. Chirurdzy, doktorzy i profesorowie zachowywali się dziwnie. Młodzieńca otaczały wianuszkami same sławy. Ci mniej ważni tworzyli drugi krąg. Na końcu kolumny podrygiwali jak w tańcu młodzi lekarze i kilku studentów ostatnich lat.

Jak dzieci idące z nauczycielem na wyprawę do kina, pomyślał Skórzewski rozbawiony, ale zarazem zaciekawiony.

Jądrem grupy ewidentnie był ten obcy. Doktor przypatrzył mu się uważnie znad okularów i nieoczekiwanie poczuł znajome ukłucie niepokoju. Nieznajomy mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia kilka, może trzydzieści lat. Był raczej drobny, otaczający go Polacy górowali nad nim wyraźnie. Gładko wygolona twarz o wysoko zarysowanych łukach brwi była sympatyczna, ale zarazem jakby niemęska. Gdyby zgolił sobie eleganckie wąsiki, można by go wziąć za dziewczynę. Do piersi tulił wypchaną papierami tekturową teczkę. Miał wąskie dłonie o cienkich, długich placach. Dłonie raczej muzyka, a nie lekarza... Jasnoblękitne, prawie białe oczy nie pasowały do ciemnych włosów i brzoskwiniowej cery. Skinął uprzejmie głową Skórzewskiemu. Ten odpowiedział ukłonem. Grupa znikła za załomem korytarza.

– Co to za jeden, ten nowy? – Stary lekarz odprowadził ich zamyślonym spojrzeniem.

– Doktor Leonardo, Włoch – wyjaśniła przechodząca obok pielęgniarka. – Przyjechał jakieś dziesięć dni temu, wtedy, gdy był pan chory. Uczy naszych chirurgów, jak się przeprowadza operację Krukenberga. Idą teraz na kolejny wykład, jutro lub pojutrze będą operować pierwszych ochotników, którzy wyrazili gotowość poddania się eksperymentowi.

– Eks-pe-ry-men-to-wi... – Skórzewski dłuższą chwilę smakował to słowo.

Brzmiało ciekawie i groźnie zarazem. Niosło nadzieję, ale zawierało też element ryzyka. Serce uderzyło w piersi staruszka jakby mocniej. Poczł ożywczy prąd...

– To podobno uznany fachowiec z Turynu – dodała pielęgniarka. – Czy przynieść panu płaszcz? Wraca pan do domu?

– Nie, dziękuję. – Pokręcił głową. – Pójdę go posłuchać. Cóż, operować już nie mogę. – Spojrzał z żalem na swoje palce. – Ale postęp medycyny to od zawsze mój konik... Gdzie się udali?

Wyjaśniła. Ruszył korytarzem. Wprawdzie nie dogonił już grupy lekarzy, ale gdy dotarł do jednego z gabinetów przekształconego w zaimprovizowaną salę wykładową, prelekcja jeszcze się nie zaczęła. Akurat rozstawiano projektor. Kotary opuszczono, widocznie w planach było wyświetlanie filmu. Skórzewski wszedł i stanął niepewnie przy drzwiach. Wszystkie krzesła były już zajęte, studenci przysiedli stłoczeni na szerokich parapetach. Staruszek chciał się wycofać, ale nie zdążył. Doktor Leonardo już go zauważył.

– Panie doktorze Skórzewski, poczytam sobie za zaszczyt, mogąc gościć pana na swoim wykładzie... – Włoch podszedł do niego i przyjaźnie uściśnął mu prawicę. – Pozwoli pan, że oddam panu moje krzesło, ja i tak przemawiać będę, jak to mam w zwyczaju, na stojąco.

Miał miły, ciepły, choć trochę zbyt wysoki głos. Mówił po łacinie, czysto i wyraźnie, z piękną dykcją. Stary lekarz tracił już trochę słuch, ale mimo to rozpoznawał bez trudu każde słowo.

– Dziękuję, nie chciałbym przeszkadzać – bąknął. – Zaszedłem tu tylko z ciekawości, od przeszło dekady jestem na emeryturze, tak tylko pomagam na miarę moich sił...

– Ależ, panie doktorze, jeśli tylko interesuje pana procedura Krukenberga, będę naprawdę rad, mogąc przedstawić panu nasze skromne plany.

– Skoro tak... Nietaktem byłoby odmawiać.

Usiadł w pierwszym rzędzie. Wszyscy umilkli.

Coś mi tu nie gra, zadumał się staruszek. Ten łebek sprawia wrażenie, jakby znał mnie od dawna... A przecież nie spotkaliśmy się nigdy wcześniej. Nie byłem we Włoszech chyba od tysięcy

dziewięćset ósmego. To będzie, podliczył w pamięci, prawie trzydzieści lat. Niby po świecie już chodził... ale nie pamiętam z tamtej podróży żadnego dzieciaka. No i ten nagły szacunek... I skąd zna moje nazwisko?

Włoch stanął przy tablicy i postukał w nią kredą, zupełnie niepotrzebnie, bo wszyscy milczeli, z uwagą czekając, co powie.

– Miniona wojna pozostawiła Europie setki tysięcy mniej i bardziej okaleczonych weteranów – doktor Leonardo zaczął wykład. Zapewne mówił już o tym na poprzednich zajęciach, ale najwyraźniej z uwagi na obecność nowego słuchacza postanowił przypomnieć najważniejsze kwestie. – Kalecy zderzają się niestety z pewnym lekceważeniem. Mimo że ich rany często świadczą o odwadze w służbie ojczyźnie, nie zawsze spotykają na swej drodze rodaków gotowych usłużyć im pomocną ręką. Zmiana postaw społecznych to praca dla nauczycieli, publicystów i duchownych różnych wyznań. Lekarze psychiatrzy leczą poranione przez wojnę dusze żołnierzy.

Nie zawsze skutecznie, pomyślał z melancholią doktor Paweł. Samobójstwa wśród okaleczonych przez wojnę są niestety powszechne, choć nie tak, jak w pierwszych latach pokoju.

– Naszym zadaniem jest natomiast maksymalne przywrócenie sprawności poszkodowanym – kontynuował Włoch. – Wielu urazów nie umiemy jeszcze leczyć. Na przykład od czasów wojen napoleońskich trwają próby stworzenia działającej protezy oka. Uszkodzenia kręgosłupa oznaczają niemal zawsze trwałe paraliż. Potrafimy natomiast całkiem nieźle zastępować kończyny dolne, zwłaszcza jeśli amputacja nastąpiła poniżej stawu kolanowego. Chory na protezach potrafi chodzić niemal tak samo sprawnie, jak zdrowy. Większy problem stanowią protezy kończyn górnych. Rzecz jasna, tworzy się rozmaite dłonie, przeważnie odlewane z kauczuku, które dzięki umiejętnie dobranej kolorystyce przy szczególnie starannym wykonaniu niemal łudzająco przypominają prawdziwe. Jednak, co tu dużo mówić, ich

uroda nie zastępuje funkcjonalności.

Otworzył walizkę i wydobyl kilka egzemplarzy różnych protez.

– Od kilku dekad próbowano stworzyć protezę ruchomą, w której palce będą poruszane dzięki napinaniu mięśni ocalałej części przedramienia. – Zaprezentował model. – W miarę wprawne posługiwanie się tą zabawką wymaga żmudnych wielomiesięcznych ćwiczeń i choć palce sztucznej ręki poruszają się, brak w nich siły niezbędnej do wykonywania wielu czynności. Rozwiązaniem byłoby może przyszywanie inwalidom dłoni odjętych nieboszczykom, jednak pomijając kontrowersyjność takich idei, jeszcze nie potrafimy tego dokonać. Obawiam się, że upłyną całe dekady, nim zdołamy stworzyć naukowe podstawy tego, co nasi święci poprzednicy czynili jako cuda.

Wskazał wiszący nad drzwiami nieduży olejny obraz. Święci Kosma i Damian, patroni chirurgii, wyobrażeni zostali akurat w scenie, gdy przyszywają kalekiemu chrześcijańskiemu rycerzowi nogę poległego Saracena.

Twarze zebranych ozdobiły uśmiechy, ale nikt nie roześmiał się głośno, nikt nie ośmielił się też komentować.

– Nim powstaną podstawy do stworzenia funkcjonalnych i działających protez dłoni, mamy w zasadzie tylko jedną możliwość przeprowadzenia operacji przywracających kalekom częściową sprawność. Opracował ją przed parunastu laty niemiecki chirurg Hermann Krukenberg, stąd zwana jest dziś procedurą Krukenberga. Niestety, niemieccy lekarze uparcie strzegą szczegółów operacji, pragnąc utrzymać monopol. Moim zdaniem jest to zachowanie niehumanitarne i niegodne lekarza. Sprawa ta jest tym bardziej drażliwa, że przecież w znacznym stopniu to na Niemcach spoczywa odpowiedzialność za wybuch tej wojny, a ogromna większość kalek to właśnie ofiary niemieckich pocisków, szrapneli, bomb i min. Dlatego gdy tylko zdołaliśmy odtworzyć u nas założenia procedury i potwierdzić je

doświadczalnie, zdecydowaliśmy się upowszechnić zdobytą wiedzę.

Zebrani nieśmiało zaklaskali.

– Poproszę o włączenie filmu.

Skórzewski oglądał obrazy przeskakujące na ekranie z pewnym zaskoczeniem. Słyszał już wcześniej piąte przez dziesiąte o tej procedurze, ale teraz mógł poznać wiele fascynujących, a zarazem zaskakujących szczegółów.

– Jak panowie doskonale wiecie, w przedramieniu człowiek posiada dwie kości. Po amputacji ręki powyżej poziomu nadgarstka można pokusić się o rozszczępienie tkanek miękkich prawie do samego łokcia. Wypreparowane mięśnie zawijane są na krzyż i doszywane, następnie tkanki obszywa się skórą, formując dwie nowe równoległe kończyny, połączone między sobą i z ramieniem rodzajem fałszywego stawu w miejscu łokcia. Po kilkumiesięcznej rehabilitacji i treningu kaleka zazwyczaj nabiera znacznej wprawy w posługiwaniu się nimi.

To działa trochę jak szczypce kraba, pomyślał Skórzewski, patrząc, jak na filmie rekonwalescenci ćwiczą umiejętność posługiwania się rozszczępionymi kikutami. Tak jakby używało się dwu bardzo grubych palców. Można utrzymać szklanę, długopis, proste narzędzia... Faktycznie w znaczącym stopniu ułatwia życie, choć takie szczypce wyglądają raczej okropnie...

Włoski lekarz tymczasem prezentował na wypreparowanych ludzkich przedramionach szczegóły. Tłumaczył, gdzie przebiegają ważne arterie krwionośne, gdzie nerwy, na co zwrócić uwagę podczas operacji. Które grupy mięśni muszą zostać odcięte i zespolone z innymi. Zebrani notowali pilnie – ewidentnie przygotowywali się do jutrzejszego zabiegu. Rozdzielali zadania, omawiali szczegóły. Zadawali ostatnie pytania i doktor Paweł zrozumiał, że wszyscy już od dawna szykują się do wykonania konkretnej operacji, a całe wprowadzenie do tematu gość wygłosił tylko dla niego. Poczuli

się trochę zażenowany.

Włoch puścił też drugi film. Przedstawiał pacjenta przed operacją, przebieg najważniejszych etapów zabiegu, gojenie się ran i rehabilitację.

Skórzewskiego aż zaświerzbily palce, ale rozumiał, że ze swoim marniejącym wzrokiem i drżącymi dłońmi nie będzie mógł nawet asystować w pionierskim doświadczeniu. Gdyby chociaż mógł podawać skalpele operującym, poczuć, że uczestniczy...

– Szkoda – westchnął. Dużo by dał, żeby być choć ze trzydzieści lat młodszy... Ale przynajmniej oni skorzystają.

Wykład i wyznaczanie zadań trwały jeszcze dobre pięćdziesiąt minut, ale stary lekarz nie nudził się ani przez chwilę. Zrozumiał też aurę szacunku otaczającą przybysza. Każde zdanie padające z jego ust, każda odpowiedź na pytania wskazywały na nieprawdopodobną wręcz wiedzę.

Taki młody, myślał stary lekarz. Kiedy zdążył się tego wszystkiego nauczyć? Geniusz, prawdziwy geniusz... Ciekawe tylko, jak radzi sobie ze skalpelem. Podbudowa teoretyczna to jedno, a umiejętności praktyczne zupełnie co innego.

Wykład dobiegł końca. Włoch zęgnął się z zebranymi. Podszedł też do Skórzewskiego.

– Panie doktorze, czy zechce mi pan uczynić tę przyjemność i przyjdzie jutro zobaczyć choć jedną z trzech zaplanowanych operacji? – Skłonił głowę.

– Z najwyższą przyjemnością. Proszę jednak powiedzieć, skąd mnie pan zna? Nie mogę sobie przypomnieć, abyśmy kiedykolwiek się spotkali...

– Czytałem pańskie artykuły o antagonizmie pomiędzy bakteriami i pleśniami oraz o wynikach pańskich doświadczeń nad *Penicillium glaucum*, prowadzonych przed rewolucją w Petersburgu. Fascynująca lektura, niestety, przeszła jakoś bez echa. A szkoda, doprawdy wielka szkoda.

– Próbowałem tylko rozwinąć doświadczenia Ernesta Duchesne'a. Niestety, wybuchła ta idiotyczna wojna i skierowano mnie na front. Asystenci kontynuowali prace, wyniki były całkiem obiecujące, ale gdy bolszewicy doszli do władzy, moi podwładni zostali zamordowani, a laboratorium zniszczono. Wróciłem do Petersburga, by spróbować uratować choć dokumentację, ale znalazłem tylko stosy popiołu. Wszystko przepadło. Nigdy potem nie udało mi się zebrać dość pieniędzy, by powtórzyć doświadczenia, choćby na znacznie skromniejszą skalę... Jutro o dziesiątej?

– Tak. Ale może pan zająć także później. Zamierzam przeprowadzić operacje na trzech pacjentach, obliczam, że każda potrwa około czterech godzin. Niestety, już pojutrze muszę wyjechać, więc nie będę świadkiem rekonwalescencji. Wzywa mnie, jak to mówią, siła wyższa...

– Rozumiem – westchnął Skórzewski.

*

Sala operacyjna była pełna ludzi. Wokół stołu stało czterech wyznaczonych do pomocy chirurgów, kolejnych czterech miało podawać narzędzia i przy okazji obserwować z bliska przebieg operacji. Członkowie trzech kolejnych zespołów ustawili się pod ścianami tak, by nie ograniczać kolegom swobody ruchów.

Młody Włoch operował mistrzowsko. Skórzewski, obserwujący pole operacyjne dzięki zawieszonym nad stołem zwierciadłom, z trudem powstrzymał opadającą ze zdumienia szczękę. Brał udział w wielu operacjach. Asystował setkom lekarzy. Sam wiele razy chwycił za skalpel. Na froncie w warunkach polowych w szaleńczym tempie przeprowadzał niezwykle skomplikowane i śmiertelnie ryzykowne zabiegi. Ale czegoś podobnego nie widział nigdy wcześniej. Leonardo

przypominał pianistę dającego koncert. Niemal jednocześnie rozdzielał tkanę, szył, dyrygował asystującymi mu chirurgami i cały czas dawał obszerny wykład, w prostych słowach dokładnie tłumacząc każdy wykonywany ruch. Do tego wszystkiego miał fantastyczny sceniczny głos i dykcję. Nawet przez maskę każde słowo brzmiało wyraźnie. Łacina spływająca z jego ust wręcz pieściła uszy staruszka.

Powinni zatrzymać go w Polsce, pomyślał Skórzewski. Zaoferować pałac, harem, limuzynę z kierowcą, order, jakie sobie tylko zażyczy, i każde pieniądze, byle tylko zechciał zostać u nas na stałe.

Szew, którym Włoch połączył płyty skóry, był misterny niczym drobny haft. Leonardo skończył i ukłonił się zebranym. Ściągnął rękawiczki, sięgnął po nową parę. Spojrzał na zegarek.

– Dziękuję, panowie, i poproszę drugi zespół. Zajmiemy się drugą ręką.

– Nie robi pan przerwy, doktorze? – zdumiał się jeden z profesorów.

– Szkoda czasu, wszak pacjent jest nadal w narkozie, a mamy napięty plan pracy. Zgodnie z harmonogramem przeprowadzimy dziś w sumie sześć zabiegów...

Przez tłum zebranych przebiegł szmer zdumionych szeptów.

– Ale miały być tylko trzy? – bąknął jeden ze studentów.

– Młody człowieku, każdy z naszych pacjentów ma przecież po dwie ręce wymagające zoperowania – roześmiał się Leonardo. – Gotowi?

Jego spojrzenie skrzyżowało się ze zdumionym wzrokiem Skórzewskiego. Gość z Italii żartobliwie zasalutował staremu lekarzowi skalpelem i przeszedłszy na drugą stronę stołu operacyjnego, znów zabrał się do pracy. Doktor Paweł obserwował kolejny zabieg i jeszcze następny, ale zmęczenie wzięło górę... Plecy odzywały się coraz silniejszym bólem. Wycofał się z sali, przebrał. Pielęgniarki zaparzyły mu mocnej,

aromatycznej kawy. Wypił i zagryzł pralinką od Wedla. Ból pleców osłabł, ale nadal dokuczał. Staruszek poszedł do gabinetu ordynatora i korzystając, że nikogo tam nie ma, z ulgą wyciągnął się na obitej skórą leżance.

Poleżę kwadrans i wrócę tam do nich, postanowił. Nie co dzień widzi się tak wspaniały pokaz chirurgicznego kunsztu... Iście nadludzkich umiejętności...

*

Ocknął się i jak zwykle natychmiast wrócił do pełnej świadomości. Kiedy spał, ktoś troskliwie nakrył go pledem. Uświadomił sobie z żalem, że zasnął.. Nad Warszawą wstawał już wilgotny i mglisty wiosenny świt. W oddali, gdzieś przy alejach Jerozolimskich, zazgrzytał na szynach pierwszy tramwaj. Robotnicy ruszali do fabryk, subiekci do sklepów...

Skórzewski wstał. Wiedział, że już nie zaśnie. Wezwać taksówkę i wracać do domu na Wolę? Po co? Umyć może się przecież w szpitalu. Śniadanie też dostanie... Świeżą koszulę ma w swojej szafce. Wyszedł na korytarz. Szpital spał, ale przecież w budynku byli tacy, którzy czuwali. Mógł zająć do lekarza dyżurnego i pogadać. Albo poflirtować z pielęgniarkami. Albo iść do biblioteki i poczytać. Albo... albo zrobić coś pożytecznego. Poszedł na portiernię i wziął z szafki odpowiedni klucz.

Podzwaniając metalowym kółkiem, powędrował do prosektorium urządzonego w piwnicy. Musiał poukładać sobie w głowie wrażenia z tego niezwykłego dnia. Najlepiej robi to podczas pracy. Na stalowym blacie spoczywały zwłoki. Stary lekarz przejrzał przygotowaną dokumentację. Zmarły w szpitalu pacjent zapisał swoje zwłoki do celów naukowych. Dyrektor przygotował długą listę tkanek i narządów, które warto pozyskać do kolekcji dydaktycznej Akademii Medycznej. Staruszek

podniósł prześcieradło, odsłaniając zwłoki.

– Dzień dobry. Doktor Paweł Skórzewski – wedle starej tradycji przedstawił się nieboszczykowi. – Dziękuję za pańską zgodę na przekazanie ciała. Zgodnie ze zwyczajem oddzielnie otrzyma pan listy z podziękowaniami napisane przez studentów, którzy będą pogłębiali wiedzę, studiując budowę pańskich narządów. Za stary już jestem, by móc bez znacznego ryzyka operować na żywym organizmie. – Westchnął. – Ale gdy ręka mi zadrży albo popełnię błąd, panu już nic z mojej strony nie grozi. Tak jeszcze mogę pomóc młodym lekarzom, którzy przyjdą po nas...

W tym momencie usłyszał kroki na schodach. Uniósł zaskoczony brwi. W wejściu do prosektorium stał włoski lekarz Leonardo. Nieoczekiwany gość trzymał w dłoni elegancką skórzaną walizkę, przez ramię przerzucił płaszcz podróżny.

– Starzeję się – mruknął pod nosem Skórzewski. – Byłem pewien, że zamknąłem na klucz...

Dyskretnie przekręcił gałkę laski, gotów jednym ruchem wyszarpnąć ukrytą klingę.

– Zaszedłem tylko na chwilę pożegnać się. Zeszło mi trochę dłużej, niż sądziłem. Operowałem bez przerwy ponad szesnaście godzin. Ale dzięki temu macie cztery zespoły, którym pokazałem i wytłumaczyłem, jak się to robi. Samodzielne operacje i dalsze doskonalenie metod jest już w waszych rękach.

– Żyję od bardzo dawna – westchnął Skórzewski – i widywałem w życiu różne rzeczy, ale...

– Z pewnością zetknął się pan z wieloma nietypowymi przypadkami medycznymi i samodzielnie przeprowadził niejedną skomplikowany zabieg. – Przybysz z szacunkiem skłonił głowę.

Ich spojrzenia skrzyżowały się nad stołem sekcyjnym. W źrenicach Włocha połyskiwały figlarne iskierki. Staruszek, korzystając z tego, że blat zasłania jego dłoń, wysunął z laski kawałek posrebrzonej klingi.

Zdążę go dziabnąć czy nie? – pomyślał.

– Nie zdąży pan, ale proszę się nie obawiać. Nie będzie takiej potrzeby – Leonardo odpowiedział na zadane w myślach pytanie.

Tym razem przemówił po polsku. W jego głosie nie było nawet śladu obcego akcentu. Skórzewski łypnął na niego podejrzliwie, a potem wsunął klingę na miejsce.

– Patrzę na medycynę, na jej rozwój i wydaje mi się, że moja droga kończy się u progu złotego okresu rozwoju tej nauki. Kikut Krukenberga to niewątpliwie ogromny krok naprzód... – powiedział w zadumie. – Ale chyba nie ostatni?

– To tylko mały kroczek, częściowe przywrócenie chorym sprawności w zakresie codziennego funkcjonowania, a zarazem też godności. Kalectwo, zdanie na łaskę innych degraduje... To pewien etap, tak jak wymyślone w średniowieczu haki, które tak chętnie eksponowane są na ilustracjach książek o piratach. Na razie ludzie nie potrafią zrobić nic lepszego niż te krabie szczypce, ale przyjdzie czas, gdy nauka opanuje tworzenie działających protez mechanicznych, sterowanych myślą, a potem zaczną się odtwarzać w całości brakujące kończyny i narządy. To przyszłość, niedaleka, odległa może o sto lat. Jednak nie o tym chciał pan porozmawiać. – Jasne oczy spojrzały badawczo.

– Chciałem, ha?

– Od chwili, gdy pańskie podejrzenia wystarczająco się skryształizowały.

– Widywałem w życiu różne rzeczy – powtórzył Skórzewski. – Zetknąłem się też z tym, co można nazwać dotknięciem nieznanego. Ze śladami lub manifestacjami istot, które pozostając w cieniu, żywią się strachem i cierpieniem. Życie i śmierć pozostają w pewnej równowadze. Tak na logikę biorąc, obok sił, które chcą nas wyniszczyć, powinny manifestować się czasem siły dobra służące nam pomocą. Jednak aż do wczoraj ich istnienie pozostawało dla mnie jedynie w sferze hipotez. Ilekroć

ścierałem się z nienazwanym, robiłem to sam lub z pomocą przyjaciół.

– Może zatem pomoc sił wyższych nie była panu potrzebna? – Wargi gościa wygięły się w przyjaznym uśmiechu.

– A tam, gdzie byłem bezsilny?

– Człowiek ogarnia rozumem tylko niewielki wycinek planu. Widzi cegły pochodzące z jednego muru. Rozsypane. Nie potrafi wyobrazić sobie całej struktury. Pańskie drugie pytanie? – Włoch przechylił pytająco głowę.

– Moje doświadczenia z *Penicillium glaucum*?

– Na przestrzeni ubiegłego stulecia ludzkość była co najmniej sześć razy na dobrym tropie, niestety, sploty nieszczęśliwych wypadków, zniechęcenie, czasem zawiść i głupota zawsze krzyżowały wasze drogi. Był pan niezwykle blisko wyizolowania poszukiwanego czynnika... Nie udawało się, bo jego stężenie okazało się zbyt niskie. Trzeba było użyć *Penicillium notatum*.

– Myślałem o tym – mruknął stary doktor. – Czyli po prostu źle wybrałem...

– Tak. Ale podziwiam, że nie zniechęcił się pan. Że walczył pan z przeszkodami, trudnościami.

– Oni...

– Owszem. To taka... wojna. Ale proszę się nie przejmować, szala już się przechyliła. W Anglii właśnie podjęto eksperymenty, zarzucone przed kilku laty przez niejakiego Fleminga. Przyszli młodzi, ambitni ludzie. Przeczytali jego prace. Przeczytali prace kilku innych lekarzy, którzy przed laty doszli do podobnych wniosków. Odszukali na strychu porzucone słoje z kulturami pleśni. Namówili naukowca, żeby porzucił badania nad enzymami mającymi rzekomo przenosić wrażenia węchowe. I zasiedli do wspólnego kontynuowania doświadczeń. Właśnie teraz pracują nad wyizolowaniem krystalicznej penicyliny.

– Czyli...

– Tym razem się uda. Nim upłynie dekada, lek, którego

istnienie przewidział nieszczęsny Ernest Duchesne, będzie dostępny w aptekach. Przepraszam, czas na mnie. – Leonardo spojrział na zegarek i wskazał schody. – Gdyby chciał mi pan towarzyszyć, jest taka możliwość. – Uprzejmym gestem wyciągnął dłoń.

Zapraszał. Stary lekarz poczuł chłód na karku. I zarazem opanowała go dziwna ochota, by machnąć już ręką na wszystko.

– Jeśli zechcę... Ale... nie muszę?

– Nie, jeszcze nie.

– W takim razie wolę zostać i jeszcze popracować. – Wskazał zwłoki. – Moja wiedza jeszcze jest tu potrzebna...

– Rozumiem i nie nalegam. Proszę tylko zapamiętać: nigdy nie był pan sam. W każdej chwili obserwowały pana czyjeś oczy. Czasem spoglądały na pana te wrogie. Ale te przyjazne patrzyły zawsze i z uznaniem. Mam też dla pana coś w prezencie, a może raczej na pamiątkę.



© Fabryka Słów

Leonardo postawił na biurku stojącym obok drzwi małą, szarą papierową torebkę, o rozmiar mniejszą niż taka, w której kupuje się czereśnie. Stuknęła o drewniany blat cicho, lecz wyraźnie, jakby wewnątrz było coś ciężkiego.

– Dziękuję – bąknął lekarz, zaskoczony.

Obcy uśmiechnął się raz jeszcze i skinął głową na pożegnanie. Skórzewski przez chwilę patrzył, jak nieznajomy wspina się po schodach, a gdy tamten znikł, westchnął i podszedł do stołu, żeby zobaczyć zawartość torebki.

Wewnątrz leżała gruba ołowiana jezydzka kula, przypominająca wielkością i kształtem przepiórcze jajo. Lekarz patrzył na nią przez chwilę, nie rozumiejąc, o co chodzi, a potem zaczerpnął głęboko powietrza. Tak głęboko, jak nie udawało mu się od lat. Nie mylił się – kłujący ból pod łopatką przestał dokuczać. Nadal słyszał echo kroków zagadkowego gościa.

– A mówili, że nigdy już nie da się jej usunąć. – Stary lekarz uśmiechnął się pod wąsem. – Dziękuję – rzucił w przestrzeń.

– Nie ma za co – dobiegło gdzieś ze schodów, jakby przybysz był tuż obok. – Do zobaczenia. Za jakiś czas... – Tym razem dla odmiany Skórzewskiemu wydało się, że słowa dochodzą już z bardzo daleka.

– Za jakiś czas... – powtórzył w zadumie.

Ujął w dłoń skalpel i podszedł do stołu.

– No cóż, przyjacielu – powiedział z westchnieniem do nieboszczyka. – Zakładam, że ta wizyta nie była przypadkowa i że ty już skorzystałeś z nadarzającej się sposobności, by pójść razem z nim... Nie obrazisz się zatem, jeśli twoje niepotrzebne, porzucone ciało posłuży zdobyciu wiedzy niezbędnej do ratowania tych, którzy powinni jeszcze tu pozostać.

Samobójstwo na Maślicach

Gebel-al-Zahiri, 1906



Auto inspektora Służby Starożytności wzbilo widoczne z daleka kłęby kurzu. Inżynier Karl Lanitzki wyszedł przed namiot. Ze szczytu wzgórza miał świetny widok na całą okolicę. Daleko na wschodzie ciemniejszą kreską rysowała się dolina Nilu. Gdzieś na zachodzie leżał ich cel – oaza Fajum. Nasyp przyszłej linii kolejowej biegł prosto jak strzeł. Niemiec przez chwilę obserwował najeżdżający pojazd, potem przeniósł spojrzenie na plac budowy. Robotnicy ominęli feralne miejsce, ubijali teraz tłuczeń kilkaset metrów dalej.

– Będzie z tego najwyżej kilka godzin opóźnienia – mruknął, patrząc na zegarek.

Południe dawno już minęło, ale duszny upał nie zelżał nawet odrobinę. Lanitzki zwilżył chustkę wodą z dzbanka, okrył nią głowę, założył hełm korkowy i ruszył na spotkanie gościa.

Na miejsce dotarli niemal jednocześnie.

– Witam, panie Lanitzki. – Wysoki, szczupły Anglik kordialnie uścisnął dłoń gospodarza. – Co też się stało, że mnie pan wezwał?

– Mamy znalezisko. W czasie plantowania terenu pod torowisko pod jednym z moich pracowników zarwał się kawałek gruntu. To chyba grobowiec...

Poprowadził gościa na miejsce. Znalezisko nakryte zostało plandeką. Gdy Anglik uniósł brezent, jego oczom ukazała się nieregularna dziura w ziemi. Nacisk wyłamał kilka marnych cegieł z suszonej gliny.

– Coś w rodzaju małej krypty, nakrytej łukowatym przesklepieniem – ocenił.

– Powiedziałbym, że to stary piec, ale wewnątrz jest mumia – wyjaśnił inżynier.

Inspektor wyjął z torby latarkę i położywszy się na brzuchu, poświecił do wnętrza.

– Kartonąż z tektury papierusowej zamiast maski, portret trumienny przywiązany na wierzchu bandażami – ocenił. – Robota prowincjonalnego warsztatu z oazy Fajum. Okres wpływów rzymskich, albo i wczesnochrześcijański. Szczerze powiedziawszy, nic ciekawego.

– Szkoda – zafrasował się Niemiec.

– Znajduje się takich grobów całe setki, zazwyczaj nawet nie zabieramy z nich nic do muzeum, tylko zakopujemy zwłoki w ustronnych miejscach. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu Arabowie palili takimi mumiami w piecach.

– Czyli rzecz bez większej wartości?

– Przenieście nieboszczyka kilkadziesiąt metrów w bok, zakopcie głęboko i niech spoczywa w pokoju.

Nachylił się i wydobył gliniane naczynie, stojące obok mumii. Wewnątrz tkwiły ciasno zwinięte rolki papirusu.

– Koszmarne kulfony, i to po grecku – skwitował, oglądając jeden ze zwojów.

Inżynier zamyslił się na chwilę.

– Miałbym propozycję – rzucił.

– Tak?

– Gdybym wydobył mumię... czy dostałbym zgodę na wywiezienie jej z Egiptu?

– A na cóż to panu? – zdumiał się Anglik. – Muzeum Kairskie wyprzedaje znacznie ciekawsze i poręczniejsze w transporcie eksponaty. Za kilkaset funtów można zebrać naprawdę przyzwoitą kolekcję starożytnych przedmiotów.

– Pomyślałem o muzeum w moim rodzinnym Breslau –

wyjaśnił Niemiec. – Gromadzą rozmaite kurioza. Zawszeć to egipska mumia sprzed dwu tysięcy lat. Jeśli wam jest zbędna...

– Załatwimy papiery niemal od ręki. – Inspektor wzruszył ramionami. – Ale to naprawdę nic, co byłoby warte takiego zachodu...

– Czy przyślą panowie jakiegoś archeologa, żeby wyeksplorować znalezisko?

– Proszę to zrobić we własnym zakresie. Nasi ludzie są zbyt zajęci. Ogrom zadań, które przed nami postawiono...

Niemiec już go nie słuchał. Planował prace. Trzeba będzie wsunąć do środka kilka desek i dopiero rozebrać do reszty strop. Lepiej, żeby żadna z cegieł nie spadła na kartonaz. Mumię zawinie się w brezent, rogożę, umieści się w drewnianej skrzyni i zabezpieczy wiórami. Do Europy najlepiej wyekspediować ją którymś z niemieckich okrętów handlowych, a potem koleją do Breslau. W ciągu dwu, najdalej trzech tygodni znalezisko powinno dotrzeć bezpiecznie do muzeum.

*

Nasz korespondent w Egipcie donosi, iż dokonał wizytacji prac nad linią kolejową, która w przyszłości połączyć ma dolinę Nilu z oazą Fajum. Budową kieruje nasz krajan, inżynier Karl Lanitzki, pochodzący z Breslau i wykształcony wszechstronnie w naszym instytucie politechnicznym. Budowa nasypów i kładzenie torów posuwają się ściśle wedle harmonogramu. Praca w tak trudnym terenie niesie jednak liczne niespodzianki. Przed kilku dniami w trakcie plantowania terenu robotnicy nieoczekiwanie natrafili na niewielką kryptę wymurowaną z cegieł, mieszczącą w sobie grobowiec z okresu panowania rzymskiego. Z wyposażenia pozostało niewiele, grób ograbiono jeszcze w starożytności. Złodzieje pozostawili jednak na miejscu mumię i dwa gliniane

dzbany, wypełnione zwiniętymi ciasno papirusami. Po przewiezieniu znalezisk do Kairu uczeni, przestudiowawszy napisy na kartonażu, orzekli, iż mumia należy do Lukrecji, córki rzymskiego celnika i Egipcjanki. Ze wzmianek w papirusach antycznych znajdujących w Antinoopolis wiemy, iż panna, nieźle jak na ową epokę wykształcona, podczas kilkuletniego pobytu w tym mieście prowadziła dom otwarty i organizowała liczne spotkania miejscowej elity, na których w kameralnym gronie wystawiano greckie tragedie, a gwoździem programu były popisy, w trakcie których gospodyni odczytywała swoje wiersze. O poezjach tych uczestnicy wyrażali się w swych listach nader ironicznie. My jednak mniemamy, iż utwory, które wyszły spod jej pióra, mogą być zawarte w znalezionych papirusach, co po odczytaniu umożliwi nam wydanie własnego osądu. Inżynier Lanitzki czyni obecnie starania u władz egipskich, by to niezwykle znalezisko sprowadzić do naszego miasta.

„Der Breslauer Beobachter”, 7 XI 1906

Wrocław, 2008

Młody mężczyzna, ciężko wsparty na lasce, stanął przy furcie klasztoru Dominikanów. Prędkość była zimna, jakby wiosna, bujnie już rozkwitająca nad Wrocławiem, z nieznanych przyczyn zatrzymała się na zewnątrz murów sanktuarium. Zgrzytnęła odsuwana kłapa i przybysza uważnie zlustrowały szare oczy furtiana.

– Szczęść Boże. Paweł Nowak – przedstawił się mężczyzna zakonnikowi strzegącemu wejścia. – Ojciec Damian wyznaczył mi spotkanie.

– Szczęść Boże. Zostaliśmy uprzedzeni, proszę wejść. Jeden z braci zaraz zaprowadzi pana na miejsce.

Chwilę później Nowak kuśtykał już wysoko sklepionym korytarzem. Zakonnik przysłał mu mejla z prośbą o spotkanie. Paweł nie miał pojęcia, co mogło być powodem tego zaproszenia. Ojca Damiana poznał jeszcze w liceum. Chudy jak szczapa, wesoły staruszek zastąpił wiecznie znudzoną, opryskliwą katechetkę. Bardzo szybko zdobył szacunek nawet najbardziej zapiekłych klasowych antyklerykałów i niedzielnych ateistów. Teraz, widząc go w drzwiach klasztornej celi, Paweł mógł przekonać się, że mimo upływu kilkunastu lat ojciec Damian nic a nic się nie zmienił.

– Witaj. – Zakonnik gestem zaprosił gościa do środka.

Paweł pokuśtykał do fotela. Rozejrzył się dyskretnie. Cella urządzona była niezwykle skromnie, nawet ascetycznie. Żelazne łóżko z cienkim siennikiem nakryte szarym kocem, stolik, pulpit do czytania, po złożeniu siedzenia mogący służyć jako klęcznik. Do tego szafka, półka nad łóżkiem, na niej brewiarz i dwie inne książki. Samotne krzesło i szafa na ubrania.

A czego niby można spodziewać się w klasztorze? – przemknęło mu przez głowę.

– Dobrze cię widzieć, Pawełku. – Mnich przysiadł na krześle. – Ile to już lat minęło od matury?

– Dwanaście.

– Ależ ten czas leci...

– Ojciec wzywał? – zażartował gość.

Zawsze tak meldowali mu się w liceum. Przez twarz zakonnika przebiegł lekki uśmiech.

– Pozwoliłem sobie niepokoić cię, bo jesteś jedynym znanym mi policjantem – powiedział poważnie.

– Khm... Tylko że ja... – zaczął Nowak – długo się nie nasłużyłem... – Wskazał nogę.

– Wiem. Cóż robić, życie czasem płata figle. Taki pech...

– Ja tam wolę mówić o szczęściu. Po pierwsze, ten idiota strzelał naprawdę kiepsko. Celował mi w brzuch, a trafił

w kolano... Po drugie, miał wielką spluwę. Kaliber dziewięć milimetrów, spiłowany czubek. A jednak nogę udało się uratować. Po pół roku nawet zacząłem kuśtykać o kulach. Tylko z czynną służbą musiałem się pożegnać.

– Niemniej jednak pomyślałem, że tylko ty możesz mi pomóc w pewnej zawilej sprawie.

– Z policją mam tyle wspólnego, że po uzupełnieniu studiów z psychologii i socjologii pracuję na zlecenie Komendy Wojewódzkiej przy opracowywaniu programów prewencyjnych – wyjaśnił Paweł. – Oficjalnie się tak mówi, bo głównie siedzę w archiwum i wklepuję akta w komputer.

– Pawełku, nie obchodzi mnie, czy chodzisz po domu w mundurze, czy nie. Skończyłeś szkołę policyjną, otarłeś się o policyjną robotę. Znaczą coś tam umiesz, a jak czegoś nie wiesz, masz kumpli, których możesz zapytać.

– No, niby tak...

– Potrzebuję twojej wiedzy – powiedział zakonnik.

– Jestem zatem do dyspozycji. Na miarę moich raczej miernych umiejętności...

– Potrzebuję kogoś łąbskiego, kto w wolnych chwilach powęszyłby przy pewnej paskudnej sprawie. Chodzi o mojego krewniaka. Nie żyje. Prawdopodobnie popełnił samobójstwo, ale... Dziwnie to wygląda. Mam wątpliwości. A jeśli zrobił to sam, chciałbym poznać prawdziwe powody.

– Rozumiem. A co ustaliła policja?

– Nic sensownego nie ustalili. Sprawa zamknięta albo prawie zamknięta. A prywatnych detektywów nie chcę w to mieszać. Do ciebie mam zaufanie.

– Byłem w drogówce – zastrzegł Nowak. – Prosty krawężnik od lepienia mandatów i odwożenia pijaczków do izby wytrzeźwień. Jeśli fachowcy od spraw kryminalnych nie zdołali niczego się dowiedzieć...

– Proszę po prostu, żebyś, jak to mówią, rzucił na sprawę

świeżym okiem.

– Proszę zatem opowiedzieć, co ojciec wie. – Paweł wygrzebał z torby notes i długopis.

– Robert był moim krewnym. Taka dziesiąta woda po kisielu. Siostra mojej prababki wyszła za carskiego oficera. To było jeszcze przed pierwszą wojną światową. Cała rodzina zerwała z nią kontakt. Dziewczyna została też wydziedziczona. Wiesz, jak to bywało, mezalians potworny. Prapradziadek walczył w powstaniu styczniowym, zesłali go za to nad Bajkał, a tu córka taki numer wycięła...

– Rozumiem – kiwnął głową policyjny archiwista.

– Mnie kilka lat temu jakoś naszło i zacząłem grzebać w historii rodziny. I pomyślałem, że może znajdę różnych krewnych, którzy rozjechali się po świecie. Nie powiem, powiodło się. Natrafiłem też na tamtą gałąź. Minęło mnóstwo czasu. Dawne wybory i dylematy straciły na znaczeniu. Chciałem naprawić to, co kiedyś pękło. Znałem nazwisko, wiedziałem mniej więcej, gdzie szukać. Popisałem do proboszczów, pogrzebali w księgach. No i z czasem dowiedziałem się wszystkiego. Nie będę cię zanudzał. – Uniósł dłoń. – Dość, że matka Roberta urodziła go jako panińskie dziecko, ojciec był nieznany. Rozrywkowa kobieta. Zapiła się na śmierć, gdy był jeszcze mały. Trafił do domu dziecka. Gdy go odnalazłem, miał siedemnaście lat. Myślał, że jest na świecie zupełnie sam, a tu taka niespodzianka... Wujek się znalazł. I fart taki, że obu nas rzuciło tu, do Wrocławia. Choć jako zakonnik powinienem powiedzieć raczej, że to nie szczęście, lecz palec Boży.

– Jak układały się te kontakty?

– Najpierw był nieufny, zamknięty. Normalne... Potem troszkę się otworzył. Pasjonował go Egipt. Chciałem mu jakoś pomóc, w końcu krewny. Wymawiał się. Nie chciał pieniędzy, poprosił tylko, żeby mu sfinansować kursy angielskiego i greki.

– Greki? – zdumiał się gość.

– Faktycznie, to dość nietypowe zainteresowanie w dzisiejszych czasach... Znalazłem znajomego księdza z parafii Chrystusa Króla, który dobrze znał ten język, i skontaktowałem ich. Uczył się z ogromnym zapałem. Załatwiłem mu też przeniesienie do nieco lepszej szkoły. Zaraz po maturze pojechał na cztery miesiące do Niemiec, pracował na jakichś budowach. Wrócił i poszedł na studia.

– Archeologia?

– Nie. Chemia. Tu, na uniwersytecie.

– Taki paskudny szary wieżowiec – przypomniał sobie Paweł.

– No właśnie. Mówił, że to konkretny zawód, a pasję może przecież kontynuować, robiąc archeologom ekspertyzy chemiczne. Odwiedzał mnie czasem i mejle pisał. Znałem jego numer konta, więc co miesiąc posyłałem mu po tysiąc złotych. Zawsze dziękował, ale... Jak by to powiedzieć...

– Wstydział się brać te pieniądze?

– Otóż to. I, głupio to zabrzmiało, przesyłał mi sprawozdania, na co to wydał.. Całe listy kupionych książek. Rozliczał się co do grosza. Byłem u niego na stacji. Bida z nędzą, ale księgozbiór naukowy taki, że naszą klasztorną bibliotekę by zawstydział. Aż miałem ochotę powiedzieć mu: *carpe diem*, smarkaczu! Młody jesteś, dzieciaku. Zaszalej choć raz. Jedź gdzieś. Wiem, może dziwne są takie słowa w ustach duchownego, ale... My wybieramy życie w prostocie i celibat, a odnosiłem wrażenie, jakby...

– Jakby to celibat wybrał jego? – gość wszedł w słowo zakonnikowi.

– Żył jak mnich. Ale to nie był jego wybór. Wydawało mi się, że tęskni za miłością. Za uczuciem do kobiety...

– Wspominał o jakichś przyjaciółkach?

– Nie. Tylko podczas ostatniej wizyty powiedział, że natknął się na wiersze dziewczyny, którą chciałby kiedyś poznać. A potem dowiedziałem się, że... – Ojciec Damian urwał i zamyślił się.

Milczeli obaj. Paweł mógł tylko się domyślić, jak trudna była dla starego ta sytuacja. Odnalazł krewnego w potrzebie, pomagał mu wyjść na ludzi, wydawało się, że teraz sprawy się ułożą, i nagle wszystko prysło jak mydlana bańka.

– Podejrzewa ojciec morderstwo? – zapytał delikatnie.

– Nie wiem – westchnął duchowny. – Jeśli to samobójstwo, to bardzo dziwne.

– Sposób? – zapytał Paweł i zaraz surowo zganił się w myślach za brak taktu, ale staruszek jakby nie zauważył niezamierzonego grubiaństwa.

– Z tego, co wiem, znaleziono jego zwłoki w stanie daleko posuniętego odwodnienia. Były wręcz częściowo zmumifikowane.

– Rozumiem – powiedział Paweł ostrożnie, choć na razie nie rozumiał z tego zupełnie nic.

– To nie wszystko.

– Co jeszcze się stało?

– Chciałem go godnie pogrzebać. Niestety, nie będzie grobu, bo już następnego dnia ktoś wykradł ciało. Zapisalem na kartce to, co zdołałem ustalić. Kto prowadził sprawę, nazwisko współlokatora, który znalazł zwłoki, adres domu dziecka, w którym mieszkał, liceum, do którego chodził. Węsz, ryj, szukaj...

Położył na brzegu stołu wypchną kopertę.

– Niech ojciec to natychmiast schowa, bo się obrażę! – warknął Paweł.

– Na koszty.

– Ręka by mi uschła! Poza tym, jakie tam koszty. Bilet na autobus mam miesięczny, a w abonamencie setki darmowych minut.

Budynek Komendy Wojewódzkiej Policji sprawiał na petentach paskudne wrażenie. Wielki, ciężki gmach, kwintesencja monumentalnej pruskiej architektury. Brzydki, funkcjonalny. Długie korytarze, zdobione kamiennymi płytami, echo kroków, labirynt wewnętrznych dziedzińców. Paweł, choć pracował tu już dwanaście lat, czasem jeszcze gubił się, wędrując ze skrzydła do skrzydła. Kuśtykając o lasce, pokonał tę samą codzienną trasę od portierni do archiwum. Zaparzył sobie mocnej kawy i dopiero gdy kofeina na dobre połączyła się z krwiobiegiem, rozpoczął poszukiwania odpowiedniej sygnatury. Sprawa Roberta Nalibockiego faktycznie została zamknięta i dwa tygodnie temu przekazano materiały do archiwum.

– I co niby mogę znaleźć? – westchnął. Przecież fachowcy nad tym siedzieli... Ale pomoc trzeba.

Wpisał numery akt w tablet i zstąpił do betonowych kazamat magazynów. Regały ciągnące się w nieskończoność, woń starego papieru, stęchlizny i pleśni... Tysiące zakurzonych teczek.

Archiwista westchnął ciężko na myśl, co kryją te papiery.

Tu jak w soczewce skupiało się całe zło popełnione we Wrocławiu przez ostatnie półtora wieku. Zbrodnie, włamania, tragiczne wypadki, malwersacje... Czytając te materiały, można było zwątpić we wszystko.

Wyciągnął cienką teczkę z metalowego regału. Wróciwszy do swej kanciapy, rzucił ją na stolik i rozsypał sznurki. Wewnątrz było tylko kilka kartek. Zapalił mocniejszą lampę.

Student chemii został znaleziony przez współlokatora w wynajmowanym wspólnie mieszkaniu. Powiesił się w łazience. Właściwie nie powiesił, a podwiesił, przeciągając parcianą taśmę pod pachami. Wcześniej przy użyciu kroplówki zaprawił się jakimś straszliwym zajzajerem, prawdopodobnie własnej produkcji. Preparat wypalił mu wnętrzności i spowodował odwodnienie i wręcz wyschnięcie zwłok. Do tego spryciarz uruchomił elektryczne ogrzewanie podłogowe, puścił

wentylator, zostawił włączony na minimum grzejnik olejowy. Ciepłe powietrze owiewało go przez dobry tydzień. Do raportów dołączono zdjęcia. Wyglądały dość makabrycznie. Student nie pomyślał o podwiązaniu dolnej szczęki, więc rozdziawione usta wyglądały jak czarna dziura...

Archiwista odepchnął od siebie teczkę i opadł na oparcie fotela. Popatrzył w sufit, pokryty delikatną pajęczynką spękań. Grzebał w pamięci, szukając informacji. Wiele ludów na przestrzeni ostatnich tysiącleci stosowało mumifikację zwłok. Istniały dziesiątki sposobów konserwacji ciała. Tyle tylko, że we wszystkich przypadkach wymagało to współdziałania przeszkolonego personelu. Kapłanów, szamanów, balsamistów... Czytał coś kiedyś o praktykach stosowanych na Dalekim Wschodzie. W Indiach czy może w Chinach wymyślono, jak zrobić z siebie mumię samodzielnie. Nie bardzo już pamiętał, ale wymagało to kilkuletniego stosowania rygorystycznej diety. To nie ten przypadek.

Pasjonował się starożytnym Egiptem i zrobił z siebie mumię. To też jakby pasowało. Tylko po jaką cholere? Paweł zapatrzył się dla odmiany w fusy na dnie filiżanki, jakby tam kryło się rozwiązanie.

Przez kolejny kwadrans przeglądał papiery z wierzchu teczki. Przyczyna śmierci ustalona na podstawie sekcji – rozległe zniszczenie wszystkich możliwych narządów wewnętrznych, zatrzymanie krążenia wskutek blokady naczyń włosowatych skrzepami, jednoczesny zawał serca, udar mózgu, zniszczenie rdzenia kręgowego i tak dalej. Próby analizy chemicznej zwłok wykazały obecność kwasów, zasad, substancji alkalicznych. Wzory chemiczne tego, co wyodrębniono, zajmowały sześć stron maszynopisu. Wedle ustaleń niewielką część chemikaliów student mógł podprowadzić z uczelni, ale reszta pochodziła z nieustalonego źródła. Oczywiście większość tych substancji nie występowała w obrocie detalicznym. Papiery kończyły się

wnioskiem o zamknięcie dochodzenia.

– Miał gdzieś laboratorium? Jakiś wynajęty garaż, piwnica, coś podobnego... – mruknął Paweł.

Niczego takiego nie znaleziono. W kieszeni denat miał klucze jedynie od swojego mieszkania.

– Z pozoru czysta sprawa – rozmyślał na głos, kartkując raz jeszcze akta. Rocznie kilkanaście tysięcy ludzi popełnia samobójstwa. Student zostawił list. Zamknął się od środka w łazience. Nie ma żadnych śladów tak zwanego udziału osób trzecich. Nie miał powiązań z przestępczością zorganizowaną, no i po co mafii taka mumia? Nie należał do żadnej sekty religijnej, zresztą nie ma sekt religijnych, które zmuszałyby swych adeptów do tak dziwacznych praktyk. Coś mu odwaliło. Jakaś idée fixe, rozważał Paweł, dociskając fusy do ścianki, by uzyskać jeszcze choć odrobinę napoju.

Był tylko jeden jedyny element, który wskazywał na to, że w sprawę zamieszany jest ktoś jeszcze. Zwłoki chłopaka wykradzono z policyjnej kostnicy.

Przejrzał jeszcze kartę udostępniania. Policjant badający sprawę przekazał teczkę do archiwum, potem wypożyczył ją na dwa dni, znowu oddał, tym razem już na dobre. Lech Markowski. Kojarzył to nazwisko, poznał go w czasie, gdy wspólnie opracowywali programy prewencyjne. Programy były rzecz jasna kompletnie nieskuteczne, ale naczałstwo wymagało pisania bzdur o tym, jak to przez upowszechnianie sportu ogranicza się patologie. Rok po roku kolejne generacje policjantów przepisywały w zasadzie słowo w słowo wypociny poprzedników. Ale Markowski przyjemnie Pawła zaskoczył. W jego propozycjach było zaskakująco dużo konkretów. Miał kilka pomysłów, które przynajmniej na papierze wyglądały obiecująco. Był dzielnicowym gdzieś na Żłotnikach, czy może w Leśnicy, i na swoim terenie jakoś umiał zadbać o porządek. Łebski gość. Tylko dlaczego prowadził sprawę samobójstwa

w odległych Maślicach? Widać teraz przeniesiono go do dochodzeniówki.

Coś nie dawało mu spokoju, pomyślał Paweł. Ano nic, popytamy...

Pod papierami leżała koperta, a w niej srebrny krążek płyty DVD. Nowak wyciągnął z torby laptopa. Film? Wizja lokalna na miejscu znalezienia ciała?

– Dobra nasza. – Zatarł dłonie. – Trochę sobie pogrzeszę.

Film ruszył. Obraz nie był nadzwyczajnej jakości, kręcono niewielką ręczną kamerą.

Policjant na ekranie przeciął paski pieczęci i otworzył drzwi. Pokój stał nietknięty. Przekroczyli próg.

– Panie nadkomisarzu Markowski, co z tym będzie? – zapytał ktoś zza kadru.

Młody głos, najwidoczniej stażysta.

– Śledztwo pewnie zostanie umorzone. Prokurator wykluczył udział osób trzecich – mruknął oficer. – Żeby nie to zniknięcie zwłok, w ogóle nie byłoby problemu. Jak zakończą dochodzenie, spakuje się to wszystko w pudła. To, co z biblioteki, odwieziemy do biblioteki, to, co jego, pewnie odbierze ten jego krewniak, zakonnik. Chyba że nie zechce, to też pewnie damy do biblioteki – zadumał się Markowski. – Zrób zbliżenia na biurko, leżące notatki i regał tak, żeby było widać tytuły – polecił kamerzyście.

– Niezły księgozbiór – powiedział jakiś głos zza kadru. – Rzadko się takie dziś widuje.

– Kulturalni ludzie nie popełniają zbyt często zbrodni, to rzadko u nich bywamy w mieszkaniach – zażartował nadkomisarz.

Student zebrał naprawdę bogatą bibliotekę. Kamera wolno omiotła regały. Tysiąc woluminów jak obszył, w tym kilkanaście specjalistycznych słowników. Wizytujący podeszli do biurka. Na blacie zostały stosiki kartek ksero i liczne papiery zapisane przez denata.

– Ktoś to przeglądał? – znowu ten młody głos.

– Owszem. – Nadkomisarz pojawił się na chwilę z boku kadru.

– Kserokopie jakichś antycznych tekstów, straszne kulfony, chyba po grecku, i tłumaczenia na polski. Tym się zajmował w wolnych chwilach. Dostawał to z Zakładu Papirologii Uniwersytetu Warszawskiego. Kupa kopert z ich nadrukiem się tu wala. Objedź ten ką i zrób zbliżenia...

Kamera za chwilę zatrzymała się na ścianie. Nad blatem wisiało zdjęcie zniszczonej drewnianej tablicy z portretem, a obok fotografia marmurowego popiersia dziewczyny.

Paweł odniósł wrażenie, że oba dzieła zainspirowała ta sama osoba.

Portret trumienny, przypominał sobie zatarte nieco wiadomości z plastyki. Dawali takie mumiom pod sam koniec, gdy Egipt zajęli najpierw Grecy pod wodzą Aleksandra, a potem Rzymianie...

Obok łóżka leżał plecak studenta. Kamera skupiła się teraz na nim. Inny policjant otworzył i prezentował filmującemu zawartość. Notesy? Brak. Tylko grube woluminy z bibliotecznymi sygnaturami na grzbietach. Nadkomisarz wyciągnął jeden. Podręcznik akademicki chemii organicznej.

– To jest ciekawe. – Przekartkował go pośpiesznie.

Wewnątrz była kartka zapisana gęsto wzorami chemicznymi. Pokazał ją do kamery.

– Dobrze, zadokumentujmy jeszcze miejsce zgonu i możemy kończyć oględziny – odezwał się zza kadru Markowski.

Przeszli do łazienki. Na filmie pojawił się na moment jeszcze jeden policjant z aktówką w ręce. Wyglądał na technika. Teraz film ukazywał wnętrze ciasnej łazienki.

– Stał w kabynie prysznicowej, goły, sztywny i wyschnięty... A w prawej ręce trzymał fujarkę... Znaczą się ptaka... – Oprowadzający zaczerwienił się jak panienka.

– Siurka – podpowiedział zza kadru kamerzysta. – Albo penis,

będzie bardziej naukowo w raporcie brzmiało. Stał, jakby siku robił?

– No takie było nasze pierwsze skojarzenie. Bo penis nie był w stanie erekcji, tylko tak normalnie leżał w dłoni, jakby przy odlewaniu się... Skurcz w chwili śmierci zacisnął palce. Czego nie wysikał, wyszło przez odbyt i nacięciami na rękach i nogach. Wyciekało, aż zostało samo wysuszone mięso.

– Zwłoki ważyły tylko piętnaście kilogramów – uzupełnił technik, pojawiając się w kadrze. – Suche. Twarde jak drewno. Strupieszale. Mumia...

– To niemożliwe. – Teraz na ekranie pojawił się stażysta. Młody chłopak, widać świeżo po szkole policyjnej. Kręcił głową. – Sama krew to osiem litrów. Też ją wysikał? A woda w tkankach? W mózgu?

– Mieliśmy kiedyś taki przypadek, bezdomny wlaźł do węzła centralnego ogrzewania na placu Wolności i tam kojfnął. Znalezione go po miesiącu. Leżał akurat nad rurami z parą techniczną. Wnętrznosci wygniły, ale rozerwało mu powłoki brzuszne, wszystko wyciekło. A resztę ciepło wysuszyło na wiór. – Technik wzdrygnął się na wspomnienie.

– Dobrze, panowie – uciął nadkomisarz. – Zobaczyliśmy tu chyba wszystko, co było do zobaczenia. Proszę jeszcze zrobić zbliżenie na te drążki. Denat musiał je zainstalować niedawno i chyba tylko po to, żeby się na tym podwiesić. Odciski palców zdjęte, żadnych rewelacji. Co za debilna sprawa.

Film urwał się.

„Papiery” – zanotował Paweł na kartce. Trafiły do ojca Damiana czy do magazynu dowodów rzeczowych?

Na płycie był plik tekstowy z opisem zawartości i jeszcze jedno nagranie. Przesłuchanie drugiego mieszkańca kwatery. Sublokator Roberta miał może dwadzieścia lat. Wyglądał na zdrowo wystraszonego i jednocześnie trochę zaciekawionego. Rozglądał się ukradkiem na boki. Zdaje się, że dzieciak pierwszy

raz w życiu znalazł się na prawdziwym policyjnym posterunku... Przesłuchiwał nadkomisarz.

– Od kiedy znał pan Roberta Nalibockiego?

– W zasadzie nie znaliśmy się – wyjaśnił student. – A w każdym razie niezbyt dobrze.

– Pół roku pod jednym dachem i nie znaliście się – głos Markowskiego zrobił się słodziutki, aż Pawłowi ciarki po plecach przeszły.

– To nie tak. Mieszkaliśmy razem, ale się mało kumplowaliśmy – wyjaśniał pospiesznie student. – Tak jak koledzy z jednego zakładu pracy, ale nie przyjaciele. Gadaliśmy, jak się spotkaliśmy w kuchni, ale niewiele. On był skryty. I wcześniej też się nie znaliśmy.

– To jak to się stało, że zamieszkali panowie razem?

Chyba celowo użył tego „panowie”. Chłopak wyglądał na młodzieńca mocno niedowartościowanego. Stara glińska sztuczka, postraszyć, potem polechtać próżność, w razie potrzeby znów postraszyć...

– Przypadek. Szczęśliwy traf, można powiedzieć – wyjaśnił student. – To znaczy do czasu szczęśliwy. – Zagryzł wargi. – Robert wyszukał to mieszkanie. Chciał mieszkać z jakimś kumplem. Ale ten pojechał do Anglii do pracy, a ja akurat szukałem czegoś we Wrocławiu. Zobaczyłem go, jak nakleja kartkę na tablicy ogłoszeń u nas na wydziale. Wydał mi się taki konkretny, sympatyczny. Zagadnąłem, od słowa do słowa doszliśmy do porozumienia. Trochę daleko od centrum, bo na Maślicach, ale za to tanio.

– I jak się razem mieszkalo?

– Normalnie. Spokojnie. Nie pił. Nie palił. Nie ćpał. Nie hałasował. Nawet telewizji nie oglądał. Stale tylko obłożony książkami i notatkami. Wydawało mi się, że kuje jak wariat do jakichś zaliczeń. Ale nie. Studiował chemię, a całe dni siedział nad jakimiś starożytnymi tekstami. Samotnik... Uprzejmy, ale

natura taka, że niewiele mówił. Nie powiem, nawet mi to pasowało. Wie pan, ile jest kucia, jak się studiuje prawo. Nie przeszkadzał, nie rozpraszał. Jakby go nie było... Telewizor stoi w kuchni, ale nigdy go nie włączał. Jak czegoś słuchał, to tylko przez słuchawki.

– Czego słuchał? – zainteresował się gliniarz.

– Jakichś antycznych pieśni. Opowiadał mi o tym raz, że są zapisy, coś jakby nutowe, tylko eee... bez nut, no bo starożytni Grecy to inaczej to notowali. Ale znane są z przedstawień i wykopalisk ich instrumenty muzyczne, dzięki czemu można próbować odtworzyć muzykę sprzed tysięcy lat. I tego słuchał. Takich rekonstrukcji. I tego, co po grecku śpiewali do tych kompozycji. Mnie to kompletnie nie podeszło, jakby kota za ogon ciągnął. Ale jak on znał grekę, to może i coś z tego rozumiał.

– Rozumiem. Mówił coś o sobie?

– Niewiele. Raz wspomniał o jakimś krewnym. Mówił o nim „ojciec Damian”, ale nie chodziło o ojca chyba, tylko o duchownego raczej. Tak z intonacji się domyśliłem. Religijny to on raczej nie był, ale odniosłem wrażenie, że tego Damiana ogromnie szanuje. A poza tym nic. Zero kumpli.

– Jakież dziewczyny?

– A gdzie tam. Myślałem, że może jest homo, no bo to zainteresowanie starożytną Grecją... Ale nie wyglądał. Mnie nigdy nie zaczepiał.. Raz wspomniał, że nie potrafi gadać z dziewczynami. I jak to mówił, to taki był w tym ból.

Poraniony emocjonalnie chłopak z domu dziecka, pomyślał Paweł, robiąc stopklatkę. Zamknięty w sobie. Do tego biedny jak mysz kościelna, a to też nie pomaga. Żeby mieć dziewczynę, po prostu trzeba parę groszy. Zaprosić na kawę, do kina, na wystawę, pojechać na kilka dni w góry... Może miał trochę oszczędności z roboty w Niemczech, ale pieniądze od krewnego wydawał na książki i kursy językowe. Może nie przyszło mu do głowy, by zagadnąć którąś koleżankę z roku i zabrać gdzieś na

ciastka?

Puścił nagranie.

– Jak znalazł pan ciało? – zapytał Markowski.

– Wyjechałem na dwa tygodnie, przerwa międzysemestralna. Wróciłem na kwaterę kilka dni wcześniej, może koło siedemnastej – kontynuował przesłuchiwany. – Otworzyłem drzwi wejściowe swoim kluczem. W mieszkaniu śmierdziało. Tak dziwnie. Mocno cuchnęło chemikaliami, ale też jakby odpadkami kuchennymi czy zepsutą krwią... Podchodzę do drzwi łazienki, a tam na drzwiach kartka: „Nie wchodzić – zabiłem się”. Pomyślałem w pierwszej chwili, że to głupi dowcip. Ale wie pan, on nigdy nie był wesołym. No to na serio przerażony byłem, że się zabił. Złapałem śrubokręt i otworzyłem drzwi, bo były zamknięte od środka. Myślałem, że może jeśli podciął sobie żyły w wannie, zdążę go jeszcze uratować... Buchnął smród, bo w brodziku zepsutej krwi i innych świństw było tak do połowy. No i zobaczyłem jego... – Wzdrygnął się na samo wspomnienie.

– I co pan zrobił? – Nadkomisarz nacisnął łagodnie.

– W pierwszej chwili w ogóle nie mogłem uwierzyć. Cofnąłem się, wyciągnąłem komórkę i zadzwoniłem do was. Na policję... Najpierw mnie wyśmiali, ale podałem nazwisko, adres, PESEL, no to powiedzieli, że wysyłają patrol. Wyszedłem na korytarz, żeby nie zatrzeć żadnych śladów. Ale i tak nic przecież nie było. Dostałem pouczenie, żeby nikomu nic nie mówić. Nie pisałem słowa dziennikarzom, ale skądś się dowiedzieli. Pieprzone hieny...

– Hieny – potwierdził nadkomisarz. – A zatem wrócił pan kilka dni przed czasem...

– Tak. W dodatku... On wiedział, kiedy wrócę. Podałem orientacyjną datę. To znaczy... – Student zawahał się. – Mam takie dziwne wrażenie, że to nie ja miałem znaleźć ciało.

– Rozumiem. Jeszcze jedno. Prawdopodobnie dwa dni przed śmiercią Robert wypłacił z banku wszystkie oszczędności. Było

tego kilka tysięcy. Nie wie pan przypadkiem, co z nimi zrobił? Nie planował nic kupić? Samochodu? Złota w sztabkach?

– Wydawał tylko na książki. No i jedzenie kupował. Czasem jakieś wino. Żadnych luksusów.

– Piwo?

– Nie lubił. Nie wiem, co mógł zrobić z forszą. Ubierał się w lumpeksach. Złota w sztabkach chyba nie gromadził. Cała kasa na książki... Jak wszedłem do mieszkania, nie widziałem żadnych pieniędzy na wierzchu, ale do jego pokoju nie zaglądałem. Od razu na korytarz, drzwi na klucz i zadzwoniłem na policję.

– Bardzo słusznie pan postąpił. Jeszcze jedno pytanie. Ten przyjaciel, z którym miał mieszkać... Wie pan coś o nim? Kto to jest?

– Nie. Robert wspominał tylko, że to żeglarz. I że jacht uszkodził, ma go gdzieś w niemieckim porcie i musi zarobić, żeby sprowadzić łódź do Polski na remont.

– Dziękuję, jest pan wolny. W razie czego zadzwonimy, ale chyba nie będzie już takiej potrzeby. Zamykamy sprawę.

– Czyli on... sam to sobie zrobił?

– Na to wygląda.

Paweł, zanim ostatecznie zamknął teczkę, przepisał sobie z akt kilka przydatnych adresów.

*

Nad Wrocławiem zapadał chłodny wiosenny wieczór. Od Odry ciągnęło chłodem. Paweł przyspieszył kroku, idąc przez Stare Miasto. Nadkomisarz Markowski skończył już pracę, ale kręcił się jeszcze po sklepach. Zaproponował spotkanie na Rynku Solnym. Siedli na ławce, opodal kwiaciarka zwijała swój kramik.

– Czym mogę służyć dumie naszej policyjnej archiwistyki i zarazem specowi od programów prewencyjnych? – zapytał

nadkomisarz.

W jego głosie nie było kpiny, tylko zmęczenie.

– Rozmawiałem z ojcem Damianem. – Paweł zdecydował się brać byka za rogi.

Policjant zmrużył oczy.

– Ten stary dominikanin z klasztoru Świętego Wojciecha. Czyli sprawa domniemanego samobójstwa Roberta Nalibockiego – mruknął. – U mnie też był. Przekonywał, że za wcześnie zamknęliśmy dochodzenie, ale... – Wzruszył ramionami. – Ciało studenta zniknęło jak sen jaki złoty. Mamy mnóstwo pracy, nie możemy w nieskończoność szukać jednego trupa. A udział osób trzecich wykluczyliśmy. Jeśli ktoś go namówił do samobójstwa, w żaden sposób tego nie udowodnimy. Ale i na to brak poszlak.

– Chciałbym się przyjrzeć tej sprawie. Po godzinach.

– Fucha od zakonnika? – Markowski puścił oko.

– Owszem. Ale nie do końca fucha. Przyjacielska przysługa. Był moim belfrem w liceum.

– No proszę... Ja tam bym swoich belfrów w łyżce wody utopił. Pracuje pan teraz u nas czy dla miasta?

– Etat jest miejski, biuro na komendzie, a płaci Unia Europejska...

– O ja pierniczę... Czyli węszenie w sprawie będzie na pałę, bez uprawnień.

– Samobójstwo jest zachowaniem aspołecznym i w związku z tym znajduje się w gestii mojego departamentu. Naszym zadaniem jest badanie statystyk i wdrażanie programów przeciwdziałania.

– A co mi tam. – Policjant wzruszył ramionami. – Nie widzę problemu, sprawa zamknięta i w zasadzie... A może znajdzie pan coś, co przeoczyłem.

– Chciałbym w miarę możliwości raz jeszcze pogadać ze świadkami.

– Proszę zatem wpaść jutro do mnie do biura, wystawimy

panu jakiś papierek z upoważnieniem. Tylko – zmarszczył brwi – co trzy dni chcę mieć raport. I jakby pojawił się jakiś trop, od razu telefon.

– Oczywiście.

– Cóż, życzę zatem powodzenia, choć powiem od razu, że to chyba kompletna beznadzieja.

– Powiadają, że nie ma zbrodni doskonałych.

– Tu w ogóle nie ma mowy o zbrodni. Samobójstwa nie są już ścigane przez prawo.

Paweł nie sądził, że tak łatwo uzyska zgodę. Widać gliniarza nadal gryzła ta sprawa.

*

Następnego dnia padał deszcz. Paweł patrzył z obrzydzeniem przez okno tramwaju, jak Wrocław tonie w kaskadach wody. Wyskoczył na przystanku i po kilku minutach był już w policyjnej kostnicy.

– Czym mogę służyć? – Od patologa cuchnęło formaliną, ale nawet to nie mogło zagłuszyć zapachu panującego w pomieszczeniu.

Spod woni środków czystości przebijał smród zwłok. Odór śmierci... Archiwista zapragnął natychmiast znaleźć się na świeżym powietrzu, z dala od kafelkowanych ścian, niklowanych stołów i chłodni do przechowywania ciał.

– Prowadzę nieformalne dochodzenie w sprawie śmierci Roberta Nalibockiego – wyjaśnił.

– Roberta Nalibockiego – powtórzył medyk, marszcząc czoło. – Ach, jasne, chodzi o tego studenta, który się załatwił pod prysznicem... Ale to samobójstwo przecież było?

– Prawdopodobnie tak, ale nie mogę niczego wykluczyć – odparł Paweł. – Może pan coś tym opowiedzieć?

– Nie wiem, czy mogę. To w końcu poufne dane z dochodzenia. Paweł pogrzebał w teczce i pokazał upoważnienie od nadkomisarza Markowskiego.

– A, to trzeba było tak od razu – odetchnął patolog z wyraźną ulgą. – Tylko że niewiele mam do powiedzenia. Przywieźli go jakoś tak po południu. Wie pan, wiele rzeczy tu widziałem przez ostatnie dwadzieścia lat. Trafiali nam się klienci w różnym stanie. Z wody, z pożarów, rozjechani przez tramwaje, okaleczeni na różne parszywe sposoby przez wypadki i przez ludzi. Raz się trafił bezdomny, który umarł w kanałach, akurat leżąc na rurze ciepłowniczej.

– O tym słyszałem. – Były policjant spróbował przerwać słowotok.

– Czegoś podobnego nie widziałem nigdy wcześniej i na szczęście nigdy później! Ten Nalibocki był niemal suchy. Jak wędzona golonka. Wiem, głupie skojarzenie, ale właśnie ono mi się nasunęło. Kości, ścięgna, mięso jak guma. Wszystko sztywne. Zrobiliśmy z asystentem obdukcję. Znaleźliśmy cztery nacięcia. Przy ścięgnach Achillesa i nadgarstkach. Wykonano je tak, żeby krew mogła spływać. W nos została wbita głęboko metalowa rurka, tak z pół centymetra średnicy. Spora część mózgu nią wyciekła... Koło nosa miał dwa ślady nakłuć cienką igłą – zanim sobie to wbił, zrobił znieczulenie miejscowe. Do tego na przedramionach ślady po głębokich wkłuciach, jakby od kroplówki. No i co najważniejsze, każda powierzchnia skóry równoległa do podłogi była gęsto perforowana i zakrwawiona. W życiu nie widziałem nic podobnego.

– Co wykazała sekcja?

– Otworzyliśmy jamę brzuszną. Znalazłem trochę krwi w dolnej partii, większość płynów wysikał, reszta wyciekła odbytem. Narządy wewnętrzne: totalna sieczka. Widział pan kiedyś kawałek drewna naprawdę solidnie naruszony przez korniki?

– Owszem.

– Tak to wyglądało. Kanaliki, dziurki, czort wie, jak to nazwać. Wszystko podziurawione, jakby go robale wyżarły.

– Robaki? Znaleźliście larwy? Albo odchody? Coś z tych rzeczy?

– Nic. – Patolog pokręcił głową. – Podejrzewaliśmy kwas. Jakiś kwaśny albo silnie zasadowy żel. Musiałyby być pierońsko gęsty i potwornie żrący. Tylko jak coś takiego wprowadzić do organizmu? W każdą dosłownie część ciała!

– Krwiobieg?

– Niemożliwe. Momentalnie powstałyby skrzepy, no i podziurawiłoby tkankę, zanimby się rozniosło po organizmie. To wyglądało... jakby pojawiło się jednocześnie wszędzie i drobne krople zaczęły wypalać ciało, opadając przez mięśnie i narządy ku podłodze... Jak przy żywicowaniu drzewa. Płyny ustrojowe zeszły. Wilgoć, która pozostała, ścięła się. Znaleźliśmy głównie pochodne kwasów fluorokrzemowych.

– Cóż to takiego?

– Używa się ich do osuszania wiekowych murów. Wpuszczone otworami, wchodzą w reakcję chemiczną z wodą i powstaje krzemionka. Tu było ich chyba za mało, ale mięśnie trzeszczały przy naciskaniu. Porobiliśmy wstępne analizy. Tylko wie pan, przywieźli go o siedemnastej. Siedzieliśmy do dwudziestej trzeciej, bo prokurator chciał jak najszybciej otrzymać wyniki. Rano mieliśmy zrobić dokładniejsze analizy, ale nie zdążyliśmy, bo w nocy ktoś zwłoki zaiwanik... Tyle dobrze, że włamywacz przegapił słoje z próbkami. Laboratoria bawiły się tym jeszcze parę dni.

Paweł pogadał z patologiem jeszcze chwilę, a potem wyszedł i długo, z ulgą łapał ustami wilgotne powietrze. Deszcz lał mu się na głowę, wypłukiwał z włosów woń formaliny.

– Kurde – jednym męskim słowem podsumował to, czego się dowiedział. Nieznany sposób, nieznany motyw... Gdyby chociaż dłuższy list zostawił...

To nie miało tak wyglądać, myślał, idąc do pracy. On się zabił, ale zanim to zrobił, kogoś powiadomił. Ktoś miał przybyć i zabrać ciało. Nie od razu po samobójstwie, ale po dwóch tygodniach, gdy znajdą wszystkie zaplanowane procesy chemiczne i zwłoki ulegną mumifikacji. Ale sublokator wrócił wcześniej. Dlatego tajemniczy grabarz musiał zaryzykować i włamać się do kostnicy. Tylko po co to wszystko? No i, co najważniejsze, jak?

Przystanął. Uświadomił sobie, czego brakowało mu w raportach napisanych przez nadkomisarza Markowskiego.

To dobry gliniarz, ale do centrum miasta trafił z peryferyjnej Leśnicy, uświadomił sobie. Mógł nigdy nie słyszeć o Wojtku Hiroszimie. A to przecież pasuje jak ulał. Dziwne substancje chemiczne w ogromnych ilościach... A gdyby tak zająć do tego świra i popytać?

Wojtek był geniuszem. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Policja od dwóch lat miała go na oku. Zaczęło się od tego, że ktoś z sąsiadów napisał donos, jakoby mieszkający naprzeciw inwalida na ogromną skalę produkował i sprzedawał narkotyki. Na dowód załączono plik niewyraźnych zdjęć, zrobionych przez okno z klatki schodowej. Przedstawiały niezłe laboratorium.

Policja oczywiście obywatelskiego sygnału nie zlekceważyła. Pod wskazanym adresem przy ulicy Kotlarskiej faktycznie znaleziono szalonego dwudziestoletniego chemika amatora na wózku inwalidzkim i trzypokojowe mieszkanie, zamienione w pracownię alchemiczną. Tylko że chłopak nie produkował narkotyków, lecz wymyślne preparaty do konserwacji drewna i tkanin oraz odtwarzał dawne politory i barwniki. Krótki wywiad środowiskowy pozwolił ustalić, że zaopatrywali się u niego antykwariusze i konserwatorzy z całego Starego Miasta, a i artyści bywali częstymi gośćmi. Nawet działalność gospodarczą miał zarejestrowaną. Przy czym, jak się okazało, był samoukiem. Niewątpliwie był w stanie stworzyć w swoim domu zarówno materiały wybuchowe, jak i dowolny narkotyk, więc od

czasu do czasu robiono u niego rewizję lub dyskretnie obejmowano go obserwacją. A bywało też, że policyjni laboranci, nie mogąc rozgryźć jakiegoś problemu, prosili go nieformalnie o radę.

Paweł zapukał i po chwili znalazł się w starym ponemieckim mieszkaniu, przesyconym wonią rozmaitych chemicznych świństw. Ale i tak oddychało się tu lżej niż w prosektorium.

– A, pan inspektor – powitał go gospodarz.

– Jaki tam ze mnie inspektor. – Paweł wzruszył ramionami.

– Były inspektor?

– Odwał się...

– Kolejna „chemiczna zagadka Sherlocka Holmesa”? Jaki to kłopot frapuje naszą dzielną policję?

Nie kpił. Zawsze tak gadał. No cóż, geniusze czasem bywają trochę... inni.

– Mam taką drobną sprawę...

– Zatem pytaj waść – zażartował Wojtek, wskazując gościowi fotel.

Z dzbanka nalał do dwu filiżanek mocnej, aromatycznej kawy. Paweł pociągnął łyk. Intensywna, lekko korzenna woń mile zakręciła w nosie, zabijając trochę smród chemikaliów.

– Przyjmijmy, że ktoś chce przesycić swoje ciało kwasem tak, by dotarł w każde miejsce organizmu i zaczął wyżerać mięso jednocześnie w całej objętości, robiąc w nim kanaliki dla odprowadzenia wilgoci. Jak tego dokonać?

Młody chemik milczał dłuższą chwilę z kompletnie zbaraniałą miną.

– Co? – wykrztusił wreszcie.

– Jeden łebek zrobił z siebie koszernego nieboszczyka. W ciele miał kanaliki, jakby go korniki na żywca wyżarły. Wyciekło z niego niemal wszystko. A co nie wyciekło, skamieniało pod wpływem kwasu fluorokrzemowego. Zrobił się na mumię... Zastanawiam się jak.

– O kuźwa... – sapnął chemik i zamyślił się.

Archiwista dolał sobie niebiańskiego napoju z dzbanka i cierpliwie czekał.

– Są dwie możliwości – powiedział wreszcie Hiroszima. – Pierwsza: wprowadzamy do krwiobiegu dwie substancje chemiczne, a te, łącząc się, dokonują reakcji, w wyniku której powstaje kwas. Szczerze powiedziawszy, to mało prawdopodobne, bo nie rozeszłyby się równomiernie, a serce wysiadłoby bardzo szybko. No i co więcej, płytki krwi by się ścięły, czopując naczynia włosowate i żyły, więc zrobiłby się raczej wielki strup, a nie dziury...

– Coś mi się kojarzy z jakiegoś filmu, że terroryści zmieszali dwie cieczki, a eksplodowały dopiero, gdy nakierowali na nie impuls elektromagnetyczny – podsunął Paweł.

– Czysta fantastyka. To znaczy teoretycznie, ale czysto teoretycznie jest to możliwe, jednak nie ma jeszcze takich substancji.

– Może tajne służby już je mają? Z wojskowych laboratoriów albo...

– To pan jest od prowadzenia śledztw. – Wojtek wyszczerzył zęby. – Sądzi pan, że szpiedzy ujawniliby światu taką metodę, aby pozbyć się byle studenta chemii? Po co niby? Dla przejęcia tłumaczeń greckich tekstów, nad którymi siedział?

Paweł z trudem zachował kamienną twarz.

– No fakt. – Trudno było odrzucić te wywody. – Mówiłeś, że są dwa sposoby?

– Druga możliwość jest bardziej realna. Wprowadza się mikrokapsułki, które rozpuszczają się, po pewnym czasie uwalniając kwas.

– To możliwe?

– Na Zachodzie już nad tym pracują. Oczywiście nie po to, żeby kogoś truć, tylko wprowadzać do krwiobiegu leki mające uderzyć selektywnie w chorą tkankę. Wymyślili, że na przykład dodadzą

odrobinę żelaza, wtedy będzie można takie mikrozasobniki nakierować elektromagnesem na nowotwór, by wypuściły lek właśnie tam.

– Czyli tak to zrobił – mruknął Paweł. – Kwas nieznany nauce, wprowadzony do organizmu metodą na razie czysto eksperymentalną. Wiem zatem jak. Ale nie mam pojęcia, po co... Ale się dowiem. I to ty mi powiesz.

– Co? – zdumiał się Wojtek.

– Jesteś aresztowany. – Archiwista wyciągnął legitymację.

Dokument był wprawdzie od kilku lat nieważny, ale jakoś „zapomniał” go oddać, gdy żegnał się z czynną służbą.

– No jasna cholera, ale jak pan na to wpadł, że jestem zamieszany w tę sprawę?! – wyjąkał inwalida.

– Policyjna intuicja. Sypnąłeś się, że wiesz, o kogo chodzi – burknął Paweł. – Nie mam kajdanek, ale w tym stanie chyba nie uciekniesz? Zresztą ściągnę patrol, to fachowcy, na pewno mają odpowiednie okowy i dla niepełnosprawnych. Do wózka przykują czy jak... – straszyl.

Chemik milczał bardzo długo.

– On tego chciał – powiedział wreszcie. – Spędziłem trzy miesiące, by opracować metodę. To był majstersztyk. Mikro kapsułki o określonym czasie rozpuszczania. Chcę to opatentować! Wewnątrz pierońsko silny kwaśny żel, który po paru godzinach zmienia odczyn na obojętny. Nadmanganian potasu powstaje jako produkt uboczny rozkładu. Do tego wolniej rozpuszczalne kapsułki ze związkami fosforu, by totalnie zatruć wszystkie tkanki i zabezpieczyć je przed owadami. I trzecia partia z kwasem fluorokrzemowym. Tak sobie zażyczył. Ja tylko opracowałem metodę... Wszystko pływające w trzech litrach soli fizjologicznej. Miał sobie podpiąć kroplówki i chlasnąć po tętnicach, żeby płyn stosunkowo szybko zastąpił możliwie dużą ilość krwi...

– Po co?

– Chciał, żeby jego ciało przetrwało całą wieczność. Pragnął się zmumifikować lepiej niż egipscy faraonowie.

– Po co? – nacisnął raz jeszcze Paweł.

– Aż tak dokładnie nie znam sprawy.

– A dodatkowy wyrok dostaniesz za znęcanie się nad zwierzętami.

– Rany! – Hiroszima spojrział dziko na swojego oprawcę. – Skąd pan wie? To były tylko szczury... My...

– Za gładko mu poszło. Na pewno były wcześniej próby. Szczury?

– Tylko szczury, jak Boga kocham! I niedużo, tak że dwadzieścia... no, trzydzieści sztuk... Nie cierpiały. To znaczy krótko cierpiały, bo jak kapsułki zaczęły pękać, to momentalnie odcięły krążenie, no i mózgi też im rozwalilo. Nie były poskręcane w konwulsjach z bólu, tylko je zdmuchnęło jak świecę... Padały na brzuch, czasem przewróciły się na bok, po chwili były podziurawione jak gąbka, bo uwolnione krople żelu trawiły tkankę w dół. Prawie sucha masa... A potem się uwalniał kwas i wiązał resztę wilgoci. Tylko że za mało go było, żeby zupełnie skamieniały. Robiły się jak z gumy i trzeszczały przy mocniejszym naciskaniu.

Paweł poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła...

– On to widział?

– Tylko pierwszą i ostatnią partię. Zbyt wrażliwy był na takie widoki. Żał mu się robiło zwierzaków. Ale wie pan, jak to jest... Czasem trzeba poświęcić milion milutkich puchatych świnek morskich, by w zamian znaleźć lekarstwo na raka.

– Wyście nie robili leku na raka, tylko śmiertelną truciznę! – syknął archiwista.

– No fakt... – zasępił się chemik. – Ale kapsułki wyszły mi świetnie. Wszystkie trzy rodzaje. Nie rozpuszczają się od środka. To naprawdę da się wykorzystać w farmacji. Gdy tylko rozgryzę problem toksyczności powierzchni. Niewielkiej toksyczności –

dodał pospiesznie. – To może być ogromny przełom w walce z chorobami. No i coś kasy powinno za to kapnąć. Jak już wyjdę z pudła, będę bogatym człowiekiem...

– Dobra – powiedział gość. – Zeznawaj szczerze, jak na świętej spowiedzi. Przekażę prokuratorowi, że chętnie współpracowałeś. Jak się postarasz, skończy się trzema latami pudła, a nie ośmioma.

– Ale ja nie wiem, od czego zacząć...

– Składałeś już nieraz zeznania. Najlepiej od początku. Byle nie od Adama i Ewy ani od dnia założenia Vratislavii.

– Znałem go z liceum. Doszedł do nas w drugiej klasie dopiero z jakiegoś kiepskiego technikum. Miał zaległości. Trochę. Ale szybko nadrobił. Tylko wie pan, jak to bywa, chyba klasa nie zdołała go zaakceptować. Uważali go za nudziarza. Nie lubił kina, nie miał telewizora, a książki czytał zupełnie inne niż reszta. Nie pasował do tak zwanego kolektywu. Zobaczyli, że jest bariera porozumienia, a on nie robi nic, żeby ją przełamać, no to go olali. Jak mnie. Tylko że ja... – klepnął po bezwładnych nogach – nie bardzo byłem w stanie z nimi balangować. No i też interesowało mnie co innego.

– Dwóch samotników się zakumplowało?

– Nie. To znaczy może trochę, ale on każdego trzymał na dystans.

– Może to było jakieś upośledzenie? – zastanowił się Paweł. – Chociaż nie. Dysfunkcja raczej. Coś na pograniczu autyzmu. Żył jakby trochę we własnym świecie...

– Dobrze pan to ujął. Milczek, samotnik. Żadnych przyjaciół, żadnych kumpli. No, może jednego...

– Miał kumpla...? – podchwycił Paweł.

– Z podstawówki jeszcze. Raz robiłem dla niego impregnat...

– Jak się nazywa? Znasz nazwisko albo adres?

– Nie znam. Ale chodzi o tego świra, ślusarza, co to sam zbudował jacht. Nie pamiętam, jak ma na imię. Gazety kiedyś

pisały.

– Żeglarz... Żeglarz, który pojechał do Anglii...

Był to jakiś trop. Paweł zanotował sobie na kartce kilka pomysłów.

– Znali się ze szkoły?

– Tak mówił.

– A koleżanki? Jak się domyślam, nie miał dziewczyny, ale może choć jedną przyjaciółkę?

– A jaka by go zechciała na kumpla? Przydawał im się tylko, jak trzeba było od kogoś odpisać pracę domową. Chyba że znalazł sobie dziewczynę, jak poszedł na studia. Ogólnie dość rzadko u mnie bywał. Ale zauważyłem, że coś go odmieniło. Wydawał się jakby ożywiony. Zafascynowany. Mówił, że trafił na naprawdę ciekawe materiały i tłumaczy je dla jakiegoś profesora z uniwersytetu. Ale nie naszego, z Warszawy chyba.

– Tak się ożywił, aż się zabił? – zakpił Nowak.

– On tego tak nie traktował. Ta mumifikacja nie miała być końcem życia. No nie... Życia akurat to miał być koniec, ale zarazem nie koniec egzystencji. Powiedział, że to będzie tylko przejście. Ale nic poza tym nie mówił. Ani o motywach, ani dlaczego chce zrobić z siebie suszonkę.

– A ty mu pomogłeś... Dlaczego?

– Zapłacił. – Chemik spuścił głowę. – Cholernie dobrze zapłacił. Bardzo potrzebowałem pieniędzy. Mam niedowład nóg, uszkodzony rdzeń kręgowy. W Izraelu opracowali eksperymentalną kurację z użyciem makrofagów. Koszty są ogromne, NFZ nigdy tego nie zrefunduje! Ale ponoć efekty są bardzo obiecujące. Taki chłopak po wypadku na motorze sparaliżowany był od szyi w dół, minęło pół roku po operacji, a już chodzi o kulach. To by mi wystarczyło do szczęścia. Ja na tych werniksach i politurach kokosów nie zarabiam, a on piętnaście tysięcy dał. To więcej, niż w dwa lata uskładałem.

– Dwa dni przed...

– Nie, z półtora miesiąca wcześniej dał mi kasę. Mówił, że u szkopów zarobił. Zapłaciłem Żydkom zaliczkę i niebawem miałem lecieć do Tel Awiwu... – Zrobił płaczącą minę.

Czyli student oszczędności wyciągnięte z banku wydał na co innego, pomyślał Paweł. A to znaczy, że miał jeszcze jednego współnika. Pewnie opłacił swój pogrzeb. Trzeba poszukać tego ślusarza, co to spawa sobie statki... I trochę go przycisnąć.

– Ostatnie pytanie – warknął. – Ile czasu te kapsułki rozpuszczają się w krwiobiegu?

– Trzydzieści dwie minuty. I niemal wszystkie jednocześnie, w kilka sekund. A te drugie po siedemdziesięciu.

Archiwista dopił kawę.

– Sądzi pan, że w mamrze pozwolą mi trzymać książki? Bo laboratorium to wiem, że nie, ale może chociaż teoretycznie popracuję... Zabrać je od razu czy pozwolą po ogłoszeniu wyroku wrócić i się spakować? Najpierw to chyba będzie areszt śledczy czy jak?

– W jakim mamrze? – burknął Paweł. – Nie pomagałeś mi w samobójstwie, tylko sprzedałeś truciznę. Nie asystowałeś nawet, gdy sobie wstrzykiwał ten zajzajer.

– Skąd pan wie?

– Bo w trzydzieści dwie minuty nie dojechałby stąd na Maślice – odparł archiwista. – Nie przez te korki. A teraz słuchaj, gnoju. Pomogłeś kumpłowi się wykończyć. Może w swoim pojęciu moralności uważasz, że każdy może sobie kopnąć w kalendarz, gdy mu przyjdzie ochota. Ale ja uważam inaczej. Policja ma cię na oku. Wytnij kiedyś jeszcze taki numer, skurwysynu, a tak cię załatwimy, że ruski miesiąc popamiętasz.

*

Trzeba znaleźć punkt zwrotny. Od zainteresowań starożytnością

do automumifikacji droga raczej daleka, rozmyślał Paweł, jadąc tramwajem. Zwłaszcza że denata interesował Egipt raczej hellenistyczny, a może i rzymski lub zgoła wczesnochrześcijański. To jakby już trochę schyłek mody na mumifikację.

Przymknął oczy. Film z wizji lokalnej... Reprodukacja nad biurkiem.

Portret fajumski, przypomniał sobie określenie poznane jeszcze w podstawówce. To pasuje do tych prób odczytywania greckich papyrusów. Najpierw do Egiptu napłynęli greccy koloniści, a po latach kraj podbili Rzymianie, dla których greka była eleganckim językiem używanym przez wykształcone elity. Potem upowszechniło się chrześcijaństwo, dawne kultury upadły, więc i mumifikacja zanikła.

Trzeba ustalić, jakie teksty tłumaczył nieboszczyk, czy wiadomo, do kogo należał portret, jak nazywa się żeglarz. A potem zobaczymy, czy to wszystko składa się w jakąś logiczną całość.

Tramwaj zazgrzytał, jadąc przez most.

Co wiem o żeglarzu? – dumiał archiwista. Zapewne jest w wieku zbliżonym do nieboszczyka. Być może znają się ze szkoły podstawowej, a może i z domu dziecka. Prawdopodobnie ślusarz z wykształcenia. Uszkodził jacht, który samodzielnie zbudował.. Pisały o nim gazety. To chyba wystarczy, by zidentyfikować, o kogo chodzi.

*

Nadkomisarz przejrzał raport z kamienną miną. Krzywił się przy tym, jakby rozgryzał cytrynę plasterek po plasterku...

– Wprawdzie ten alchemik inwalida jest rzeczywiście cokolwiek podejrzany – westchnął – ale brak trochę podstaw, by

go wsadzić. Gdyby przynajmniej była to jakaś znana trucizna... Albo gdyby substancja miała działanie odurzające. Wtedy można by próbować go zahaczyć z paragrafu o dopalaczach. Ale ani eksperymentalne wytwarzanie nowych kwasów, ani rozpuszczalnych kapsulek nie podpada pod paragraf. Niemniej gratuluje. Posunął pan sprawę, gdy ja widziałem już tylko mur...

– Szczęśliwy traf. – Paweł wzruszył ramionami. – Wygadał się i tyle. Mam pytanie...

– Tak? – Markowski uniósł brwi.

– Wypożyczył pan akta tej sprawy już po tym, jak przekazał ją pan do archiwum. Czy chodziło o karty z odciskami palców denata?

Policjant zmrużył oczy, ale nic nie odpowiedział.

– Uściśnę pytanie. Czy nasz drogi nieobecny student samobójca jest zamieszany w sprawę kradzieży z magazynów Muzeum Narodowego mumii niejakiej Lukrecji?

– A skąd pan wie, że się tym zajmuję? – syknął nadkomisarz.

– Wydedukowałem. Denat miał nad biurkiem zdjęcia jej posągu i sarkofagu. Tłumaczył greckie papirusy znalezione w jej grobowcu. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o autorce i trafiłem na informację, że pół roku temu wykradziono ją z muzealnego magazynu.

– Jego odciski palców pasują do odcisków pozostawionych przez jednego ze sprawców – powiedział powściągliwie oficer. – Drugiego nie zidentyfikowaliśmy. Totalna fuszerka z tym włamem. Żadnej finezji, wylamywali kraty lewarkiem, rżnęli zamki fleksem jak ostatnie obszcymurki.

– Żaden z nich nie był zawodowym złodziejem. Amatorzy. Tak się wlamywali, jak na filmach o gangu Olsena zobaczyli – zaryzykował teorię archiwista. – Ale z drugiej strony nie była to taka kompletna fuszerka, skoro wleźli do pomieszczenia pełnego zabytków wartych grube miliony złotych i zabrali, co chcieli.

– Hmm... No fakt – zasępił się nadkomisarz. – Podsumujemy to

jakoś?

– Mumię poetki znalazł podczas budowy linii kolejowej niemiecki inżynier pochodzący z Wrocławia. Do wybuchu wojny znajdowała się w Muzeum Śląskim. Potem zaginęła wraz z częścią zbiorów. Tylko że kolekcje przepadły na zawsze, a ona wypłynęła. Patrol ORMO, idąc nocą przez miasto, zaskoczył szabrowników, którzy rabowali opuszczoną ponemiecką aptekę. Stróże prawa wykurzyli złodziejasków i zabezpieczyli obiekt. A na zapleczu odkryli egipską mumię.

– W aptece? – zdumiał się policjant.

– No cóż – Paweł uśmiechnął się krzywo – w średniowieczu nie było to nic nadzwyczajnego. Przywożono mumie z Egiptu, proskowano i ucierano na lekarstwo. Najwyraźniej zabobon wcale nie zaniknął wraz z oświeceniem i nastaniem epoki racjonalizmu. W każdym razie pomysłowi niemieccy aptekarze nie zdążyli jej przerobić, bo przyszli Ruscy i nasi. Zabezpieczona mumia trafiła do tworzonego właśnie Muzeum Narodowego. Tam nie bardzo mieli pomysł, jak ją wyeksponować, więc wstawili do magazynu. Leżała tak kilkadziesiąt lat. I parę tygodni temu została skradziona... Papirusy trafiły jeszcze przed pierwszą wojną światową na uniwersytet, gdzie też długo spoczywały, pleśniejąc w zapomnieniu. Aż do dnia, gdy za ich odcyfrowywanie zabrał się świrowaty student wydziału chemii. Czytał je pan?

– Nie lubię poezji – odparł Markowski. – Proza życia jest wystarczająco frapująca. Wszystkie papiery i inne notatki studenta zostały przejrzone i jako bezwartościowe dla śledztwa przekazaliśmy je rodzinie, czyli temu mnichowi.

– A on tłumaczenia przesłał na uczelnię. Już tam u nich byłem – pochwalił się Paweł. – I znalazłem coś. Wydaje mi się, że to się wiąże ze sprawą...

– Trop ukryty w starożytnym papirusie?

Archiwista wyjął z teczki dwie kartki ksero.

– Tu jest grecki oryginał. A to tłumaczenie, które wykonał samobójca. Jej ostatni wiersz. Napisała go przed śmiercią i zatytułowała „Nadzieja”.

Wiem, że odchodzę

Ostrzem choroby zraniona śmiertelnie

Lecz pamiętaj o mnie samotnej

W piaskach Egiptu pogrzebana

Lat dwa tysiące zaczekam na ciebie... – odczytał.

Policjant łypnął okiem, ale milczał, najwyraźniej ciekaw, co powie dalej jego gość.

– Przyjmijmy zatem, że studencik zafascynował się wierszami naszej drogiej Lukrecji. Że jakoś poruszyły skamieniałe struny jego duszy. Że dostrzegł w wyschniętej mumii żywą dziewczynę. Poetkę. Fascynującą osobowość...

– I że zdecydował się rąbnąć jej mumię – zamyślił się gliniarz. – Tylko po co?

– Wątek nekrofilski odrzucam... Nie sądzę też, by chciał zedrzeć bandażę i spojrzeć jej w twarz, bo raczej niezbyt podobna jest do tej ślicznej buzi z portretu trumiennego. Trzymanie zwłok w mieszkaniu to czyste wariactwo. A nawet gdyby wpadł na taki pomysł, to nie miał przecież własnego mieszkania. Zatem pewnie chodziło o inne motywy.

– Więc sugeruje pan, że polubił dziewczynę – rzekł powoli nadkomisarz. – Nie chciał, żeby inni traktowali jej mumię jako kuriozum wystawione w muzeum na pośmiewisko... Wykradł.



© Fabryka Słów

Przymknął oczy, chyba układał sobie w głowie wszystkie argumenty. Szukał luk logicznych.

– Wydaje mi się, że to rzeczywiście jakoś pasuje do siebie – stwierdził.

– Miłość... – westchnął Paweł. – Moim zdaniem to jest klucz. Po to była mu potrzebna cała ta odrażająca procedura. Chciał się zmumifikować, bo przy całym swoim ateizmie i agnostycyzmie uwierzył, że tylko tak może ją spotkać. Że tylko zmumifikowany może trafić tam, gdzie ona. Do egipskich zaświatów.

– No dobra. I co dalej?

– Bo ja wiem? Pewnie zapłacił komuś za pochówek, ten wykradł jego zwłoki i teraz leżą sobie razem. Dwie mumie. Student i poetka...

– Miłość. Niektórym robi dziwne rzeczy z głową, ale żeby aż tak? Co za jaja... – parsknął policjant. – Romeo i Mumia... Tak czy inaczej, nie byłby w stanie samodzielnie włamać się do muzeum. Zwłaszcza, nie mając samochodu ani prawa jazdy, nie wywiózłby mumii. Poza tym ktoś wykradł jego zwłoki. Być może ten koleś od poprzedniego włamu. Zatem musimy odnaleźć tego współnika. Poetka powinna wrócić do magazynu muzeum. Ma pan pomysł, komu mógł zapłacić za tę przysługę i co ważniejsze, gdzie te mumie mogą dziś mogą spoczywać?

– Żadnego – skłamał Paweł.

*

Drzewo za oknem klasztornej celi szumiało. Nadchodziło lato, ale wieczór był mimo wszystko chłodny. Kubek herbaty przyjemnie grzał dłonie.

– A więc tak wygląda ta szalona sprawa. – Paweł skończył referować. – Nie umiał znaleźć sobie dziewczyny

w terażniejszości, ale zafascynował się cieniem sprzed niemal dwu tysięcy lat i w imię tej fascynacji podążył za nią do grobu... To moja teoria. Bo twardych dowodów brak. Znajomi gliniarze twierdzą, że nigdy nie słyszeli nawet, by ktoś we Wrocławiu bawił się w oddawanie czci bogom dawnego Egiptu. Faraońskich pogrzebów też nikt już obecnie nie wyprawia.

– Gdzie może być ciało? A właściwie dwa ciała? – zapytał ojciec Damian. – Bo zakładam, że i to zdołałeś rozgryźć.

– Pewności nie mam, ale poszlaki są bardzo mocne. Jego przyjaciel żeglarz. Znalazłem w sieci blog tego gościa. Latem ruszył w rejs, planował dotrzeć jachtem do Dżibuti. To takie państewko nad Morzem Czerwonym opodal Somalii. Niestety, w cieśninach duńskich wpakował się na skałę. Niezbyt groźnie, ale jacht wymagał odholowania i kosztownego remontu. Nie miał pieniędzy, pojechał pracować do Anglii. Ale wrócił do kraju na dwa tygodnie przed włamaniem do muzeum. Rozpoczął naprawę jachtu dzień po włamaniu. Zapewne wtedy zainkasował jakąś kwotę. Co ciekawe, koreluje to z likwidacją konta walutowego przez Roberta. Z bloga żeglarza wynikało, że skończył remont, ale nie miał pieniędzy na wyprawę. A potem nagle się znalazły. Zebrał załogę i wyruszył. Mam przecucie, graniczące z pewnością, że gdyby dobrze przetrząsnąć jego jacht, znaleźlibyśmy w ładowni Egipcjanke, która po przeszło stu latach pobytu w krainach barbarzyńców wraca wreszcie do domu. I jej towarzysza, czy może raczej wielbiciela jej twórczości.

– Dlaczego myślisz, że to ten żeglarz?

– Jest jedna bardzo mocna poszlaka. Włamanie wyglądało na robotę ostatnich dyletantów. Ślusarz umiałby pokonać zamki, i to zapewne bez zostawiania śladów. Dlatego zrobił to tak, żeby wyglądało na wyczyn zdolnego amatora.

– Trochę naciągane, ale mogło i tak być – westchnął ojciec Damian. – Zakładając, że włamanie to naprawdę ich robota... Jak myślisz? Co planuje?

– Wybrzeże Egiptu jest długie i w ogromnej części kompletnie bezludne. A dalej, w głębi lądu, jest pustynia, skały, piaski... Z pewnością znajdzie odpowiednie miejsce na podwójny grób. Suche, ustronne, takie, gdzie nikt ich nigdy nie odnajdzie.

– Jest już w drodze?

– Owszem. Jacht wyszedł w morze. Tydzień temu opuścili Szczecin. Teoretycznie moglibyśmy poinformować odpowiednie służby. Zapewne udałoby się przechwycić okręt oraz odzyskać ładunek. Tylko właściwie po co?

– No właśnie – zadumał się zakonnik. – Czy jest po co?...

Długo patrzył w okno.

– Trudno w to uwierzyć – powiedział wreszcie. – Ale cóż... Szkoda, że nie zdołałem go nawrócić.

– Zabrakło czasu...

– Może tak, a może nie. – Ojciec Damian potrząsnął głową. – Może i tak by się nie udało... A teraz jest za późno.

– „Czyny popełnione w imię miłości będą rozsądzone nie ludzką miarą” – Paweł przypomniał sobie cytata, poznany kiedyś dawno temu, na lekcjach religii.

– Tak. Teraz pozostaje jedynie nadzieja i wiara w miłosierdzie Boże. „W piaskach Egiptu pogrzebana / Lat dwa tysiące zaczekam na ciebie” – zakonnik zacytował fragment wiersza. – Może chociaż okazano im tyle łaski, że spotkali się gdzieś tam, po tamtej stronie, w czyścicu czy jeszcze gdzie indziej...

Relikwiarz



Majowy długi weekend zbliżał się powolutku. Wypłynął w jednej, potem w drugiej rozmowie z Magdą. Miałem ochotę wskoczyć w tanie linie lotnicze, polecieć do Oslo, wsiąść w pociąg i przejechać się na północ, linią kolejową, wiodącą przez Trondheim do leżącego za kołem podbiegunowym Bodø. Czternaście lub szesnaście godzin w wygodnym lotniczym fotelu przy oknie... Z bezpiecznego ciepłego wnętrza podziwiać norweską wiosnę... Wsiąść w miejscu, gdzie zapewne leży jeszcze śnieg, poczuć na twarzy wiatr od Atlantyku, iść w góry, zbudować sobie igloo... I spać, spać, spać... Odespać wszystkie zarwane noce, te minione i te przyszłe...

Wiosna nie obfitowała w szczególnie ciekawe zlecenia. Wykonałem trochę kwerend archiwalnych dla różnych członków Grona Jarzębiny, próbowałem ustalić listę potomków właścicieli reprivatyzowanej kamienicy w Lublinie, tropiłem ślady rozproszonego archiwum fotograficznego dawno zamkniętej gazety. Skapnęło trochę pieniędzy, ale nie aż tyle, żeby beztrudno wydawać je na bilet kolejowy za koło podbiegunowe. Rodzina znów kusila mnie etatem i stałą pracą, ale jakoś nie pociągała mnie ta perspektywa.

Spotykałem się z Magdą dwa albo trzy razy w tygodniu. Wybraliśmy się do kina, gdzie omal nie padliśmy ofiarą linczu. Chyba śmiałyśmy się w nieodpowiednich momentach...

Włóczyliśmy się po muzeach. Pokazałem jej część moich zbiorów. Romans rozwijał się niespiesznie jak sznurek z kłębka. Najpierw całowaliśmy się na pożegnanie, potem także przy powitaniach. Wreszcie przyszła pora, by zaprosić potencjalnych teściów oraz Piotrkę z żoną na obiad, tym razem do mnie.

*

Piotrek był u mnie kilka razy, jego rodzice i żona – nigdy. Widać było, że mieszkanie ich zaskoczyło. Trochę posprzątałem.

– Toż to niemal muzeum – zauważyła Irena, rozglądając się po moim saloniku.

Ścianę od strony kuchni zdobiło siedem wachlarzy. Zrobiłem dla nich gablotki w kształcie ćwiartek koła.

– Zbiera się różne dziwne rzeczy. – Wzruszyłem ramionami. – Większość tej kolekcji nie zainteresowałaby prawdziwych koneserów sztuki. Przedmiot jest ważny, ale jego wyeksponowanie też ma znaczenie – wyjaśniłem. – I historia. Mam narty, które należały do generała Zaruskiego.

– I używasz przedwojennej szczotki do butów – dodał Piotrek.

– Owszem. – Uśmiechnąłem się. – I golę się stuletnią brzytwą. Ale pędzel do golenia mam nowy, choć od dobrego fachowca. Wkurza mnie nietrwałość przedmiotów współczesnych. Jak mój pradziadek w czasie wojny wypiłował sobie grzebień z panczernej szyby niemieckiego samolotu, to do śmierci mu służył, a i ja go czasem używam. I walizkę fajną zdobyłem. Palisandrowy szkielec, obita wołową skórą. Niezniszczalna praktycznie, tylko za granicę z nią nijak jechać, bo obowiązują przepisy o przewozie zabytków.

– Z tego samego powodu nie czyta w samolocie książek – mruknął mój kumpel. – A jak wreszcie sobie załatwił pozwolenie na broń, to co kupił? Replikę visa i zabytkowy przedwojenny

nagan.

– Vis to jeden z najlepszych pistoletów wszech czasów... Nagan-T, polski, z Radomia, to doskonały rewolwer, w dodatku siedmiostrzałowy. I jeszcze mam pistolet Mauser – sprecyzowałem. – Z przedłużonym magazynkiem na piętnaście nabojów.

– W debilnej kaburze wytoczonej z drewna, którą można zaczepić na końcu i mieć kolbę do strzelania z biodra czy jak – rzucił Piotrek. – W życiu takiego dziwadła nie widziałem! Chyba tylko Ruskie mogą takie cudactwo wymyślić. Choć kopa to ta spluwa ma i z celnością nieźle – dodał z pewnym uznaniem. – A jakbyśmy znaleźli trupa z dziurą w bebechach, której nie nakryje czapką, od razu będę wiedział, czyja to robota. – Wskazał flintę na słonie zdobiącą ścianę. – Kaliber jak irackie działko przeciwlotnicze, urywa głowę przy samych jajach. Z tą rusznicą można się na czołg zasadzić. Dobrze, że pociski są absolutnie nie do zdobycia.

Tu się odrobinę mylił, miałem całe pudełko amunicji nitro express. Ale zdobyłem naboje trochę nielegalnie, więc wolałem się nie chwalić. I tak dobrze, że nie pytał o pozwolenie na tę flintę.

– A wcześniej chodził po mieście, trzymając w kieszeni zabytkowy rewolwer po generale z powstania styczniowego – dorzucił jeszcze, wskazując gablotkę z „lefoszakiem”.

– Odwał się – burknąłem. – Ludzie dawno zapomną o tym twoim glocku, a ponadczasowe arcydzieła sztuki rusznikarskiej... – zacząłem, ale w kuchni odezwał się brzęczyk piekarnika.

Mięso zapiekane z serem, bakłazanami i papryką wyszło mi całkiem nieźle. W trakcie posiłku, zgodnie z odwiecznym polskim rytuałem, by wspomóc wydzielanie żółci, enzymów trawiennych i kwasów żołądkowych, popsioczyliśmy na politykę i polityków. Szkoda tylko, że poglądy mieliśmy niemal doskonale zbieżne... Rozmowa stopniowo zdryfowała na moją pracę.

– Nudzę się – wyznałem. – To znaczy mam cały czas coś do roboty, a jak nie do roboty, to do czytania. Brakuje mi wyzwania. Gonitwy nieustannie weryfikowanych hipotez. Porywającego zlecenia... Mój umysł zasypia. No, może nie cały... – Spojrzałem na Magdę i uśmiechnąłem się do swoich myśli.

– Podobny stan ducha opisywał Arthur Conan Doyle w jednym z opowiadań o Sherlocku Holmesie – zauważył pogodnie ojciec Piotrka. – Tylko że tam bohater nudził się i z tych nudów bodaj szprycował kokainą... Chyba nie tędy droga.

– Zdecydowanie nie tędy. – Uśmiechnąłem się. – A już z pewnością nie jestem aż tak znudzony.

– A może... – wtrąciła mama Magdy. – Relikwiarz z naszego kościoła parafialnego chyba nie został do dziś odnaleziony?

– Zaginiony relikwiarz? – podchwyciłem.

– W latach sześćdziesiątych przepadł bez wieści bardzo stary srebrny relikwiarz, zawierający pióro podobno pochodzące ze skrzydła archanioła Gabriela. Zaraz potem w wypadku samochodowym zginął ówczesny proboszcz. Przypuszczano, że to on gdzieś ukrył skarb, ale nigdy nie ustalono gdzie – wyjaśniła.

– Szukano go przez wiele lat – dorzucił Piotrek. – Dziadek opowiadał, że nawet jasnowidze przyjeżdżali.

– Brzmi ciekawie... – powiedziałem. – Nie próbowałeś jako gliniarz zająć się tą sprawą?

– Mam dość bieżącej roboty – burknął. – Poza tym niewiele tam jest do wygrzebania. Z tego, co słyszałem, ksiądz Nowak zginął z przyczyn, nazwijmy to, naturalnych, jako że popłynął przez wieś na motorze i jedna z dziur w nawierzchni okazała się zbyt głęboka. Kilkunastu świadków to widziało. Gdy nastał nowy proboszcz, zrobił inwentaryzację i wyszło, że relikwiarz wyparował. Ogłosił z ambony, że jeśli ktoś coś wie, powinien powiedzieć. Ale chyba nikt nic nie wiedział, bo relikwiarz się nie odnalazł. Może ktoś go ukradł?

– Ludzie wiązali jego zniknięcie z poprzednim proboszczem,

Jeremim Nowakiem – dorzucił ojciec Magdy. – Zmarły przy okazji niemal każdego święta wystawiał go na ołtarzu i bardzo dużo mówił o aniołach. Tylko akurat wtedy, gdy naprawdę potrzebował pomocy Anioła Stróża, ten nie zdążył..

– W każdym razie ludziska gadali, że ksiądz bał się o tak cenny przedmiot i gdzieś go schował – dodał Piotrek. – Obecny proboszcz, ksiądz Franciszek, to nasz dobry znajomy, myślę, że chętnie wprowadzi cię w sprawę, choć parafia bogata nie jest i raczej nie stać jej na usługi profesjonalisty.

– To się najwyżej rozliczę z nimi jakoś inaczej. Msze mi odprawiają za spokój dusz licznych krewnych czy jakoś tak... – Poskrobałem się po głowie. – Jeśli mógłbym prosić, zapytajcie go, czy chce pomocy w poszukiwaniach.

*

Zajechaliśmy przed kościół, gdy słońce ukryło się już za widnokrzem. Drzwi plebanii otworzyła staruszka, zapewne gospodyni. Kobieta miała twarz Baby Jagi i palce jak szpony, ale uśmiechała się całkiem życzliwie.

– Ksiądz proboszcz pojechał do chorego – wychrypiała. – Ale wróci za godzinę albo dwie. Dla pani jest przygotowany pokój gościnny, a pan, młody człowieku, będzie spał w pokoiku na poddaszu.

No cóż, była w takim wieku, że spokojnie mogła tytułować mnie młodym człowiekiem... Zasiadliśmy w saloniku. Kobieta podała nam herbatę i ciastka, twarde jak kamień, ale bardzo smaczne. Pociągając małe łyżki, rozglądałem się ciekawie. Monumentalny orzechowy stół nakryty koronkową serwetą, eklektyczne krzesła, zapewne pamiętające schyłek XIX wieku. Przy ścianach kominek i cztery stare, ciężkie regały, wypełnione książkami. Za szybkami widziałem dziesiątki woluminów

oprawionych w ciemnobrązową skórę. W rogu pomieszczenia stał zegar.

Podszedłem bliżej. Tarcza wskazywała, że to produkt renomowanej firmy Gustav Becker. Setki jemu podobnych napłynęły do naszego kraju przed pierwszą wojną światową. Jednak przed wielu laty ktoś wymienił całą szafę, zastępując oryginalną nową, rzeźbioną w motywy z kwiatów i jesiennych owoców. Ładnie to nawet wyglądało, zapewne jakiś prowincjonalny artysta zainspirował się sztuką secesyjną, a może i trochę art déco?

Ksiądz Franciszek faktycznie niebawem się pojawił. Był ciut starszy ode mnie, odrobinę wyższy i szczupły, a wręcz chudy, co wiejskim proboszczom raczej nieczęsto się zdarza. Sprawiał sympatyczne wrażenie, a Magdę znał od lat. Zasiadliśmy do kolacji.

– Słyszałem o panu – oznajmił.

– Jeśli złe rzeczy, to nie przyznaję się, a jeśli pochwały, to trzeba podzielić przez pięć... – bąknąłem speszony.

– Powiem od razu, niech pan to potraktuje jako wakacje, pospaceruje po miasteczku z dziewczyną, odetchnie świeżym, wiejskim powietrzem. Oczywiście pomogę, w czym tylko zdołam, ale jeśli niczego pan nie znajdzie, będę miał co najwyżej wrzody na sumieniu, że fatygował się pan daremnie taki kawał... Od lat tego szukano. Zapewne relikwiarz przepadł na zawsze.

– Spróbuję jednak coś ustalić. Wszelkie przydatne informacje będą mile widziane.

– Proboszcz Jeremi Nowak do dziś jest wspominany jako wzór pobożności i uczciwości. Nikt nie podejrzewa, że mógłby relikwiarz ukraść. Raczej gdzieś go schował.

– Ale dlaczego miałyby to robić? – zdziwiła się Magda. – Przed komunistami?

– To był początek lat sześćdziesiątych – wyjaśnił ksiądz. – Za czasów papieża Jana XXIII zrobiono w Kościele wielką lustrację

relikwii – dodał, widząc, że dziewczyna nie rozumie.

– Lustrację relikwii? – podchwyciła.

– W zasadzie każdy kościół jakieś posiada – wyjaśniłem. – Praktycznie obligatoryjne jest umieszczanie ich w ołtarzu lub najbliższym jego otoczeniu. Tyle tylko, że relikwia relikwii nie jest równa. Są poważne, należące do świętych, posiadające dokładnie udokumentowane pochodzenie. Ale zapotrzebowanie w dawnych czasach było tak ogromne, że niejednokrotnie dochodziło do fałszerstw. Komisja papieska miała po prostu sprawdzić, do jakich kuriozów modlą się owieczki. Czasem czczono na przykład sandały albo odzienie należące rzekomo do jakiegoś świętego, ale już pobieżne oględziny wykazywały, że te obiekty pochodzą z zupełnie innej epoki.

– W każdym razie ojciec święty Jan XXIII postanowił zaprowadzić trochę porządku – podjął proboszcz. – Powołał komisję, a w zasadzie grupę komisji, które kompleksowo sprawdzały wszystkie relikwiarze. Z miejsca odrzucano przypadki, gdy czczone kości świętych okazywały się szczątkami zwierzęcymi. Pousuwano z kościołów przysłowiowe szczeble drabin, które przyśniły się świętym, oraz temu podobne, khm...

– Dzieła ludzkiej pomysłowości, połączonej z chciwością lub nadmierną dewocją – odpowiedziałem.

– Elegancko pan to ujął, panie Robercie. Łącznie zakwestionowano kilkanaście tysięcy podobnych artefaktów. W przypadkach wątpliwych zezwolono relikwie zachować, z zastrzeżeniem, że dopuszcza się tylko kult lokalny i bez orzekania o autentyczności. Bo oczywiście pojawiły się też przypadki wątpliwe. Ot, gdzieś czczono kawałek szmatki, mający być opończą świętego, który nigdy nie został oficjalnie kanonizowany. A epoka, z której pochodziła tkanina, pasowała do opisu, przedmiot był zaś zdeponowany w świątyni od, dajmy na to, siedmiuset lat. W tym przypadku przyjęto proste kryterium, czy dana relikwia czyni cuda. Jeśli modlący się za jej

wstawiennictwem zostali na przykład oczyszczeni z chorób, autentyczność była potwierdzona.

Zaszumiała woda. Gospodyni zalała herbatę w imbryczku.

– Obok relikwii konkretnych są też relikwie, które, khm... posiadają udokumentowane pochodzenie, ale mniej udokumentowana jest historia życia tych świętych. W siedemnastym wieku w Rzymie dokopano się do katakumb świętej Priscylli. W pierwszych wiekach naszej ery stanowiły one wielkie cmentarzysko chrześcijan. W tym okresie często dochodziło do prześladowań i przypadków męczeńskiej śmierci. Wspólnoty oczywiście starały się wykraść i wykupywać ciała swoich braci. W katakumbach składano je w niszach ściennych. Niektóre zamuroywano, częściej jednak czekano, aż zwłoki ulegną rozkładowi. Zbierano wówczas kości i umieszczano w ossuariach. Nad niszami malowano na ścianie imiona zmarłych. A jeśli ktoś zginął śmiercią męczeńską, dodatkowo wewnątrz niszy malowano na czerwono. Dzięki temu po upływie kilkunastu stuleci odkrywcy katakumb mieli ułatwione zadanie.

– Chce ksiądz powiedzieć, że... – zaczęła Magda.

– Że wysłannicy papieża Pawła V około roku tysiąc sześćset dwudziestego przeprowadzili wykopaliska totalne. Powyciągali kości męczenników znanych tylko z namalowanego na ścianie imienia, podzielili na malutkie kawałeczki, zapakowali do pergaminowych kopert, zaszyli, opieczętowali i rozesłali po całej Europie. No i mamy dzięki temu dziś w wiejskich kościołach relikwie męczenników z czasów Nerona. Nie wiemy nawet, kim byli. Historia przekazała tylko imiona i fakt, że ponieśli śmierć za wiarę. Mam takie u nas w kościele. Drewniana skrzynka z pieczęciami papieża, a wewnątrz woreczki z czerwonego aksamitu, kryjące zaszyte pergaminowe koperty z opisem, czyje kości są wewnątrz.

– Zdumiewające...

– To oczywiście przypadek, gdy nie negujemy autentyczności

tych szczątków – wtrąciłem. – Posiadają, że się tak wyrażę, certyfikat autentyczności. Ale już w średniowieczu handlowano relikwiami ile wlezie. Zapotrzebowanie było ogromne, lud złażniony cudów i niezwykłości. I w ten sposób do kościołów trafiła masa rozmaitego śmiecia. Na przykład w szesnastym wieku do Hiszpanii wyeksponowano kilkanaście wozów kości wydobytych w rzymskim Koloseum. Zapewne były to szczątki poległych gladiatorów, ale nikt się tym szczególnie nie przejmował, wozy jechały od miasteczka do miasteczka i w każdym zostawiały po kawałku. Wiem. Trochę to makabryczne...

– Cóż, trzeba zrozumieć tych ludzi – westchnął duchowny. – Proste umysły potrzebują czegoś namacalnego. Obecność kości męczenników daje nam poczucie współuczestnictwa. Pierwsi chrześcijanie, słynni krzewiciele wiary, misjonarze niosący Słowo Boże innym ludom, a teraz my... Ciągłość misji trwającej przez stulecia.

– Nie szukając daleko, kardynał Dziwisz, wracając do Polski, przywiózł kilkanaście sztuk sutann Jana Pawła II oraz flakonik krwi papieża, którą kiedyś pobrano do badań medycznych, ale nie wykorzystano. Dzięki temu wiele kościołów pozyskało relikwie papieża Polaka. Dla ludzi to przeżycie, a być może spłyną na nas dzięki temu różne łaski. Z tego samego powodu ludzie szukają pamiątek po sławnych ludziach i autografów ulubionych pisarzy – rozważałem.

– Nie wiem, czy wiecie, ale istnieją relikwie ojca Maksymiliana Kolbe – zauważył proboszcz.

– Jakim cudem? – zdumiałem się.

– Wprawdzie hitlerowcy spalili jego ciało w krematorium, ale jeszcze podczas pobytu w klasztorze jeden z zakonników, zajmujący się we wspólnocie fryzjerstwem, zebrał jego ścięte włosy. Ale nie o tym chciałem mówić – zreflektował się proboszcz. – Zadanie pańskie... Mieliśmy w naszym kościele

pewne, khm... Powiedzmy tak: dziewiętnastowieczne zapiski, wizytacje biskupie i pamiętniki osób świeckich odwiedzających nasze sanktuarium wspominają, że w świątyni przechowywano od połowy siedemnastego wieku relikwiarz z piórem archanioła Gabriela... – zawiesił głos.

Pociągnąłem łyk herbaty i czekałem na ciąg dalszy.

– Relikwii tej przypisywano kilka cudów. Problem w tym, że jak wspomniałem wcześniej, komisja powołana przez Jana XXIII patrzyła bardzo krytycznie na takie obiekty. Ksiądz Jeremi Nowak, ówczesny proboszcz, był młodym człowiekiem na swoim pierwszym probostwie. Miał ogromny zapał do pracy duszpasterskiej. Prowadził w gminie grupy rekolekcyjne, korespondował z twórcami Ruchu Światło-Życie, a do tego zaczął z ochotnikami budować coś w rodzaju kaplicy. To były trudne lata. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym religia została ostatecznie wyrzucona ze szkół. Mieliśmy salkę katechetyczną w dawnym spichlerzu plebanii. Tylko że jest to pomieszczenie niezbyt duże i raczej wilgotne, dopiero ja wymieniałem dach, trzymam tam teraz auto. W każdym razie proboszcz, widząc, że katechezę będzie musiał prowadzić przy parafii, zaczął budować coś większego. W czasie odpustu parafialnego ogłosił z ambony nowy zwyczaj. Zaproponował, by każdy, kto odwiedza kościół w czasie większego święta albo przystępuje do spowiedzi, przynosił kamień polny lub jedną cegłę. Ściągali ludziska, znosili materiały. Jako pokutę też zadawał, by przynieść kamień, albo i kilka. Niektórzy to i stukilogramowe głązy przywlekli.

– By poczuć ciężar zrzucanego grzechu... – zadumałem się.

– W każdym razie zbierał materiały, z młodzieżą i ochotnikami powolutku coś tam budował. Tylko że, niestety, nie skończono tego nigdy. W zasadzie stoi tylko tylna ściana, kawałek bocznej i fundament wylano... Dłubał sobie przy tym właśnie wtedy, gdy pojawiła się komisja. Obejrzelik relikwiię i wystawili opinię, że jest

falszywa, zatem podlega zniszczeniu. Ksiądz proboszcz chyba przejął się opinią komisji, ale z drugiej strony żał mu było tak po prostu wyrzucić lub zniszczyć pióro. Dlatego gdzieś je ukrył wraz ze srebrnym relikwiarzem. Tylko że wkrótce potem zginął w wypadku samochodowym. Nowy proboszcz szukał pióra, a może tylko relikwiarz chciał odzyskać. Niestety, bez skutku. Nikt nic nie wiedział. Tylko jeden z ministrantów zeznał, że widział, jak zmarły przymierzał relikwiarz do niszy w murze, który budowali. Przekopano rzecz jasna dokładnie plac budowy, zbadano wszelkie kościelne zakamarki. Bez skutku. Przepadło jak kamień w wodę. Problem w tym, że mógł to schować absolutnie wszędzie...

– Czy są jakiegokolwiek poszlaki, wskazówki, szyfry... – zacząłem.

– Niestety. – Proboszcz rozłożył ręce. – Powiedziałem już wszystko.

– A zapiski zmarłego, notesy, pamiętniki, listy?

– W archiwum parafii nie mamy niczego podobnego. Z tamtych czasów oprócz normalnej dokumentacji zachowały się tylko księga intencji mszalnych i kronika parafialna. Prowadził ją zresztą trochę nieregularnie. Na końcu jest duża koperta z wycinkami prasowymi, które powinny być powklejane, ale dopiero ja zacząłem je umieszczać w odpowiednich miejscach. Myślę, że po prostu brakowało mu czasu, to był bardzo niespokojny duch, ciągle w biegu. Ale, ale... Północ dochodzi, a jutro będzie ciężki dzień. Msza z udziałem władz gminy, potem festyn. Pierwszy maja, świętego Józefa Robotnika...

– Raczej rzemieślnika – mruknąłem. – A samo święto czerwoni obchodzili na pamiątkę tego, że policja w Bostonie wklepała białym robotnikom. Tylko mało kto wie, że łomot dostali za prześladowanie żółtych łamistrajków, robotników z chińskiej dzielnicy. Potem była jeszcze krwawa bitwa z policją i rzucenie bomby w tłumie. Swoje powody, by się buntować, wprowadzić mieli...

– Cóż, korzenie święta nieszczególne, ale jest rozkaz z góry, więc nadajemy obchodom nową i godniejszą treść. Nie od nas to zależy... – westchnął i wzniósł oczy ku sufitowi.

Pokoik dla gości wygospodarowano na strychu. Żadnych wygod – stare żelazne łóżko, stolik, miska z wodą i dzbanek, wieszak na ubranie, mała lampka i klęcznik. Toaleta i prysznic znajdowały się piętro niżej. Czego więcej chcieć od życia? Zagadki rozgrzewającej umysł i stosu starych papierów do przejrzenia w poszukiwaniu wskazówki. Zagadka jest, papiery do przejrzenia dostanę jutro.

*

Podczas porannej mszy stałem przy drzwiach. Do środka nawet nie próbowałem się wcisnąć. Ksiądz Franciszek wygłosił ładne kazanie, gęsto naszpikowane cytatami z encykliki „Laborem exercens”. Potem udał się na rynek, gdzie odbywał się wiec i festyn. Widać dostał polecenie nadawania swoją obecnością religijnego charakteru obchodom. Nie było chwilowo nic do roboty, przeszliśmy się po miasteczku. Huk megafonów niósł się między kamieniczkami. Lokalne władze uprawiały propagandę sukcesu, aż zęby bolały. Wszystkie sklepy i sklepiki były zamknięte na głucho, za to knajpy pracowały pełną parą. Zawróciłem w stronę kościoła, gdy wpadł mi w oko szyld lokalnej galerii sztuki. Poniżej wywieszono baner z przekreślonym sierpem oraz młotem. „1 maja oczywiście, że CZYNNE!” – głosiła wywieszka na drzwiach.

W witrynie umieszczono imponującej wielkości portret Hitlera z dopiskiem: „To on ustanowił 1 maja świętem państwowym i dniem wolnym od pracy na okupowanych ziemiach Polski – niszczyć przeżytki nazizmu i komunizmu”.

– Są ludzie, którzy poważnie podchodzą do rugowania wrogich

ideologicznie tradycji – mruknąłem z uznaniem. – Szkoda, że większości to zwisa... A żeby czynem zaprotestować i otwierać sklep w dniu ustawowo wolnym, to się już naprawdę nieczęsto zdarza.

– Zajdziemy? – zapytała Magda. – Można tu znaleźć całkiem ciekawe rzeczy.

Weszliśmy. Artysta był młody, rozczochrany i w rozchełstanej koszuli. Gdy weszliśmy, akurat złocił aureolę malowanego na desce anioła. Widać było, że ma sporą wprawę. I nie używał szlagmetal, lecz prawdziwego złota płatkowego.

– Czym mogę służyć? – zagadnął. – Coś do pierwszego wspólnego mieszkania?

Magda zaczerwieniła się.

– Hmm. To może do przyszłego wspólnego mieszkania? – Puścił oko. – Tematyka świecka czy religijna? Maluję też portrety ze zdjęć i kopie, a raczej wariacje dzieł dawnych mistrzów... – Machnął ręką w nieokreślonym kierunku. – Zajmuję się również trochę grafiką komputerową.

– Rozejrzymy się – zaproponowałem. – Może coś w oko wpadnie?

– Ależ proszę.

Wrócił do pracy, a my długą chwilę buszowaliśmy po galerii. Pomieszczenie było duże, ale solidnie zagracone starymi meblami oraz dziesiątkami drewnianych i rzeźb. Obrazy stały na sztalugach, dodatkowo utrudniając poruszanie się.

– A to jest niezłe – mruknęła Magda. – To zapewne ta wariacja...

Na obrazie zasępiony Stańczyk z obrazu Matejki siedział w swoim fotelu, ale w odróżnieniu od oryginału obok wkomponowano damę z łąsiczką, która pocieszającym gestem podsuwała mu talerzyk z pokrojonym arbuzem.

– Nie wiedziałem, że się znali – zażartowałem.

Co ciekawe, artysta naprawdę znał się na rzeczy, bo owoc namalował zgodnie z przedstawieniami epoki, zupełnie inny niż

nasze współczesne, będące efektem kolejnych kilkuset lat selektywnej uprawy. Spojrzałem na metkę z ceną. Była nawet do przełknięcia. Na sąsiednim obrazie Mona Lisa i dama z perłą Vermeera liczyły rozsypane na stole pieniądze.

– Jeden klient szuka towaru zwyczajnego, inny chciałby się pośmiać – powiedziałem w zadumie. – A jeszcze inny potrzebuje czegoś, nad czym będzie mógł pomyśleć.

– Ażeby pan wiedział – odezwał się artysta zza swojego stołu. – Mam oczywiście także takie. Niech pan zdejmie muślin z tego dużego... To mi się naprawdę udało...

Odsłoniłem. Obraz przedstawiał ulicę w centrum Warszawy nocną porą. Wysokościowce, sklepy, neony, reklamy. Na spękanym, zasłanym śmieciami chodniku stał Jezus Chrystus, ubrany zupełnie współcześnie w płaszcz narzucony na garnitur, pod krawatem i z podniszczoną walizką w przebitej gwoździem dłoni.

– Chciał pan pomyśleć...

– Hmm... – zadumałem się.

– Księdzu proboszczowi na wszelki wypadek nie pokazuję – wyjaśnił. – Starsi ludzie też raczej nie będą zachwyceni. Ale kto powiedział, że sztuka religijna musi być nudna i spętana kanonami przedstawienia czy konwencjami? W dawnych czasach malowano świętych w strojach z epoki, w której żyli twórcy. Sceny z Nowego Testamentu osadzano w zupełnie współczesnych wnętrzach. Oczywiście uwspółcześniano trochę z niewiedzy o tym, jak wyglądały ubiory czy sprzęty w czasach antycznych, ale trochę może też, by zbliżyć się do odbiorcy, pokazać mu uniwersalność przesłania. Pomyślałem więc: dlaczego nie? Wszak w Nowym Testamencie jest zapisane: „A oto ja jestem z wami przez wszystkie dni aż do skończenia świata”. No to zrobiłem nowocześnie.

– Ciekawy pomysł – przyznała Magda. – Choć faktycznie może wzbudzić podejrzenia o kpinę z religii lub inne silne emocje. Ale

ma w sobie to coś. – Strzeliła palcami.

– Próbowałem wypośrodkować. Żeby nie przegiąć... Intencje miałem dobre, ale liczę się poważnie z tym, że nie każdemu się spodoba. Państwo ludzie wykształceni...

– Skończyłem archeologię – powiedziałem.

– A ja studiuje historię – dodała Magda.

– Zatem i historia sztuki nie jest państwu tak do końca obca.

Patrzyłem na obraz i z każdą chwilą podobał mi się coraz bardziej. Tylko powieszę go w sypialni, bo faktycznie nie każdemu się spodoba...

– Można u pana płacić kartą kredytową? – zapytałem.

– Jasne... – Twórca wyraźnie poweselał. – Chce pan pięć procent rabatu czy może w naturze? – Zatoczył dłonią krąg, obejmując wnętrze galerii.

– To ja coś sobie wybiorę – zapaliła się Magda.

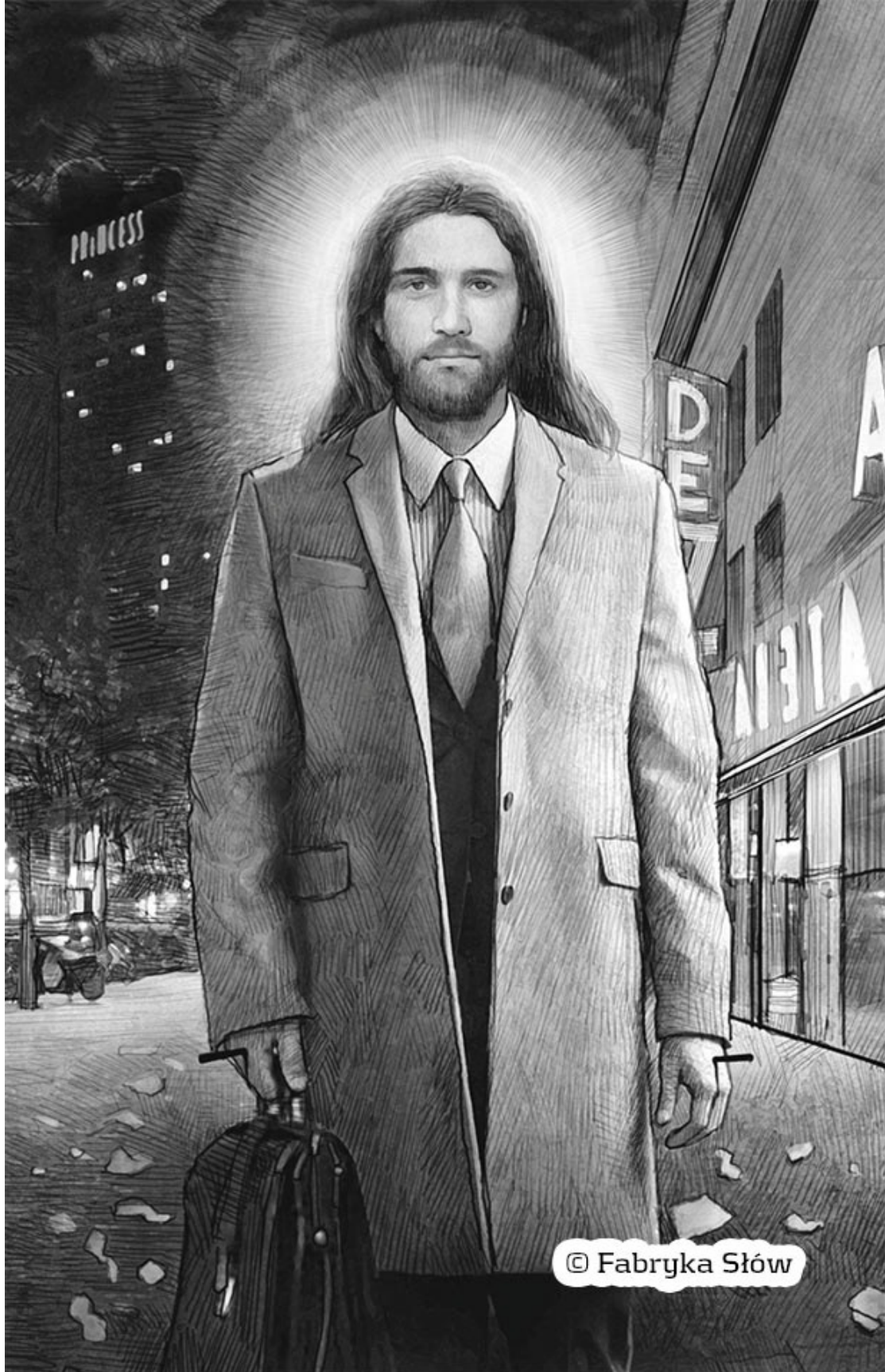
W czasie, gdy pakował obraz, przyglądałem się wiszącym aniołom. Kilka z nich miało na piórach namalowane oczy. Patrzyłem na nie dłuższą chwilę.

– To mój dziadek takie malował – powiedział artysta, widząc moje zaskoczenie.

– A to ciekawe... Element zaczerpnięty ze sztuki nubijskiej. Widziałem podobne przedstawienia na freskach z katedry Faras – zauważyłem.

– O Faras coś tam się słyszało... Jak dziadek był młody, pewnie gazety pisały o odkryciu i może zdjęcia były. Faras to odkopano gdzieś tak na początku lat sześćdziesiątych? I te jego obrazy z tych lat pochodzą. Mógł się zainteresować i zainspirować. Trudno teraz powiedzieć. Może to jednak jego idea, a może gdzieś podłapał tematykę... Ja wolę sięgać do przedstawień zachodnioeuropejskich, choć oczywiście jak ktoś sobie życzy ikonę, to też umiem skopiować. Tylko tempery nie lubię. Farby olejne są szlachetniejsze. Ale głównie jestem samoukiem i dziadek trochę mnie podszkolił przed śmiercią. Na weterynarza

się kształciłem, ale odpadłem na trzecim roku. Chemia i anatomia to jednak straszne kobyły do wykucia. Prawie jak medycyna. Albo i gorzej, bo przecież człowiek to jeden organizm, a tam różne zwierzaki się poznawało od środka.



© Fabryka Słów

Słowa płynęły jak rzeka nagle spuszczone przez stawidła tamy. Zapewne niewiele miał tu okazji, by z kimś pogadać. Magda wybrała sobie ceramiczną broszkę i parę kolczyków do kompletu. Podziękowałem, zabrałem obraz zapakowany w szary papier i wyszliśmy na ulicę. Wiec powoli przygasał. Władza skończyła się lansować i oddała mównicę pieśniarzom od disco polo. Zostawiłem malowidło w bagażniku samochodu. Artysta chyba miał rację, proboszczowi lepiej go nie pokazywać...

– Co robimy z tak mile rozpoczętym dniem? – zapytała Magda.

– Obejrzymy sobie tę nieukończoną kaplicę, którą budował proboszcz Nowak – zasugerowałem.

Ruina wznosiła się w kącie terenu kościelnego, posadowiona tak, by stanowiła czwarty narożnik kwadratu, wyznaczonego przez plebanię, kościół i stary spichlerz, obecnie pełniący mało zaszczytną rolę garażu. Nie wyglądała szczególnie imponująco, zdążono wylać fundament, wznieść kawał jednej ściany i niewielki fragment drugiej.

Podszedłem. Najniższą warstwę stanowiły obrobione z grubsza granitowe otoczaki, a powyżej mur zbudowano z cegły. Ściana miała około czterech metrów wysokości. Pośrodku znajdowała się prostokątna nisza, w głębi z betonu sterczały zardzewiałe końcówki prętów zbrojeniowych.

– Przygotowana do osadzenia niewielkiego sejfu – oceniłem.

– Skąd wiesz? – zdumiała się Magda.

– Bo identyczne rozwiązanie mam u siebie w mieszkaniu.

Cofnąłem się kilka kroków. Po lewej i prawej stronie znajdowały się płytkie wnęki o wymiarach około metr na półtora. Były od góry zakończone łukowato. Trzecia, większa i półkolistą, znajdowała się ponad otworem.

– Łącznie trzy – mruknąłem.

– Pod obrazy?

– Trochę zbyt płytkie. Może planowano tu położyć tynk, a na

nim freski? Gdyby zagłębien było dwanaście, to zapewne chodziłoby o dwunastu apostołów. Ale w tym przypadku mogły to być wizerunki innych świętych. Ta ściana ma ścięte rogi, pewnie miała zostać pociągnięta w górę jako trójkątna podstawa dwuspadowej konstrukcji dachu. Za plecami mielibyśmy drugą identyczną z wejściem.

– A okna?

– Chyba tylko w tamtej, bo boczne za niskie... Kurczę, głupi jestem! – Walnąłem się w głowę, aż zadudniło. – Tu miały być wizerunki aniołów, konkretnie archaniołów. Michał, Gabriel i Rafał... Ta trójka pojawia się najczęściej w pismach uznawanych za kanoniczne, a w każdym razie zgodne z magisterium Kościoła. Zapewne ściana miała być tynkowana lub wyłożona kamieniem. Sejf z relikwiarzem, otoczony trzema wizerunkami aniołów. Ładnie by się wówczas wszystko komponowało.

Magda popatrzyła na mur i kiwnęła głową.

– Tak mogło być.

– Odnalezienie skrytki jest możliwie tylko, jeśli odgadnę, jakimi ścieżkami podążały myśli nieboszczyka. To, że odgadłem jeden jego zamysł, to stanowczo za mało. Trzeba dowiedzieć się o nim więcej, dużo więcej – orzekłem.

– Był podobny do ciebie... – mruknęła.

– Co proszę?

– Rozumiał, czym jest czas, i był cierpliwy. Ten pomysł, aby ludzie przynosili po jednej cegle lub po jednym kamieniu. Jedna sztuka to tyle co nic, ale dodał funkcję czasu. Pomnożył sobie. Setki ludzi, którzy kilka razy w roku przyjdą do sanktuarium, i nagle mamy tysiące cegieł oraz gładów. Działasz dokładnie tak samo. Małymi krokami, aż wysiłek się zakumuluje... Oprawiasz jedną lub dwie książki tygodniowo. Już zebrało się kilka setek.

– Może faktycznie tę cechę mamy wspólną – przyznałem.

– Jest jeszcze jedna. Chyba, podobnie jak ty, nie uznawał prowizorki. Ta ściana stoi od pół wieku, niczym

niezabezpieczona, a nie posypała się. To wszystko jest bardzo solidnie zrobione. Nie na lata, ale na stulecia.

Przypomniałem sobie wrak opla, którym jeździłem przed rokiem. Trochę mnie chyba przeceniała...

– Nie jesteśmy podobni, bo on wybrał celibat, a ja bym jednakowoż nie potrafił.

– Poświęcił rzecz, którą uznał za mniej istotną, dla takiej, którą uważał za ważniejszą – zauważyła. – Ty też wybierasz.

Poskrobałem się po głowie. Miło usłyszeć coś takiego, ale myliła się. W moim życiu dominowała prowizorka. Nawet robotę miałem jakąś taką chaotyczną. Dziś jest zlecenie, jutro nie ma. Dziś za kilka stówek szuka się przodków jakiegoś człowieka, jutro depozytu o milionowej wartości, pojutrze z kolei nie ma nic do roboty... Były miesiące, gdy bez mrugnięcia okiem kupowałem starodruk za kilka tysięcy, były takie, gdy z trudem ściubiłem na opłaty... Wybrałem. Wybrałem to, co uważałem za ważniejsze i zarazem lepsze dla mnie.

Może trzeba wziąć etat w którejś z rodzinnych firm? – pomyślałem nagle. Wprowadzić do życia trochę porządku? Bardziej stały rytm... Zwłaszcza jeśli zechcę zakładać rodzinę.

Świątynia była otwarta, kościelny uwijał się po wnętrzu z mopem. Skorzystałem z okazji, by na spokojnie obejrzeć kościół. Magda wyglądała na trochę zmęczoną, ale ruszyła ze mną. Szczerze powiedziawszy, wystrój świątyni nie był szczególnie ciekawy. Grube mury, jedna nawa i dwie małe kaplice na osi transeptu. Zachowały się cztery ołtarze boczne. Poszedłem przypatrzeć się obrazom.

– Święci Kryspin i Kryspinian – zidentyfikowałem przedstawionych. – Patroni szewców, sami też byli szewcami. Wedle legendy ukradli skóry, by uszyć z nich buty dla biednych. Zostali zamordowani z rozkazu cesarza – wyjaśniłem towarzyszcze. – A tu święty Józef, wyobrażony jako cieśla z piłą i świdrem w rękach. Po drugiej stronie nawy święty Eligiusz,

zazwyczaj patron złotników i zegarmistrzów, ale tu stoi przy kowadle, zatem obsadzono go w roli opiekuna kowali.

– Jesteś w stanie tak rozpoznawać świętych? – zdumiała się.

– Tylko trzydziestu, czterdziestu najważniejszych – wyjaśniłem.

Do wnętrza wkroczył ksiądz Franciszek. Widocznie zakończył już swoje obowiązki na placu. Zbliżył się do nas.

– Patroni szewców, cieśli, kowali... – rozważała Magda.

– Przypuszczam, że w czwartym ołtarzu był podobny obraz, ale uległ zniszczeniu albo został skradziony. Zapewne w przeszłości ołtarzami opiekowały się cechy rzemieślnicze z miasteczka. W dawnych czasach to był dość powszechny obyczaj.

– Tak wynika z broszury o historii świątyni – potwierdził proboszcz. – W czwartym ołtarzu był obraz patrona cechu krawców, świętego Bonifacego, ale nie przetrwał do naszych czasów, więc mamy tam świętą Teresę z Lisieux.

– Patronką krawców była też święta Łucja – zauważyłem.

– Artysta, który tworzył obrazy, chyba w ogóle nie malował kobiet, a wszyscy mężczyźni zarośnięci są jak jacyś zbóje... Wydaje mi się, że nie do końca radził sobie z rysami twarzy, dlatego wolał je przykrywać zarostem – zauważyła Magda.

W ołtarzu głównym umieszczono obraz patrona kościoła – świętego Mikołaja. Zapewne parafia wspierała dzieło misyjne, bo wypatrzyłem też malowidło przedstawiające świętego Franciszka Xawerego – misjonarza, który ochrzcił pierwszych Japończyków.

Obrazy, z wyjątkiem świętej Teresy, wyszły ewidentnie spod jednej ręki. Sądząc po stylu przedstawień, pochodziły z końca osiemnastego lub początków dziewiętnastego wieku. Mnie się podobały, ale historycy sztuki zapewne wyraziliby się o nich krytycznie. Blżej ołtarza stało kilka starych ławek, a przy wejściu nowe. Posadzka z mocno już wytartych terakotowych płytek była chyba przedwojenna. Rozejrzałem się po wnętrzu

i poskrobałem w głowę.

– Remont generalny odbył się jakieś piętnaście, może dwadzieścia lat temu – zauważyłem.

– Tak. Poddano wtedy konserwacji całe wyposażenie. Ze starych ławek zostawiono tylko te w dobrym stanie. Położono instalację ciepłowniczą i wymieniono elektrykę. Są też zraszacze i kurtyny wodne na wypadek pożaru. I instalacja alarmowa, bo to takie czasy. – Ksiądz skrzywił się przy ostatnim zdaniu.

– Czyli z czasów księdza Jeremiego Nowaka niewiele zostało – podsumowałem. – Gdyby schował relikwiarz w konstrukcji któregoś z ołtarzy, to zostałyby odnaleziony...

– Wymieniono też pokrycie dachu, więc i strych przy okazji posprzątało – wyjaśnił duchowny.

– A krypty?

– Jak do tej pory, żadnych nie znaleźliśmy. Owszem, pod posadzką jest sporo pochówków. Gdy trzy lata temu robiliśmy ogrzewanie, jeden z robotników uciekł na widok szczątków. Ale wszystkie groby były ziemne. Część nieboszczyków pochowano w całunach, kości są wtedy bardzo ściśnięte. A większość miała trumny, tylko że nacisk ziemi wszystkie połamał. Tu w ogóle nie ma podpiwniczenia. Archeolodzy zrobili w zeszłym roku badania georadarowe i nic nie wykazały. Wydaje mi się, z całym szacunkiem dla pańskiego doświadczenia, że relikwiarz ukryto jednak poza kościołem. Konfesjonały są z lat siedemdziesiątych albo i osiemdziesiątych. Tu po prostu nie ma gdzie tego włożyć. Chyba że gdzieś w ścianie zamurowano. Mury są faktycznie grube. Kto wie co jeszcze kryją...

– Trzeba będzie sprawdzić plebanię – zasugerowałem. – Ściany, framugi, piwnice. Ja na miejscu proboszcza ukryłbym relikwiarz w kościele albo właśnie na plebanii. W końcu to zamknięty bezpieczny obiekt. Można sobie nocą spokojnie wykuć dziurę w ścianie, zagipsować, pomalować i śladu nie będzie... I nikt niepowołany nie zakradnie się, by pruć mury. Można też zakopać

w piwnicy lub ukryć na strychu. No i nie ma ryzyka, że ktoś zauważy świeżą plamę na ścianie czy przemalowany kawałek, zanim zleje się z całością.

– To brzmi dość prawdopodobnie – przyznał duchowny. – Ma pan zapewne odpowiedni sprzęt, wykrywacze metalu i tak dalej?

– Przywiozłem rozmaite wyposażenie. Ale zaczniemy od kamery termowizyjnej.

– Co to za cudo?

– Urządzenie, które pokazuje obraz z uwzględnieniem różnic temperatury rzędu dziesiątych części stopnia Celsjusza – wyjaśniłem. – Jeśli wykuto gdzieś dziurę, zmieniła się struktura ściany, więc inny będzie też skład chemiczny tynku, tym samym to się inaczej nagrzewa. Podobnie można badać glebę. Tam, gdzie wykopano dół, spistość ziemi przez całe lata jest inna.

– Czego to ludzie nie wymyślą. – Pokręcił w zadumie głową.

– Pożyczyłem od znajomych. Możemy się zaraz zabierać do dzieła.

– Zaraz to będzie obiad. Zjemy i możemy brać się do pracy. Chętnie pomogę, bo pewnie trzeba będzie poodsuwać meble.

Skinąłem głową, potwierdzając jego przypuszczenia.

*

Wypakowałem z auta dwa aluminiowe kontenerki ze sprzętem. Kamera termowizyjna, wykrywacze metali – zwykły i ramowy do głębokich poszukiwań, wiertarka o mocy trzech tysięcy watów z kompletem długich wiertel i zestaw sond z kamerami laparoskopowymi. Ksiądz przebrał się po cywilnemu i rozpoczęliśmy poszukiwania. Zwinęliśmy dywan, by dokładnie obejrzyć parkiet. Odsunęliśmy zegar i regały z książkami w saloniku. Omiotłem ściany wykrywaczem metali, potem zlustrowałem kamerą termowizyjną. Zamurowane okno,

pęknięcia muru ponad nim, zagipsowane niewielkie otwory – sądząc po ich rozmieszczeniu, kiedyś na ścianie wisiały obrazy...

Obejrzeliliśmy pokój dla gości, w którym spała Magda. Kancelaria parafialna była nie lada wyzwaniem, bo przedwojenne jeszcze, stalowe szafy na akta były po prostu zbyt ciężkie, by pokusić się o ich przesuwanie. Tu przydały się kamery – wsunąłem sondę i uzyskaliśmy obraz ze szpary między meblami a ścianą. Sprawdziłem metodycznie progi, framugi drzwi, obramowania okien. Piwniczka była niewielka i niestety także kompletnie nas rozczarowała. Wprawdzie w jednym kącie wykrywacz zasygnalizował silne echo, ale wykopaliśmy tylko kompletnie przerdzewiałe drzwiczki od piecyka i dwie pokrywki od słoików.

Zbadałem mój pokoik na poddaszu, a potem poszliśmy jeszcze na strych, gdzie starannie obwąchałem wszystkie belki więźby dachowej. Niestety, żadna nie została wydrążona, znaleźliśmy tylko klamry wzmacniające konstrukcję oraz dłuto, które cieśla zgubił tu może ze sto dwadzieścia lat temu. Także przewody kominowe niczego nie kryły.

Sześć godzin pracy, a jedynym ciekawym łupem była garść bilonu, wyciągniętego z za listew i ze szpar podłogi, oraz krzyż harcerski z lat osiemdziesiątych z urwaną śrubką. Wreszcie przyszła pora na pokój księdza. Umieblowany był ascetycznie. Tapczan, szafa na ubrania, biurko i dwa fotele. Książki stały na etażerze. Odsunęliśmy wszystkie meble. Ściany były białe i, szczerze powiedziawszy, przydałaby im się nowa warstwa farby. Uruchomiłem kamerę i mimowolnie gwizdnąłem pod nosem.

– Tu było coś namalowane – powiedziałem. – Chyba anioły... Niestety, widać tylko mgliste zarysy... – Zdjąłem gogle, podałem je proboszczowi.

Długo i w skupieniu wpatrywał się w mur.

– Fakt, tylko mgliste sylwetki... – westchnął. – Gdyby zdjąć farbę...

– Ciężka sprawa. – Pokręciłem głową. – To emulsja. Jeśli jest naniesiona na klejówkę, to zejdzie wszystko, z poprzednią powłoką włącznie. Hmm...

– Myśli pan, że kryje się tu jakaś wskazówka?

– Raczej nie. Wydaje mi się, że po prostu ściany były wymalowane w postaci aniołów. Nikomu to nie przeszkadzało, ale po latach wizerunki były już podniszczone i któryś z kolejnych proboszczów po prostu kazał pociągnąć wszystko na białą. Czy ma ksiądz jakiś kontakt z poprzednikami?

– Jeden już nie żyje, ale mam gdzieś zanotowany mejl do drugiego. Zaraz do niego napiszę.

*

Zasiedliśmy do obiadowej kolacji. Gospodyni postawiła pośrodku wazę z leczo i dosiadła się. Ksiądz Franciszek nadszedł po chwili.

– Zmejlowałem się z poprzednim proboszczem. Na ścianach były malowidła aniołów, ale strasznie się łuszczyły, więc w końcu kazał je po prostu pokryć farbą. Nie było przy nich żadnych napisów, szyfrów, nic podejrzanego. Obawiam się, że traci pan czas. – Westchnął. – Poruszamy się na ślepo, bez choćby najmniejszej wskazówki. Moim zdaniem, sprawa jest nie do ugryzienia.

– Relikwiarz to nie szpilka – odparłem. – Problem w tym, że może być gdziekolwiek... A gdyby tak dać ogłoszenie? Ze zdjęciem. Może ktoś go znalazł i nie wie, co to jest?

Wyciągnąłem z teczki zdjęcie, zeskanowane z materiałów Instytutu Sztuki PAN w Warszawie.

– Starzy ludzie relikwiarz widzieli, wystawiano go przecież podczas świąt – zamyślił się proboszcz. – Gdyby znaleźli, to pewnie by oddali. A w każdym razie wiedzieliby, co to jest.

– Zaginął ponad pięćdziesiąt lat temu. Dorosło już drugie

pokolenie, które nie ma pojęcia, jak mógł wyglądać. – Pokręciłem głową. – Ktoś mógł go w tym czasie znaleźć, wykopać...

– Może i faktycznie warto pokazać tę fotografię ludziom... – Ksiądz kiwnął głową. – Pojutrze jest trzeci maja, więc jeśli ma pan to w postaci pliku, zrobiłbym wydruk albo kilka i powiesił na tablicach informacyjnych, a w ogłoszeniach parafialnych nawiążę do sprawy i polecę uwadze owieczek.

– Ja to pamiętam, młoda dziewczyna byłem. – Gospodyni wzięła zdjęcie i oglądała je przez chwilę. – Płaski był jak książka i ten anioł z przodu ładnie grawerowany... A te kamyczki to niebieskie były. – Puknęła palcem w czarno-biały wydruk. – Mówili ludzie, że szafiry, ale mi się widzi, że turkusy raczej, bo jasne jak niezapominajki, no i nieprzejrzyste. A w środku to pióro, które miało być ze skrzydła anioła. Ale ksiądz relikwiarza nie otwierał, tylko raz w roku przy Wielkanocy. Ze dwa razy je widziałam, kiedy byłem blisko.

– I jak wyglądało? – zapytała Magda.

– Białe takie, ale nie do końca. Widać było po nim, że jest stare, bardzo stare. Na wielkość gęsie mniej więcej. No i miało oko.

– Oko? – zdziwiłem się. – Tak jak oczko na pawim ogonie?

– Tak jakby, ale o bardziej ludzkim wyglądzie – tłumaczyła starowinka. – Strasznie się wtedy przestraszyłam... Pióro jakby duża gęś zgubiła, a to oko, też białe... Najlepiej je było widać, jak się z boku pod kątem patrzyło. Deseń taki jakby. Nie wyglądało na namalowane, tylko fakturę miało inną niż reszta pióra. Powiem prawdę, trochę strach brał patrzeć, no ale dziesięć lat miałam, jak je ostatni raz zobaczyłam, a wiadomo, że dzieciak bardziej się boi wszystkiego. Podściółka była z czerwonego aksamitu i na nim leżało – dodała.

– Pióro z okiem – zadumałem się.

Po deserze odpaliłem laptop i zalogowałem się do netu. Freski eksponowane w Galerii Faras Muzeum Narodowego w Warszawie... Potem otworzyłem podkatalog zdjęć, które

zrobiłem w Sudanie. Inne freski, też z Faras – te, które na mocy porozumienia z rządem pozostały w Chartumie. Przeleciałem szybko zdjęcia malowideł ściennych ze Starej Dongoli. Potem chwilę jeszcze grzebałem na stronach poświęconych sztuce koptyjskiej i bizantyjsko-ruskiej.

– Mamy jakiś trop? – zagadnęła Magda.

– Przedstawienia aniołów, które mają dodatkowe oczy na piórach skrzydeł, są niezwykle rzadkie – powiedziałem.

– Z tego można dedukować, że relikwia była prawdziwa – zauważyła pogodnie. – Raczej nikt nie fałszowałby jej, tłocząc wzór oczu na gęsim piórze, bo takiej symboliki nie zrozumiałby nikt na Mazowszu.

– A jednak jest w miasteczku galeria sztuki, w której można kupić obrazki aniołów z oczami na piórach – rozważałem. – Zapewne były inspirowane relikwią.

– Z tego, co słyszałem, ksiądz Nowak i dziadek tego naszego malarza przyjaźnili się – zauważył proboszcz. – Inspiracji mogło być wiele. Może razem odwiedzili muzeum? W końcu Warszawa nie jest daleko.

– Galerię Faras udostępniono do zwiedzania w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, dekadę po śmierci proboszcza... – mruknąłem. – A wykopaliska prowadzono w latach sześćdziesiąt jeden do sześćdziesiąt cztery.

Ponownie otworzyłem zdjęcia fresków.

– Paradoks. Powstały w Afryce ponad osiemset lat temu. Zdawałoby się, że to, co namaluje się na ścianie, zostaje tam już na zawsze. Trudno zabrać kawał otynkowanego muru. Posąg lub płaskorzeźbę można wyrwać, zapakować na wóz i zawlec do domu jako łup. Ale malunek na kruchym tynku? Nijak. A jednak... Dziś katedra, której ściany zdobiły freski, znajduje się pod wodą, a malowidła są tutaj, w Polsce. Co więcej, na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie spoczywają kości trzynastu nubijskich biskupów sprzed tysiąca lat, wydobyte

podczas badań – dodałem.

– W zasadzie też można by je złożyć w jakimś kościele, bo nawet jeśli nie są relikwiami, stanowiłyby symbol łączności, jedności chrześcijan. – Ksiądz pokiwał głową. – Ludziom brak tej świadomości, że lud Boży stanowi jedność i zarazem przez pokolenia buduje wspólnie cywilizację chrześcijańską.

Powiększyłem jedno ze zdjęć. Archanioł Gabriel rozpościerał skrzydła. Patrzyłem na pióra w milczeniu. Każde ozdobione było ludzkim okiem. Anioł widzi wszystko. Patrzy na nas dziesiątkami źrenic... Czy taka idea przyświecała malarzowi, który tysiąc lat temu zdołał mur świątyni w Afryce? Przypomniałem sobie galerię w miasteczku. Dziadek malarza widział relikwiarz i jego zawartość. A może zobaczył pióro z okiem, a potem w gazecie ujrzał zdjęcia malowideł odkrytych przez naszych archeologów? Dlaczego wnuk nadal takie malował? Inspiracja pracami dziadka, czy może fascynacja znacznie silniejsza? Płynąca z – że się tak wyrażę – doświadczeń osobistych?

– Przejdę się rankiem po miasteczku rozprostować kości.

– Do galerii? – zapytała Magda.

– Tak.

– Czy mam czekać w samochodzie z włączonym silnikiem? – zażartowała.

– E, nie przesadzajmy. Jeśli nawet dziadek tego człowieka zaiwaniał relikwiarz, to malarz powie, że go nie ma i tyle. Nie musi mnie od razu zabijać.

– Ten jego dziadek zmarł chyba pod koniec lat dziewięćdziesiątych, gdy ja byłem już wikarym. – Proboszcz pokręcił głową. – To był religijny człowiek, jakby miał, toby oddał...

– A może ksiądz Nowak zadysponował, by, na przykład, przechować to przez pięćdziesiąt lat? – zadumałem się. – I teraz ród, wypełniając polecenie, strzeże...

– To bardzo ładna koncepcja – pochwalił mnie duchowny. – Ale

chyba mało prawdopodobna.

– Kto wie? Zapytam. O ile będzie miał otwarte i zechce w ogóle odpowiedzieć.

*

Poranek był deszczowy. Ciężko było wygrzebać się z ciepłego łóżka. Ale zapachy przygotowywanego śniadania skutecznie nakłoniły mnie do opuszczenia pościeli. Po śniadaniu wziąłem parasol i powędrowałem do miasteczka. Galeria na szczęście nie była daleko, dotarłem do niej w kwadrans. Malarz na mój widok trochę się zdziwił, ale też i jakby trochę ucieszył. Patrzyłem na rzeźby i obrazy. Zebrałem się w sobie.

– Ci aniołowie mają oczy także na piórach skrzydeł – zacząłem. Kiwnął głową.

– Mam takie przedstawienia na pracach mojego dziadka i sam podobne maluję. Ale jego nie są na sprzedaż. Pamiątka rodzinna.

– Czy pański dziadek zajmował się także mozaikami?

– Skąd pan wie? – zdziwił się. – Tam na końcu stoją, nakryte.

Ruszyłem wzdłuż ściany. Za obrazami stały jeszcze dwie płaszczyzny, osłonięte bawełnianą tkaniną. Podniosłem ją.

– To nieukończone – bąknął malarz. – Dziadek nie zdążył, bo mu się zmarło, a ja nie bardzo sobie radzę z tą techniką.

Przodek artysty przygotował sobie z deski dwa podkłady o wymiarach mniej więcej metr na półtora, zakończone u góry półkoliście. Nie musiałem mierzyć, by wiedzieć, że będą idealnie pasowały do wnęk w niewykończonej kaplicy.

Na drewnie rozciągnięto siatkę z cienutkich, żelaznych drucików, która służyła jako podkład, swego rodzaju zbrojenie. Pokryto ją zaprawą, w którą powciskano drobne kolorowe kamienie. Nieukończona nigdy mozaika przedstawiająca anioła, czy może archanioła. Czarne kontury wyłożone zostały

drobnymi obsydianowymi prostokątami. Szaty anioła ułożono z karneolu w kilku odcieniach, skrzydła wykonano z marmuru. Każde pióro wycięto z jednej płytki, w jej powierzchni wygrawerowano stosinę i odchodzące od niej promienie. W powierzchnię każdego wpuszczono też kamienną intarsję, przedstawiającą oko.

Widać było, że poszczególne elementy szlifowano na małej ręcznej szlifierce, na krawędziach dostrzegłem nawet ślady ołówka – twórca odrysowywał sobie elementy z szablonu. Między kostkami mozaiki nie było jeszcze wypełnienia, tło nie zostało wykonane. Przyklejono tylko kilka szklanych kosteczek z zatopionymi wewnątrz płatami szlagmetalalu albo złota płatkowego.

– Tak się domyśliłem, jak obejrzałem ruiny niedokończonej kaplicy, że powinny tam się znaleźć właśnie mozaiki – wyjaśniłem. – Wnęki w murze są tak płytkie, że gdyby powiesić tam obraz, to blejtram by wystawał. No i po co malowidło na desce czy kanwie zagłębiać w mur? Pomyślałem, że to może być przygotowane pod fresk albo mozaikę.

– Tak pewnie było. Gdyby dziadek je skończył, a ksiądz zbudował kaplicę, wtedy trafiłyby na miejsce. Ksiądz zginął, budowę zarzucono, to i dziadek przerwał prace.

– Podobno się przyjaźnili?

– I to bardzo. Dziadek był z księdzem Nowakiem zakumplowany jeszcze od podstawówki. Obaj urodzili się w Stryju, na Kresach, po wojnie, w czasie przesiedleń, stracili kontakt. Dziadek tu osiadł, a po parunastu latach wielka niespodzianka – dawny przyjaciel ze szkoły trafił w to samo miejsce jako proboszcz. I mając kumpla artystę pod ręką, nie szukał daleko, tylko zlecał mu to i owo. Ksiądz miał podobno feblika na punkcie aniołów.

– Zagrajmy w otwarte karty – zaproponowałem.

– Pan detektyw mnie podejrzewa? Tak groźnie to zabrzmiało –

uśmiechnął się artysta. – Jak na świętej spowiedzi. Nie mam tego zaginionego relikwiarza. – Przyłożył dłoń do serca. – Nie wiem nawet, jak wyglądał, znam go tylko z opowieści. Dziadek nigdy by czegoś takiego nie ukradł, to był człowiek o kryształowej uczciwości. Zresztą po co by mu to było? No i przyjacielowi nawet po śmierci takiego numeru by przecież nie wyciął.

– Myślałem, że może ksiądz przekazał mu na przechowanie. – Streściłem pokrótce sprawę lustracji relikwii.

– Tego nie wykluczam. Ale nawet gdyby tak było, dziadek nigdy niczego na ten temat nie mówił. – Potrząsnął głową. – Nie zostawił żadnych wskazówek, szyfrów, listów... Nie namalował nigdzie w domu tajemnych znaków. Ale powiem, że mógł coś wiedzieć, bo jak już wspomniałem, z księdzem żył w wielkiej przyjaźni. No i miał trochę zleceń, w kościele coś tam odmalowywał, czasem robił naprawy stolarskie. W ogóle to był zdolny człowiek, rzeźbił w kamieniu, buty szył, książki oprawiał... No i gdyby proboszcz Nowak miał komuś zaufać, to owszem, dziadek był odpowiednim człowiekiem. Jak się ksiądz na motorze zabił, bardzo to przeżywał. Pod koniec życia mówił nawet, że cieszy się, bo na tamtym świecie znowu starego kumpla zobaczy. I prosił, żeby pochować go obok proboszcza... No, tak obok się nie dało, z piętnaście metrów będzie. W ogóle, jak się pan na cmentarz przejdzie, to można zobaczyć z dziesięć nagrobków spod jego dłuta. Takie z piaskowca. Teraz to je ledwo widać wśród tych marmurów, ale kiedyś tu królowały ziemne groby i drewniane krzyże, więc to był nie lada splendor, zwykła kamienna płyta.

*

Cmentarzyk był niewielki, ale ładnie utrzymany. Na szczęście przestało padać, a wiosenny wiatr osuszył ziemię. Magda wybrała

się ze mną. Znalazłem grób pechowego proboszcza. Dziadek artysty napracował się przy nagrobku. Na piaskowcowej płycie wykuł imię i nazwisko zmarłego, wzdłuż krawędzi umieścił bordiurę z kwiatów.

– Przyjmijmy, że artysta otrzymał od swojego przyjaciela proboszcza relikwiarz z prośbą, aby przechował go do czasów, gdy komisja lustrująca relikwie przestanie wreszcie węszyć. A potem ksiądz zginął.

– Chcesz powiedzieć, że relikwiarz ukryty jest w grobie albo wręcz w trumnie księdza? – zdumiała się Magda. – No, w sumie, dostęp do grobu miał, dostał artefakt na przechowanie, nie wiedział, komu oddać, to włożył przyjacielowi...

– Nie jest to szczególnie prawdopodobne, ale chwilowo nie mam lepszego pomysłu – wyznałem. – Zazwyczaj ludzie tego nie robią, zwłaszcza na wsi. Cmentarz jest tu uważany za ostatnie ogniwo, niczego się z niego nie zabiera, żeby nie przywlec do domu duchów ani śmierci. Stąd też nie ukrywa się na nim żadnych dóbr materialnych. Ale zajrzę...

– Ta płyta wygląda na dość ciężką.

– Poza tym to brzydko naruszać spokój zmarłych – dorzuciłem. – Techniką zajrzę. Najpierw sprawdzimy, czy w środku są metale, potem, jeśli zajdzie potrzeba, spróbujemy wcisnąć do środka kamerę laparoskopową. W ostateczności zdobędzie się zgodę na otwarcie grobu.

Wyciągnąłem z plecaka ramowy wykrywacz metali. Zmontowałem, przez dłuższą chwilę dostrajałem, by ignorował wyroby z żelaza.

– Powinien sięgnąć... – mruknąłem. – Zwarty obiekt wielkości książki, przypuszczalna masa może około ćwierć kilograma. Spora powierzchnia odbicia fal... Jeśli tu jest, powinniśmy go namacać.

Przejechałem kilkakrotnie po nagrobku. Urządzenie milczało. Przystroiłem na wykrywanie żelaza. Tym razem popikało cicho.

– Zapewne okucia i uchwyty trumny – wyjaśniłem dziewczynie. – Tak czy siak, relikwiarza w tej mogile raczej nie ukryto.

– To może w grobie u dziadka artysty? – podsunęła.

– Wydaje mi się, że właściciel galerii mówił prawdę, jednak cóż, jak to mówią mądrzy ludzie, należy bliźnim ufać, ale ich sprawdzać.

Trochę minęło, zanim odszukaliśmy właściwy nagrobek. Jednak i tu spotkało nas rozczarowanie.

*

Usiedliśmy do obiadu. Zreferowałem stan poszukiwań. Proboszcz wysłuchał, a potem rozłożył ręce.

– No cóż, liczę się z tym, że relikwiarz przepadł na zawsze, a jeśli kiedykolwiek się znajdzie, to wyłącznie dzięki szczęśliwemu przypadkowi – powiedział. – Chyba żeby doczyścić to malowidło w pokoju... – Widać uparta myśl wracała.

– Plebania wydaje mi się bardzo prawdopodobnym miejscem – westchnąłem.

Byliśmy przy deserze, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Gospodyni poszła otworzyć. Po chwili w drzwiach saloniku stanął artysta. Trzymał pod pachą opasłą księgę.

– Szczęść Boże... Oj, widzę, że nie w porę zaszedłem, to może później... – speszył się.

Ale ksiądz Franciszek stanowczo zaprosił go do stołu. Gospodyni zakręciła się, dołożyła jedno nakrycie.

– Pan detektyw tak mówił o tych aniołach, że zacząłem się zastanawiać, czy może faktycznie mój dziadek tego relikwiarza nie ukrył. To takie jego zapiski, nie powiem pamiętniki, bo to nie jest właściwe słowo, ale pisał, co, gdzie i dla kogo robił. Oprawiał książki dla proboszcza. To pewnie te. – Wskazał stojące na regale.

– Żadna z nich nie jest relikwiarzem oprawionym tak, by udawał książkę – uśmiechnął się ksiądz Franciszek. – Wiem, bo robiłem katalog komputerowy i wszystkie po kolei wpisywałem, choć widać, że do niektórych nikt nie zaglądał od wielu lat.

– Tu jest zapisek... Ciekawy chyba. – Artysta otworzył w założonym miejscu i puknął palcem w stronicę.

– „22 marca 1961, szafka zegarowa z drewna orzechowego, rzeźbiona w motywy jesienne, skrytka 41 x 26 x 5 centymetrów” – odczytałem wyraźne, prawie kaligraficzne pismo.

Wszyscy jak na komendę popatrzyliśmy na zegar. Odsuwałem go, żeby oglądać ściany kamerą. Czy to możliwe, że otarłem się o tajemnicę? Podszedłem, wyjąłem z kieszeni mały ręczny wykrywacz metali, odchyliłem wiszące mosiężne wagi i przejechałem po dnie szafki. Zapiszczało, i to konkretnie. Obejrzałem przy użyciu lusterka, jak zegar wygląda od spodu. Nie, nie tędy droga... Z tyłu? Gdy ponownie odsunęliśmy szafkę od ściany, wypatrzyłem otwór nawiercony cienkim wiertłem. W przyborniku miałem na szczęście długie szydło. Wetknąłem i namacawszy jakiś metalowy element, nacisnąłem, zwalniając zatrzask. Dno szafki otworzyło się, wypchnięte sprężynami. W zagłębieniu wydłutowanym w litym drewnie leżało coś podłużnego zawiniętego w płótno.

– A niech mnie! – szepnął proboszcz, wyjmując zawiniątko.

Na wierzchu leżała poźółkła kartka w kratkę. „Nie odwijać przed marcem 2011 roku” – głosił napis.

– Miało czekać pięćdziesiąt lat – mruknąłem.

Ksiądz położył zawiniątko na stole i ostrożnie je odpakował. Nie myliliśmy się. Zaginiony relikwiarz powrócił.. Srebro poczerniało z wiekiem. Siedzieliśmy w milczeniu wokół znaleziska. Zmówiliśmy modlitwę. Proboszcz wahał się przez dłuższą chwilę. Wreszcie przeżegnał się i wysunął dwa sztyfty, blokujące zameczki, otworzył pudełko. Serce uderzyło mi mocniej... Niestety, na aksamitnej wyściółce leżała tylko

odrobina pyłu. Pióro rozsypało się ze starości albo – co bardziej prawdopodobne – padło ofiarą jakichś owadów.

Ksiądz Franciszek już miał zamknąć relikwiarz, gdy spostrzeżliśmy coś jeszcze. Na wieczku od środka rozlewała się plama wielobarwnej patyny. Układała się w zarys pióra. Przypomniało kształtem gęsie, ale miało oczko jak pawie... Tak przynajmniej mi się wydawało, gdy patrzyłem na rozmyte plamki różnych związków chemicznych. Kolory, kiedyś zapewne bardziej żywe, wyblakły, szczegóły pozacierały się, na obrzeżach wszystko poczerniało. Plama utleniła się? Obawiałem się, że skoro otworzyliśmy skrzynkę, a do środka dostało się świeże powietrze, obraz utleni się do reszty i zniknie.

– Może pióro natarte było fosforem i dzięki temu na przykład świeciło w ciemności? – zamyślił się proboszcz, oglądając relikwiarz.

– Fosfor w zetknięciu ze srebrną blachą... – Zmarszczyłem czoło, usiłując ułożyć w głowie wzór reakcji chemicznej. – Fosforan srebra to żółte kryształki... Nie pasuje.

– Z czego składa się pióro? – zapytał ksiądz.

– Głównie kreatyna. Jest raczej stabilna chemicznie, choć w zetknięciu ze srebrem może się rozpaść. Na co? Octany? Octan srebra jest światłoczuły... a potem czernieje – rzucił artysta.

– A może barwniki obecne w samym piórze?

– Melanina, lipochromy... – Malarz marszczył czoło, grzebiąc w pamięci. – Przepraszam, gdy studiowałem weterynarię, trochę miałem do czynienia z chemią organiczną i biochemią, ale to, co zdołałem sobie przypominąć, nijak tu nie pasuje. A sam farb nie kręcę, wszystko na gotowych robię. Może pan detektyw? – Spojrzał na mnie.

– Barwne płowienie związków srebra odkrył i udoskonalił Jan Szczepanik. Stosuje się też barwne trawienie meteorytów żelaznych i rozmaitych stopów technicznych. Ale jestem laikiem, jeśli chodzi o metody. Może przed ukryciem relikwiarz

wyczyszczono, ścierając mimowolnie warstwę patyny, dostała się wilgoć i pióro uległo zniszczeniu w reakcji ze srebrną blachą... Tak czy inaczej, relikwii już nie ma, został tylko jej obraz, coś jak zdjęcie. Patrząc trochę szerzej... Wydaje mi się, że tak się musiało stać. Bóg chowa się przed nami, ukrywa przed badaniami doświadczalnymi. Nie mamy możliwości zdobycia naukowego dowodu istnienia Jego samego czy aniołów. Lecz granice poznania bardzo się przesunęły. Mam na przykład w walizce mikroskop, a także inny sprzęt. Dlatego zadbano, by to pióro nie wpadło w nasze ręce... Tajemnica ma pozostać tajemnicą.

Proboszcz milczał chwilę, układając sobie coś w głowie.

– Jutro trzeci maja – powiedział wreszcie. – Święto ważne i chwila też odpowiednia. Wystawię relikwiarz. I ogłoszę, że podejmuję dzieło proboszcza Jeremiego Nowaka. Zarządzę zbiórkę materiałów budowlanych, żeby dokończyć kaplicę. Czy uzupełniłyby pan te dwie dziadkowe mozaiki?

Artysta dłuższą chwilę skrobał się po głowie.

– Wie ksiądz, nigdy nie miałem z tym za wiele do czynienia... Ale w sumie aż takie bardzo trudne to chyba nie jest. Mogę spróbować.

– Pośpiechu nie ma, budowa trochę potrwa, zresztą najpierw i tak muszę zdobyć pozwolenia, i tak dalej. Trzeba też zaprojektować tę półowalną...

– W papierach dziadka jest szkic projektowy.

– Doskonale, proszę pomyśleć, ile to by kosztowało... A właśnie. – Spojrzał na mnie. – Pańskie usługi, panie Robercie?

– Nie znalazłem zamówionego fantu. – Wzruszyłem ramionami.

– Ale latał pan przez wiele godzin z wykrywaczem i kamerą.

– No to, powiedzmy, szacując po kosztach robocizny, wypracowałem jakieś sto dwadzieścia złotych, ale z narzeczoną uszczupliliśmy drastycznie zapasy plebanii. Podjedliśmy i wypiliśmy za co najmniej trzy stówki. Pomodli się ksiądz za nas

i jesteśmy kwita.

– Cóż, niech będzie i tak...

Zapatrzyłem się na plamę w kształcie pióra.

Nie wiem, w jaki sposób powstał ten obraz, pomyślałem. Może lepszy fachowiec coś powie? A może i nie...

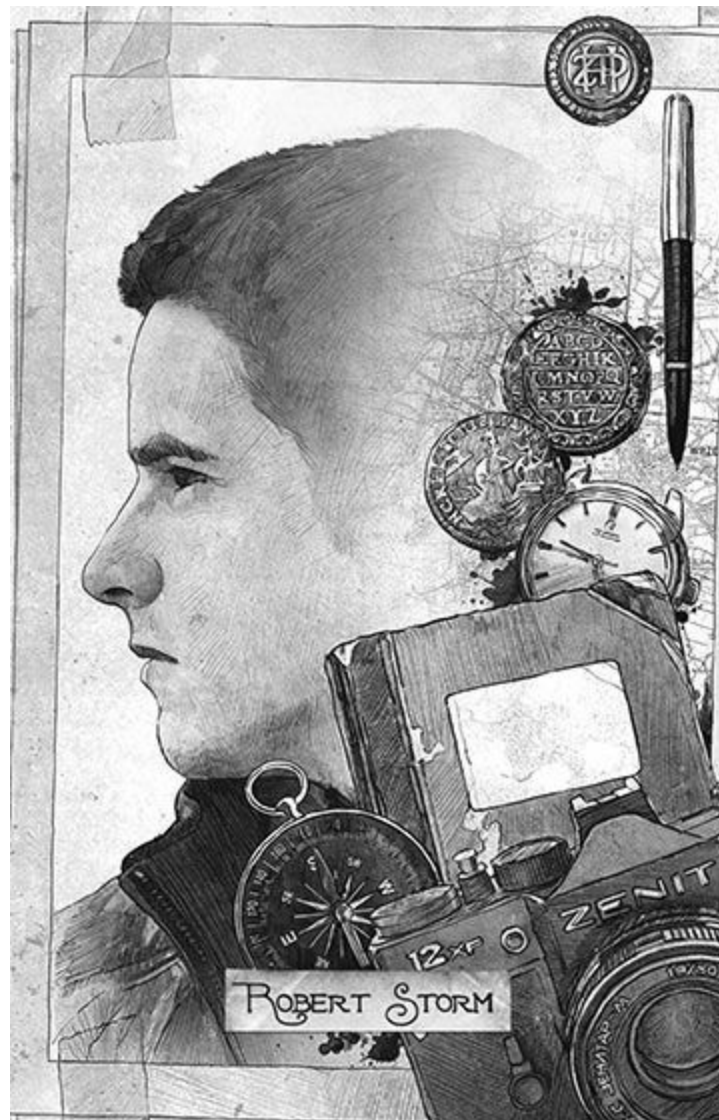
Przypomniała mi się samotna wysepka na Morzu Egejskim i stary mnich, strzegący domniemanego miejsca ukrycia mafiorionu. Jak on to ujął? „Nie ma dowodów. Są znaki..”

Szafa

Byla raz sobie gdańska szafa, która postanowiła zostać polskim szlachcicem.

– Mam do tego pełne prawo – mówiła. – Mieszczę wszak więcej flasz wina niż on.





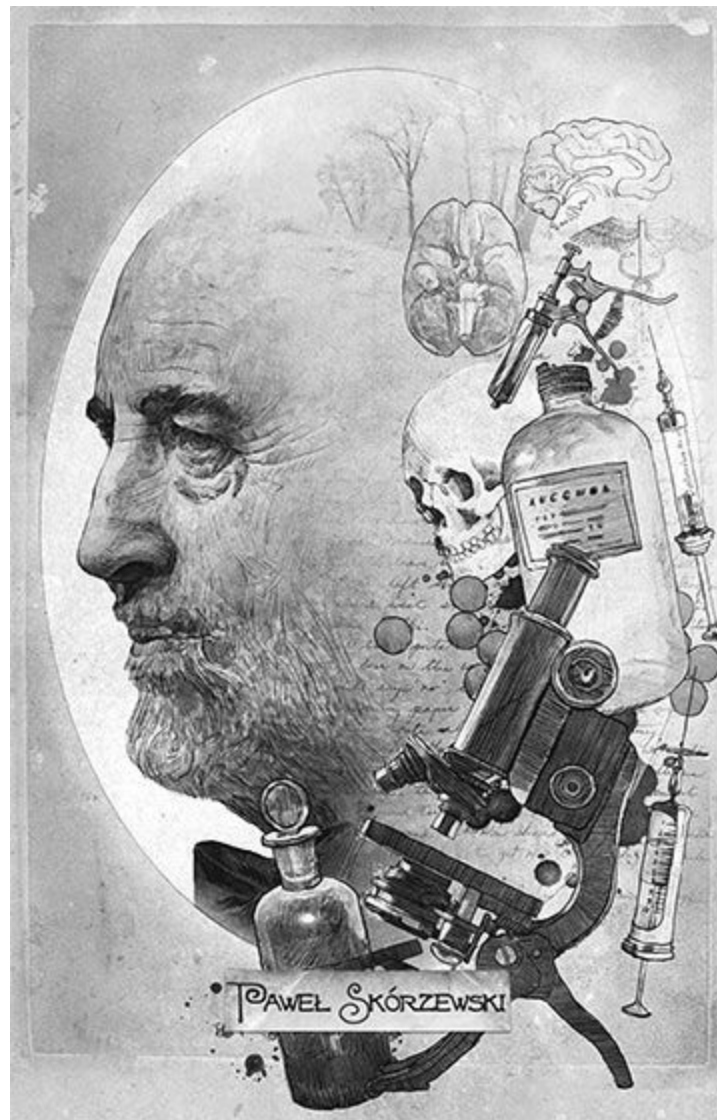
Robert Storm – (nazwisko należy wymawiać tak, jak się je pisze, a nie z niemiecka) – młody, choć już doświadczony „handlarz starzyzną”. Z tym że nie jest to zwykła starzyzna, ale przedmioty, które jego kontrahenci uważają za takową. Storm potrafi wypatrzeć w pozornie bezwartościowym kawałku metalu cenną tablicę, wie też, która drewniana, brudna i odpychająca wyglądem kłoda może kryć wspaniałą rzeźbę... A przede wszystkim jest swojego rodzaju detektywem, fachowcem do wynajęcia, potrafiącym rozgryźć każdą historyczną zagadkę.

Właśnie tak zarabia na chleb i na możliwość uzupełniania własnych kolekcji.

Absolwent archeologii, która to nauka nierzadko przydaje mu się w pracy, aczkolwiek w jego przypadku główną rolę odgrywa talent.

Robert, poza tym, że posiada rozległą wiedzę, bywa chwilami cwaniakowaty, przemądrzały i wręcz irytujący. Jak to wieczny chłopiec – bo nim właśnie jest. Z drugiej strony, prezentuje iście przedwojenne poczucie honoru, połączone z pewną naiwnością. Ta ostatnia cecha może pozornie stać w sprzeczności z cwaniakowatością, jednak należy oddzielić tutaj pracę zawodową Roberta od życia osobistego. Bo właśnie w codziennym obcowaniu ze zwykłymi ludźmi pozwala sobie na daleko posuniętą łatwowierność.

Takie jest życie, chciałoby się rzec – zazwyczaj nic nie jest w nim zupełnie proste i oczywiste. I takie też są przygody Roberta. Nawet jeśli wydają się mieć jasne i klarowne zakończenie, zawsze pozostaje jeszcze miejsce na tajemnice i domysły.



Doktor Paweł Skórzewski – żyjący na przełomie wieków dziewiętnastego i dwudziestego lekarz, badacz i podróżnik... A może podróżnik, badacz i lekarz? Zresztą można te trzy terminy ustawiać w dowolnej kolejności. Bo też nie ogranicza się on do jednej dziedziny: raz bywa bardziej medykiem, raz mocniej skupia się na pracach naukowych, innym razem wyrusza w dalekie podróże. Wszystko to kwestia potrzeb i okoliczności.

Elegancki starszy pan w nienagannie skrojonym fraku,

przemierzający z kosztowną laseczką ulice bogatych dzielnic najświetniejszych stolic świata w poszukiwaniu drogich lokali, w których mógłby się rozerwać i zawrzeć ekscytujące znajomości...

Nie, nie – zaraz! To nie jest biogram tego pana! Starszy pan – tak, elegancki – zdarza się, ale frak zakłada raczej rzadko, a jeśli nawet nosi laseczkę, prędzej niż złotych wykończeń należy się spodziewać w niej ukrytego ostrza. Bogate dzielnice? Drogie lokale? Dziewczynki? W żadnym wypadku!

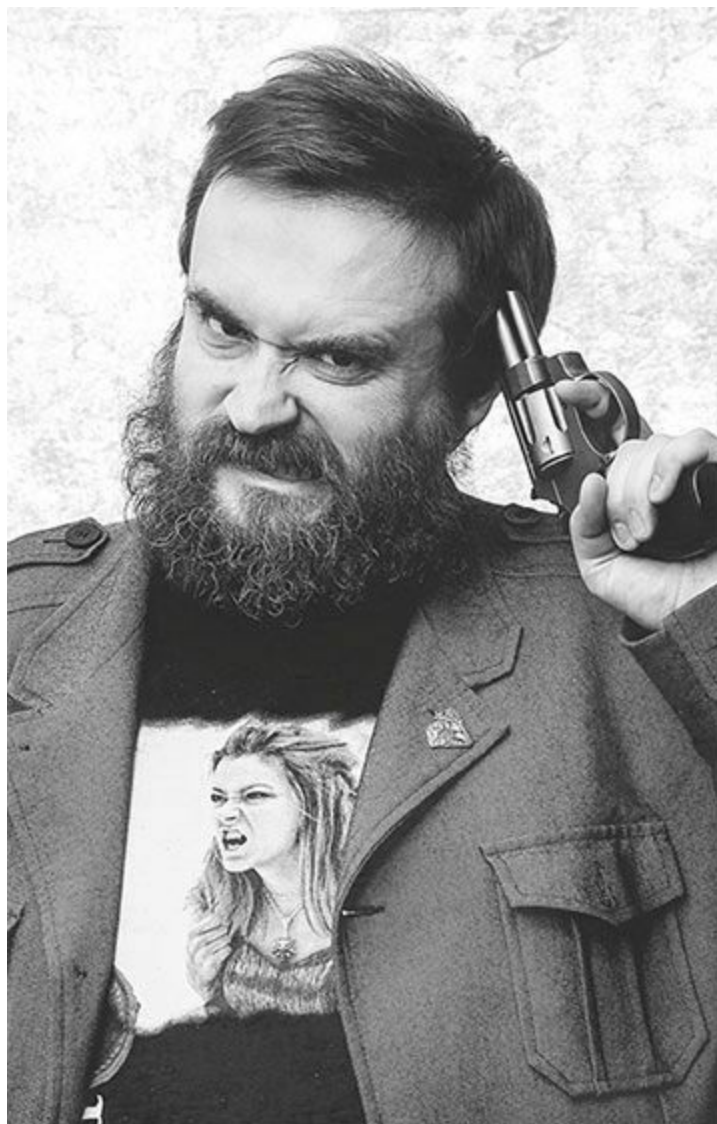
Doktor Skórzewski jest osobnikiem, którego można śmiało nazwać patologicznym dobroczyńcą. Niestraszne mu śmiertelne i straszliwe choroby, jak trąd czy dżuma. Nie broni się przed wirusem w najdalsze choćby zakątki świata, aby wytępić zarazę, leczyć z gruźlicy czy zwalczać kołtun, nie waha się podjąć śmiertelnie niebezpiecznych wyzwań, aby uratować czyjeś życie.

Wiele razy jest zmuszony walczyć – nie tylko z ludźmi, ale też z istotami, których pochodzenie jest równie tajemnicze jak etiologia niektórych schorzeń.

Postać ze wszech miar fascynująca. Z kimś takim można wyruszyć na koniec świata, wiedząc, że można nań liczyć zawsze i wszędzie, że prędzej odda życie, niż zdradzi.

Ma także swoje mroczne tajemnice, jednak tym bardziej czynią go one prawdziwym człowiekiem...

Andrzej Pilipiuk



Człowiek z przeszłości. Niestrudzony tropiciel ciekawostek z lamusa. Kolekcjoner nagród literackich, który z pisania z pasją uczynił swój sposób na życie. Miarą jego sukcesu jest miejsce na podium ścisłej czołówki najpoczytniejszych pisarzy w Polsce.

Homo literatus, który do pisania podchodzi z żelazną regułą – pracuje planowo, codziennie, a kiedy poczuje zmęczenie fabułą,

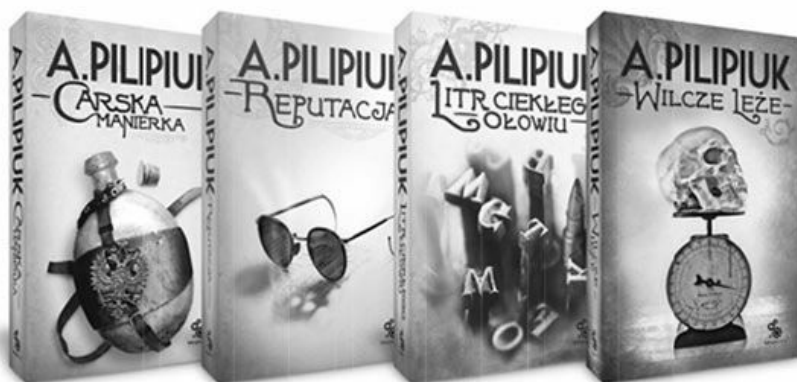
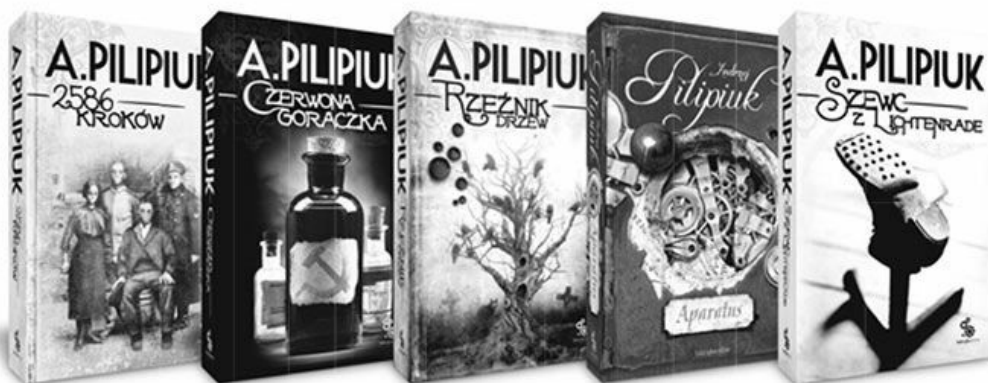
zabiera się do innego tytułu. Uprzedzając krytykę, sam siebie nazwał Wielkim Grafomanem. Z wykształcenia archeolog, z zamiłowania łowca meteorów. Beznadziejnie zauroczony zapomnianymi odkrywcami i wynalazkami XIX wieku. Społecznik. Własnym sumptem i ogromnym zaangażowaniem wydał unikatowy album o Wojsławicach, mieście, w którym narodził się Jakub Wędrowycz.

Twórca panteonu niezwykłych bohaterów literackich oraz Jakuba Wędrowicza – zawistnego, mściwego kmiota, bimbrownika i egzorcysty. Jedyne w polskiej literaturze rdzennie polskiego superbohatera, który przez lata rozśmieszania do łez dorobił się własnego festiwalu.

Pija herbatę. Ani wstrząśniętą, ani tym bardziej mieszaną. Parzoną w samowarze.

*Książki Andrzeja Pilipiuka
wydane nakładem Fabryki Słów*

Zbiory opowiadań



2586 kroków
Czerwona gorączka
Rzeźnik drzew
Aparatus
Szewc z Lichtenrade

Carska manierka
Reputacja
Litr ciekłego ołowiu
Wilcze leże

Cykl o Jakubie Wędrowczu



Kroniki Jakuba Wędrowcza
Czarownik Iwanow
Weźmiesz czarno kure...
Zagadka Kuby Rozpruwacza

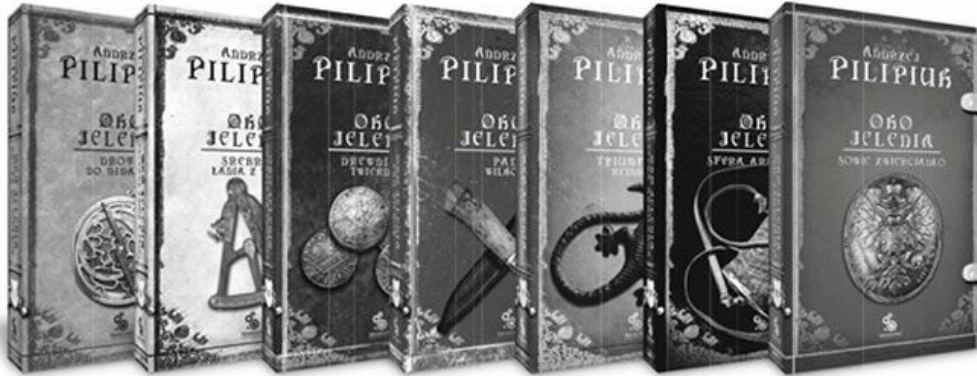
Wieszać każdy może
Homo bimbrownikus
Trucizna
Konan destylator

Cykl Kuzynki Kruszewskie



Kuzynki
Księżniczka
Dziedziczki
Zaginiona

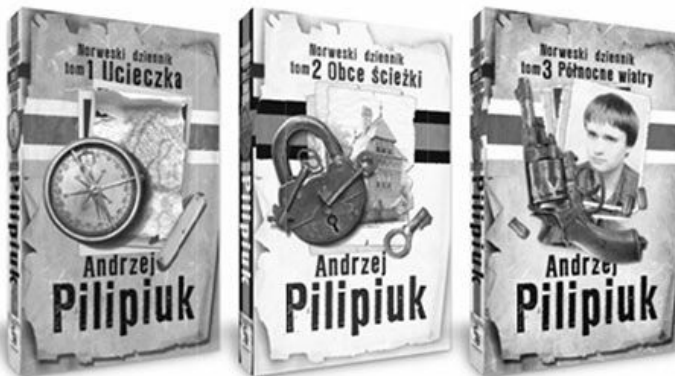
Cykl Oko Jelenia



Droga do Nidaros
Srebrna Łania z Visby
Drewniana Twierdza
Pan Wilków

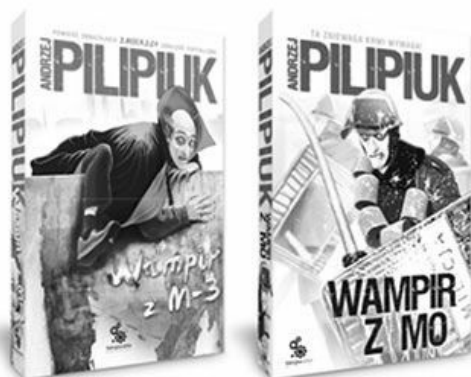
Triumf lisa Reinicke
Sfera Armilarna
Sowie Zwierciadło

Cykl Norweski Dziennik



Norweski dziennik – tom 1. Ucieczka
Norweski dziennik – tom 2. Obce ścieżki
Norweski dziennik – tom 3. Północne wiatry

Cykl Wampir z...



Wampir z M-3
Wampir z MO

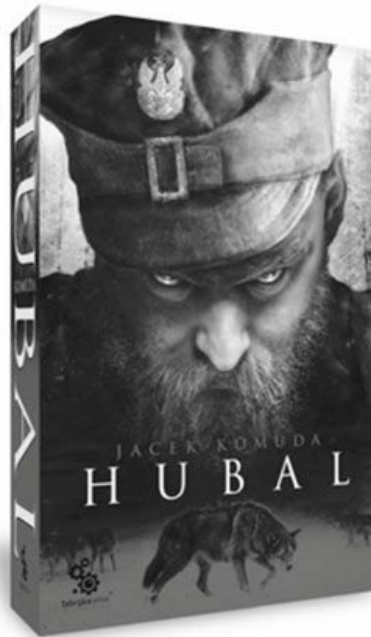


Operacja
Dzień Wskreszenia

Komiksy



Dobić dziada
Zabójca
Krasnoludy



JACEK KOMUDA
HUBAL

FRAGMENT

29 IX 1939, w spalonej Piątnicy nad Narwią, wieczór

Chłopak wrócił za niecałą godzinę, spocony i przejęty, ściągnął maciejówkę przed dowódcą i gniótł ją w rękę.

– Oba mosty zniszczone. Żelazny wysadzili nasi, jak się bronili w fortach. Drugi, stary, też zniszczony. Ale jest, a jakże, panie majorze, niemiecki, drewniany, wąski, psiajucha, jak kładka do nieba. Dwa wozy jeszcze się miną, ale samochody to już nie.

– Warta?

– Będzie z dziesięciu. Bez ciężkich karabinów po tej stronie. Po drugiej nie wiem, nie bardzo przepuszczają, akurat jechały

ciężarówka ze wschodu. Można się do nich podkraść blisko rowem, wzdłuż strumyka, z tej strony Narwi.

– Co w Łomży?

– Toż mówię, panie majorze – wydyszał przejęty chłopak. – Spotkałem Plesickiego, gospodarza z Chojen. Przewiózł mnie na drugą stronę w wozie, a potem z powrotem, kiedy wracał, bo wiózł kartofle na targ. Na rynek przyjechał pułk Niemców. Mają samochody, stoją na rynku, nocują w domach, co jeszcze się ostały po ostrzale.

– Proszę – odezwał się ze złością Sołtykiewicz – kolejna przeprawa obsadzona. Inaczej, niż pan sądził. Mówiłem, żeby od razu iść na południe!

– A jak tam wygląda?

– Nie przejdzie się, panie majorze. W Niewodowie i Drozdowie nie ma przepraw, Niemcy zabrali duże łódki, dalej na drugim brzegu są trzęsawiska. Deszcze dołały, trzeba by szukać brodu aż pod Wizną.

– To za daleko – rzekł major. – Musimy zdobyć most niespodziewanym atakiem, przemknąć na drugą stronę i ominąć miasto.

– Jak pan chce to zrobić? – mruknął niechętnie Sołtykiewicz. – Jeden niepotrzebny strzał postawi na nogi cały pułk samochodowy wroga. Wystarczy, że zajmą groblę, a będą nas mieli jak na widelcu.

– Podzielimy się na dwie grupy. Ja poprowadzę konnych na most. Pan, kolego, będzie osłaniać nam tyły i przejdzie, kiedy już załatwimy sprawę.

– To szaleństwo.

– Nikt pana nie zmusza.

– Poczekaj, Henryku – zaproponował Kalenkiewicz. – Piątka jest zrujnowana i spalona, połamiemy koniom nogi, idąc po pogorzeliiskach. Wystarczy zresztą, że któryś się potknie, zarzy, a będzie alarm. Chłopcze, widziałeś te samochody Niemców

w mieście? Ile ich? Dwa, trzy? Dziesięć?

– Będzie z dziesięć. Może więcej, nie patrzyłem, bo Niemcy gonią i strach.

– Jak wyglądają?

– Jak ciężarówki, ale całe z blachy. Mają te, no... trzy, trzy...

– Trzy osie?

– I wieżyczki jak w tanku.

– Scherer Panzerspähwagen – mruknął kapitan. – Coś jeszcze? Mów wszystko.

– Jeden miał nad sobą taką, taką... siatkę, nad wieżą. Z rur.

– Pojazd łączności. Czołgów nie było?

– Takie dziwne. Jak czołg, ale z przodu koła...

– Aha, Sd.Kfz., transporter kołowo-gąsienicowy. Czyli mamy przed sobą jakąś kolumnę albo kompanię rozpoznawczą dywizji pancerniej albo lekkiej. Coraz lepiej.

– Jakies dalsze pytania?

Oficerowie pokręcili głowami.

– Dziękuję, chłopcze, za pomoc i obywatelską postawę, możesz wracać. Masz tu konserwy i dwadzieścia złotych.

– Ku chwale ojczyzny, panie majorze! – Chłopak nie ruszał się z miejsca.

– Coś jeszcze?

– Panie dowódco, a jakby karabin?

– Karabinem to mogę... wyciorem w dupę, gówniarzu! – rzucił major i dodał coś, co było już kompletną i niewybaczalną zniewagą dla bojowego trzynastolatka: – Do domu won, uczyć się! Dla Polski.

– Zdobędziemy most atakiem na bagnety – powiedział zamyślony Kalenkiewicz. – Ja poprowadzę ochotników, panowie zostaniecie w odwodzie.

– Źle! – rzucił Dobrzański. – Zobaczą was z kilometra.

– Jeśli Niemcy mają po drugiej stronie chociaż jeden MG, to konna szarża przez most będzie przykładem niezwykle

patetycznej kozietulszczyzny – pokręcił głową Kalenkiewicz. – Szkoda tylko, że niepotrzebnym.

– Na drugim brzegu zjedziemy od razu na łąki z prawej strony grobli. Poza tym co to za dyskusje, zgłosiliście się na ochotnika, więc czekajcie na rozkazy!

– Zgłosiliśmy się, bo pan kapitan za was ręczył – Sołtykiewicz wskazał Kalenkiewicza – że nie poślecie nas na śmierć jak pułkownik Dąmbrowski trzeci szwadron...

Dobrzański podniósł głowę, zobaczył wzrok Iljina. Karpiński i Morawski kiwali głowami.

– Tak było.

– Tak jest.

Dobrzański zacisnął zęby, ale nie brnął w to dalej.

– Zatem przystąpmy do wykonywania planu pana kapitana. Wodzu, prowadź na Łomżę! – I dodał głośniej: – Oddziaaaa! Do wsiadania! Maaarsz!

COPYRIGHT © BY Andrzej Pilipiuk
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2017

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-246-5

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE

Getty Images | THEPALMER

PROJEKT OKŁADKI

Szymon Wójciak

ILUSTRACJE

black gear Paweł Zaręba

REDAKCJA

Rafał Dębski

KOREKTA

Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow/

A. PILIPIUK

-WILCZE LEŻE-



Od A jak ANUBIS do W jak WILKOŁACTWO. Zanurz się w świat opowieści, w których granica między tym, co realne, a tym, co fikcyjne, niebezpiecznie się zaciera...

SKÓRZEWSKI & STORM

W życiu Roberta Storma nadechodzi wielka zmiana. Gdy na horyzoncie pojawi się dziewczyna, która ma szansę zostać kobietą jego życia, Robert pozna smak porażki i narazi się wpływowym przeciwnikom. A jedynym wyjściem będzie ucieczka...

Doktor Skórzewski znów zetknie się z pytaniami bez odpowiedzi i stanie twarzą w twarz z faktami, których nie sposób ogarnąć rozumem..



Poleb nas na facebooku

Zaś we Wrocławiu pewna pamiętająca czasy Breslau mumia przysporzy inspektorowi Pawłowi Nowakowi sporo kłopotów.

Umość się wygodnie w wilczym leżu i oczekuj niespodziewanego.

